

DALEKO

I R E N A O D M A Ł Y S A

B A B I E J  
G Ó R Y

Nowa powieść  
autorki bestsellera  
*W cieniu Babiej Góry*

MO  
VA

**DALEKO**  
IRENA **OD** MAŁYSA  
**BABIEJ**  
**GÓRY**

MO  
VA

*MOJEJ RODZINIE*



Sprawiedliwość jest najśmieszniejszą  
ze wszystkich fikcji, w jakie ludzie pragną wierzyć.

- SZCZEPAN TWARDOCH

*Królestwo, Kraków 2018*



**P**rzecięła podwórko i przyczała się za deskami. Z jednym kotem jakoś by sobie poradziła, ale z pięcioma? Nie lubiła zmieniać terytorium, tym razem jednak nie miała wyjścia. Śledziła wzrokiem rudą kocicę bez ucha, z którą wczoraj walczyła. Nie poszło tak łatwo jak zawsze. Jej rywalka była bardziej zacięta niż inne koty. Walka toczyła się na śmierć i życie, więc ostatecznie musiała się wycofać. Ostatni raz omiotła spojrzeniem obejście starego domu, na którego poddaszu wykarmiła młode. Obróciła się, zamiatając puchatym ogonem, i zniknęła w zaroślach.

Ruda kocica bez ucha przyjęła odejście kuny jako osobistą wygraną. Oblizwała jeszcze raz ranną łapkę i podeszła do mężczyzny siedzącego na ławce przed domem. Wskoczyła mu na kolana, miauczając przeciągle.

Stary Uciecha pogłaskał ją po grzbiecie. Kotka zamruczała i umościła się na jego nogach. Lubił, gdy to robiła. Z niepokojem zauważył, jak krew skapuje z kociej łapy na jego palce. Przyjrzał się ranie. Znów musiała łobuzować nocą. Pokręcił głową i podniósł dłoń do oczu. Widok krwi sprawił, że jego ciało przeszył dreszcz niepokoju. Uniósł jasne oczy na Babią, którą obserwował już od godziny. Zachodzące słońce zdawało się zalewać górę ogniem. Już dawno takiego krwawego zachodu nie widział. Zamknął powieki, ale pod nimi Babia wciąż płonęła żywym ogniem, a w tych płomieniach widział czyjaś twarz. Lodowata szpila strachu przeszła mu serce. Poczul niewytłumaczalny lęk o Baškę. Jego pokrzywione reumatyzmem palce zaczęły nerwowo przeszukiwać kieszenie. W końcu znalazł ten przedmiot i wyciągnął go przed siebie. Zapinka z krzyżykiem niespodzianym zaświeciła dziwnym blaskiem w ostatnich promieniach słońca.

# ROZDZIAŁ 1

*„Anielski orszak niech twą duszę przyjmie,  
Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba...”*

***Mysłowice, 17 czerwca 2021 roku***

**S**szła w kondukcje żałobnym i czuła, jak wszystko przemija. Stare drzewa ocieniały zabytkową nekropolię przed czerwcowym upałem. Czuła żal, stratę i wyrzuty sumienia. Tak dawno jej nie odwiedziła, a teraz było już za późno. Żałobnicy sunęli powoli, przeciskając się między mogiłami. Spojrzała w prawo i dostrzegła Dominika, syna swojego kuzyna – pochylał się nad pobliskim świeżym nagrobkiem, przysłoniętym burzą kwiatów. W końcu trumna zawisała nad wykopanym dołem. Skrzekliwy głos księdza prowadzącego ceremonię zlewał się ze świergotem ptaków, które nic sobie nie robiąc z podniosłej chwili, szczebiotały nad głowami żałobników.

Jeden z mężczyzn wystąpił z szeregu. Wyciągnął z kieszeni mały błyszczący przedmiot i przyłożył go do ust. Dopiero gdy usłyszała pierwszy dźwięk, zdała sobie sprawę, że to harmonijka. Grający przymknął oczy, a melodia popłynęła wśród drzew, zagłuszając hałas ulicy. Zajda rozpoznała

utwór *Memory* z musicalu *Koty*. Pomyślała, że matka uwielbia tę melodię. Widocznie jej siostra również, skoro grano ją na jej pogrzebie.

Celina z zachwytem wbijała wzrok w grającego mężczyznę.

– Mnie też tak, Basiu, zagrajcie, jak będziesz mnie do grobu kładła – wyszeptała Celina.

Baśka postanowiła nie reagować. Rozejrzała się tylko, by sprawdzić, kto usłyszał jej matkę. Jakaś kobieta wpatrywała się w nią z tłumu otaczającego trumnę. Baśka chwyciła mocniej pod rękę Celinę, która zdawała się słaba i krucha. Dopiero dziś rano, gdy szycowały się na pogrzeb, Baśka zdała sobie sprawę, że mama strasznie zmarniała. Stara garsonka wisiała na niej jak na wieszaku, sprężysty zazwyczaj krok stracił impet, a czerwone policzki jakby spłowiały. Nieubłagany czas przemykał się między jej palcami.

Ustawily się w kolejce do złożenia kondolencji. Kuzyn Marcin, syn zmarłej ciotki Ewy, stał zmęczony, opierając się o swoją żonę. Karina była silną, korpulentną kobietą. Służyła mu wsparciem fizycznym i psychicznym. Celina Zajda całkiem się rozkleiła.

– Pod Babią miała jeszcze Ewusia przyjechać. Tak planowałyśmy...

Rzeczywiście była z siostrą zżyta. Nigdy nie mogła przeboleć tego, że Ewa wyszła za Ślązaka i wyprowadziła się do Mysłowic. Kiedy miały małe dzieci, częściej się odwiedzały. Ciocia Ewa przyjeżdżała z Marcinem i Iwonką w góry, a Celina wysyłała im później Basię. Zajda pamiętała te wakacje w Mysłowicach. Zawsze to coś innego niż Zawoja.

Na końcu ceremonii rodzina złożyła kwiaty. Karina koordynowała wszelkie prace.

– Ujek, dej jeszcze te blumy<sup>1</sup> – poganiała wujka Alojza. – Ino niy uciekejcie, bo zaprōszōmy na lajchynszmaus<sup>2</sup> – zwróciła się do Baśki i jej matki.

Baśka spojrzała na kuzyna, który jednak zupełnie zdał się na żonę. Za nim stał ich nastoletni syn, Dominik.

W bramie cmentarza Baśka natknęła się na przypatrującą się jej wcześniej kobietę.

– Baśka, to ja, Ala.

Zajda przekrzywiła głowę i w mgnieniu oka rozpoznała towarzyszkę dziecięcych zabaw. Pamiętała, że Alicja jest od niej trzy lata starsza. To z nią bawiła się najlepiej podczas wakacyjnych pobytów u ciotki. Kobieta wciąż miała w oczach radość. Spontanicznie się przytuliły.

– Co? Zestarzałam się? – zapytała ją Ala.

Baśka pokręciła głową.

– Wcale nie. Wyglądasz pięknie.

– Ty się nic, Baśka, nie zmieniłaś.

– Musimy się kiedyś umówić. Podaj numer do siebie.

Alicja podyktowała jej kilka cyfr. Pożegnały się.

Stypa odbywała się w eleganckiej restauracji u wlotu ulicy Grunwaldzkiej. Baśka pamiętała ten lokal z czasów, gdy biegały z Alą od Rynku przez przejście podziemne aż do Powstańców, gdzie mieszkała jej ciotka.

Mysłowice wydały się jej mniejsze niż te z dziecięcych wspomnień. Usiadły z Celiną przy Marcinie i jego starszej siostrze Iwonie, która na pogrzeb przyjechała z Wielkiej Brytanii. Jako że rodzina Kariny mieszkała w Mysłowicach od trzech pokoleń, nad stołem zapanowała śląska gadka, do której Baśka miała wielką słabość. Po obiedzie nastąpiło rozprężenie. Marcin pochylił się do nich konspiracyjnie.

– Ciociu, chciałbym, żebyście zostały do jutra. Umówiłem nas u notariusza.



Spojrzały na siebie z matką.

– Chodzi o mieszkanie. Mama zostawiła testament, powiedziała mi przed samą śmiercią. Mieszkanie jest dla ciebie, ciciu.

Celina Zajda mało nie spadła z krzesła. Chciała coś powiedzieć, ale siostrzeniec przyłożył palec do ust.

– Karina jeszcze nic nie wie. Boję się jej powiedzieć.

Baśka nie mogła w to uwierzyć. Dlaczego ciocia Ewa nie przekazała mieszkania synowi bądź córce?

Marcin, jakby czytając z jej spojrzenia, dodał:

– Uznała, że ciocia Celina hojnie spłaciła jej dom po rodzicach w Zawoi, a ja i Iwona mieszkania dostaliśmy. Zresztą Iwonie nigdy nie wybaczyła, że się rozwiodła i wyjechała do Szkocji.

– A ty co o tym myślisz, Marcin? – zapytała poważnie Celina.

– Ja? – rzucił. – Nie mam z tym jakiegoś problemu, tylko się boję, że Karina zrobi aferę. Wie ciocia, jakie są baby...

Celina Zajda spojrzała na Karinę, która brylowała w towarzystwie.

– Zaprōszōm na zista<sup>3</sup>! – wołała mężczyzn palących papierosy przed wejściem do lokalu.

Usiadła zaraz przy Marcinie, który zdawał się kurczyć przy kobiecie dwa razy większej od niego.

– A ty co? Można gorzōły nalōć. Ujki czekajōm.

Baśka i Celina siedziały sztywno, nie wiedząc, co myśleć o słowach Marcina. To pewne, że czekała go z Kariną przeprawa. W trakcie deseru Baśka rozmawiała przez chwilę z Iwoną, starszą od niej o dziesięć lat. Kuzynka załamała się śmiercią matki, lecz już tego samego wieczoru miała samolot powrotny do Glasgow. Na pytanie Zajdy o to, jak jej się tam mieszka, odparła:

– Teraz tam jest mój dom. Mnóstwo osób z Mysłowic wyjechało na Wyspy za pracą.

– Masz tam kogoś?

– Mam. Ismael pochodzi z Pakistanu.

– Był kiedyś w Polsce?

– Nie i nie ma zamiaru. Tu wiele się jeszcze musi zmienić. – Iwona spoglądała ponuro na żałobników. Na Karinę wręcz z niechęcią. – A ty masz kogoś? – zapytała Baśkę.

Zajda upiła łyk kawy podanej do deseru.

– Właściwie to nie.

Kuzynka uniosła wysoko brwi i Baśka poczuła w żołądku ukłucie żalu.

– Dobrze mi samej – dodała.

– Mnie też tak się kiedyś wydawało – powiedziała Iwona głosem doświadczonej kobiety. – A, Marcin mówił mi o tym mieszkaniu. Jeżeli chodzi o mnie, nie mam nic przeciwko. – Zawiesiła na chwilę głos, spoglądając w stronę bratowej. – Na Karina jednak dōwej pozōr, to chamliwō<sup>4</sup> baba – dodała Iwona po śląsku. – I na jejch ujkōw<sup>5</sup>. – Wskazała wzrokiem koniec stołu, gdzie siedziało kilku mężczyzn w wieku od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Przekrzykiwali się, nie zwracając na nikogo uwagi.

Baśka z matką wyszły wcześniej, bo Celina była już bardzo zmęczona. Zatrzymały się na noc w hotelu Trojak. Baśka bała się być świadkiem scysji pomiędzy kuzynem a jego żoną Kariną. Gdy tylko zamknęły za sobą drzwi w pokoju hotelowym, Celina Zajda opadła ciężko na łóżko.

– No to się porobiło, Baśka. Co tej Ewusi przyszło do głowy, że mi mieszkanie zapisała?

Baśka wzruszyła ramionami.

– Może jej dzieci dały w kość? Słyszałaś, co Marcin mówił? Iwona wyjechała za granicę, Marcin jest ustawiony. To mieszkanie na Powstańców bardzo skromne, wymaga więcej remontów, niż jest warte.

– Chyba masz rację. – Celina Zajda zaczęła ściągać garsonkę, a później pończochy. – W każdym razie na co nam to mieszkanie?

Córka wzruszyła ramionami. Przez resztę wieczoru oglądały seriale, a Baśka z nudów przeglądała przy tym Instagram. W prawym rogu zobaczyła wiadomość od Ali, którą kilka godzin temu spotkała na cmentarzu. „Hej, Basiu, cieszę się z naszego spotkania. Jak będziesz chwilę w Mysłowicach, zapraszam na grilla na moją działkę”.

Zajda uśmiechnęła się na wspomnienie Alicji. Kiedy była mała, uwielbiała tę dziewczynę, ale czy łączyło je coś jeszcze po tylu latach?

### ***Mysłowice, 18 czerwca 2021 roku***

**N**oc w hotelu Trojak, którą spędziła w łóżku małżeńskim ze swoją matką, była wyczerpująca. Celina Zajda chrapała przeraźliwie, wpadając co jakiś czas w niezdolność dla Baśki bezdechy. Córka musiała ją szturchać, by znów nabrała powietrza i przerwała ciszę, która doprowadzała ją do palpacji serca. Ku jej zaskoczeniu matka wstała o świcie wypoczęta i pełna energii.

– Ale się wyspałam! – powiedziała Celina, przeciągając się jak kot.

– Naprawdę? Całą noc tak chrapałaś, że ja nie zmrużyłam oka. W dodatku te bezdechy. Mamo, musisz iść do lekarza. Nie wiem, kto się zajmuje takimi sprawami. Może laryngolog? – przekonywała.

Matka nic sobie z tej uwagi nie zrobiła.

– Załatwmy szybko, co trzeba, bo chcę już wracać do domu. Wiesz, że nie lubię wyjeżdżać.

Baśka wiedziała o tym doskonale. Każdy wyjazd Celine kończył się tym, że po jakimś czasie zrywała się jak dzikie zwierzę złapane we wnyki i chciała natychmiast wracać. U notariusza miały być na dziesiątą. Zeszły do restauracji i zjadły śniadanie. Kuzyn nawet nie zaprosił ich na poranną kawę. Baśka miała nadzieję, że udało mu się wytłumaczyć Karinie decyzję jego matki.

U notariusza pojawiły się pierwsze. Trochę je to zdziwiło, bo Marcin miał czekać na nie przed budynkiem. Sekretarka zaprosiła je do gabinetu. Usiadły przy długim, owalnym stole. Na ścianie wisiał tuż obok godła obraz świętej Barbary, patronki górników. Taki sam wizerunek miała u siebie ciocia Ewa. Ciekawe, czy jeszcze wisi w mieszkaniu na Powstańców. Czy jego też odziedziczą po ciotce? Co to właściwie zmieni w ich życiu? Zegar w złotej ramce wskazał pięć po dziesiątej i Zajda poprawiła się na krześle, spoglądając na matkę.

– Może zadzwoń do niego? – zaproponowała Celina.

Nie zdążyła wybrać numeru, gdy w drzwiach pojawił się Marcin. Na jego widok Baśka wydała cichy jęk. Kuzyn miał ślady paznokci na twarzy. Najwidoczniej próbował je zakamuflować podkładem, gdyż wokół czerwonych zadrapań rozciągała się żółta plama źle dobranego fluidu.

Celina Zajda już miała coś powiedzieć, lecz Baśka ścisnęła pod blatem jej dłoń.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił Marcin i ciężko opadł na krzesło.

Notariuszka usiadła u szczytu stołu i poprosiła zgromadzonych o dowody osobiste. Wyuczonym uprzejmym tonem rozpoczęła otwarcie i ogłoszenie testamentu zmarłej. Oprócz mieszkania na Powstańców chodziło też o ogródek działkowy, który przekazała synowi. Notariuszka była profesjonalna i taktownie starała się nie spoglądać na szramy na policzku Marcina. Na końcu zadała Celinie Zajdzie pytanie, czy przyjmuje

spadek po siostrze. Kobieta spojrzała na Baškę, a potem na siostrzeńca, jakby przez chwilę się wahając. Widząc to, Marcin odchrząknął i powiedział:

– Zgódź się, ciociu. Tak mama chciała.

– A ty? Co z twoją żoną? – Wskazała na jego policzek.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem.

– Ona taka już jest... Poradzę sobie.

Gdy po podpisaniu wszystkich dokumentów wyszli na zewnątrz, Marcin podał ciotce klucze do mieszkania.

– Chciałem tam z wami pójść, wytłumaczyć co i jak, ale rozumiecie – rzekł, wskazując na swój podrapany policzek. – Muszę wracać do domu załagodzić sytuację.

Baška pokiwała głową.

– A ja myślałam, że tylko u nas baby są zawzięte – wypaliła zniecierpliwiona Celina.

– Nie tylko, u nas też kobity charakterne.

Wsiadły do samochodu. Z Mikołowskiej na Powstańców było rzut beretem. Przejechały pod wiaduktem kolejowym, minęły kościół i sąd. Baška nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na okna pobliskiego Aresztu Śledczego. Dostrzegła z zaskoczeniem, że zostały zasłonięte. Nie zobaczy już więcej wydekoltowanych grypsujących partnerek aresztantów, które zawsze były obiektem jej dziecięcych fascynacji. Okoliczne zabytkowe fasady wciąż robiły na niej piorunujące wrażenie. Pamiętała, że jako mała dziewczynka wyobrażała sobie, że mieszkają tu damy w sukniach balowych i mężczyźni w aksamitnych frakach. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy pewnego dnia weszły z Alą na podwórko jednej z tych najpiękniej zdobionych kamienic – w stylu secesyjnym, z elementami neobarokowymi. Zstały kopiące piłkę dzieci o brudnych

twarzach oraz ich pijaną matkę siedzącą na schodach. Wygoniła je, rzucając przekleństwami, a jej dzieci biegły za nimi jeszcze przez kilkadziesiąt metrów. Tak się skończyła w głowie małej Basi bajka o damach żyjących w myśłowickich kamienicach. Może i tu były, ale dawno temu.

Wymyśliły wtedy z Alą legendę o porwanych księżniczkach. Szukały ich całe wakacje w parku Promenada i nad Przemszą. Fantazjowały, że są zamknięte w tajemnej komnacie w kopalni Mysłówice i że one muszą je odnaleźć. Doszły raz nawet na ulicę Świerczyny, sąsiadującą z kopalnianymi budynkami. Gdy jednak Basia zobaczyła wychodzących z szychty górników o powiekach czarnych od węglowego pyłu, uciekała gdzie pieprz rośnie. Tak, Mysłówice były miastem kontrastów.

Z Krakowskiej skręciły w Szymanowskiego i dalej na Powstańców, mijając plac Wolności. Baśka jechała powoli, przyglądając się zabytkowej bryle myśłowickiego ratusza, Biedronce umieszczonej w dawnej hali kolejowej i starym kamienicom. Nic się nie zmieniło. W tej części miasto wydało się Zajdzie zastygłe jak skorupa żółwia.

Minęły dworzec i zaparkowały na chodniku obok mieszkania ciotki. Wsiadły z samochodu i stanęły, wpatrując się w brudne cegły skromnej kamieniczki. Była jedną z trzech stojących w małych odstępach na końcu ulicy, tuż przed zabytkową przewiązką i parkiem. Niegdyś mieszkały tu rodziny kolejarzy. Odziedziczone lokum mieściło się na pierwszym piętrze. Okna w prawie całym trzypiętrowym budynku były wymienione na plastikowe, a szczyty kamienic, zakończone murem pruskim, prezentowały się lepiej niż parter i podpiwniczenie. Wspięły się po schodkach prowadzących do klatki schodowej. Celina Zajda ujęła drewnianą balustradę i krok po kroku pokonała schody. Odwiedzały to miejsce setki razy. Teraz jednak było nieco inaczej. Rozglądały się na boki. Matka podała Baśce klucz.

– Otwieraj, Basieńko.

Zajda otworzyła dwa zamki i uchyliła drzwi. Ostatni raz była tu osiem lat temu. W mieszkaniu unosił się zapach dyfuzora zapachowego. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Ciotka Ewa nie lubiła zmian. Na ścianach w przedpokoju wciąż była ta sama boazeria, a na podłodze stare linoleum. Ta sama meblościanka w dużym pokoju, ta sama tapeta na ścianach. Niby wszystko jak dawniej. Baśka jednak zapamiętała to miejsce jako modne i nowoczesne. Teraz mieszkanie sprawiało wrażenie lichego i zniszczonego.

Celina Zajda zatrzymała się przed ścianą zdjęć. Na jednym z nich stała razem z siostrą na tle Babiej Góry. Opierały się plecami o swoich mężów, ojca Baśki i wujka Gienka. Baśka dotknęła pleców matki, która zatrzęsała się ze wzburzonego w niej płaczu. Była teraz taka mała i pokurczona. Zupełnie jak to mieszkanie, które kiedyś zdawało się piękne i przestronne. Tuliła się do matki.

– Planowałyśmy, że do mnie przyjedzie. Miałyśmy iść na grzyby.

– Wiem, mamó. Wiem.

Usadziła matkę na kanapie. Upał wlewał się przez okna, a drobinki kurzu wirowały w smugach światła. Czuła się jak w muzeum pełnym pamiątek i wspomnień. Siedziały tak dobry kwadrans.

– Co chcesz teraz zrobić, mamó?

Celina się podniosła, jak gdyby jej chwilowa słabość się nie wydarzyła.

– Jak to co? Musisz tu jakoś zagospodarować, odświeżyć i wynająć mieszkanie.

– Ja?

– No a co, ja? Na starość mam się użerać? Mieszkanie jest twoje. Postarasz się, to wynajmiesz z zyskiem i będziesz miała dodatkowy grosz.

– Ale mamó, tak wypada? Co na to Marcin i Iwona powiedzą?

Celina Zajda sapnęła z niecierpliwością.

– Baśka, zejdź na ziemię. Ty musisz rodzinę zakładać. Pieniądze jakieś odłożyć. Ja już długo nie pożyję, a ty co na tej policji zarobisz? A tak to i na wczasy będziesz miała, i samochód może zmienisz. Takim dziadem jeździsz rozklekotanym. Boję się, czy my do domu tym z powrotem dojedziemy.

Baśka, kręcąc głową, zaczęła lustrować mieszkanie. Łazienka wymagała generalnego remontu. Ściany, podłogi i meble także były do wymiany.

– Ale skąd ja wezmę fundusze na remont? Wiesz, ile biorą firmy?

Celina Zajda przekrzywiła głowę w sposób, który jej córka doskonale знаła – zbliżała się jakaś matczyna złota rada.

– To remontuj sama. Do płytek weź fachowca, do podłóg też. Ale malowanie i inne rzeczy możesz zrobić samodzielnie. Nie pamiętasz, jak zawsze tapetowałaś i malowałaś nasz dom z tatą? Byłaś w tym lepsza niż niejeden chłop.

Uśmiechnęła się lekko do tych wspomnień. Tak było. Razem z ojcem stanowili zgraną ekipę remontową. Nie miał syna, więc we wszystkim musiała mu asystować.

– Właściwie za tydzień zaczynam urlop. Trzy tygodnie, bo nazbierało się zaległego z zeszłego roku.

Matka poklepała ją po ramieniu.

– Dasz radę, Basia. Kto jak nie ty? Mam odłożone trochę pieniędzy. Dołożę ci na te panele, płytki i co tam jeszcze trzeba. A teraz wracajmy. Nogi mnie bolą i zapomniałam lekarstw. Poza tym chciałam zdążyć do kościoła na siedemnastą. Ty też byś się przeszła.

Baśka przewróciła tylko oczami.

Gdy zamykała mieszkanie, otworzyły się drzwi naprzeciwko. W progu ukazała się głowa sąsiadki, którą widziała na pogrzebie. Pamiętała ją



z wizyt u ciotki. Czasem wpadała na kawę.

– Dzień dobry – przywitała się Zajda.

– Prōwdã Ewusia gōdała, iże szwestrze<sup>6</sup> zapisała pōmiyszkanie w familoku – odezwała się kobieta.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Baśka tylko się uśmiechnęła.

– No i dobrze, bōłach sie, iże sie jakieś chachary<sup>7</sup> wkludzōm<sup>8</sup>.

– Przyjadę za tydzień. Jakby co, proszę dzwonić do Marcina. Ma pani do niego numer telefonu?

– Ja, mōm.

Kobieta jeszcze się jej przyglądała i Baśka czuła, że za chwilę padnie pytanie o jej stan cywilny.

– Do zobaczenia – pożegnała się szybko i zbiegła po schodach do matki, która czekała przed budynkiem.

Celina Zajda gawędziła z dwiema nastolatkami siedzącymi na murku przed kamienicą. Po drugiej stronie ulicy mieściła się szkoła. Uczniowie wylewali się z jej otwartych na oścież drzwi.

– Jedziemy? – zapytała matkę, która zdawała się jej nie zauważać, pochłonięta rozmową.

– Już, Basiu – odpowiedziała i wskazała na jedną z dziewczyn. – To jest Marzena, mieszka w kamienicy obok – wytłumaczyła.

Dziewczyna spojrzała na Zajdę badawczym wzrokiem. Miała bystre, smutne oczy. Ona i jej koleżanka nosiły obszerne czarne spodnie i przykrótkie bluzki, odsłaniające wąski pasek brzucha. Otulone długimi do pasa włosami, wyglądały podobnie jak wszystkie nastolatki podążające ślepo za modą. Nie mogła się nadziwić, że jeszcze niedawno dziewczyny w ich wieku chodziły w obcisłych rurkach i neonowych kolorach. Poczowała się staro i nieatrakcyjnie. Właściwie zawsze uważała, że jest brzydka.

Jedynie oczami mężczyzny potrafiła się sobie przyglądać z uśmiechem. Gdy była zakochana. Ale to się już nie zdarzy.

Otworzyła drzwi samochodu i jeszcze raz spojrzała na fasadę budynku. Było w nim coś mrocznego. Jakby wciąż tkwił tutaj duch dawnych czasów. Z tyłu słychać było pociąg ciągnący na peron dworca. Zabytkowa przewiązka zawieszona nad ulicą pomiędzy budynkami wydała się jej bramą do zieleni parku, w którym ptasi koncert trwał w najlepsze.

– Pani mieszka pod Babią Górą? – zapytała cicho jedna z dziewczyn.

– Tak, w Zawoi.

– Tam musi być pięknie – odparła ta o smutnych oczach.

---

1 kwiaty (śl.).

2 stypę (śl.).

3 babkę (śl.).

4 chciwa (śl.).

5 wujków (śl.).

6 siostrze (śl.).

7 łobuzy, chuligani (śl.).

8 wprowadzą (śl.).

## ROZDZIAŁ 2

*Zawoja, 27 czerwca 2021 roku*

**S**iedziała z dziadkiem Uciechą przed domem i popijała kawę.

– Juhasa mi brakuje – odezwała się w końcu po długiej chwili milczenia.

Niebieskie oczy Uciechy wciąż spoglądały na Babią.

– Co tu godoć, dobre psisko posło. Ale nie kcom drugiego. Teroz mom koty – odparł, czochrając jednego z tych, które ludzie podrzucali mu regularnie pod drzwi. – Do psa to trza mieć siły, a kot to se do rady bardziyj jak pies.

– Co racja, to racja – odpowiedziała, biorąc na ręce swoją ulubioną kocicę, rudą piękność bez jednego ucha.

– I co, sikorecko, na Śłosk jedzies? Jakbyk nie był tokim dziodom, to byk ci ta pomógł z tomi remontami. A tak to co? Ino siedzieć przed chałupom i sie z tomi kotomi grzoć w słońcu.

– Dam radę, dziadku. Spokojna głowa. Zawsze to jakaś przygoda. I tak nie miałam planów na urlop.

Milczeli, wsłuchując się w śpiew rudzika. Uciecha zajadał truskawki, które mu przyniosła. Najpierw obwąchiwał każdą, a później, trzymając za

szypułkę, smakował powoli. Nie pozwolił Bańce ich umyć, twierdząc, że całe życie jadł owoce prosto z krzaka. Wstała.

– Jadę, dziadku. Jak wszystko pójdzie po mojej myśli, to wrócę za trzy tygodnie. Chyba że czegoś mi zabraknie.

Spojrzała na szczyt Babiej Góry. Ostatnio nie lubiła jej opuszczać. Czowała się tu bezpiecznie, w jej cieniu, pod jej magiczną ochroną, w którą coraz bardziej wierzyła. Uciecha zatrzymał ją w progu i wyciągnął przed siebie dłoń.

– Noś to, sikorecko. Kszyżek niespodziany cię łochroni.

Nie podobał się jej pomysł chodzenia z krzyżykiem, który większość ludzi wzięłaby za swastykę. Dla górali był to jednak amulet chroniący przed wszelkim złem. Dla świętego spokoju wzięła od dziadka krzyżyk wytłoczony na metalowej zapince i schowała go do kieszeni.

Wsiadła do nagrzanego samochodu i otworzyła okna po obu stronach. Pomyślała, że to będzie długa droga. Starego passata kombi załadowała pod sufit sprzętem i materiałami budowlanymi, nadkolea niemal tarły o opony z obciążenia.

– A tak na ciebie narzekałam, staruszk, a tu proszę, nareszcie twój wielki bagażnik się na coś przydał.

Mijała znajome domy i drzewa. Po drodze zatrzymała się w Makowie Podhalańskim. Chciała ostatni raz zjeść ulubione lody na urokliwym ryneczku. Przyglądała się przechodniom spacerującym pod markizami małych sklepików, w których w odróżnieniu od wielkich marketów wciąż można było uciąć sobie pogawędkę ze sprzedawcą. Trochę bała się wyjazdu do Mysłowic, ale równocześnie nie mogła się doczekać efektów remontu mieszkania po ciotce. Sięgnęła po telefon wibrujący w torbie.

– Hej, Marcin. Co jest? Złapałeś mnie w drodze do Mysłowic.

– Cześć, Basiu. Zbierałem się dwa dni, żeby do ciebie zadzwonić. Bardzo cię przepraszam, że tak głupio wyszło. – W słuchawce zawisła cisza, której Baśce nie bardzo chciało się przerywać. – Wiesz, Karina jest wybuchowa, ale to dobra kobieta. Jeżeli potrzebujesz pomocy przy remoncie, możesz na mnie liczyć. Jak będzie trzeba, poproszę jeszcze kogoś, któregoś z wujków Kariny. Ma ich całą masę. – Zaśmiał się, próbując ukryć zmieszanie.

– Dzięki. Na razie spróbuję sobie poradzić sama. Jestem umówiona z fachowcem od płytek, mam niezbędne materiały. Ale odezwę się. Wpadnij na Powstańców, bo będzie mi trochę samotnie. Nie znam tu nikogo.

Gdy się rozłączyła, pomyślała, że właściwie kogoś zna. Była przecież Alicja. Obiecała jej, że się spotkają. Wpakowała do ust koniuszek lodowego wafelka i wsiadła z powrotem do samochodu. Nie zatrzymując się więcej, dojechała do Mysłowic. Zwolniła tylko na wysokości Zatoru, gdy jej wzrok uciekł w kierunku rozpędzonych wagoników kolejki górskiej w parku rozrywki. Była tam raz i zapamiętała to uczucie spadania. Ten sam świdrujący ból brzucha i brak tlenu, który towarzyszył jej niemal co noc. Sny, które oplatały ją jak pajęczyna, gdy tylko zamykała oczy.

Wjechała do Mysłowic, sunąc w korku. Gdy zaparkowała pod kamienicą na Powstańców, czuła się bardzo zmęczona. Mimo popołudniowej pory upał był nieznośny. Wyszła z samochodu i oparła się o maskę. Sięgnęła do kieszeni po paczkę papierosów. Powrót do palenia był jedną z jej kolejnych porażek. Wypalała cztery papierosy dziennie: rano, w południe i po południu, a czwartego trzymała w rezerwie, z której niemal codziennie korzystała. Zapalała go nieraz w nocy, gdy budziła się złana potem. Gdy w snach widziała Darka. Zaciągała się wtedy łapczywie związkami siarki, fenolów i estrów zawartymi w dymie papierosowym, jak

gdyby mogły jej dać zapomnienie. Były też sny gorące, w których kochała się z Tomkiem na biurowym krześle. Ci dwaj mężczyźni wirowali w jej głowie nocami. Rano zawsze wstawała bardziej zmęczona niż wieczorem. Miała nadzieję, że może zmiana miejsca jej pomoże. Od czasu powrotu z Krakowa trwała w tej matni, nie mogąc zrobić kroku naprzód.

Zaciągnęła się i spojrzała na okna budynku. Uświadomiła sobie, że jest obserwowana. Kilkoro starszych mieszkańców spoglądało na nią z zaciekawieniem. Powinna wnieść sprzęt do mieszkania. Nie chciała, by ktoś wykradł go w nocy z samochodu. Jednak cień drzew i śpiew ptaków w parku Promenada, który był nieopodal, kusił ją swoimi urokami. Zamknęła samochód i ruszyła przed siebie. Stała pod przewiązką, obiecując sobie, że musi dowiedzieć się czegoś o jej historii. Spojrzała w górę i niespodziewanie poczuła wewnętrzny chłód. Szum drzew przypominał westchnienia. Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się przed pamiątkową tablicą stojącą przy wejściu do parku – upamiętniała Polaków, którzy ginęli w tutejszym więzieniu. Podczas wojny zabijali ich Niemcy, a po wojnie byli represjonowani przez Służbę Bezpieczeństwa. Zerknęła w dół wzniesienia, gdzie w miejsce dawnych baraków stworzono piękny staw z fontanną oraz alejki spacerowe.

Zeszła niespiesznie po schodach. Cień drzew niósł przyjemny chłód. Spojrzała w stronę ławek i zobaczyła tę samą dziewczynę, z którą jej matka rozmawiała tydzień temu przed kamienicą. Nie mogła sobie przypomnieć, jak miała na imię. Nastolatka pisała coś w telefonie. Chciała do niej podejść, ale zatrzymała się w pół kroku, dostrzegłszy, że ktoś siedzi razem z nią. Pomyślała, że to pewnie jej chłopak. Obrócił się na chwilę w jej stronę. Skręciła w prawo w kierunku alejki, która doprowadziła ją do uroczego źródła. Głowę lwa, z której wypływała woda, niedawno

widocznie odrestaurowano. Zanurzyła dłonie w zimnej wodzie i chlusnęła nią sobie w twarz. Tego jej było trzeba w ten upalny dzień.

Postanowiła wrócić do samochodu, by wziąć się do rozładunku sprzętu. Najważniejsze były narzędzia, które pożyczyła od sąsiada: wiertarka udarowa, wkrętarka, wyrzynarka i cała masa innego cholerstwa niezbędnego przy remoncie. Musi je zwrócić w nienaruszonym stanie. Gdy doszła do samochodu, zastała Marcina siedzącego na murku przed kamienicą.

– Hej, co ty tu robisz?

– Przecież mówiłaś, że jedziesz do Mysłowic. Zresztą – wskazał dłonią na kobietę, która wciąż wisiała w oknie, oparta na poduszce – sąsiadka zadzwoniła.

Baśka właściwie nie wiedziała, jak z nim rozmawiać. Choć Marcin ją zapewnił, że nie ma problemu z zapisem w testamencie, nie wiedziała, jak jest naprawdę.

– To co, pomóc ci? – zapytał, wskazując na wyładowany po brzegi bagażnik passata.

– Byłoby miło.

Otworzyła mieszkanie i zaczęli wnosić rzeczy. Wkrótce dołączyło do nich kilku mężczyzn z sąsiedztwa, którzy najwyraźniej dobrze znali Marcina. Twarz jednego z nich wydała się Baśce znajoma, więc uśmiechnęła się do niego.

– A piwo będzie po robocie? – zapytał z pękiem listew wykończeniowych w dłoniach.

Zajda dopiero teraz rozpoznała w nim jednego z wujków Kariny.

– Będzie!

– Ino Tyskie, zimne.

Tak jak obiecała, po robocie było piwo. Usiedli z tyłu kamienicy, z widokiem na cały dworzec, perony i bocznicę.

– Dyc samõś, dziołcha, niy szafniysz<sup>9</sup> tygo rymõntu, tukej trza fachmana. Wetnã sie<sup>10</sup> ô halba<sup>11</sup>, co niy dõsz rady – komentował jeden z sąsiadów, który pomagał przy noszeniu.

– O flaszkę to może nie – odpowiedziała Zajda – ale jak dam radę, to weźmie pan myjkę ciśnieniową i wyczyści te brudne cegły na fasadzie budynku. – Wyciągnęła do niego dłoń. – Zakład?

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Marcin parsknął śmiechem.

– I co, myśleliście, że wasze baby dożarte? To poznajcie góralicę!

Sąsiad, któremu rzuciła wyzwanie, wstał, otarł ręce o spodnie i uściśnął mocno jej dłoń. Mierzyli się wzrokiem niczym rewolwerowcy.

– Przy czym nie kładę kafelków. Resztę zrobię sama.

– Ugõda stoi.

Wbrew wszystkiemu przyjemnie jej było siedzieć z tymi twardymi Ślżakami o wielkim poczuciu humoru. Zaskoczyli ją swoją otwartością. Myślała, że trochę jej zajmie zapoznanie się z sąsiadami, a tu proszę, już traktowali ją jak swoją.

– Dobrze cie tukej widzieć, bo już bõło tak jakoś smyntnie – powiedział jeden z sąsiadów.

Spojrzała pytająco na Marcina.

– Mieliśmy tu tragedię. Kilka miesięcy temu ktoś zabił córkę Wieczorków, Justynę.

Wszyscy spuścili głowy. W jednej chwili miła atmosfera się rozplynęła.

– Nie złapali zwyrodnialca. Wieczorkowie nie mogą dojść do siebie. Wszyscy pilnują teraz swoich córek jak oka w głowie – kontynuował kuzyn.



– Niy strōsz jeji, bo jeszcze nōm uciyknie – przerwał mu wujek Kariny.

– Alojz, ty niy rōb nōs za bozna<sup>12</sup>, bo take mōmy czasy, co na wszyjsko trza dōwać pozōr – odparł Marcin.

Baśka spojrziała na sunący wolno pociąg. Starła się odrzucić informację, którą przed chwilą usłyszała. Obiecała sobie, że chociaż podczas urlopu odpocznie od brudów tego świata.

– To przykre – skomentowała lakonicznie, nie chcąc podejmować tematu.

– Ty, dziółcha, robisz na policyji? – dopytywał najmłodszy z towarzystwa.

– A co, u was baby nie pracują w takich zawodach?

– Moja szwestra robi w Straży Miejskiej, takim myśłowickim FBI.

Wszyscy się zaśmiali.

– To musi fajno dziółcha – odpowiedziała, próbując naśladować ich śląską gadkę.

Dalsza rozmowa krążyła wokół lokalnych spraw, o których Zajda nie miała pojęcia. Przeżywano remont Parku Zamkowego, w który miasto zainwestowało grube miliony. Trzech mężczyzn pracowało w kopalni Myśłowice-Wesoła, więc siłą rzeczy w końcu zaczęli mówić i o tym.

– Fedrujemy na tyj ścianie już ôd tydnia<sup>13</sup>. Kamynia je za tela<sup>14</sup> – relacjonował wujek Alojz. – Dali mi modygo pod flyjgã<sup>15</sup>. Gōwniōrz psinco umiy.

Niewiele rozumiejąc z tych opowieści, Baśka pożegnała się i poszła do samochodu po ostatnią torbę z ubraniami i kosmetykami. Jutro zaczyna remont i musi się wyspać. Stojąc przed passatem, zwróciła uwagę na tablicę informacyjną. Podeszła do niej i urwała kartkę z telefonem z ogłoszenia o treści: „Wykończenia, łazienki, gładzie, panele – TANIO!”. Szarpnęła zbyt mocno i ogłoszenie spadło na chodnik, a przed jej twarzą pojawiło się

to, co było pod spodem. Nekrolog Justyny Wieczorek opatrzony był zdjęciem. Piękna dziewczyna o długich czarnych włosach. Wyglądała jak setki innych. Niemal identycznie jak ta, którą widziała przed chwilą na Promenadzie. Podniosła z ziemi ogłoszenie i przyczepiła je na nowo zardzewiałą pinezką. Zamknęła na chwilę oczy, a pod powiekami pojawił się obraz duszonej Justyny Wieczorek. Otarła szybko twarz. Ma urlop. Obiecała sobie. Żadnych zabójstw, gwałtów ani narkotyków. Nic nie zmąci jej spokoju.

### ***Mysłowice, 28 czerwca 2021 roku***

**W**brew obawom zasnęła w łóżku ciotki od razu, a obudziła się wypoczęta pięć po ósmej. Słońce wpadało przez okno, sprawiając, że wewnątrz wydało się jej dużo ładniejsze niż wieczorem. Po śniadaniu składającym się z muesli z mlekiem zabrała się do mierzenia łazienki i innych pomieszczeń. Wzięła ze sobą plik kartek, ołówek i linijkę. Lubiła rysować. Zawsze marzyła o dekorowaniu własnego wnętrza. U mamy nie próbowała nic zmieniać, bo wszystko, co było w ich domu, jej ojciec zrobił sam, choć nie bez jej pomocy. Szafki, podłoga, półki – każda z tych rzeczy przypominała jej nieżyjącego tatę. Za to teraz wreszcie miała pole do popisu. Choć nie planowała tu zamieszkać, pragnęła być dumna z tego miejsca.

Rozrysowała plan mieszkania na kartce. Następnie wzięła kolejny arkusz papieru i zajęła się projektowaniem łazienki. Nie mogła jednak zaszaleć, bo pomieszczenie mierzyło jakieś trzy i pół metra kwadratowego. Chciała wykorzystać drewno i kamień, ale miała bardzo ograniczony budżet. Gdy usłyszała dzwonek do drzwi, zdała sobie sprawę, że jest już południe. Fachowiec, z którym umówiła się na wycenę łazienki, stał na wycieraczce. Mężczyzna omiótł łazienkę krytycznym wzrokiem. Zajda

pokazała mu na wyświetlaczu kilka projektów, którymi się inspirowała. Wyciągnął miarkę i poprzykładał ją od niechcienia do ścian.

– Ten stary junkers to będzie do wymiany?

– Tak, oczywiście. Zamontujemy nowy.

– Hydraulikę trzeba nową zrobić – kontynuował fachowiec.

Baśka przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nie tak wyobrażała sobie budowlańca. Facet był ubrany w eleganckie spodnie i niebieską koszulę. Miał starannie przyciętą brodę, zapewne u barbera.

– Osiem tysięcy.

Stanęła jak wryta.

– Plus materiały. Jeżeli mam przywieźć sanitariaty i inne rzeczy, zwrot kosztów transportu.

Zajda zagryzła wargi.

– Dlaczego tak dużo? Nie zajmie to panu więcej niż tydzień.

Mężczyzna pogładził się po brodzie.

– Drogo? A kiedy ostatnio korzystała pani z usług fachowca?

Rozłożyła ręce. Miał rację, nawet nie pamiętała. Gdy jej ojciec czegoś nie potrafił, pomagał im sąsiad.

– Nie stać mnie na pana.

– Taniej pani nikt nie zrobi. Ceny idą w górę.

– Ja rozumiem, ale osiem tysięcy za tydzień roboty? Nie mam tyle.

Mężczyzna wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia. Baśka sięgnęła po pierwszego papierosa. Czuła się podłamana. Łazienki nie zrobi sama. Musiałaby mieć zgrzewarkę do rur. Łatwo coś zrobić źle. Zadzwoiła pod numer, który znalazła na tablicy informacyjnej, i umówiła się z kolejnym budowlańcem. Do wieczora pakowała do kartonów rzeczy

ciotki. Umyła lodówkę i poszła do marketu. W drodze na zakupy zadzwoniła do Alicji Śmiałek. Miała wielką ochotę się z nią spotkać.

– Hej, z tej strony Baśka. Obiecałam, że się odezwę, gdy przyjadę do Mysłowic – przywitała się trochę niepewnie.

– Baśka? Świetnie, że dzwonicz. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

– Właściwie to nie.

– W takim razie zapraszam cię na działkę na grilla. Będą moje koleżanki z pracy.

– Z przyjemnością. Jak tam trafię?

– Wbij w mapę „ROD Jutrzenka” na Huty Rozalii. Jesteśmy od osiemnastej. Daj znać, jak będziesz przy wejściu, ktoś po ciebie przyjdzie.

– Bardzo się cieszę. Co mam kupić?

– Nic, po prostu bądź.

W markecie Baśka wybrała z półki z alkoholami piwo kraftowe. Cieszyła się, bo nie uśmiechał się jej samotny wieczór w mieszkaniu, po którym wciąż hulał duch ciotki.

Gdy szła wzdłuż ogrodzenia ogródków działkowych, nie mogła się nadziwić ludzkim pomysłem. Ile domków i ogródków, tyle osobowości. Były te bogate, których właściciele nie szczydzili funduszy na zakupy w marketach budowlanych i zaopatrywali się w najnowsze grille gazowe, huśtawki, fontanny i figurki ogrodowe. One jednak wydawały się Baśce nudne. Jej największą uwagę przyciągały działki, których gospodarze wykazywali się kreatywnością, wytwarzając sprzęty ogrodowe z różnych przedmiotów. Donice zdobione mozaiką wykonaną z rozbitych talerzy, gazony ze starych opon, huśtawka z krzesła bez nóg zawieszona na sznurze. To wszystko było piękne. Wywoływało uśmiech na jej twarzy, bo

oczami wyobraźni widziała tych działkowców, którzy z zapalem planują kolejne prace w swoich ogrodach. Nie była w stanie sobie nawet wyobrazić, czym był taki ogródek dla mieszkańców bloków, zmęczonych hałasem i brakiem przestrzeni w małych metrażach. Gdy zbliżała się do bramy, upojona zapachem jaśminu, dostrzegła przed sobą mężczyznę. Na jego widok stanęła jak wryta. Zabrakło jej tchu. Odruchowo złapała się za szyję, próbując rozpiąć niewidzialne guziki. To był on. Darek.

– Basia? – zapytał, wkładając z rozbawieniem ręce do kieszeni dzinsów.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Przekrzywiła głowę jak paleontolog na widok żywego okazu dinozaura. Podeszła dwa kroki i przyglądała się jego oczom.

– Jestem Maciek, mąż Ali. – Był wyraźnie zmieszany jej zachowaniem.

Nim się jednak odezwał, Zajda już wiedziała, że to nie Darek. Brakowało mu wgłębienia na brodzie. Oczy... one też były inne. Zamrugła, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak idiotka.

– Dobrze się czujesz? Ala prosiła, żebym cię przyprowadził...

Wzięła głęboki oddech, próbując zapanować nad mimiką.

– Taaak – powiedziała przeciągle – po prostu pomyliłam cię z kimś innym.

Podążyła za mężczyzną, który poprowadził ją do ogrodu pełnego drzewek owocowych. Przywitała się z dwiema koleżankami Alicji.

– Maćka już poznałaś – powiedziała Ala, obejmując męża w pasie. – Dagmary, mojej córki. chyba nie będzie. Wiesz, jak to jest z młodzieżą. Zawsze chodzą swoimi ścieżkami.

Maciek spojrzał zaskoczony na żonę.

– Gdzie poszła? Zabroniłem jej spać u koleżanek.

– Do Agaty, jej rodzice na pewno ich nie wypuszczą z domu, o to bądź spokojny.

Baśka odeszła kilka kroków, nie chcąc przeszkadzać w rozmowie. Postawiła piwo na stoliku. Nie pozostała długo w samotności, bo do rozmowy zagarnęły ją dwie koleżanki Ali z pracy, Klaudia i Martyna. Dopytywały Baśkę o sprawę Bestii spod Babiej Góry. Ala musiała im wszystko opowiedzieć, widocznie śledziła doniesienia w telewizji. Odpowiadając, Zajda kątem oka widziała, jak Alicja całuje namiętnie męża na pożegnanie.

– No i po mężu. Maciek poszedł na nockę.

– A gdzie pracuje? – zapytała Baśka.

– Na Wesołej, w kopalni.

Zajda przyłapała się na tym, że wyobraziła go sobie w górniczym hełmie, z twarzą umorusaną węglem.

– To pijemy, dziewczyny! – zawołała gospodyni i wyciągnęła w stronę Zajdy ozdobioną palemką szklanek z jakimś kolorowym alkoholem. – Opowiadaj, Baśka, jakie te chłopcy u was, w górach.

Świetnie się bawiła. Nie spodziewała się, bo prawie nie znała tych kobiet. Gdy wypily, zamieniły polszczyznę na śląską gadkę, a wtedy zrobiło się naprawdę zabawnie.

– Alech mu nazdała, aże słowa niy mōg pedzieć! – chwaliła się Klaudia, jak postawiła się szefowi w pracy. – Stōł, choby go wryło. I dōł mi yntlich<sup>16</sup> ta piyprzōnō podwyżka. A jō gupiō tyrałach na nia pōł roku.

– Wypijemy za to, dziołchy! – krzyknęła Martyna, wznosząc kieliszek.

Baśka nie mogła się na nią napatrzeć, bo była naprawdę piękna. Gdy przechylała lampkę wina, jej bransoletki zadzwoniły.

Tylko Ala prawie nie piła. Ciągle zerkała nerwowo na telefon. Baśka spojrzała na nią pytająco.

– Próbuje się do Dagmary dodzwonić. Nie odbiera, nie odpisuje na SMS-y. Pewnie wyszły jednak z domu. Denerwuję się.

– Rozumiem, ale nie popadaj w paranoję. Mówiłaś, że ona ma szesnaście lat.

Alicja potarła twarz.

– Jasne, tylko ty nie wiesz, co się u nas stało niedawno.

– Słyszałam.

Spojrzenia czterech kobiet spotkały się ze sobą. Gdzieś za płotem zaszczekał pies. Kilka posesji dalej było słyhać radiową listę przebojów, a między nimi trwała cisza – niewypowiedziany strach przed nieznanym niebezpieczeństwem.

– Może zadzwoń do rodziców tej Agaty.

– Dagmara będzie na mnie zła.

– No tak, ale przecież nie możesz się tak męczyć.

Klaudia i Martyna podeszły bliżej.

– Dziewczyny, nie psujemy imprezy, zróbcie sobie drinka. – Ala próbowała przykryć zdenerwowanie szerokim uśmiechem. – Na pewno gówniara zaraz się znajdzie.

Niepostrzeżenie zrobiło się ciemno. Martyna puściła muzykę przez głośnik bluetooth, podczas gdy Ala rozmawiała cicho przez telefon w kącie ogrodu. Baśka gawędziła z nowymi koleżankami. Całe szczęście, wolały opowiadać o sobie. Klaudia mieszkała na Kosztowach i miała dwie córki w wieku przedszkolnym. Martyna była singielką, niedawno rozstała się z narzeczoną.

Nagle dobiegł je głos Ali, coraz bardziej podniesiony i nerwowy. Pobrzmiwały w nim histeryczne nuty.

– Jak to jej nie było?! Przecież umawiały się z Agatą przez telefon. Sama słyszałam! Chcę z nią porozmawiać, dajcie mi ją do telefonu.

Alicja czekała chwilę, z całej siły przyciskając komórkę do policzka. Jej źrenice rozwarły się nagle, jakby w nadziei. Po chwili jednak spuściła wzrok i schowała telefon.

Baśka przyglądała się koleżance, czując niezrozumiałą ulgę. Głęboko w środku cieszyła się, że sama nie jest matką. Chyba nie była gotowa na problemy nastolatków. Swoją drogą, Ala musiała urodzić Dagmarę bardzo wcześnie.

– Jak możemy ci pomóc? Chcesz jej poszukać? – zaproponowała Zajda.

Ala usiadła zrezygnowana na krześle.

– Ma któraś papierosa? – zapytała.

– Przecież ty nie palisz – zrugła ją Klaudia.

– Ale teraz bym zapaliła.

Baśka przypomniała sobie o swoim małym papierosowym deputacie, który chowała w torbie. Wyciągnęła paczkę. Martyna spróbowała przerwać ciszę.

– Nie martw się, Ala, tak to jest z młodzieżą. Jesteś dla niej bardzo pobłażliwa.

Baśka skrzywiła się na ten docinek, zastanawiając się, jak można tak komentować czyjeś życie w trudnej sytuacji.

Alicja wpatrywała się w żar na końcu papierosa, który czerwonym blaskiem rozjaśniał jej twarz.

– Pierwszy raz mnie okłamała. Wmanewrowała w to swoją koleżankę. Miała ją kryć.

Wypity przez kobiety alkohol szybko wyparował, mieszając się z wonią jaśminu.

– Głupio wyszło, wreszcie się z wami umówiłam... – Spojrzała na Zajdę. – Specjalnie przysłaś, a ja muszę się zwijać i jej szukać.



Klaudia też musiała jechać do dzieci. Martyna jakoś się wykręciła. Po chwili Baśka wracała z Alą w kierunku Mikołowskiej.

– Pewnie myślisz, że przesadzam?

– Wcale nie. Nie mam dzieci, nie wiem, jak to jest.

Ala nagle przystanęła i spojrzała na nią poważnie.

– Wpadłam, jak miałam osiemnaście lat. Całe życie Dagmary starałam się ją wychować tak, żeby nie popełniła moich błędów. Chyba mi się nie udało, Baśka... – Przytuliła koleżankę spontanicznie. W ramionach Zajdy Ala wzięła ciężki oddech.

– Damy radę. Ona ma konto na Facebooku? – zapytała Baśka.

– Ma, ale nie chce mnie przyjąć do znajomych.

– Pokaż.

Ala wyszukała w aplikacji profil córki. Był częściowo ukryty, ale dało się zobaczyć kilka zdjęć. Baśka kliknęła w komentarze pod jednym z nich – niewyraźną fotografią z połową twarzy zakrytą czarnymi włosami. „Hot”, „Laseczka”, pisali rówieśnicy. Na profilu nie było żadnych świeżych zdjęć ani relacji mogących pomóc w zlokalizowaniu dziewczyny.

– Wiesz, gdzie zazwyczaj chodzi z koleżankami?

– Najczęściej do galerii handlowej albo na rolki. Wieczorami raczej jej nie puszczam, tylko do przyjaciółek. Ale dlaczego mnie oszukała, że śpi u Agaty? Ona coś zaplanowała.

– A spróbuj zadzwonić przez Messengera albo WhatsAppa.

– Już próbowałam, jest nieaktywna. Do jej dwóch innych koleżanek też dzwoniłam. Mówią, że nic nie wiedzą.

– To zadzwońmy przez komunikator do osób komentujących jej zdjęcia. Może są wśród nich jacyś nowi znajomi, których nie kojarzysz.

Dotarły do Mikołowskiej i usiadły na ławce. Ala zadzwoniła jeszcze na telefon stacjonarny w swoim mieszkaniu, żeby sprawdzić, czy córka czasem nie wróciła do domu. Nikt nie odebrał. Zaczęły wyszukiwać profile, które aktywnie komentowały zdjęcia Dagmary. Kilka z nich odpisało na jej wiadomość. Były zaskoczone. Żadna nie wiedziała, gdzie ani z kim może być Daga, jak ją nazywały.

Tymczasem nad Mysłowicami pojawił się księżyc w pełni. Ala była coraz bardziej roztrzęsiona. Wstała.

– Chodź, poszukajmy trochę na mieście. Może gdzieś siedzi, w jakimś ogródku piwnym, albo ktoś ją widział.

Szły w stronę Śródmieścia, zaglądając na wszystkie podwórka. Podbiegały do grupek młodych ludzi, którym Ala pokazywała ekran telefonu ze zdjęciem Dagmary. Młodzi kręcili głowami. Przeszły pod przejściem kolejowym i dalej na Bytomską. Na Rynku także spotkały grupki młodzieży. Baśka wzięła telefon od Ali i pokazała fotografię dziewczynom siedzącym w ogródku piwnym na Rynku.

– Widziałyście ją dzisiaj wieczorem?

– O, Daga! Co się odwała? – zapytała jedna z nich. Zaraz po wypowiedzeniu tych słów spojrzała na koleżanki i umilkła, zatapiając usta w piwie.

Zajda oddała komórkę Alicji i przykucnęła przy dziewczynie.

– To jest mama Dagi. – Wskazała stojącą z jej boku Alę. – Bardzo się martwi, bo Daga zniknęła, a miała być u koleżanki. Wiesz cokolwiek? Gdzie może być? Z kim ostatnio spędzała czas? Będziemy ci wdzięczne.

– Ja ją znam tylko z widzenia, ze szkoły. Nie widziałam jej dzisiaj.

Nikt nie miał ochoty im pomóc. Milczeli, patrząc tępo w telefony. Baśka podeszła do Ali, która wciąż wybierała numer córki.

– I co?

– Nic nie wiedzą.

Nagle ze stolika obok dobiegły je podniesione głosy:

– Karetki jadą pod kopalnię Mysłowice-Wesoła. Ja pierdolę. Mój stary jest na nocce.

Alicja cała zeszywniała. Zacisnęła dłoń na ramieniu Baśki.

– Maciek – powiedziała słabym głosem, dochodzącym jakby zza szyby.

.....

9 nie podłasz (śl.).

10 założę się (śl.).

11 pół litra (śl.).

12 ty sobie z nas nie żartuj (śl.).

13 tygodnia (śl.).

14 wystarczająco (śl.).

15 opiekę (śl.).

16 w końcu (śl.).

## ROZDZIAŁ 3

*Mysłowice, 29 czerwca 2021 roku*

**D**o mieszkania dotarła bladym świtem. Wiadomość o wypadku w kopalni rozeszła się lotem błyskawicy. Podano informację, że jest jedna ofiara śmiertelna. Półżywą z nerwów Alicję zaprowadziła do komendy przy Starokościelnej, by tam zgłosiła zaginięcie córki. Stamtąd samochodem zabrała ich sąsiadka Ali. Baškę podrzuciły do mieszkania, a same pojechały pod kopalnię czekać na Maćka, który kończył nocną zmianę. Właściwie chciała jechać z nimi, trzęsła się z nerwów. Czuła się, jakby to Darek był tam pod ziemią. Co za potworna historia. Zrobiła sobie herbatę i usiadła na łóżku, scrollując ekran telefonu. Szukała informacji o ofierze śmiertelnej. Miała nadzieję, że mąż Alicji wyjechał na powierzchnię z innymi górnikiemami. Wczorajszy wieczór miał być miłą odskocznią od codzienności, a zamienił się w jakiś koszmar. Pluła sobie w brodę: po co się tak zaangażowała? Koleżanki Alicji prysnęły, a ona nie była w stanie jej zostawić. Taka już jest. Położyła się na kanapie i przykryła kocem. Musiała chwilę odpocząć. Na dziś zaplanowała czyszczenie ścian i szlifowanie boazerii, którą zamierzała zaolejować.

Zamknęła oczy i zaraz przyszedł sen. Śniła, że jest pod ziemią w kopalni i idzie czarnym chodnikiem. Przed nią kroczy Darek. Widzi tylko

jego plecy. Jest duszno i gorąco, a ona dusi się pyłem. Kaszle, nie może stawiać kolejnych kroków. Woła go, aby na nią zaczekał, ale on nie słucha, idzie przed siebie. Zataczając się, Baśka próbuje podbiec, lecz nagle pojawia się przed nią dziura. Studnia bez dna, w którą spada i leci tak bez końca. Zatapia się w czeluście kopalni, wydaje się jej, że to spadanie trwa wiecznie.

Gdy się obudziła, w mieszkaniu panował nieznośny zaduch. Upał wlewał się przez szyby, które zapomniała zasłonić roletami. Po chwili się zorientowała, że ktoś puka do drzwi. Zwlekła się z kanapy i zerknęła przez wizjer. Po drugiej stronie stał jakiś młody chłopak.

– To ja, Dominik. Tata mnie przysłał do pomocy.

No tak, teraz go rozpoznała. Syn jej kuzyna był bardzo podobny do swojego ojca. Wpuściła go do środka.

– Co tam słyhać?

– Tata kazał mi przyjść i trochę pomóc.

– To naprawdę miłe – powiedziała, prowadząc go przez krótki przedpokój. – Nie zorientowałam się, że jest tak późno. – Było już po dwunastej. Nalała chłopakowi szklanek soku. – Nie mam czym cię poczęstować.

– Nie szkodzi, jadłem po drodze. To co mam robić? – zapytał, rozglądając się po sprzętach, które zebrała Zajda.

– Właściwie to nie mam pomysłu. Najlepiej, jakbyś mi pomógł z posegregowaniem rzeczy po cioci. Nie mogę ich przecież wyrzucić. Myślałam, że twój tata je zabierze.

– Wie ciocia, starzy trochę się kłóca.

Zagryzła wargę.

– Mama jest zła?

Dominik pokiwał głową. Miał włosy jak Marcin. Takiego go zapamiętała, gdy przyjeżdżał na wakacje do Zawoi.

– Dobra, to bierzmy się do roboty. Tu są kartony na rzeczy, które chcesz zostawić, a tu czarny worek na to, co z pewnością można wyrzucić.

Chłopak otworzył regał z książkami. Zaczął je przeglądać i pakować do pudełka. Baśka w tym czasie sięgnęła po telefon i wybrała numer Alicji. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa, więc zostawiła lakoniczną wiadomość.

– Czy słyszałeś coś o wczorajszym wypadku w kopalni? – zagadnęła chłopaka, pochłoniętego układaniem dokumentów.

– Tylko jedna ofiara, całe szczęście. Więcej nie wiem, ale wujek Alojz też był na nocnej zmianie, to coś może opowiedzieć.

– Często zdarzają się takie wypadki?

Zastanawiając się, chłopak przyłożył palec do ust jak jego ojciec.

– Co kilka lat.

Pracowali przez godzinę, aż uzbierał się wielki wór śmieci i zaledwie dwa pudełka pamiątek po cioci Ewie. Książki, zdjęcia, dokumenty. Baśka zdała sobie sprawę, jak żalosny dobytek zostałyby po niej, gdyby zmarła w tej chwili.

Dominik pomógł jej wynieść wór ze śmieciami, który okazał się zbyt ciężki dla jednej osoby. Gdy pozbyli się balastu, chłopak spojrzał w stronę parku Promenada.

– Znałeś ją?

Przez chwilę nie odpowiadał, jakby nieobecny.

– Kogo? – odezwał się.

– Tę dziewczynę, którą zamordowano w tym parku.

Zerknął na okna kamienicy.

– Z widzenia głównie. Jak odwiedzałem babcię, kręciła się tu zawsze. – Łypnął na wyświetlacz telefonu. – Muszę już lecieć, ciociu. Jak będziesz potrzebowała mojej pomocy, to dzwoń. Wyślę tu tatę, żeby zrobił coś z ubraniami babci. Głupio mi je tak po prostu wyrzucić.

– Rozumiem.

Wróciła na górę i znów wykręciła numer Alicji. Oparła czoło o futrynę okna, obserwując z góry, jak Dominik uruchamia elektryczną hulajnogę. W pewnym momencie zatrzymał się i popatrzył na kamienicę obok. Musiał rozpoznać tam kogoś znajomego. Baśka przykleiła twarz do okna, ale nie mogła dostrzec, na kogo patrzy chłopak. Otworzyła okno, lecz było za późno. Dominik właśnie odjeżdżał.

Alicja odebrała po pięciu sygnałach. Po drugiej stronie Zająca usłyszała zmieniony głos. Zupełnie jakby od ostatniej rozmowy z koleżanką nie minęło kilkanaście godzin, a dwadzieścia lat.

– Nie ma jej, Baśka. Nigdzie jej nie ma.

Usłyszała szloch i musiała poczekać długą chwilę, aż Ala się uspokoi.

– A twój mąż?

– Maćkowi nic nie jest.

Przerywany oddech Alicji mówił o jej stanie wszystko.

– Policja ją znajdzie. Nie martw się. Trzeba umieścić post ze zdjęciem w mediach społecznościowych.

– Już to zrobiłam. Nikt nic nie wie, Baśka. Żaden znajomy nie ma pojęcia, gdzie ona jest.

– Sprawdzaliście jej pokój, komputer? – Zająca szukała jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

– Tak. Nie wiem, gdzie jest moje dziecko. Gdzie jest Dagmara?

Baśka potarła mocno policzek. Czuła w karku sztywność, ostatnio coraz częściej.

– Ogarnę się chwilę i przyjadę, jak chcesz. Pomogę ci jej szukać.

Ala milczała. Tylko sapanie dochodzące z głośnika telefonu potwierdzało, że jeszcze się nie rozłączyła.

– Przyjechać? – powtórzyła Baśka. – Nie chcę się narzucać.

– Przyjedź. Pójdziemy jej szukać.

Zajda podłączyła telefon do ładowarki i poszła zrobić sobie kanapki na drogę. Nie wiadomo, ile to potrwa. Nauczyła się już w pracy, że trzeba być przygotowanym, by nie osłabnąć w kulminacyjnym momencie. Po trzech kwadransach była pod domem Ali. Drzwi do mieszkania otworzył jej Maciek.

– Ala chciała, żebym przyjechała – powiedziała, czując przymus wytłumaczenia się.

– Dobrze, że jesteś – odparł i poprowadził ją do dużego pokoju.

Na kanapie siedziało dwóch policjantów. Za aneksem kuchennym stała Alicja, nerwowo wycierając blat.

– Baśka – przywitała ją, rzucając ścierkę na stół. – To jest Barbara Zajda, ta policjantka od Bestii spod Babiej Góry – powiedziała gospodyni do funkcjonariuszy.

Zajda zrobiła odruchowo krok w tył. Wiedziała, co pomyślą sobie koledzy po fachu. Nikt nie lubił tego typu gwiazdorzona.

– Jestem tu zupełnie prywatnie, to moja znajoma – wytłumaczyła się, dotykając lekko rękawa Ali.

– Jak to? Liczymy, że nam pomożesz. – Alicja znów wpadała w histeryczne nuty.



– Oczywiście, że pomogę, po to tu jestem. Ale nie będę się wtrącać w pracę policji.

Policjanci w milczeniu przyglądali się całej scenie. Maciek podszedł do żony i położył jej rękę na ramieniu.

– Kochanie, może ty zostań z policją, a ja pojedę z Basią jej szukać. Znam takie miejsca, których ty nie znasz.

– Jakie miejsca?

– Czasem podwoziłem Dagmarę do różnych koleżanek czy na korki. Pokręcimy się tam.

Alicja zagryzła wargi z bezsilności.

– Jedźcie. Ale będę dzwonić co chwilę.

– Wiem – odparł Maciek i ruszył do wyjścia, zabierając po drodze butelkę wody mineralnej.

Baśka poszła za nim. Kiedy wsiadła do jego samochodu, Maciek spojrzał na nią smutno. Zdała sobie sprawę, że tylko grał spokojnego przed żoną. Tak naprawdę był przerażony. Dziwnie czuła się z nim w samochodzie. Miał twarz Darka, co sprawiało, że chociaż był obcy, budził w niej niezrozumiale silne emocje.

– Jedziemy w stronę Brzęczkowic. Ona tam często jeździła na korepetycje z angielskiego, a później do jakiejś koleżanki. Wracała autobusem.

– Kiedy była tam ostatnio?

Maciek namyślał się przez chwilę.

– Zdaje się, że dwa dni temu.

– Dzwoniłeś do tej korepetytorki?

– Nie odbiera, pewnie ciągle ma uczniów.

Mijali rzędy familoków, które lata świetności miały już dawno za sobą. Ceglane budynki z pomalowanymi gdzieniegdzie parapetami. Pomiędzy nimi wyrastały Biedronki i Lidle, które sprawiały, że Baśka zawsze traciła orientację, gdzie jest. Wszędzie to samo. Takie same wrzody zaburzające lokalną architekturę, która nawet jeśli byłaby najbrzydsza, to i tak miała swój charakter. Miejskie molochy dające ułudę tanich zakupów. Już ona знаła te tanie zakupy. Wchodziła po dwie rzeczy, a kończyła z rachunkiem na dwieście złotych.

Dalej jechali obok parku Słupna. Pamiętała, jak ciocia Ewa zabierała ją na to kąpielisko. Okoliczne budynki wydały jej się małe i biedne, ale równocześnie piękne. Zerknęła na Maćka. Nic nie mówił. Jego szeroka szczęka była zaciśnięta do granic możliwości. Zatrzymał się na parkingu przed wielkim blokiem i zgasił silnik. Spojrzał na Baškę z lękiem.

– Chcesz, żebym z tobą poszła?

Pokiwał lekko głową. Weszli do klatki i wjechali windą na piąte piętro. Maciek Śmiałek nacisnął przycisk dzwonka. Po chwili w drzwiach pokazała się głowa około pięćdziesięcioletniej kobiety.

– O, dzień dobry. Miałam dzwonić do państwa. – Spojrzała na Zajdę trochę zdezorientowana. – Raczej do pana żony. Proszę wejść.

Stali w ciasnym przedpokoju. Gospodyni już miała coś powiedzieć, gdy Maciek zalał ją falą pytań:

– Szukamy Dagmary od blisko doby. Czy wie pani, gdzie mogła pójść? Gdzie mieszka ta koleżanka, do której chodziła po korepetycjach? Co mówiła na ostatnich zajęciach?

Baśka Zajda odruchowo położyła mu rękę na ramieniu, chcąc zatrzymać ten słowotok. Oczy korepetytorki otwarły się szeroko. Kobieta kręciła głową z przejęciem.

– Panie Śmiałek, ale przecież... – Patrzyła na niego, przykładając dłoń do ust. – Pana córka trzy miesiące temu powiedziała, że rezygnujecie z korepetycji. Tłumaczyła, że was nie stać.

Ojciec Dagmary pobladł. Obrócił się do Zajdy, szukając w jej twarzy ratunku, wytłumaczenia.

– Co pani mówi...? Ja ją tu przywoziłem dwa razy w tygodniu, pod ten blok. Machała ręką i wchodziła do środka. Co pani opowiada?! – mówił coraz donośniej, łapiąc się obiema rękami za głowę. – Brała sześćdziesiąt złotych, książki i przychodziła tutaj.

– Przykro mi, panie Śmiałek, ale nie widziałam Dagmary od kwietnia.

– To dlaczego pani nie zadzwoniła?

Kobieta przyłożyła palec do ust.

– Właściwie to Dagmara wytłumaczyła, że pan stracił pracę i źle to znosi. Nie chciałam państwa krępować. Ale proszę powiedzieć, co się stało z córką. Jak długo jej nie ma?

– Od wczoraj. Miała iść do koleżanki, ale okazało się, że wcale tam nie poszła. Policja jej szuka.

– Ta dzisiejsza młodzież. – Korepetytorka pokręciła głową. – Proszę się tak nie martwić. Takie historie co chwilę się zdarzają. Jakbym się czegoś dowiedziała, to zadzwonię.

Po paru minutach zjeżdżali już windą w milczeniu. Maciek trzymał się mocno za nasadę nosa.

– Często jej się to zdarzało? – zapytała Zajda.

– Co? – odburknął.

– Okłamywać rodziców. Tym sposobem wyciągnęła od was ponad tysiąc złotych. Na co były jej potrzebne te pieniądze?

Maciek popatrzył na Baśkę nieprzytomnie, jakby nie rozumiał, o czym ona mówi. Gdy tylko stanęli przed blokiem, odezwał się jego telefon.

– Jest? – odebrał z napięciem, ale po usłyszeniu odpowiedzi znów się nachmurzył.

Żona musiała go zapytać, czego się dowiedział u korepetytorki, bo wahał się przez chwilę. Spojrzał pytająco na Zajdę, a ona pokręciła głową. Nie było sensu mówić jej tego przez telefon.

– Ona nic nie wie. Jedziemy dalej.

Maciek zamknął oczy i słuchał w milczeniu lamentu żony.

– Zostań w domu, musi ktoś tam być, jakby zadzwoniła na stacjonarny. Jadę z Basią, dzwoń.

Rozłączył się.

– To dokąd teraz? – zapytała Baśka.

– Nie mam pojęcia.

– Znasz w Mysłowicach jakieś młodzieżowe imprezownie? Ustronne, gdzie robią ogniska...

– Skąd mam wiedzieć? Nie chodzę po ogniskach z gówniarzami.

– No a jak byłeś młody, to gdzie chodziłeś?

Na jego czole pojawiła się pulsująca żyła.

– Nie wiem. Nie potrafię się skupić.

Zatrzasnął głośno drzwi samochodu. Zajda usiadła na siedzeniu pasażera.

– Nad Hubertus – odezwał się niespodziewanie.

– Słucham?

– Imprezowałem nad Hubertusem. To taki zalew. Chodziłem tam na imprezy.

– To jedziemy.

Wracali tą samą drogą i dalej przez miasto. Nie chcieli, żeby cokolwiek im umknęło. Wciąż wierzyli, że zauważą ją po drodze, wsadzą do samochodu i przywiozą do domu.

### **Zawoja, 12 marca 1912 roku**

**T**o był jeden z tych brzydkich dni, kiedy wydaje się, że wiosna nigdy nie zawita pod Babią Górę. Za oknami wciąż zalegał śnieg. Przyklejona do szyby Marylka marzyła o owocach z sadu, które będzie można jeść do woli. O borówkach zbieranych godzinami na Hali Śmietanowej. O smażonych z jajkiem grzybach. Latem las żywił biedaków takich jak ona. Matka natura karmiła ich własnymi darami. Zimą jednak zapominała o swoich dzieciach. Pozostawała im bieda i głód. I w taki dzień w Zawoi pojawił się przybysz z wielkiego miasta, a wieść o nim prędko się rozeszła.

Drzwi chałupy się otwarły i pokazała się w nich głowa Halinki.

– Pochwalony Jezus Chrystus! – przywitała się sąsiadka.

– Co ta, Haniu?

– Ty nic niy wiys? Agynt przyjechoł z Mysłowic, śwarny<sup>17</sup> toki. Zaproso do Hameryki. Pedzioł pono, ze hań<sup>18</sup> dutków<sup>19</sup> zarobimy, bedomy żyć jak pany.

– Kany<sup>20</sup> jechoć? – zadziwiła się Marylka.

– Chopy do Hameryki, a dziewczki to do Buenos Aires, na kucharki.

– A kany to Buenos Aires?

– Kasik hań ta Hameryka. Dyć tyz trza stotkiem płynoć.

Halinka podbiegła do koleżanki i złapała ją za ręce.

– Płyńmy, Marylka, gmełć<sup>21</sup> zarobimy, a tu ino bida. Ni mo dla nos ani roboty, ani chopa jakiego śwarnego, robotnego. Tamok pono słońce

zawzdy, a śniegu niy mo. Lato zawzdy jest.

Halinka wyciągnęła przed siebie kawałek papieru. Marylka rozłożyła go nabożnie na stole – obrazek przedstawiał palmę i plażę. Powyżej było napisane: „Stacja Emigracyjna w Myslowitz Max Weichmann”. Dalej coś drobnym drukiem, co Marylka odczytała z mozołem. Skończyła tylko dwie klasy i nadal szło jej opornie.

– Kiela to trza dutków na tyn bieleł? – dopytywała, coraz bardziej rozgorączkowana.

– Sto marek trza. Zolicki choć dwadzieścio w tym tyżniu<sup>22</sup> trza płocić.

Spojrzała na Halinkę i znów za okno, gdzie królowała Babia Góra. Okrutna to kapryśnica, przez którą ludziom tak ciężko tu było mieszkać. Nie wpuszczała ona wiosny przez długie tygodnie, kiedy mieszkańcy innych terenów cieszyli się już słońcem. Niepodzielnie rządziła w swej dolinie, wyznaczając góralom rytm życia. Pod jej dyktando żyli, obsiewali swoje małe, nieforemne poletka i zbierali mizerne plony. Marylka kochała ją i nienawidziła zarazem. Obrzuciła górę gniewnym spojrzeniem i pomyślała, że wcale nie będzie tęsknić za jej cieniem.

– Jo byk pojechała, Hanuś. Dyć roz kozie śmiyrć – powiedziała, spoglądając tęsknie na palmę na broszurze informacyjnej.

Ale sto marek to był majątek i Marylka nawet nie liczyła na zdobycie takich pieniędzy. Pożegnała się z Halinką i umówiła z nią na kolejny dzień. Tymczasem pobiegła do obory wydoić krowy. Usiadła na zydelku i ciągnąc za gorące wymiona krasuli, marzyła o Buenos Aires. Ciepłe mleko spływało jej po dłoniach, a ją rwało do plaży z broszury. Nigdy dotąd nie widziała plaży na oczy. Najdalej była z ojcem w Krakowie. Tak ją ten wielki świat pociągał, że poszłaby choćby zaraz. Eleganckie stroje, sukienki, mężczyźni pachnący wodą kolońską, a nie oborą. Widziała się tam oczami wyobraźni, jak przechadza się po miejskim trotuarze, trzymając

pod rękę eleganckiego dandysa. Jej mąż będzie nosił melonik albo cylinder, a pod szyją jedwabną chustę w kolorze szafirowym.

Pogłaskała krasulę po boku. Zwierzę było zawsze gorące, dlatego lubiła tu siedzieć w zimie. To była ich żywicielka. Matka gotowała w willi Józefówce, a ojciec był furmanem. Dwóch braci przyjeżdżało tylko na niedzielę z Zembrzyc, gdzie pracowali w garbarni. Marylka zajmowała się domem, polem i zwierzętami. Krowa, dwie świnie, koza, króliki, a także sporo ptactwa wymagały mnóstwa pracy. Obrządek zaczynał się o piątej rano. Czasem udało się jej upiec pyszne placki, które matka niosła do willi. Brała za to pieniądze i oddawała je córce. Marylka znana była z wypieków, toteż niekiedy kto bogatszy zamówił u niej placki na wesele. Ale teraz na przednówku wszyscy zaciskali pasa. Mięsa nie jadła już dawno, bo króliki trzymali na Wielkanoc. Część się sprzedawa, a jednego Marylka przygotowuje na uroczysty obiad. Choć mieli swój inwentarz, ojciec był skąpy. Bała się go, gdy wieczorami siadał z fajką i patrzył na nią złym wzrokiem. Zawsze był dla niej surowy. Niezadowolony z tego, że Marylka nie jest chłopakiem. Gdy bracia wyjechali za robotą do Zembrzyc, jego niechęć jeszcze urosła. Choćby się dwoiła i troiła, sprzątając, gotując i sadząc, nigdy nie był z niej zadowolony. Matuś to co innego. Chroniła ją, jak mogła, ale i ją dosięgły nieraz gniew i niezadowolenie męża.

Było już popołudnie, kiedy Marylka skończyła robotę i czekała z obiadem schowanym w szabaśniku<sup>23</sup>. Wyciągnęła sukienkę i zaczęła obszywać jej dół lamówką. Nie miała maszyny, więc radziła sobie igłą i nitką. Sukienka była inna niż te, które nosiły miejscowe dziewczyny. Podobną zobaczyła w Krakowie, na wystawie sklepowej. Równie piękne znalazła w gazecie kupionej od ulicznego chłopca. Były tam podobizny elegantek z opisem najmodniejszych krojów i materiałów. Tych jednak Marylka nie miała. Za pyszny sernik kupiła od pewnej kobiety trochę

muślinu, z którego zamierzała uszyć elementy przy dekolcie. Resztę przerobi ze starej maminej spódnicy. I tak Marylka, w tajemnicy przed rodziną, zaczęła tworzyć swoją kreację. Szyjąc, marzyła o wielkim świecie, który znała tylko z obrazków w gazetach przynoszonych przez matkę z willi.

Tak się zamarzyła, że nie poczuła przeciągu ani nie usłyszała skrzypienia drzwi. Dopiero trzask tłuczonego kubka wyrwał ją z innego świata.

– Kruca fuks – wychrypiał pijany ojciec. – A ty co zaś, głupio?

Toczył się w jej stronę, podczas gdy ona zwijała w popłochu swoją pracę. Wiedziała, że ojciec jest w stanie potargać sukienkę, gdy będzie miał zły humor.

– Juz ci, łociet, nakładom, siednij. – Skoczyła w stronę pieca.

Po chwili przed pijanym mężczyzną stał talerz pełny ziemniaków i kubek kwaśnego mleka. On jednak patrzył na nią prowokacyjnie. Chciał się kłócić, zawsze tak robił, gdy byli sami. Kiedy znów otworzyły się drzwi i w progu stanęli bracia, Marylka aż podskoczyła z radości.

– Józus, Antuś!

Przytulania nie było końca. Bracia uwielbiali młodszą siostrę. Józek, najstarszy, stanął nad ojcem i popatrzył na niego krzywo.

– A dyć łociet naprony? Cóz to?

Stary się zaśmiał, ocierając brudne ręce o spodnie.

– Naloli mi, to popiłek. Chopok sie urodził piekny we willi. Matko zaroz bedzie, to opowiy.

Usiedli, a Marylka uwijała się jak w ukropie, żeby obsłużyć wszystkich, niegotowa na tylu ludzi przy stole. Wróciła matka, zła na ojca, który ponoć narobił jej wstydu. Witaa synów, zadowolona z ich wcześniejszego powrotu. Jedli, rozmawiali i słuchali. W końcu matka zaczęła opowiadać,



o agencie, który sprzedaje karty pokładowe na podróż do Ameryki. Twarz Marylki zapłonęła z emocji.

– Kwaśni chco wszystka do tyj Hameryki. Bilyt pono sto marek. Oni juz hań majo wujka. Copke dutków tamok zarobił.

Marylka wstała od stołu i zaczęła zbierać kubki. Nagle obróciła się do domowników. Płynęły jej łzy.

– Co ci? Marylka? – zapytała matka z troską.

Dziewczyna gryzła wargę prawie do krwi, patrząc z lękiem i napięciem na ojca, który udawał, że jej nie widzi. Dopiero gdy wszyscy umilkli w oczekiwaniu na jego reakcję, podniósł wzrok na córkę.

– Cego krzyciys<sup>24</sup>?

– Jo tyz byk jechoła, łociet. Jo tyz kcom – zapłakała.

– Kany pojechoć? A cóz ty tamok bedzies robiła?

Spojrzała na braci i matkę, którzy czekali na rozwój sytuacji.

– Bedom piekła placki, wszystka moje placki kcom.

Ojciec zaśmiał się złośliwie, plując po stole.

– Cheba dupo tamok bedzies robiła!

Marylka czuła, że zastyga z żalu i rozczarowania. Staje się kamieniem. Odwróciła się na pięcie i rzuciła w stronę drzwi. Jednak w tej chwili Józek wstał i zagroził jej drogę.

– Pocekoj. Kiela biolet? – zapytał, patrząc wyzywająco na ojca.

Pochlipując, dziewczyna podniosła na niego oczy.

– Sto marek.

Józuś spojrzał na milczącego do tej pory Antka, który skinął do brata, rozumiejąc się z nim bez słów.

– My ci domy, Marylka, ino trza piyrwyj dobrze sie zwiedzieć, co by cie ta kto nie okantował...

Marylka rzuciła się mu na szyję. Zaczęła po kolei obcałowywać braci. Nagle ojciec wstał i uderzył pięścią w stół. Podskoczyły wszystkie naczynia.

– A jo co? Nic juz łociec do godania ni ma w tyj chałupie, ino bedzie gówniorzerka przewodziło?

Matka chwyciła go za rękę.

– Przeca ona juz dorosła, moze dobrze godo. – Spojrzała poważnie na córkę. – Samyj cie nie puscom.

– Halinka tyz jedzie.

– Pudomu ku tymu agentowi, niechze opowiy, jako ta robota, kiel trza dutków ze sobo broć – myślał głośno Antek.

Tego wieczora w izdebce pod Babią zapadła decyzja, że Marylka pojedzie za Wielką Wodę. Warunkiem było to, aby ktoś ze wsi także jechał, bo matka i ojciec córki samej nie puszcza.

### ***Mysłowice, 29 czerwca 2021 roku***

**B**yło już całkiem ciemno, gdy wjechali na Sosnowiecką. Usłyszeli z tyłu syrenę policyjną. Maciek zwolnił i zjechał na pobocze, ustępując miejsca dwóm radiowozom jadącym na sygnale, a zaraz za nimi karetce pogotowia. Odwrócił bladą twarz do Baśki i wyszeptał:

– Oni skręcają na kąpielisko, nad Hubertus.

Zajda chciała powiedzieć coś, co mogłoby go pocieszyć, lecz sama czuła strach ugniatający jej serce. Ruszyli powoli w tamtą stronę. Dojechali do zalewu, w którego tafli odbijały się światła reflektorów. Policjanci z latarkami tłoczyli się w odległości dwustu metrów od nich. Baśka

z Maćkiem wysiedli z samochodu. Spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że cały dygocze.

– Zaczekaj tu, Maciek, ja pójde zapytać, co tam się stało. To na pewno jakiś pijak.

Jego szeroko otwarte usta nie wydały żadnego dźwięku. Stał tak w stuporze, sparaliżowany strachem. Baśka zaczęła powoli iść w stronę funkcjonariuszy. Gdy była już blisko, usłyszała podniesione głosy mężczyzn.

– Ona nie będzie jeszcze miała osiemnastki – stwierdził jeden z nich z przejęciem w głosie.

Zajda przystanąła. Serce biło jej coraz mocniej. A jeśli to będzie ona? Dagmara. Co zrobi? Obróciła się w stronę miejsca, gdzie zostawiła Maćka, ale nie dostrzegła go tam. Szła dalej, aż zatrzymał ją jeden z policjantów. Zmierzył Zajdę wzrokiem, jakby nie wiedząc, czy ją przegonić, czy spisać.

– Co pani tu robi? Musi pani stąd odejść.

– Szukam córki znajomej. Dagmary Śmiałek. Zaginęła wczoraj, jej matka zgłosiła to na komisariacie.

– Nazwisko? – zapytał głośno funkcjonariusz, chcąc zwrócić uwagę pozostałych policjantów.

– Starsza aspirant Barbara Zajda, Komenda Powiatowa Policji w Suchej Beskidzkiej.

Słowa Zajdy sprawiły, że mężczyzna stał skonsternowany.

– Mamy tu ciało dziewczyny, około szesnastu lat, długie włosy – powiedział cicho.

Baśka jęknęła. Spojrzała w górę, starając się złapać oddech. Potężny księżyc rozjaśniał mrok, widoczność była tej nocy wyjątkowo dobra.

– Jest ze mną ojciec poszukiwanej dziewczyny – rzekła przez zaciśnięte gardło. – Czy może zidentyfikować zwłoki?

Policjant zwięził powieki, wpatrując się w Zajdę.

– Nie wiem, muszę to skonsultować, proszę tu poczekać.

Ruszył w stronę kolegów, gdy nagle usłyszała jakieś poruszenie w miejscu, gdzie miały leżeć zwłoki. Męski krzyk – uznała, że to musi być Maciek. Pobiegła w tamtą stronę, jej towarzysz leżał powalony z twarzą zanurzoną w gęstej trawie.

– Proszę go zostawić. To może być ojciec – wyrwało jej się z gardła.

Wszyscy zamilkli. Przysadzisty policjant przypierający Maćka Śmiałka kolanem zwolnił powoli nacisk. Po chwili mężczyzna został podniesiony na nogi.

– Dokumenty proszę. Pana i pani – odezwał się jeden z funkcjonariuszy, najprawdopodobniej wyższy stopniem.

Zajda sięgnęła do torby po dowód osobisty. Maćkowi zajęło chwilę ogarnięcie się w sytuacji. W końcu Baśka wyłuskała z jego kieszeni portfel i wyciągnęła z niego dowód.

Policjant długo przyglądał się danym osobowym, podczas gdy oni próbowali coś dostrzec zza grupy pochyłonych mężczyzn. Dopiero po telefonie do komendy i upewnieniu się, czy rzeczywiście było zgłoszenie zaginięcia dziewczyny, dowódca grupy oddał im dowody i odezwał się po ludzku.

– Państwo wybaczą, procedury. Nie mogę dopuścić tu nikogo niepowołanego. Czekamy na prokuratora, on zadecyduje, czy będzie pan mógł na miejscu zobaczyć zwłoki.

Maciek zgiął się wpół. Zajda spojrzała z wyrzutem na funkcjonariusza.

– To nieludzkie. Niech pan chociaż porówna zdjęcie zaginionej z tą dziewczyną tutaj.

– Już to zrobiliśmy.

Śmiałek podniósł oczy na mężczyznę, czekając razem z Zajdą na wyrok. Policjant jednak milczał.

– No powiedz pan wreszcie. To ona?

– Proszę wybaczyć. Teraz wszystkie dziewczyny wyglądają podobnie. Nie możemy tego stwierdzić... O, idzie już prokurator. Resztę pytań proszę kierować do niego.

Prokuratorem okazał się mężczyzna w średnim wieku, o wyglądzie dalekim od wyobrażeń o tej profesji. Nosił długie włosy spięte w kucyk. Owszem, był ubrany w marynarkę i długie spodnie, ale wyglądał, jakby zmierzał właśnie autostopem na Woodstock.

Policjant zaraportował dotychczasowe ustalenia i oddalił się z ulgą.

– Prokurator Aleksander Lis – przedstawił się uprzejmie nowo przybyły. – Rozumiem, że sytuacja jest dla państwa wyjątkowo trudna. Najpierw muszę jednak dokonać oględzin, a technicy zabezpieczą ślady. Dopiero wtedy będą państwo mogli podejść do ofiary.

Zajda szczęknęła zębami.

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale są teraz różne możliwości. Proszę zrobić zdjęcie, chociażby telefonem, i niezwłocznie pokazać panu Śmiałkowi. Przecież on zaraz zwariuje. – Wskazała Maćka, który oparty o drzewo z trudem łapał powietrze. – Inaczej zgłoszę zażalenie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ktoś obserwujący ich z daleka mógłby pomyśleć, że zaraz wyznają sobie miłość. Księżyc w pełni oświecał jasno ich twarze.

– Dobrze – odparł kwaśno Aleksander Lis – ale tylko w drodze wyjątku, ze względu na stan pana.

Oddalił się w stronę ciała, a policjanci rozstąpili się, robiąc mu miejsce. Dopiero wtedy Baśka z Maćkiem zobaczyli długie czarne włosy rozłożone na paprociach. Tafla zalewu poruszyła się niespokojnie. Atmosfera była

gęsta. Zajda miała wrażenie, że z wody wyłoni się zaraz potwór. Zdała sobie sprawę, że niedawno była Noc Kupały, słowiańskie święto miłości związane z letnim przesileniem Słońca. Dopiero teraz nad wodą dostrzegła pozostałości po ognisku. W palenisku tlił się jeszcze żar. Chwyciła za rękę Maćka, który spojrzał na nią jak skazaniec na kata w oczekiwaniu na wyrok. Stali tak bez ruchu i życia, czekając na prokuratora, który jak na złość chodził długo przy ciele dziewczyny. Zajda modliła się w duchu, żeby to nie była Dagmara. Miała jednak świadomość, że kimkolwiek jest ta młoda kobieta, ktoś ją zamordował.

Prokurator Aleksander Lis najbardziej w swojej pracy nie lubił kontaktu z ludźmi. Gdy zobaczył na brzegu zalewu kobietę z mężczyzną o przerażonym spojrzeniu, zrozumiał, że to nie będzie łatwa sprawa. Sama rozmowa z nimi wybiła go z rytmu. Ale gdy podszedł do ciała dziewczyny, doznał czegoś w rodzaju koszmarnego *déjà vu*. Długie czarne włosy denatki kładące się na paprociach niczym obrus. Nie zapomniał jeszcze widoku sprzed kilku miesięcy. Wciąż nie zamknęli sprawy Justyny Wieczorek. Wyglądała niemal identycznie jak ta tutaj. Stał chwilę jak sparaliżowany, nie mogąc się przemóc, aby pochylić się nad ciałem. Wiedział, że na niego patrzą. Zamknął na moment powieki i przykucnął. Jej twarz była biała, jak w upiornym horrorze. Czarne włosy wciąż lśniły. Właściwie nie miała obrażeń. Tylko odbity ślad dłoni na twarzy, znaczący białą skórę czerwonymi wybroczynami. Nie był w stanie stwierdzić innych zmian. Jej oczy były szeroko otwarte, lekko podbiegnięte krwią.

– Dajcie więcej światła! – krzyknął do techników.

Stojący obok podkomisarz, znienawidzony przez niego Marek Bogacz, kiwał głową jak chińska zabawka.

– Co pan myśli? – odezwał się Lis, nie mogąc znieść ciszy.

– Nie ma śladów gwałtu, ubranie właściwie nienaruszone. Przynajmniej spodnie, bluza jest trochę potarmoszona.

– Coś znaleźliście?

– Pełno tu fantów. Musiała być jakaś impreza nad wodą. Codziennie przewija się tu wiele osób.

– Wygląda mi to na uduszenie. Ktoś musiał zatkać jej usta i nos. Proszę spojrzeć na ślad dłoni. Skurwiel musi mieć wielkie łapy. Objęły pół twarzy.

Policjant przykucnął i przyjrzał się śladom.

– Rzeczywiście, duża dłoń – skwitował.

Prokurator cmoknął z niezadowoleniem.

– Pamięta pan tamtą? Ze stawu na Promenadzie? – zapytał podkomisarz.

– Aha.

– Podobna, co?

– No podobna – odparł Lis z nieumiejętnie skrywaną niechęcią.

Aleksander Lis wyciągnął komórkę i zrobił zdjęcie jej twarzy. Miał opory. Skóra nie była drastycznie naruszona, jednak dla rodzica może to być koszmarny widok. Spojrzał w stronę dwójki, która czekała kilkadziesiąt metrów dalej. Z twarzy mężczyzny opartego o pień drzewa odpłynęła krew. W księżycowym blasku wyglądał jak żywy trup.

– Ode mnie to już wszystko. Zaraz będzie lekarz. Niech technicy robią swoje. Pogoda się zmienia.

Komisarz uniósł głowę. Korony drzew, które obrastały zalew, poruszyły się gwałtownie. Gdzieś z daleka doszedł do ich uszu ponury pomruk burzy. Zza chmur wciąż było widać księżyc. Lis szedł w stronę Baški i Maćka z wyciągniętym telefonem. Pokaże im zdjęcie tylko na chwilę, żeby nie musieli czekać w takim napięciu, aż technicy skończą robotę.

## **Zawoja, 13 marca 1912 roku**

**T**o, co ustalono w izdebce pod Babią Górą, nie było jeszcze pewne. Matka udała się w tej sprawie do baby<sup>25</sup>, ale nic istotnego od niej nie usłyszała. Poszła więc się pomodlić do kaplicy. Następnego dnia wybrali się do Kwaśnych na spotkanie z agentem. Gdy weszli do izby, Marylka znieruchomiała. Agent, o którym mówiła cała wieś, okazał się szykownym mężczyzną w kraciastej marynarce, z jedwabną chustką pod szyją. Miał śniadą karnację, czarne włosy misternie ułożone na brylantynie, cienki wąsik i szpicbródkę. Był piękniejszy niż dandys z fantazji Marylki, która oblała się nagle rumieńcem wstydu. Ubrała się w zwykłą spódnicę i bluzkę po matce, bo jej własne stroje napinały się na coraz większych piersiach. Nakryła się szczelniej brązową chustą i schowała za ludźmi tłoczącymi się pod ścianami. Najbliżej mężczyzny, wokół którego wszyscy się zebrali, usadowiła się Halinka z matką. Koleżanka ubrana była paradnie, jak na odpust. Nawet korale założyła.

– Szanowni państwo, nazywam się Samuel Majerczyk, jestem agentem emigracyjnym Stacyi Emigracyjnej Maxa Weichmanna. Przez naszą stację za Wielką Wodę wyemigrowało już blisko milion ludzi. Zapewniamy szybką, komfortową i bezpieczną podróż do Ameryki i Argentyny.

W izbie można było słyszeć pomruk.

– Kiela w tyj Hameryce można zarobić? – spytał zaczepnie Franek Stanaszek.

– To, myślę, już państwo wiedzą, bo kilka rodzin stąd wyjechało i pieniądze posyłają, słyszałem.

Zapadła cisza – cała wieś faktycznie wiedziała. Trzy lata temu u Mancarczyków wyjechali za granicę ojciec i dwóch synów. Przysyłali mnóstwo pieniędzy, za które matka z córką wynajęły cieślę.



Wystawiły piękny dom. Na co dzień chodziły w koralach i kwiecistych chustkach. Marylka szczerze im tego zazdrościła. Z rodziny Gąsieniców za pracę wyjechali wszyscy. Wysyłali babci pieniądze, za które ona opłacała parobka i dziewczynę do pomocy. Wszyscy zazdrościli starej Gąsienicowej.

– Kto z państwa ma odwagę odmienić swój los? Tylko do jutra cena biletu podlega bonifikacie! Jedynie dziewięćdziesiąt marek! Zaliczkę w wysokości dwudziestu marek należy wpłacić do jutrzejszego wieczora.

W izbie słyhać było poruszenie. Twarze podbabiogórców płonęły z emocji. Młodzi mężczyźni zaczęli popychać się łokciami.

– Jedźże ty, copke dutków bedzies miół – dodawali sobie odwagi.

Halinka wstała. Wyglądała pięknie, z warkoczem grubym jak koński ogon.

– A co z dziewczkami? Kany dla nos bedzie robota, dyć do Hameryki pono ino parobków bierom.

– Dla dziewcząt jest praca w Buenos Aires. Słonecznym mieście w Argentynie, gdzie potrzeba pań do kuchni, zwłaszcza tak pracowitych jak miejscowe kobiety – tłumaczył elegant gładkimi słowami.

Marylka chłoneła każdy wyraz. Z otwartymi szeroko ustami, wpatrzona jak w obraz Najświętszej Paniienki, traciła z minuty na minutę trzeźwe myślenie. Jeszcze nigdy nie widziała takiego mężczyzny. Jaki on był inny od Józka, Antka, Janka i Kazka. Od wszystkich chłopów, których do tej pory spotkała. Nie zauważyła przez to, jak Jędrrek Kwaśny, syn gospodarzy, pożera ją wzrokiem. Przez całe spotkanie nie spuszczał z niej oka. Kolejny kwadrans Samuel Majerczyk tłumaczył, jak wyglądają procedury przed wyjazdem. Badanie lekarskie, kwarantanna w barakach i podróż pociągiem do Hamburga. Ale tego już Marylka nie słyszała. Ona płynęła w marzeniach na pokładzie transatlantyku, który widziała w gazecie. Zajadając szarlotkę, obserwowała morskie ptaki. Właściwie nigdy nie

widziała morskich ptaków, ale w wyobraźni wszystko jest przecież inne. Nawet jej skromny tobołek zamieniał się w zdobiony skórzany kufer, chustka na głowie w kapelusz z dużym rondem, a ona sama nie gadała już jak dziewczka spod Babiej Góry, lecz wypowiadała się gładkimi zwrotami niczym Samuel Majerczyk. Wszystko będzie inne, lepsze, piękniejsze.

– Marylka, kruca fuks, obudzis się... – Wołanie matki dobiegało jakby gdzieś z daleka i mieszało się w jej marzeniach z piskami mew.

Gdy dziewczyna wróciła do rzeczywistości, okazało się, że większość osób już wyszła. W izbie zostali Halinka, ojciec, pani Kwaśna z synem, jakaś kobieta i Majerczyk. Halinka podbiegła do Marylki.

– Józus mi godał! – Uścisnęła ją z całej siły. – Poć się zapisać. Trza zolicko dać.

Gdy Marylka podeszła do Samuela Majerczyka, czuła dreszcze przebiegające po plecach. Tak bardzo pragnęła odezwać się do niego z elegancką manierą, jak miastowa, lecz ku jej niepokieszeniu z ust wyrwało jej się:

– Kcom zolicko dać.

Agent uniósł na nią wzrok, a dziewczyna dałaby sobie rękę uciąć, że zobaczyła w nim jakąś iskrę. Zmierzył ją od stóp do głów, zawiesił wzrok na wydatnym biuście. Widząc zuchwałę zachowanie mężczyzny, wpatrujący się cały czas w Marylkę Jędrak Kwaśny zrobił krok w ich stronę. I pewnie by dał w mordę Majerczykowi, gdyby nie jego matka, która zacisnęła mu paznokcie na ramieniu.

– Moje uszanowanie szanownej pannie. – Majerczyk wstał i ujął dłonie Marylki Siwiec. Złożył na nich pocałunek, patrząc na nią w taki sposób, że nogi się pod nią ugięły. – Czyli panna także się z nami wybiera. Wielki to zaszczyt dla naszej stacy – zwrócił się do matki Marylki. – Razem z córką pojedzie panna Halinka i pani Kowal z sąsiedniej wsi, zapewne się znacie.

Matka Marylki spojrzała na kobietę, którą jej przedstawiono. Pani Kowal podeszła do niej.

– Pani się nie martwi, ja się córką zaopiekuję.

Siwcową przyglądała się jej, zupełnie nie mogąc przypomnieć sobie twarzy.

– Kany pani mieszko? Jakosik nie po naszymu godo – zapytała w końcu matka.

– W Jabłonce, od dziecka służyłam u państwa i mnie całkiem naszej godki oduczyli.

– Cego wyjezdzo?

– Owdowiałam rok temu, mam trzydzieści pięć lat, dzieci nie mam, rodziny też nie. Pomyślałam, że może spróbuję. – Pani Kowal przybliżyła się o krok i zapytała ciszej: – Może macie państwo kąt do wynajęcia? Nie opłaca mi się już wracać do wyjazdu.

Marylka ścisnęła matkę za ramię i patrzyła na nią proszącym wzrokiem.

– Cosik sie ta znojdzie.

Kobieta uśmiechnęła się do dziewczyny.

– To będzie okazja pannie wszystko wyopowiadać i gazety poczytać z Argentyny.

Marylka aż podskoczyła z radości. I tak do wieczora w izdebce pod Babią Górą cała rodzina zachwycała się obrazami z gazety, którą przyniosła Kowalowa. Tylko ojciec siedział jak zawsze za piecem z fajką, patrząc ponuro przez okno na kapryśnicę.

***Mysłowice, 29 czerwca 2021 roku***

**C**zas wydawał się z gumy, jak w *Matrixie*, w którym Neo zatrzymywał kule, sprawiając, że wirowały w powietrzu. Baśka Zajda patrzyła na twarz prokuratora Aleksandra Lisa, który stawiał kolejne niespieszne kroki. Na Boga, niech on wreszcie pokaże im to zdjęcie! Maciek Śmiałek się zachwiał i zbliżył się do Lisa, który wyciągnął przed siebie telefon.

– Proszę rozjaśnić ekran, nic nie widać – poleciła Zajda.

Niemal słyszała dudnienie w piersi Maćka. Jego twarz była napięta, żylasta i lśniąca od potu. Nachylił się nad telefonem. W jego gałkach ocznych odbił się obraz martwej dziewczyny. Zimne światło wyświetlacza sprawiało, że wyglądał zupełnie surrealistycznie. Był teraz podobny do nieżyjącego Darka bardziej niż kiedykolwiek. Czekwała na jego reakcję, ale on zamarł, patrząc na fotografię. Dopiero po dłuższej chwili zakrył ramieniem twarz, usiadł na mokrej trawie i zaniósł się płaczem. Baśka była wstrząśnięta. Do końca miała nadzieję, że to nie Dagmara. Obca śmierć pozostawała zawsze obca. Ostrożnie zabrała mu z dłoni telefon prokuratora i spojrzała na zdjęcie. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy w twarzy zabitej dziewczyny, to kontrast pomiędzy białą skórą a odbitym na niej śladem dłoni. Przyglądała się jej chwilę.

– Mogę prosić telefon? – zapytał cicho prokurator.

Podala mu go i obróciła się do Maćka. Położyła mu dłoń na plecach.

– Panie Śmiałek – zaczął Lis – muszę to usłyszeć wprost. Czy dziewczyna na zdjęciu to pańska córka, Dagmara Śmiałek?

Słowa pozostały bez odpowiedzi. Maciek Śmiałek wstał gwałtownie, obrócił się i zaczął biec w przeciwnym kierunku.

– Maciek, a ty dokąd? – Baśka pobiegła za nim.

Z tyłu stał skonsternowany prokurator, który zawołał jeszcze raz doniośle:

– Czy to pańska córka?! Proszę odpowiedzieć, bo będę musiał tu pana sprowadzić siłą!

Maciek zatrzymał się nagle i odwrócił do niego. Światło księżyca oświetliło jego twarz, tak bardzo zmienioną, że Zajda nigdy nie poznałaby go na ulicy.

– Nie! To nie ona! To nie Dagmara! Szukajcie jej, bo tej tu już nikt nie pomoże!

Baśka Zajda dogoniła go i złapała za rękę.

– Jesteś pewny?

– Tak, kurwa, jestem pewny. To nie moje dziecko!

Spontanicznie rzuciła mu się na szyję. Był cały spocony, trząśł się, ale i tak wstąpiły w niego nowe siły. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuł, stojąc tam i czekając na wyrok.

– Idę jej szukać.

– Gdzie?

– Nie wiem, nad Przemszę, pod mosty. Wszędzie. Ona musi gdzieś być.

W tej chwili rozdzwonił się telefon. Maciek wyciągnął go szybko. Mokre od potu palce walczyły ze śliską taflą wyświetlacza, próbując gorączkowo odebrać połączenie od żony. Wreszcie się udało. Baśka nadstawiła uszu.

– Masz ją? – zapytał bez jakichkolwiek wstępów.

– Nie. A ty coś wiesz? Gdzie jesteście?

– Nie ma jej. Szukamy nad Hubertusem.

– Nad Hubertusem. Czy ja słyszę karetkę? Co tam się dzieje, Maciek? – Ala była coraz bardziej zdenerwowana.

– Wszystko jest w porządku – odezwała się Baśka. – Opowiemy ci, jak wrócimy.

Rozłączył się.

– To nie ma sensu, Maciek. Wróć do domu, odpocznij. Trzeba się zastanowić, co robić dalej. Sprawdzimy komentarze ludzi pod postem o zaginięciu Dagmary. Powinniśmy przeanalizować każdy wpis.

– Nie dam rady wrócić do domu. Ty idź do Ali, a ja będę szukał.

– Popatrz, w jakim jesteś stanie. Odpoczniesz chwilę, trzeba opowiedzieć Ali, co tu się stało, bo i tak się dowie z internetu i padnie na zawał.

Powoli się poddawał. Usiedli w końcu w samochodzie i jechali w milczeniu. Skręciła w ulicę Świerczyny i zwolniła, przypatrując się temu, co zostało z kopalni Mysłowice. Budynki z czerwonej cegły, szyb i królujący nad wszystkim komin były skąpane w świetle pełni. Obraz trochę jak z bajki, trochę jak z horroru. Ulica świeciła zabitymi witrynami nieczynnych sklepów i barów, które umierały w agonii wraz z kopalnią. Gdy dojechali do mieszkania, Ala stała już w drzwiach, ściskając w ręce telefon. Płakała bezgłośnie.

– Błagam was, powiedzcie mi, że to nie ona jest nad Hubertusem.

– Nie, to nie Dagmara – odparła Zajda szybko, nie mogąc znieść tej sytuacji.

Maciek i Ala padli sobie w ramiona i zanieśli się płaczem. Zajda była tam jak piąte koło u wozu. W końcu wyminęła ich i poszła do kuchni zrobić herbatę. Ściany mieszkania były pełne rodzinnych zdjęć. Mała Dagmara siedzi na barana u ojca, na kolejnym kąpie się w morzu. Baśce zdawało się, że to Ustka. Każda kolejna fotografia była historią ich rodzinnego szczęścia.

Pudełko z herbatą leżało na blacie w kuchni. Podczas gdy Baśka zalewała kubki wrzątkiem, Alicja z mężem usiedli przy stole. Postawiła przed nimi parujący płyn i także usiadła.

– Opowiadajcie. Jak to wyglądało, co to za dziewczyna? – zaczęła Alicja.

Maciek i Baśka spojrzeli po sobie i oboje jak na komendę przytknęli usta do herbaty.

– Co? Dlaczego nic nie mówicie? – Gospodyni wstała i zaczęła chodzić nerwowo po kuchni. – Mów, Maciek, i tak się wszystkiego dowiem z internetu. Już ludzie zdjęcia wrzucają.

Patrzył na swoje ręce. Za paznokciami, jak u każdego górnika, wciąż tkwił czarny pył.

– Dlaczego milczysz? Powiedz coś wreszcie! Baśka, co tam się stało?

Zajda upiła łyk herbaty.

– Szukaliśmy Dagmary. – Słowa były ciężkie, miała wrażenie, że wypływa je jak ropną plwocinę. – Zapytałam Maćka, gdzie tu się chodzi na imprezy. Powiedział o kąpielisku Hubertus. Gdy dojeżdżaliśmy, wyminęły nas radiowozy. Na miejscu okazało się, że znaleziono tam ciało dziewczyny. Maciek to strasznie przeżył. Czekaliśmy dość długo, żeby prokurator pokazał nam zdjęcie twarzy do identyfikacji. To nie była ona.

Maciek podniósł wzrok na swoją żonę. Wpatrywali się w siebie przez chwilę.

– Ona... ta dziewczyna ze zdjęcia wyglądała tak podobnie do Dagmary. – Głos mu drżał.

Alicja przywarła do męża i ponownie zapłakali, a Zajdzie pozostało tylko przyglądać się im z boku. Sięgnęła po telefon i otworzyła post o zaginięciu Dagmary. Ze zdjęcia spoglądała na nią piękna dziewczyna o czarnych włosach i jasnej cerze. Wpis miał już dwa tysiące udostępnień i równie dużo komentarzy. Zajda podeszła do otwartego okna, wyciągnęła z torby papierosa, zapaliła i zaczęła czytać komentarze.

„Udostępniam, szkoda dziewczyny”, „Zwiała i tyle xD”, „Gówniara się pewnie bawi, a starzy szaleją ze strachu”, „Niezła foka, sam bym z nią uciekł!”, „Oby się znalazła cała i zdrowa”, „Jprdl nie można już nawet iść na impre bo od razu halo w necie”.

– Baśka, co robimy? – Ala stała za nią, zaglądając przez ramię na jej telefon.

– Czytam komentarze. – Odwróciła się do Alicji, której twarz była cała opuchnięta od płaczu. – Nie chcę, żebyście tam zaglądali z Maćkiem. Będę to robić kilka razy dziennie, ale wy sobie darujcie. Ludzie piszą takie głupoty i tyle w nich jadu, że tylko się dobijecie.

Alicja się skrzywiła, a Baśka zrozumiała, że jej przyjaciółka już to robiła.

– Policjant powiedział, że jej telefon jest nieaktywny od dnia zaginięcia. Penetrują teren wokół jej szkoły i osiedla po tej stronie torów. Jutro powiedzą, czy monitoring miejski coś złapał. Tyle wiem. Ja zwariuję, Basia.

Zajda zgasiła papierosa o podstawkę doniczki.

– Ona się znajdzie. Musimy się spotkać z jej koleżankami. Na pewno wiedzą, z kim się ostatnio spotykała.

– Znam jej wszystkich znajomych, nie miałyśmy przed sobą tajemnic...

Baśka popatrzyła na nią smutno.

– Rodzicom zawsze się tak wydaje. Ty wszystko mówiłaś swojej mamie?

Maciek odezwał się z drugiego kąta pomieszczenia:

– Ona ma rację. Wiem od jej korepetytorki, że Dagmara nie przychodziła do niej od kwietnia. Powiedziała, że mamy kłopoty finansowe. Zabierała ode mnie pieniądze i wchodziła do bloku. Musiała tam czekać za każdym razem, aż odjadę. Na co jej była ta kasa?



Baśka i Alicja rozmawiały jeszcze długo w oczekiwaniu, aż Maciek wydrukuje ogłoszenia o zaginięciu. Miarowe rżenie starego canona działało na policjantkę usypiająco.

Gdy wyszła, otuliła ją myśłowicka mgła. Zaparkowała na Powstańców. Wchodząc po schodkach do kamienicy, zatrzymała się w pół kroku. Od strony parku Promenada dobiegały dziwne odgłosy. Coś jakby jęki. Przeszedł ją dziwny dreszcz. To konary starych drzew uginały się pod wpływem wiatru. Wspinała się do mieszkania. Czuła się obco. Strach pełzył jej po plecach. Sama nie wiedziała dlaczego, ale czuła czyjaś obecność.

### ***Zawoja, Kraków, 22 marca 1912 roku***

**O**d kiedy Antonina Kowal zawitała w izdebce pod Babią Górą, dni wypełniało nowe światło. Pomagała Marylce w gotowaniu i pracach domowych. Rano dziewczyna nie mogła się doczekać, kiedy rodzice wyjdą do pracy. Gdy tylko znikali za zakrętem, wyciągała sukienkę, którą wykańczały razem z panią Kowalową. Ale co to była za sukienka! Okazało się, że kobieta miała w torbie przeróżne materiały i tasiemki, dzięki którym kreacja zyskała kunsztowne wykończenie. Kobieta nauczyła także dziewczynę gotowania całkiem nowych potraw. Na jedną kolację nie podały rodzicom jak zawsze ziemniaków z kwaśnym mlekiem – były kluski na parze i sos koperkowy z jajkiem. Także gospodarze cieszyli się z nowej lokatorki, bo przestali się obawiać, czy córka poradzi sobie w zamorskiej podróży. Dzień wyjazdu zbliżał się bardzo szybko, a dziewczyna przebierała nogami, nie mogąc się doczekać przygody. Każdego dnia dokładała coś do swojego tobołka na podróż. Któregoś razu matka przyniosła z willi starą torbę, którą pani dała Marylce na drogę w zamian za

dwa kołaczki. Dziewczyna podskakiwała i paradowała z torbą, udając miastową elegantkę.

– Kany ty bedzies tak chodziło? Do roboty jedziys – próbowała ją uspokoić matka. – Pojadycie z Kwaśny, syćko my obgodali. Tera, Marylka, trza ku kaplicy, pomodlić sie.

Po modlitwach matka wyciągnęła ze swojego kufra najpiękniejszą chustkę, jaką miała. Włożyła ją na głowę córki i zrobiła jej na czole znak krzyża. Wzruszona Marylka padła rodzicielce do kolan.

Żegnała ją cała rodzina i sąsiedzi. Nawet ojciec, przeciwny pomysłem córki, w dzień wyjazdu wyszedł z chałupy i ją pobłogosławił. Droga do Krakowa, choć męcząca, była pełna emocji. Jechała furmanką z Józiem, Halinką i panią Kowalową, zaraz za wozem Kwaśnych. Na wysokości Wadowic wjechali na trakt środkowogalicyjski, a później zbieżyli do Krakowa. Gdy stanęli wreszcie przed Dworcem Głównym, Marylka z wrażenia zamilkła na długą chwilę. Piękny budynek dworca wydał się jej jednym żyjącym organizmem. Pełno tu było dźwięków, zapachów, kolorów. Suknie, surduty, sukienki, muśliny, koronki, fulary... Obracała się w kółko, żałując, że nie mogła wyruszyć w swojej sukni. Postanowiła, że włoży ją dopiero za Wielką Wodą. Zresztą ojciec byłby gotów ją zabrać, gdyby zobaczył, na co córka trawi czas. Poczuli się tu strasznie biedni. Chwyciły się z Halinką za ręce.

– Jo kcom taka pelerynka – jęknęła Halinka, wskazując elegancką kobietę, za którą strudzony lokaj niósł dwa potężne kufry.

Patrzyły na nią oniemiałe, podziwiając biały haftowany żabot i kapelusik na głowie. Stały w kolejce do kasy biletowej. W woreczku na szyi Marylka miała ukryte pieniądze na bilety, zarówno kolejowy, jak i na statek, a także na nieprzewidziane wydatki. Całe oszczędności jej braci i rodziców. Matka w tajemnicy przed ojcem pożyczyła sporą kwotę, żeby

Marylka miała jakiś grosz na urządzenie się. Woreczek palił ją i gniótł ciężarem odpowiedzialności. Niosła na piersiach dorobek całej rodziny. Obiecała sobie w duchu, że będzie pracowała za dwóch i szybko pośle przekaz pieniężny do domu. Spojrzała na brata czekającego przy bagażach. Rozglądał się niespokojnie na boki, też był tu po raz pierwszy. Gdy przysła kolej na Marylkę, sięgnęła do swojego trzosika i wyciągnęła jeden banknot. Próbując mówić bez gwary, poprosiła o bilet trzeciej klasy do Myslowitz. Spojrzała pytająco na panią Kowalową, która skinęła głową z aprobatą, ale po odejściu od kasy odciągnęła ją na bok, mocno ściskając za rękę.

– Panna chce, żeby ją okradli? Pieniądze na drogę trzeba trzymać osobno, a nie razem z całym majątkiem nosić.

Zdumiona Marylka spojrzała w twarz pani Antoniny, którą pierwszy raz widziała w takim zdenerwowaniu. Kobieta szybko się jednak pohamowała.

– Uważaj, bo w takich miejscach roi się od złodziei – dodała już dużo spokojniej. – Później się zastanowimy, gdzie powinnaś chować swój trzosik.

Do odjazdu pociągu zostały jeszcze dwie godziny. Marylka przekazała swój bagaż Kwaśnym i wspólnie z Halinką i Józkiem poszli pomodlić się do Kościoła Mariackiego, o co prosiła ich matka przed wyjazdem. Opowiadała o tamtejszym cudownym ołtarzu. W drodze do świątyni dziewczęta przystawały co kilka kroków, podziwiając wystawy sklepowe. Józek zatrzymał się przy ulicy Floriańskiej, nie mogąc wyjść z podziwu nad tramwajem elektrycznym przejeżdżającym środkiem traktu. Gdy spojrzeli ku końcowi ulicy, ich oczom ukazała się wieża kościoła, która przyciągnęła ich jak magnes.

Będąc już w środku, padli na kolana i wolno zmierzali ku ołtarzowi. Marylka, choć nigdy nie czuła żarliwej pobożności, teraz, we wnętrzu

świętyni, zaczęła modlić się o powodzenie swojej wyprawy, a także o zdrowie dla całej rodziny. Wpatrując się w cudowny ołtarz, zdała sobie sprawę, ile trudności i niebezpieczeństw będzie na nią czekać po drodze. Przynęła Najświętszej Paniencie, że zachowa cnotliwość i z żadnym chłopcem nie będzie się chędożyć, tylko poszuka pobożnego męża. Zagłuszyła w sobie pragnienie, by dodać, że musi to być mąż elegancki. Teraz to nieważne. Trzeba jej za to było przebłagać i zaklinać na wszystkie świętości, by znalazła dobrą pracę. Obok niej równie gorliwie modlili się Halinka i Józus. Każdy przynosił swe pragnienia i obawy przed oblicze Boga. Co chwilę unosili w zachwycie głowy, by zerknąć na polichromie zdobiące sklepienia kościoła, witraże i obrazy. Zaraz jednak znów nisko pochylali głowy i bili się w pierś, jak gdyby modlitwa w tym miejscu mogła być silniejsza niż pod Babią Górą.

Długie modlitwy sprawiły, że na Dworzec Główny wracali niemal w biegu. Pasażerowie już ustawiali się przed wagonami doczepionymi do potężnego parowozu. Marylka rozejrzała się nerwowo za panią Kowalową, która na czas ich spaceru wykręciła się osłabieniem. Stała teraz skryta za poczekalnią na peronie i rozmawiała z jakimś mężczyzną. Wyglądał na niezwykle zamożnego, tym bardziej dziewczyna była zaskoczona, gdy pani Antonina przekazała mu jakiś pakunek. Po chwili już do nich dołączyła, a nieznajomy odszedł. Zajęły miejsce w wagonie trzeciej klasy, tęsknym wzrokiem zerkając na te bardziej komfortowe. Buchająca głośno para i syk lokomotywy, a zaraz potem mocne szarpnięcie spowodowały, że serce Marylki podskoczyło do gardła. Dobiegła do okna i poczęła machać jak szalona do znikającego Józka. Serce ścisnęło się jej w piersi i galopowało coraz szybciej w rytm rozpędzającej się lokomotywy.

---

17 szykowny, ładny (gwar.).

18 tam (gwar.).

19 pieniądze (gwar.).

20 gdzie (gwar.).

21 dużo (gwar.).

22 tygodniu (gwar.).

23 piekarniku (reg.).

24 Płaczesz (gwar.).

25 Dawniej znachorka, kobieta znająca się na magii.

# ROZDZIAŁ 4

*Mysłowice, 30 czerwca 2021 roku*

**W**ygłądała przez małe okienko w przewiązce, a na dole widziała Dagmarę, która szła, trzymając za rękę koleżankę. To była ta zabita nad Hubertusem. Wyglądały jak siostry bliźniaczki. Długie do pasa czarne włosy i blada skóra. Za nimi podążał cień, niezauważony przez nie kształt. Baśka próbowała krzyczeć. Stukała w szyby, ale dziewczyny nie zwracały na nią uwagi. Śmiały się i podskakiwały. Cień był coraz bliżej.

Obudziła się znów zlna potem, łapczywie nabierając powietrza w płuca. Ktoś pukał do drzwi. Dowlekła się tam półprzytomna.

– Kto tam? – zawołała, wyglądając przez wizjer.

– Ja w sprawie łazienki. Byliśmy umówieni.

Otworzyła. Mężczyzna w średnim wieku wszedł do mieszkania pewnym krokiem. Przyglądał się sceptycznie ścianom. Baśka wprowadziła go do niewielkiej łazienki.

– Chcę wymienić piecyk, rury, wstawić nowe sanitariaty i płytki. Będę z panem szczerą, mam bardzo ograniczony budżet.

Facet skrzywił się i pokiwał głową.

– Ile?

Zajda wzruszyła ramionami.

– Nie będzie pan mierzył, nie zrobi żadnej wyceny?

– Jestem fachowcem, robię to nie od dziś. To będzie około siedmiu tysięcy, bez materiału.

Baśka wypuściła głośno powietrze. To i tak mniej, niż powiedział jej poprzedni budowlaniec.

– Za ile zrobi pan z rurami i piecem?

Mężczyzna wydał wargi.

– Trzy tysiące.

– To są dwa dni roboty. Dam dwa i pół – próbowała negocjować.

Zajrzał w dekolt jej koszuli nocnej.

– Zgoda. Ale mam czas tylko w przyszłym tygodniu. Musi pani kupić wszystkie materiały.

– Będą gotowe.

Uścisnęli sobie ręce i odprowadziła fachowca do drzwi. Czowała się wymięta. Sprawa zaginięcia Dagmary sprawiła, że nie mogła się skupić na remoncie. Nie była w stanie zostawić koleżanki samej w takiej sytuacji. Wcześniejsza radość z prac w mieszkaniu uleciała gdzieś w niebyt, pozostał tylko przykry obowiązek.

Baśka szybko coś zjadła i zapakowała rysunki oraz plany remontowe, na których wyliczyła potrzebne materiały. W drodze do marketu budowlanego zamierzała porozwieszać ogłoszenia ze zdjęciem Dagmary. Wyszła z budynku i stanęła przed samochodem. Gdy szarpała się przez dłuższą chwilę z kluczykiem, usłyszała z boku kamienicy jakiś odgłos. Spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła dziewczynę, z którą ponad tydzień wcześniej rozmawiała Celina. Paliła ukradkiem papierosa, chowając się za ścianą. Baśce zajęło chwilę, by przypomnieć sobie jej imię. Podeszła do niej. Dziewczyna zdeptała niedopałek.

– Jesteś Marzena, dobrze pamiętam?

Pomimo upału była ubrana w czarną bluzkę z długimi rękawami i długie, szerokie spodnie.

– Jak się pani tu mieszka? – zapytała swobodnie nastolatka.

– Trudno powiedzieć. Tyle się dzieje... Słyszałaś może o tej dziewczynie nad Hubertusem?

Marzena poprawiła ciężkie pasmo włosów spadające jej na oczy.

– Coś tam pisali na grupie klasowej. Jeden kolega mieszka na Piosku, pisał, że jeździli na kogutach do rana.

– Wiesz, że szukamy Dagmary Śmiałek, córki mojej znajomej?

Oczy dziewczyny stały się zimne i Baśka poczuła się głupio, że tak ją straszy.

– O niej też coś może piszą? Znasz ją?

– Z widzenia na pewno. To małe miasto. Ale nic o tym nie wiem. Nie moje towarzystwo.

Zajda spojrzała na obgryzione paznokcie dziewczyny. Przypomniała sobie, że w jej wieku miała takie same. Tylko dorośli o słabej pamięci mogą wmawiać nastolatkom, że to najlepszy czas w ich życiu. Pamiętała, jak trudny to był okres.

– Bardzo potrzebuję pomocy. Muszę porozwieszać ogłoszenia o zaginięciu Dagmary. Jadę teraz w stronę Sosnowca do marketu budowlanego. Porozwieszam w śródmieściu, na Piasku, w rejonie giełdy samochodowej. Może pomogłabyś mi z jakimś osiedlem? – Podała jej zadrukowaną kartkę z podobizną zaginionej.

Marzena długo wpatrywała się w twarz dziewczyny, tak podobnej do siebie.

– Mogę rozwiesić na Bończyku i Skotnicy – odezwała się w końcu.



– To świetnie, bardzo mi pomożesz. Podejdiesz ze mną do samochodu?  
Dam ci plakaty.

Skinęła głową. Doszły do passata. Baśka przekazała Marzenie wypchaną po brzegi papierową torbę.

– Tu masz jeszcze taker i zszywki. Jak skończysz, to mi podrzucisz, okej?

Marzena ponownie kiwnęła głową i spojrzała w stronę parku Promenada. Ptaki tak pięknie śpiewały rano.

– Wiesz, że dziś w nocy śniła mi się ta przewiązka? – zagadała Baśka, wskazując na zabytkowe przejście pomiędzy budynkami. – Stałam w tym małym okienku i próbowałam kogoś ostrzec... – Zamilkła po chwili, widząc, że Marzena dziwnie się na nią patrzy. – Nieważne. Muszę lecieć, jeszcze raz bardzo ci dziękuję za pomoc.

Wsiadła do passata i opuściła prędko szybę. W środku panował zaduch, a ona nie miała klimatyzacji. Marzena wciąż stała obok, przypatrując się Baśce z zaciekawieniem.

– Mogę mieć do ciebie jeszcze jedną prośbę?

– Spoko.

– Dowiesz się, jak się nazywa ta dziewczyna znad Hubertusa? Wiem, że to przykre, ale może mi to pomóc w poszukiwaniach Dagmary.

– Dlaczego pani jej szuka?

– To córka mojej starej znajomej.

– No tak, ale strasznie się pani angażuje. – Marzena przekrzywiła głowę, patrząc jej prosto w oczy.

– Tak już mam. Pracuję w policji. Od tego nie ma urlopu.

Dziewczyna z zaskoczenia uniosła brwi.

– Strasznie tu niebezpiecznie u was. Uważaj na siebie – dodała Baśka.

Marzena przewróciła oczami.

– Niech pani da spokój, nie popadajmy w paranoję.

Zajda uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała młodzież. Czasami myślała, że to przez to, że nie ma dzieci ani męża. Wciąż żyła jak nastolatka.

– Mów mi Baśka – rzuciła przez okno i zapaliła silnik.

Zatrzymała się pod aresztem i poszła w stronę ulicy Starokościelnej, szukając miejsc do zawieszenia ogłoszeń. Kilka przyczepiła na słupach i tablicy informacyjnej. Minęła komendę policji i doszła do mrocznej, ceglanej neogotyckiej fasady budynku. Wysokie, strzeliste okna zawsze budziły w niej niewytłumaczalny lęk. Budynek był wysoki, dostojny, ale i straszny. Przed głównym wejściem stały jakieś dziewczyny. Zrobiła kilka kroków w ich kierunku, lecz zanim zdążyła się odezwać, ciężkie drzwi otworzyły się z jękiem. Dziewczęta aż podskoczyły i zniknęły po chwili w środku, z którego wyszła siostra zakonna. Stała wprost przed zaskoczoną Baśką.

– Szczęść Boże – wybąkała policjantka i pokazała zakonnicy ogłoszenie. – Od dwóch dni szukamy tej dziewczyny, Dagmary Śmiałek.

Podczas gdy kobieta przyglądała się zdjęciu, Baśka zerknęła na tabliczkę przed budynkiem. Pamiętała, że kiedyś biegała tu w wakacje z Alą, która mówiła na to miejsce „Caritas”. Budynek nie zmienił swojego przeznaczenia, siostry Boromeuszki nadal prowadziły tu ośrodek dla dzieci.

Zajda spojrzała na zakonnice trochę z lękiem.

– Czego pani potrzebuje? – zapytała siostra zakonna.

– Chciałabym powiesić ogłoszenie na ogrodzeniu. Może mogłaby siostra dać kilka plakatów podopiecznym do rozwieszenia? – Wskazała drzwi, gdzie przed chwilą zniknęły dziewczyny. – Młodzież zawsze wie więcej.

– Muszę zapytać o pozwolenie siostrę dyrektorkę.

– Będę wdzięczna, to córka mojej znajomej. Swoją drogą, teraz te dziewczyny tak podobnie się ubierają i czeszą. Długie czarne włosy, czarne ubranie. Widziałam, że podopieczne też w tym stylu.

Zakonnica się przeżegnała.

– Szatańskie pomysły siedzą im w głowach! – powiedziała z jadem w głosie.

Zajda uśmiechnęła się krzywo, spoglądając na czarny habit zakonnicy. Wręczyła jej plik kartek.

– Pozwolę sobie to zostawić siostrze.

Poszła dalej. Zatrzymała się jednak po kilku krokach i spojrzała jeszcze raz na budynek. Z jednego z okien na pierwszym piętrze wyglądały dwie dziewczyny – te same, które widziała przed wejściem.

Przez kolejny kwadrans oblepiała słupy na Rynku i zostawiła ogłoszenia w kilku sklepach. Wróciła do passata i ruszyła w stronę Sosnowca. W drodze dostała telefon od Ali.

– Basia! Ktoś zadzwonił, że widział Dagmarę na dworcu w Katowicach. Policja już to sprawdza. Jedziemy tam razem z Maćkiem.

– Chcecie, żebym jechała z wami?

– Nie, jest dużo policjantów, poradzimy sobie. Po prostu musiałam do ciebie zadzwonić.

– Trzymam kciuki. Jedźcie – odpowiedziała z nadzieją w głosie.

Gdy znalazła się na ulicy Sosnowieckiej, postanowiła skręcić na kąpielisko. Hubertus był pełen ludzi. Miejsce, gdzie znaleziono wczoraj ciało, wciąż było odgrodzone taśmą policyjną. Stało tam teraz paru gapiów z telefonami komórkowymi. Kilkadziesiąt metrów dalej ludzie opalali się jak gdyby nigdy nic. Z nieba lał się żar i Zajda przyznała w duchu, że nie mają wielkiego wyboru – w Mysłowicach były tylko dwa kąpieliska, drugie przy parku Słupna. Podeszła do miejsca, gdzie w nocy widziała dogasające

ognisko. Ono także było odgrrodzone taśmą. Wyglądało na to, że technicy zabezpieczyli wszystko, jak należy. Postanowiła przespacerować się chwilę po okolicy. Wśród drzew znalazła tylko puszki po piwie i inne śmieci. Usiadła w końcu na trawie blisko zbiornika i podwinęła rybaczki, w których było jej okropnie gorąco. Czekwała w napięciu na telefon od Ali. Nie wierzyła jednak, by była to Dagmara. Z doświadczenia wiedziała, że na ogłoszenie o zaginięciu odpowiada mnóstwo oszołomów, którzy podrzucają fałszywe tropy. Mimo wszystko czuła napięcie. Naprawdę chciała, żeby dziewczyna się znalazła. Nie była w stanie patrzeć, jak jej rodzice cierpią. Mogłaby się zająć remontem, tak jak planowała. Wyciągnęła z torby papierosa i odpaliła. Dlaczego znów to robi? Próbowwała odpowiedzieć sobie na to pytanie już wiele razy. Chyba dlatego, że jest samotna. Czuła, że jej ostatni autobus odjechał. Zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca.

– Tu nie wolno kurzyć – usłyszała męski głos.

Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą starszego mężczyznę. Sprawiał wrażenie ciekawego.

– Dobrõ, dejcie jedno. Zakurzymy sie – zakończył przedwcześnie tyradę, zanim Zajda zdążyła odpowiedzieć.

Podala mu jednego i odpaliła.

– Pracuje pan tu? – zagadała.

– Ja. Jõ sam wachujã<sup>26</sup>, sieka trõwa, pożyczõm koła wodne. A wy?

– Ja chwilowo mieszkam w Mysłowicach. Co tu się stało? – Wskazała na miejsce odgrrodzone taśmą policyjną.

Mężczyzna zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

– A paniczka<sup>27</sup> ze jakiegoś bulwardõwygo cajtunga<sup>28</sup> redachtõrka. Pra?<sup>29</sup> – Wstał z impetem, gromiąc ją wzrokiem.

– Proszę się uspokoić. Szukam zaginionej córki mojej znajomej. Dlatego się interesuję. Pan na pewno słyssał. Dagmara.

Sięgnęła po torbę i pokazała mu ogłoszenie. Mężczyzna najwidoczniej się przejął, bo usiadł znów przy niej i przyglądał się młodej twarzy patrzącej na nich ze zdjęcia.

– Jak choby szwestry – odezwał się po długiej chwili. – Takõ podanõ<sup>30</sup> na ta zabitõ.

– Pan znalazł ciało?

– Ja. Niych sie paniczka lepij niy ôdzywõ, bo i tak niy byda mõg usnõńć.

– A co to była za impreza? Przed tym wszystkim, jak pan ją znalazł.

– Jõ nic niy wiym, ino tela, co ftoś zadzwoniõł, iże je wielge larmo i dymolka, to zech przijechõł. Niy bõło juź żõdnygo, ino ta zabitõ dziołcha. A terõzki sie spõminõm, iże paniczka sam tyż wczorej bõła.

Zajda pokiwała głowã.

– Byłam tu z ojcem zaginionej dziewczyny. Przez chwilę myśleliśmy, że to ona.

Spojrzała na szuwary kołyszãce się przy brzegu.

– Może zapamiętał pan z wczoraj jakiś szczegõł? Kto tu się kąpał po południu? Może ona tu była? Bawiła się z towarzystwem, a põźniej zrobili ognisko...

– Dziynnie je sam kupa ludziõw, jedni pływajõm, drudzy jeżdżõm, ale jõ sam jes ino do piõntyj. Te karlusy<sup>31</sup>, co stojõm przy taśmie, wczorej tyż tu bõły ze jakiyimiś frelkami<sup>32</sup>.

Baśka wstała.

– Dziękuję – odpowiedziała, porwała torbę i ruszyła w stronę młodych mężczyzn.

Skradała się najciszej, jak tylko potrafiła, a do jej uszu zaczęły dopływać szczãtki ich rozmowy.

– Trzeba było nie przynosić bakania, to byśmy teraz nie trzęśli porami.

– Ja nic, kurwa, nie pamiętam. Miała z kimś wrócić, nie wiem z kim. Poszedłem na chatę i tyle. Był potencjał na oranie, ale do niczego nie doszło. Laska była drętwa, to się zabrałem. Renia nigdy nie odmawia, co się będę prosił.

Baśka sięgnęła do torby po swoją legitymację policyjną. Będzie musiała wejść znów w rolę.

– Dzień dobry, starsza aspirant Barbara Zajda, chcę z panami porozmawiać.

Powiedziała to głośno i stanowczo. Stanęli jak wryci. Nie wyglądali na pełnoletnich. Jeden miał krótkie dredy, drugi kucyk szoguna.

– Ale w jakiej sprawie? – odezwał się ten z dredami.

– Proszę imię i nazwisko – odparła zimnym tonem.

– Dlaczego? My się tylko opalamy.

– Proszę o jakiś dokument.

– Nie mamy – odpowiedział szogun.

– W takim razie proszę podać swoje dane i adres zameldowania.

– Ale w jakim celu? – Głos młodego stał się piskliwy.

– Znajdują się panowie w miejscu popełnienia przestępstwa. Policja szuka świadków.

Mężczyźni przełknęli ślinę jak na komendę. Jeden popatrzył za siebie i Baśka dałaby sobie rękę uciąć, że myśli o ucieczce. Zanim to się jednak stało, na końcu zarośniętej drzewami alejki pojawił się wóz policyjny. Zbliżał się powoli. Ciało chłopaka drgnęło, ale Baśka zastąpiła mu drogę.

– Nie uciekaj, bo staniesz się podejrzany – powiedziała, podnosząc dłonie w uspokajającym geście. – Bez obaw, chcę się tylko czegoś dowiedzieć o tym ognisku. Byliście tam, ktoś was wskazał – mówiła

spokojnie, zerkając na zbliżający się radiowóz. – Powiedzcie mi, jak to się stało. Jak zginęła?

– My nic nie wiemy. Ja zwinąłem się wcześniej. Rozmawiałem trochę z tą Majką, ale nie bardzo nam się gadka kleiła, więc poszedłem na chatę.

Podawała im plakat.

– A ta dziewczyna? Znacie ją? Imprezowaliście razem?

Szogun zerknął bez większego zainteresowania. Drugi chłopak przypatrywał się zdjęciu dłużej.

– Wszędzie te czarne dzidy. Jak klony jakieś normalnie.

– A jak ta Majka ma na nazwisko? – dopytywała coraz szybciej, widząc zbliżającego się policjanta, jednego z tych, którzy wczoraj pojawili się tu w nocy.

– Nie wiem. Spotkaliśmy ją nad wodą z koleżankami. Ogarnęliśmy szybko ognisko, jakieś picie i palenie.

– Ile tu było osób?

– Trochę było, ale my ich nie znamy. Tylko z widzenia.

Do Zajdy dobiegło chrząknięcie. Obróciła się i zobaczyła mężczyznę stojącego przed nimi. Chłopak chciał się zerwać, ale Zajda złapała go mocno za rękę.

– Stój. Musicie wszystko opowiedzieć – powiedziała cicho.

– A pani znowu się tu kręci? – zapytał niskim głosem policjant. – Podkomisarz Marek Bogacz. – Błysnął szybko blachą.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Ci chłopcy byli na ognisku z denatką – zaczęła bez przywitania – trzeba ich przesłuchać.

Marek Bogacz stał z otwartymi ustami i myślał o tym, że dawno go tak nikt nie wkurwił. Zaczął się śmiać, próbując zamaskować zdenerwowanie.

W tej chwili dołączył do nich drugi policjant, który przyjechał radiowozem.

– Teraz sobie przypominam. Baśka Zajda, od Bestii spod Babiej Góry. Witamy w Mysłowicach. A pani tak zawsze na wakacjach nie potrafi odpoczywać? – Skierował się do współpracownika, wskazując na młodych mężczyzn. – Ci tutaj byli podobno na ognisku z denatką, spisz ich, dostaną wezwania na komendę.

– Może zabrać ich od razu? – wtrąciła się Zajda. – Wakacje się zaczynają, mogą gdzieś chłopaki wyjechać...

Twarz Bogacza ścięła się z wściekłości. Zwęził powieki i wycelował palec w Zajdę. Czekala na jakiś szowinistyczny docinek. Policjant ograniczył się jednak do brudnego palca, którym wciąż wskazywał jej serce.

– Dzwonię do starego. – Podkomisarz sam zakończył przepychankę.

Po kilku minutach rozmowy okazało się, że „stary” jak najbardziej zgadza się z radą Baśki. Funkcjonariusze zaprowadzili chłopaków do radiowozu. Szogun odwrócił się jeszcze do niej.

– Ale nas pani wjebała.

Zajda wzruszyła ramionami.

– Dziewczyna nie żyje, to już nie zabawa, chłopcze. Szkoda, że sami się nie zgłosiliście.

Po odwiedzinach nad Hubertusem Baśka spędziła w markecie budowlanym blisko godzinę na poszukiwaniu kogoś z obsługi, kto wydałby jejabinę prysznicową i zestaw podtynkowy. Pomyślała, że te cudowne ceny z gazetki promocyjnej są spowodowane drastycznymi oszczędnościami kosztów osobowych. Próżno było szukać kogoś w żółtej koszulce. Załadowała samodzielnie płytki na promocji – wybrała drewnopodobne, jasne. Do tego syfon, umywalkę z szafką i lustro. W sumie nic specjalnego. Wszystko najtańsze, ale miała nadzieję, że uda jej się



wyczarować z tego przytulną łazienkę. Gdy siłowała się z umywalką, próbując wepchnąć pudełko na stale odjeżdżający wózek platformowy, zadzwonił telefon. Zerknęła na wyświetlacz. Dzwoniła Ala. Wystarczyła chwila nieuwagi, by wózek znów ujechał kilka centymetrów, a pudełko boleśnie przytrzasnęło jej stopę. Syknęła, naciskając zieloną słuchawkę.

– To nie ona – rzuciła Alicja bez wstępu i Zajda niemal fizycznie poczuła jej rozpacz.

– Strasznie mi przykro.

Po drugiej stronie usłyszała szloch.

– Ala, nie łam się. Nadal szukamy. Rozwiesiłam dziś masę plakatów. Będę u was po południu.

– Dzięki – usłyszała słaby głos.

Po chwili Alicja się rozłączyła. Baśka usiadła na wózku i zaczęła masować przygniecioną stopę. Może gdyby miała bardziej zabudowane obuwie, a nie espadryle, nie odczułaby tego tak dotkliwie.

– Pani mnie szukała? – odezwał się młody mężczyzna w żółtej koszulce.

– Tak. Chcę, żeby ściągnął mi pan z regału kabinę z brodzikiem. Macie dowóz? Chyba nie wcisnę jej do mojego samochodu.

– Oczywiście. Pomóc pani z tą szafką?

Z marketu wyszła zmęczona. Ostatkiem sił przyczepiła na wiszącej przy wejściu do sklepu tablicy korkowej plakat ze zdjęciem Dagmary.

Przepastny bagażnik passata połknął kilkanaście metrów płytek, kleje, szafkę, fugi i umywalkę. Ku przerażeniu Baśki tył samochodu siadł tak nisko, że wyglądał jak jeden z tych tuningowanych fur szurających dupą po asfalcie. W drodze powrotnej czuła niemal namacalnie każdą dziurę w drodze, którą musiał pokonać jej sfatygowany volkswagen. Zdołała

jednak bezpiecznie dojechać. Zaparkowała przed kamienicą i zdała sobie sprawę, że nie ma siły wtaszczyć tego wszystkiego na górę.

### ***Myslowitz, 22 marca 1912 roku***

**O**brazy za oknem się zmieniały. Na stacji w Trzebini zatrzymali się na dłużej. Wsiadali młodzi chłopcy i całe rodziny, które także kierowały się do Stacji Emigracyjnej. W wagonie trzeciej klasy nie było już eleganckich panien, tylko prości ludzie, tacy jak Marylka, o twarzach ogorzałych słońcem i dłoniach twardych od pracy na roli. Ich oczy spoglądały nerwowo na boki. Większość pierwszy raz była tak daleko od domu. Cały przedział był pochłonięty rozmową tylko na jeden temat: jakie kto ma plany i jak wygląda podróż przez ocean. Marylka przysiadła się do rodziny Kwaśnych i dopytywała, do jakiego miasta jadą, co robi ich wujek... Wszystko ją interesowało. Ich starszy syn Jędrzek streszczał jej z wypiekami na policzkach wujkowe wieści.

– A czymu ty do Hameryki nie płyniesz z nimi? – zapytał ją w pewnej chwili.

– Dziewki nie mogom, ino w tyj Argyntynie robota dlo nos jest.

Chłopak pokręcił głową.

– Przecioz te dziewczki, co ta siedzo, tyz jado do Hameryki.

W tej chwili stary Kwaśny odwołał syna na bok, rugając go niemal bezgłośnie. Marylka oblała się rumieńcem i zdała sobie sprawę, że jej rozmowa mogła być odebrana jak zaloty. Wróciła do pani Kowalowej.

– Już niedaleko, kochana. Musimy jeszcze pomyśleć o tym, jak możesz lepiej ukryć pieniądze, bo na dworcu będzie znowu zamieszanie – szeptała jej do ucha. – Najlepiej będzie, jak dasz mi część na przechowanie. Nie

można trzymać wszystkiego przy sobie. Takie młode, ładne panienki mogą być zaczepiane.

Marylka uniosła brwi. Nie do końca podobał się jej ten pomysł, ale wiedziała, że musi usłuchać pani Antoniny. Teraz ona miała nad nią pieczę.

– Pamiętasz, co masz mówić? Jestem twoją ciotką od strony matki.

Marylka pokiwała posłusznie głową i znów zaczęła wyglądać za okno, bo zbliżali się do miasta. Wnet z tumanu pary wyłonił się piękny budynek dworca z napisem „Myslowitz”. Ludzie zaczęli się wylewać z wagonów, a ona z Halinką, przestraszone, trzymały kurczowo swoje tobołki.

– Za mną, za mną, dziewczęta – popędzała je pani Antonina.

Przepychały się przez wielobarwny tłum składający się z ludzi z niemal każdej warstwy społecznej. Byli wśród nich biedacy, łachmaniarze żebrzący na granicach dworca, chłopci ze wsi ciągnący za sobą całe rodziny, robotnicy o zniszczonych twarzach oraz mężczyźni eleganccy, ubrani według najnowszej mody. Ci ostatni dzierżyli w rękach notesiki, w których spisywali ustawiające się do nich kolejki. Za dziewczętami podążała rodzina Kwaśnych. W pewnej chwili Jędrzek krzyknął:

– O, tamok jest! Tyn nosz agynt, Samuel Majerczyk.

Marylka spojrzała w tamtą stronę i poczuła ulgę. Wierzyła, że pan Majerczyk wszystko zorganizuje, dzięki czemu bezpiecznie dotrą na statek. Mężczyzna już do nich machał. Ach, jak on pysznie wyglądał! Halinka ścisnęła Marylkę za rękę.

– Joki śwarny – szepnęła jej do ucha.

Wybuchnęły śmiechem. Ale Marylka wiedziała, że on nie dla nich. Ojciec powiedział, że to „cwany Żyd” – coś w tym musiało być.

– Moje uszanowanie szanownym paniom. – Majerczyk skłonił się z galanterią. – Będą panie uprzejme poczekać, najpierw załatwię sprawę z panem Kwaśnym.

Czekały, obserwując koczujących pod dworcem ludzi, furmanki i powozy. Po drodze pani Antonina opowiadała, że tu spotykają się granice trzech zaborów. Kwitnie handel, przemysł, a Stacja Emigracyjna dodatkowo przyciąga tysiące ludzi. Marylka właściwie nie wiedziała, co to ten przemysł. Teraz w zadziwieniu obserwowała wracających z pracy górników – twardych mężczyzn o skupionych twarzach. Byli też wśród nich naganiacze zapraszający do restauracji i hoteli, chłopcy sprzedający gazety oraz cała masa ciżby. Marylka wstała, gdy zobaczyła, że rodzina Kwaśnych zbiera się do opuszczenia dworca.

– A jo? Pocekojciez na nos – zwróciła się do pana Kwaśnego.

Samuel Majerczyk chwycił ją za dłoń.

– Ależ pani Marylko, rodzina Kwaśnych udaje się do baraków Maxa Weichmanna na kwarantannę i badanie, a panie – zwrócił się do Halinki i pani Kowalowej – ze mną na pokoje, gdzie będziecie czekały odjazdu do Hamburga. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Marylka spojrzała z niepokojem na Halinkę, na której nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Poczła jakiś niepokój, przeczucie, które mówiło jej, że musi trzymać się starszyny ze wsi.

– Ale jo nie kcom! – zawołała niespodziewanie. – Jo pustom z Kwaśnymi, ku tom barakom. Matka mi kazało do kuńca swoich sie trzymoć. – Rzuciła się do pani Kwaśnej. – Weźcie mnie ze sobo, ja nie kcom samyj do tyj Argyntyny, Jędrak godał, że do Hameryki tyz dziewczki jado.

Wszyscy popatrzyli na siebie skonsternowani. Najszybciej zareagowała pani Antonina, łapiąc Marylkę za rękę.

– Mnie ciebie rodzice powierzyli i ze mną pojedziesz. Jak to sobie panna wyobraża? Bilet już kupiony.

Dziewczyna wyrwała się bez problemu. Miała silne ramiona, wyćwiczone w polu, dłonie i palce wyćwiczone dojeniem krowy.

– Nie bielet, ino zolicko. Mogom kupić ku Hameryce bielet, jak ino wpusco uzondniki. Halinko, poć ku mnie!

Halinka spojrzała na śniadą twarz Majerczyka, który rozciągnął usta w dobrotliwym uśmiechu.

– Ależ co to też pani Marylka opowiada? Wszystko jest ustalone. Taka okazja nadarza się raz tylko.

Ale Marylka nie słuchała. Wpatrywała się w twarz pani Kwaśnej, aż stary Kwaśny wziął ją na bok.

– Opamiętoj sie. Przecoz w tyj Argyntynie pono roj na ziemi. Pojedne<sup>33</sup> by tamok kcioł, a ino dziewczki biero. Na mojo dusiu<sup>34</sup> nika tela nie zarobis. Ojcom pomozes. A dyć tak matko i łociet kazoli. Co sie ciskos? Dyć wszytka patrzajo.

Marylka rozejrzała się po twarzach swoich współtowarzyszy, zde gustowanych jej niestosownym zachowaniem. Halinka wręcz piorunowała ją wzrokiem. Marylka spojrzała ufnie w twarz Kwaśnego, który położył jej rękę na głowie. To ją ostatecznie przekonało. Matka i ojciec szanowali tego człowieka, więc i ona mu zaufa.

– Pudomy ku pokojom, za panem Majerczykiem – odezwała się Halinka, wyciągając do niej rękę.

Marylka złapała ją i dała się pociągnąć. Idąc, spoglądała za siebie na Kwaśnych i tylko w oczach młodego Jędrka widziała zrozumienie i troskę. Zabudowa Myslowitz była bardzo bogata. Dostojny budynek poczty, ratusz, Wilhelmplatz i cała ulica Bahnhofstrasse, późniejsza Powstańców, robiła dobre wrażenie. Wszyscy kłaniali się Samuelowi Majerczykowi, który w odpowiedzi na pozdrowienia łapał się za rondo melonika. Widząc jego pewne ruchy oraz uśmiech Halinki próbującej toczyć kulturalną

konwersację, dziewczyna stopniowo się uspokajała. Majerczyk przeprowadził je przez ulicę Plessenstrasse. Kobiety spoglądały z podziwem na piękne kamienice, wypatrując pokoi, w których miały spać. Jakież było ich rozczarowanie, gdy Majerczyk doprowadził je do baraku przy ulicy Entenstrasse, mieszczącego się zaraz przy rzece. Wpuścił kobiety do skromnego pomieszczenia i pokazał, gdzie będą spały. W środku panował nieprzyjemny zapach wilgoci. Było tam ciemno, a światło wpadało tylko jednym małym oknem. Marylka wyjrzała przez nie – nie dostrzegła Babiej Góry. Widok był nędzny. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie spała poza domem, i ogarnął ją nagły chłód.

### ***Mysłowice, 30 czerwca 2021 roku***

**P**óźnym popołudniem Zajda dojechała do Śmiałków. W mieszkaniu zastała dwóch mężczyzn.

– Basiu, to są panowie z Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych. Mówiłam im o tobie.

Zajda przywitała się i usiadła z nimi do stołu. Wyglądali niepozornie. Nie zwróciłyby na nich uwagi na ulicy.

– Gdzie Maciek? – zapytała, rozglądając się na boki.

– Musiał iść na kopalnię złożyć zeznania po tym śmiertelnym wypadku.

Napijesz się czegoś?

Baśka pokręciła głową.

– Jak wam możemy pomóc w poszukiwaniach? – zapytała jednego z mężczyzn.

– Ma pani jakieś nowe informacje?

– Nie wiem, czy ojciec Dagmary mówił, że dziewczyna od trzech miesięcy nie chodziła na korepetycje. Oszukiwała rodziców i zabierała pieniądze. To może być ważny trop. Może kogoś poznała? Coś planowała?

– Tak, pan Śmiałek wspominał.

– A co z jej komputerem? Czy informatykom udało się zalogować na jej konto na Facebooku? Trzeba sprawdzić jej komunikator. A Instagram, Snapchat, TikTok?

Mężczyźni pokiwali głowami. Niby wszystko było oczywiste, ale wiedziała z doświadczenia, że to zależy od śledczych. Ale wypuściła powietrze.

– Byłam dzisiaj w dwóch domach jej koleżanek. Agata się przyznała, że dała Dagmarze tylko przykrywkę. Nie ma pojęcia, jakie miała plany na tamten wieczór. U Sylwii pozwolili mi porozmawiać z córką. Prosiłam, żeby mi pokazała profile Dagmary na tych portalach. Powiedziała, że właściwie to one się już od pół roku nie kolegują. – Alicja się rozplakała i wbiła palce we włosy. Po chwili kontynuowała: – Dagmara kilka razy mówiła, że chodzi do Sylwii na noc. Gdzie była w tym czasie? – Ostatnie słowa powiedziała podniesionym głosem.

– Rozumiemy pani niepokój. Czekamy na nakaz rewizji od sądu, który wyślemy do administracji Facebooka. Jeżeli się uda, udostępnią historię jej konta. Niestety ponad połowę wniosków odrzucają. Telefon jest nadal nieaktywny. Obecnie przepytujemy uczniów z jej klasy.

– A monitoring? – dopytała Baśka.

– Została uchwycona na jednej z kamer. W noc zaginięcia szła w dół ulicy Mikołowskiej. Później się już nie pojawiła.

– A przy dworcu?

– Niestety nic.

– Musiała wsiąść do czyjegoś samochodu. Stamtąd prostą drogą do Katowic albo na autostradę.

– Właśnie.

Na chwilę zapadła cisza.

– DNA? – Baśka strzeliła kolejnym pytaniem.

– W laboratorium. Będzie za kilka dni. – Mężczyzna miał spokojną twarz. Spojrzał do swojego notatnika. – Musicie panie zrozumieć. Co roku z domu ucieka mnóstwo młodych ludzi. Znajdują się najczęściej do trzydziestu dni. Zaczynają się wakacje. Na pewno córka dokądś wyjechała. Proszę uzbroić się w cierpliwość. Zgodnie z procedurami podejmujemy wszystkie możliwe środki.

– A to zabójstwo nad Hubertusem? – Baśka otworzyła w telefonie informację prasową i pokazała policjantom.

– Tak, słyszeliśmy o tym, ale ta sprawa nie ma związku.

Baśka wstała, wzięła z komody jeden z plakatów ze zdjęciem Dagmary i położyła go przed nimi na blacie.

– Proszę spojrzeć, ona są takie podobne. Może warto się temu przyjrzeć.

Pochylili się nad zdjęciami.

– Ale one teraz wszystkie tak wyglądają.

Zajda pokręciła głową.

– Owszem, zgodzę się. Jednak w tym wypadku...

– Nie możemy tracić czasu na fałszywe tropy – urwał dyskusję mężczyzna. – Sprawdzamy obecnie dworce, lotniska, mamy mnóstwo pracy. Będziemy w kontakcie. Dziś przeczesujemy teren nad Przemszą. Jeżeli chce pani jakoś pomóc, można dołączyć do grupy poszukiwawczej. Tu jest telefon do koordynatora.



Zajda spojrzała na Alę, która poruszała nerwowo ustami.

– Pójdę z nimi. – W oczach koleżanki czaił się lęk. – Nie potrafię beczynnie czekać.

Baśka uważała, że to nie jest dobry pomysł. Gdyby znaleźli zwłoki, Alicja mogłaby zrobić jakieś głupstwo.

– Ona żyje, Ala. Ja w to wierzę – powiedziała Zajda, gdy policjanci się pożegnali i wyszli z domu.

Kobieta pokiwała głową, zaciskając usta i powieki. Jakby całą sobą zaklinała rzeczywistość.

– Wpuścisz mnie do jej pokoju? Chciałabym się tam rozejrzeć.

– Komputer zabrała policja. Podobno nie ma w nim nic ciekawego.

– Wiem.

Alicja zaprowadziła Baśkę do przestronnego pomieszczenia. Na ścianach wisiały w czarnych ramkach plakaty modelek. Był też napis naklejony na ścianę „Przyszłość należy do tych, którzy wierzą w swoje marzenia”.

– O czym marzy Dagmara? – zapytała Zajda.

Ala uśmiechnęła się smutno, siadając na łóżku nakrytym różową narzutą.

– Chce być modelką. Na razie nie wybijamy jej tego z głowy z Maćkiem. Postanowiliśmy, że poczekamy, aż sama zmądrzeje.

Baśka przejechała dłonią po puchatej poduszce rzuconej na łóżko.

– Mogę? – zapytała, wskazując szufladę w biurku.

Alicja skinęła głową.

W szufladzie było kilka zeszytów i katalogów z Avonu oraz ulotki firm kosmetycznych, kursów manikiuru i wizażu, agencji modelingowych.

– Lubi się stroić. Naprawdę nie ma chłopaka?

Gospodyni oparła głowę na dłoniach.

– W jej klasie nic o tym nie wiedzą. Sylwia też nic nie mówi.

– A wcześniej się z kimś spotykała?

– Tak, był taki Krzysiek, ale to w tamtym roku. Był tu u niej kilka razy.

– Może pojedźmy do niego?

– Masz rację, chodźmy, trzeba coś zrobić. – Alicja wstała.

Baśka przybliżyła się do niej.

– Nie powiedziałaś mi, co się stało na dworcu w Katowicach.

– To nie była ona. Podbiegłam do tamtej, ale to była całkiem inna dziewczyna. Dobrze się jednak stało, bo miała zamiar uciec z domu. – Głos Alicji zawisł w powietrzu. Szukała oddechu i sił, które pomogą jej znowu się nie rozpłakać. – Porozmawiałam z nią i policjanci odwieźli ją do domu.

– Powiedziała ci, dlaczego uciekła?

Ala ścisnęła dłonie, wbijając sobie paznokcie w skórę.

– Podobno jej rodzice się kłócą.

Zajda pokiwała głową.

– Młodość. To częsty scenariusz. Jedziemy do tego chłopaka? Wiesz, gdzie on mieszka?

– Wiem, kiedyś ją tam zawiozłam.

Krzysiek mieszkał przy Strumieńskiego, blisko Rynku. Zapukały i otworzył im matka chłopaka. Długo musiały ją przekonywać, żeby je wpuściła.

– Zadzwoń, żeby wrócił zaraz po treningu.

– Może lepiej nie – ostrzegła ją Zajda. – Wie pani, jacy ci młodzi delikatni, a jego informacje mogą nam bardzo pomóc.

Gospodyni długo mierzyła wzrokiem Alicję.

– Tylko żebyście mojego Krzysia w coś nie wpakowały. Mam dobre serce, chcę pomóc, ale dziecka nie dam skrzywdzić.

– Rozumiem, może pani być spokojna – odpowiedziała Ala.

Matka chłopaka napisała do syna, że czeka z kotletami schabowymi, co okazało się najlepszą zachętą. W niecały kwadrans był już w domu. Wszedł z rozpędu do kuchni i zamarł, widząc kobiety siedzące przy stole.

– Mamo, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Spokojnie, Krzysiek, to jest...

– Wiem, kto to jest. – Chłopak nie dopuścił jej do głosu. – To matka Dagmary.

Chciał wyjść z pomieszczenia, ale mama zastąpiła mu drogę.

– Jak ty się zachowujesz? Twoja była dziewczyna zaginęła, nie wiadomo, co się z nią dzieje, a ty fochy będziesz strzelał?

Zapadła cisza. Chłopak upuścił na podłogę w kuchni plecak i usiadł z rezygnacją na taborecie.

– Przepraszam.

Baśka i Alicja odetchnęły z ulgą. Myślały, że nic z tego nie będzie. Nikogo nie da się przymusić do mówienia.

– Słuchaj, Krzysiek, ja wiem, że wy się już nie spotykacie, ale proszę cię o jakiegokolwiek informacje o mojej córce. Z kim się kolegowała, spotykała, gdzie chodziła na imprezy?

Chłopak rozłożył ręce.

– Serio? Pani mnie pyta, z kim zadawała się pani córka? Dzisiejsi starzy...

Wstał i wyciągnął jogurt z lodówki. Matka już chciała mu coś dogadać, ale Zajda powstrzymała ją gestem dłoni. Chłopak stał oparty o drzwi lodówki i pił.

– Dagmara to była kiedyś całkiem inna dziewczyna. Przestaliśmy się spotykać, bo nam się światy zupełnie rozjechały. Zaczęła się interesować innymi rzeczami, denerwowali ją moi kumple, ja ją denerwowałem...

– Pojawiło się jakieś nowe towarzystwo?

– Myślę, że tak, ale nie zapoznała nas. – Młody zacisnął szczęki tak mocno, że słychać było zgrzyt zębów. Przetarł nerwowo oczy, które załśniły. – Właściwie to się z niej nie wyleczyłem... – kontynuował łamiącym się głosem. Rozpaczliwie próbował powstrzymać płacz. – Dlatego odizolowałem się całkiem, żeby jej nie widzieć i nie rozklejać się jak łajza na jej widok.

Zajda rozumiała go doskonale. Ona też się nie wyleczyła. Ciągle myślała o Tomku, choć się odizolowała. Na jego wiadomości odpisywała lakonicznie, wręcz chłodno. Pisał coraz rzadziej. Ich rozmowy krążyły wokół zdrowia jego syna.

Emocje chłopaka wirowały w kuchni jak drobinki kurzu i gdyby nie okoliczności, Zajda pomyślałaby, że to piękne.

– Kiedy to się zaczęło? Ta jej przemiana? – zapytała.

– Właściwie to nie wiem. To chyba było w Dzień Kobiet. Pojechała na babską imprezę, taką tylko dla dziewczyn. Byłem zazdrosny, bo tam mieli być chippendalesi. Szykowała się i stroiła, jakby miała zamiar tam kogoś poznać. Byłem wściekły.

Alicja stuknęła się otwartą dłonią w czoło.

– A mnie powiedziały z Sylwią, że robią babską nocowanę. Nawet pisałam SMS-a do jej matki i ona to potwierdziła.

– Właśnie wtedy Dagmara zaczęła strasznie ściemniać – kontynuował Krzysiek. – Coś się zmieniło po tej imprezie. Wróciła inna. Traktowała mnie jak powietrze. Nie wiem, kogo tam poznała, co się tam stało, ale to był nasz koniec.

– Co się zmieniło w jej zachowaniu? – dopytywała Baśka.

– Wszystko, choć nie mówię, że wcześniej była jakaś megaskromna. Wtedy zaczęła puszczać teksty w stylu: „Mysłowice to wiocha, muszę się stąd wyrwać”. Ciągłe mówiła, że chce zostać modelką. To nie była moja bajka. – Chłopak usiadł wyczerpany na taborecie. – Mamo? Dasz mi kotleta?

Kobieta wstała i szybko podała synowi talerz. Miała zatroskaną, zaskoczoną twarz.

– Czemu nie mówiłeś? Dlaczego tak dusisz wszystko w sobie? – pytała syna.

Wszystkie trzy patrzyły, jak chłopak zajada się drugim daniem. Żadna nie miała odwagi mu przerwać. Dopiero jak odniósł talerz do zlewu, Zajda znów zapytała:

– Słuchaj, Krzysiek. Na pewno ta babska impreza była promowana na Facebooku. Może są jakieś zdjęcia? Może ktoś ją oznaczył?

Chłopak pokiwał głową i wyciągnął smartfona. Zatańczył palcami po wyświetlaczu i pokazał Baśce całą serię zdjęć. Była to typowa impreza wyzwolonych lasek, tańczących w najlepsze na parkiecie. Później były zdjęcia z pokazu chippendalesów. Zajdę zdziwiło, że tancerze wcale nie byli szczupli. Owszem, mieli ładną rzeźbę, ale też brzuchy i fałdki jak porządny kanapowiec. Następnie fotorelacja przedstawiała profesjonalny pokaz damskiej bielizny. Banery reklamowe, a przed nimi modelki w seksownych kompletach. Na kolejnych zdjęciach wybierały dziewczyny z widowni i paradowały z nimi. Wśród nich była Dagmara. Kolejna fotografia to Dagmara stojąca w rzędzie z modelkami. Jej twarz promienieje.

Alicja wyrwała telefon i zakryła usta dłonią. Usłyszeli cichy płacz.

– Boże, nie znam swojego dziecka... Ona tu jest taka szczęśliwa. Dlaczego mi nie opowiedziała? Dlaczego? Przecież to nic złego...

– Później Daga zlikwidowała swój profil. Założyła pewnie nowy, incognito. Zerwała wszystkie znajomości. Czasem widziałem ją tu i tam.

– Możesz mi przesłać te zdjęcia? Z tej imprezy?

– Pewex. Proszę mnie dodać na Messengerze, to zaraz wyślę.

Wstały. Ala się trzęsła.

– Czy ona się znajdzie? – zapytał na koniec.

Po wyjściu stanęły przy samochodzie Zajdy i zapaliły. W stronę Parku Zamkowego zmierzały grupy młodych ludzi.

– Jutro koniec roku szkolnego. Rok temu byłam z nią po świadectwo. Zawsze miała pasek. – Alicja płakała. – Boże, jak to jest, Baśka? Wychowujesz dziecko, dajesz mu wszystko, co masz w sobie najlepszego, a ono pewnego dnia staje się obcym człowiekiem. Traktuje cię jak wroga. Dlaczego ona mnie okłamywała?

Zajda zagryzła wargę, próbując sobie przypomnieć, jaka sama była w wieku Dagmary. Czy okłamywała matkę? Z pewnością. Przecież to naturalne. Wstydziła się tego, że stawała się kobietą. Wstydziła się popędu seksualnego. Celina Zajda, gdy tylko dostrzegła w niej pierwsze objawy dojrzewania, goniła Baškę do kościoła na wszelkie możliwe nabożeństwa. Jakby klęczenie przed ołtarzem mogło powstrzymać siły natury. Do tej pory Zajda miała problem z publicznym okazywaniem czułości. Inna sprawa, że nie miała komu jej okazywać.

– Może przejdźmy się do tego parku. Tylu tam młodych ludzi. Popytamy – zaproponowała.

Poszły w stronę muszli koncertowej. Zrujnowany przez czas i wandalów obiekt czekał na wyburzenie. Obok była otwarta mała knajpka, pod którą gromadzili się młodzi ludzie. To był naprawdę fajny widok. Młodość – siła

o mocy atomowej, której nie mogły powstrzymać zakazy kościelne i świeckie, która zdolna była odciągnąć od komputerowego biurka nawet najzatwardzialszego gracza i kazać mu poszukiwać partnerki.

Baśka weszła do lokalu i zbliżyła się do obleganego baru. Przepchnęła się między gośćmi, po czym zagadała do barmanki:

– Dzień dobry, poszukujemy Dagmary. – Położyła plakat na barze. – Czy mogłabym powiesić to na drzwiach?

– Muszę zapytać szefa – odpowiedziała chuda barmanka o rękach pokrytych tatuażami.

– Okej, zaczekam.

Dziewczyna, niezbyt zadowolona z dodatkowej powinności, odchyliła zasłonę z koralików zawieszoną na framudze drzwi.

– Szefie, jakaś babka ma sprawę – powiedziała w ciemność zaplecza, rozjaśnioną tylko światłem monitora komputerowego.

Z pomieszczenia wyszedł mężczyzna z tatuażami przyćmiewającymi te na rękach pracownicy.

– O co chodzi? – odezwał się.

– Poszukujemy Dagmary. Chcę powiesić tu plakat.

Przyglądał się jej chwilę.

– Pani jest matką?

– Nie. Znajomą. Ale jej mama jest na zewnątrz. Rozpytuje ludzi. Widział pan kiedyś dziewczynę ze zdjęcia?

– Może. Dużo tu dziewczyn się przewija.

Dźwięk tłuczonego szkła uciszył na chwilę gwar w lokalu. Barmanka schyliła się za kontuarem z szufelką, zebrała resztki kufła i rozlanego piwa. Kolorowa papuga, którą miała wytatuowaną na ramionach, falowała skrzydłami przy jej ruchach.

Mężczyzna podszedł do Baśki i zabrał z jej rąk plakat.

– Proszę mi to dać, zawieszę.

Zniknął bez słowa na zapleczu. Barmanka szybkimi ruchami przecierała podłogę, nie patrząc na Baśkę.

– Halo, my tu czekamy! – pieklił się ktoś z kolejki.

Kobieta stojąca za barem czyściła dalej podłogę, jak gdyby zawiesiła się na tej czynności.

Baśka wyszła na zewnątrz. Z daleka zobaczyła Alicję, jak podchodzi do ludzi siedzących na ławkach przed okrągłym placem muszli koncertowej. Miała zgarbione plecy, wyglądała, jakby przez te kilka dni postarzała się o dziesięć lat. Zajda czuła ucisk w sercu. W jej głupim sercu.

Szła w jej stronę, gdy zobaczyła Dominika. Siedział samotnie na hamaku rozwieszonym między drzewami. Podeszła bliżej. Palił zioło, którego zapach rozchodził się wraz z kłębamii dymu. Chciał schować przed nią skręta, ale było już za późno.

– Dominik, jesteś sam? – zagałała.

– Tak się składa.

Wskazała na skręta, który wciąż tkwił w jego palcach.

– Uważaj na to, jesteś w miejscu publicznym. O tej porze na pewno zagłąda tu patrol.

Skrzywił się i sięgnął po mały woreczek, gdzie schował zgaszonego peta.

– Co tu ciocia robi?

– Pomagam szukać Dagmary. Może chciałbyś mi pomóc? Chyba że musisz wracać do domu?

– Spoko, mogę pomóc. A co trzeba zrobić?

Baśka skinęła głową do Ali, która przywołała ją gestem dłoni.



– Za kwadrans zaczynamy przeszukiwanie terenów nad Przemszą. Będziemy z grupą poszukiwawczą.

– Czyli z psami? – zapytał, zanim zrozumiał, że strzelił gafę. – Przepraszam, ciocia, wiesz, że to nie o tobie.

Spojrzała na niego trochę groźnie.

– Jak chcesz, ja muszę już iść. Pozdrów rodziców – powiedziała na pożegnanie.

Alicja niczego się nie dowiedziała. Owszem, całe Mysłowice wiedziały, że zaginęła jakaś Dagmara, ale nikt nie miał żadnych informacji. Niektórzy częstowali Alę cierpkimi komentarzami, które paliły ją w gardle jak zgaga.

Gdy były w drodze do samochodu, dołączył do nich Dominik, który zdecydował się pomóc w poszukiwaniach.

– Ciocia, ale masz flaka! – zawołał, wskazując na pozbawioną powietrza oponę. – Wcale się nie dziwię, ładnie dociążyłaś staruszka. Długo już tak jeździsz z tymi płytkami i kibelem na pace? – zapytał, łapiąc się z rozbawienia za boki.

Zajda pochyliła się nad pojazdem i zaklęła. Wiedziała, że nie powinna jeździć z takim ładunkiem.

– Co robimy? – zapytała Ala.

– Zostawiam tego złoma. Żeby tylko nikt się nie włamał i nie ukradł tych rzeczy.

Na parkingu przy Strumieńskiego było odludnie. W Zawoi nawet nie zamykała samochodu na noc. Tu jednak sprawy miały się inaczej. Miasto nosiło rany pozostawione przez wandalów. Nieudolne graffiti z błędami ortograficznymi, symbole klubowe czy też zwykłe dewastacje raziły ją na każdym kroku.

– Chodźmy, grupa zaraz zacznie poszukiwania. Startują tu obok, przy Kaczej – poganiała Ala.

Poszli w tamtym kierunku.

– Dlaczego siedziałeś sam w parku? – zapytała Baśka chłopaka.

Nie dawało jej to spokoju. Wyglądał tak dziwnie na tym hamaku. Ubrany na czarno. Taki smutny. Wokół tylu ludzi, a on sam.

Nie odpowiedział.

– Masz dziewczynę? – spytała znów.

Nie zdążył zareagować, bo doszli do grupki osób składającej się głównie z policjantów. Było też kilkoro rodziców z klasy Dagmary. Alicja do nich podeszła. Przytulali ją, a ona znów płakała. Wysoki policjant podzielił ludzi na podgrupy. Im rozkazał sprawdzić linię brzegową Przemszy aż do miejsca, gdzie wpada do niej potok Bolina. Kolejna grupa miała przejść tę samą trasę, tylko po drugiej stronie rzeki. Dwie następne linię brzegową aż do Trójkąta Trzech Cesarzy, gdzie łączą się Przemsza z Białą Przemszą.

Zbliżyły się do brzegu, który zarastały krzaki. Podobno stan czystości rzeki znacznie się w ostatnich latach poprawił. Dla Zajdy jednak to wciąż był ściek, w którym nie zanurzyłyby nawet stopy. Woda była brudna i mętna. Szli wzdłuż brzegu, brodząc w błocie. Roślinność przypominała amazoński gąszcz – była przytłaczająca i drapieżna. Wczepiała się w ich ubrania. Po chwili ciuchy Baśki pokrywały rzepty, a skóra na rękach piekła ją od oparzeń pokrzywą. Starła się iść z przodu, by być pierwsza, gdyby coś znaleźli. Spoglądała co jakiś czas na Dominika, który wydawał się bardzo przejęty. Patrzył w nurt Przemszy jakby ze strachem. Obiecała sobie, że jutro porozmawia o nim z kuzynem. Często rodzice nie dostrzegają tego, co dla obcych jest takie wyraźne. Nagle zamarła. W krzakach przy brzegu zamajaczył skrawek ubrania, coś na kształt dżinsowej kurtki. Poczowała, jak serce przeskakuje jej w piersi. Zrobiła

nieostrożnie krok w stronę brzegu rzeki i wpadła nogą w bagno aż po samo kolano.

– Cholera jasna! – zawołała.

– Co się dzieje? – usłyszała zduszony strachem głos Ali.

– Nic, ubrudziłam się. Idźcie dalej, zaraz do was dołączę! – krzyknęła Baśka, patrząc ze strachem na rękaw kurtki wystający z wysokiej trawy porastającej brzeg.

Brnęła przez muł, nie czując nic prócz obezwładniającego lęku. Nie mogła to być sama kurtka, bo jej rękaw był wypełniony. W głowie czuła pulsujący ból. Przystanęła, bojąc się zagłębić w trawę. Spłoszone jej obecnością kaczki wzbiły się z krzykiem w powietrze i przeleciały nisko nad rzeką.

Zbliżyła się do kępy wysokich traw. Była prawie pewna, że na brzegu leży człowiek. Najprawdopodobniej kobieta, bo kurtka wyglądała na damską.

– Baśka, co się dzieje? – Alicja z Dominikiem wyłonili się nagle z zarośli.

Zajda obróciła się do nich. Ala zobaczyła w jej oczach szczerą obawę i spojrzała na dół. Ujrzała to, co tak Baškę przeraziło. Zaczęła krzyczeć. Piskliwie. Jej głos zlał się z wrzaskiem ptaków, które spłoszone odlatywały z kryjówek.

Zajda rozchyliła trawę na boki. Zrobiła jeszcze jeden krok, zapadając się coraz głębiej w muł, i złapała za rękaw dzinsowej kurtki.

***Myslowitz, 23 marca 1912 roku***

**M**arylka zasypiała głodna, bo Majerczyk miał dla nich tylko trochę chleba. Ku jej zaskoczeniu pani Antonina zostawiła je na noc, udając się do innego lokum, a one zostały zamknięte na rygiel. Tłumaczono im, że to dla ich bezpieczeństwa, bo tu po nocach szwendają się różni, co jadą na emigrację i szukają zabawy przed wyjazdem.

O świcie drzwi się otworzyły, a w świetle poranka ukazali się Majerczyk, pani Kowalowa i jeszcze jeden mężczyzna, którego dziewczęta widziały po raz pierwszy. Był to człowiek liczący z pewnością ponad sześćdziesiąt lat. Ubrany gustownie, z krawatem ozdobionym perłową szpilką. Jego twarz była na wskroś semicka. Podszedł do Marylki i zaczął ją oglądać jak krowę na jarmarku, co dziewczynę strasznie zdenerwowało. Odskoczyła, gdy złapał ją za pośladek.

– Kruca fuks! – odburknęła, otulając się szczelniej chustą.

Stary zaśmiał się i puścił oko do Majerczyka.

– Cymes siksy<sup>35</sup>!

Wyszedł, a Kowalowa skinęła na dziewczęta.

– Oporządźcie się, pan Maksymilian zabiera nas na śniadanie.

Obok obleganej przez miejscowych piwiarni Rongego znajdował się wyszynk prowadzony przez starego Żyda Szejmana. Gdy tylko gospodarz zobaczył pana Maksymiliana, począł poganiać kelnera i sam szykować dla nich stolik. Wnet przed wystraszoną Halinką i Marylką wylądowały talerze z parującą jajecznicą, pachnąca kielbasa i czarna kawa. Głodnych dziewcząt nie trzeba było zachęcać do jedzenia. Halinka robiła maślane oczy do pana Samuela, ale Marylka nie spuszczała wzroku ze starego, miarkując, że to szef. Miał on wielki szacunek, bo każdy, kto odwiedził rano wyszynk, kłaniał się mu nisko i próbował zagaić rozmowę. Wciąż pojawiało się jedno słowo: „geszeft”. Marylka je znała, bo Żydów w sąsiednim Makowie było

mnóstwo. Sama z matką nieraz jechała do nich po towary, a i przyrzady do szycia zdobyła właśnie u nich. Byli wśród nich porządni ludzie, ale i tacy, którzy we wszystkim upatrywali interes. Pieniądze, owszem, pożyczycy, ale jak przyszło do oddawania, zabierali całe pola i chałupy.

Po śniadaniu podano ciastka, których Halinka zjadła nieprzyzwoitą liczbę. Pani Kowalowa okazała się bardzo obyta i światowa. Rozmawiała cały czas z obydwoma mężczyznami, poruszając sprawy polityczne i emigracyjne, o których zawojanki nie miały pojęcia. Pan Szejman krzątał się wśród nich, szeptał coś panu Maksymilianowi do ucha. Musiały to być jakieś żarty, bo stary zaśmiał się rubasznie. Wyszli z wyszynku i pożegnali się z panem Maksymilianem, który ucałował panie w dłonie z przesadną manierą. Marylka miała wrażenie, że z nich kpi. Nie miała jednak odwagi podzielić się tymi spostrzeżeniami z panią Kowalową, która wyglądała teraz zupełnie inaczej niż w chatce pod Babią Górą. Była bardziej mieszczańska.

Ujęła Marylkę pod rękę.

– Wesprzyj się na cioteczce, zwiedzimy miasto.

– Nie trza bieletu popłócić? Kieby nie hybło<sup>36</sup> dla nos. Kcom tamok ku stacyi, obejzec, kany jado cugi<sup>37</sup> – dopytywała Marylka, zmartwiona tym, że przez cały poranek nie mówiono nic o wyjeździe.

Antonina Kowalowa ścisnęła ją mocno.

– Ty się nic, Marylka, nie martw. – Obróciła się do Halinki. – Idziemy na zakupy, kochanieńkie. Pan Samuel przeznaczył trochę funduszy na lepsze buty dla was i odzienie cieplejsze, bo na statku zimno będzie.

Halinka aż podskoczyła. Uścisnęła Marylkę i zakręciła piruet wokół własnej osi.

– A ty co tok hibosz<sup>38</sup>? – syknęła dziewczyna do Halinki.

– Heboj<sup>39</sup>. Pudomy na geszefty. – Przyjaciółka nie zwracała uwagi na zły humor Marylki.

Kowalowa pociągnęła je w stronę Wilhelmplatz, gdzie na dole w kamienicy mieściła się Pracownia Sukien i Bielizny Alemelji Hilke. Pachniało tam kawą, a na manekinach krawieckich pyszniły się czekające na odbiór gotowe suknie. Był też szykowny surdut. Na szerokim blacie kontuaru leżały próbki różnych tkanin. Ściany pomieszczenia zdobiła tapeta w kwiatowy wzór. Krawcowa kazała im się rozebrać za parawanem, co Halinka zrobiła bez zastanowienia. Marylka Siwiec stała jednak w kącie, coraz bardziej zadziwiona. Nie mogła pojąć, dlaczego pan Majerczyk miałby im ufundować bieliznę. Czy dla pani Kwaśnej także jest taki szczodry? Może takie w mieście panują zwyczaje? Żałowała, że nie ma przy niej matki lub braci. Mogłaby się ich poradzić. Nie chciała zachować się niegrzecznie. Ślepy entuzjazm Halinki bardzo ją denerwował. Cieszyła się ze wszystkiego jak głupia. A Marylce coraz mniej było do śmiechu. Z każdą chwilą ogarniał ją większy niepokój. Postanowiła, że musi spotkać się jeszcze raz z Kwaśnymi.

– A ty, droga panno, dlaczego nie jesteś za parawanem? – zapytała pani Hilke.

– Jo nie kcom inksych łachów. Matko mi doło.

– Nie bądźże niewdzięczna. To wielka uprzejmość – odezwała się Kowalowa nieprzyjemnym tonem.

Marylka się skrzywiła, ale w końcu posłuchała. Za parawanem krawcowa zaczęła ściągać miarę niemal z każdej części jej ciała, skrupulatnie zapisując dane w brulionie. Po jakimś czasie, ku przerażeniu dziewczyny, z zaplecza wyłonił się mężczyzna w białym kitlu, wyglądający na felczera, i rozpoczął badanie. Zaglądał im do gardeł, uszu, włosów. Gdy jednak kazał podnieść koszulę i położyć się na ławie, Marylka wyskoczyła

zza parawanu jak oparzona. Ubierała się w popłochu, a wszyscy się śmiali. Wybiegła na ulicę i o mało nie wpadła pod furmankę. Otoczył ją gwar i hałas pociągów. Czuła się jak prostaczka. Oddychała głęboko, poprawiając rozchełstaną bluzkę. Z pracowni wyszła pani Antonina.

– Marylka, chodź tu. Uspokój się. Doktor chciał cię tylko zbadać. To jest konieczne przed wyjazdem.

Dziewczyna nie patrzyła w jej stronę. Wzrok jej podążał za hamującą lokomotywą. Chciała iść do Kwaśnych, do baraków, w których się zatrzymali. Opowiedzieć im o dziwnym Żydzie, który sprawiał wrażenie szefa Majerczyka.

– Opowiedziałam pani Hilke o twojej sukni. Kazała ją przynieść.

Marylka odwróciła się zaciekawiona.

– Może przesyje ci jeszcze ścięgi na maszynie i dołoży żabocik.

Dziewczyna dygnęła z przejęciem. Suknia miała być biletem do nowego życia. Jej marzeniem, celem samym w sobie. Zupełnie o niej zapomniała. Poczuli się niewdzięczna. Wróciła do lokalu ze skruszoną miną. Skłoniła się pani Hilke, niezdarnie próbując ją w ten sposób przeprosić.

### ***Mysłowice, 30 czerwca 2021 roku***

**C**iało leżące w trawie wydało się jej jakieś sflaczałe. Zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech, jak gdyby miała zanurkować. Przerazający krzyk Alicji paraliżował jej ruchy. Chwyciła ostatnie kępy roślinności, które zasłaniały sylwetkę, i zamarła. Tego się nie spodziewała.

– To marzanna! – zawołała Baśka. – Pierdolona marzanna, kukielka ubrana w kurtkę.

Podniosła znaleźzisko, aby Ala wreszcie się uspokoiła.

Kukła musiała tu leżeć od pierwszego dnia wiosny. Zrobiona ze słomy postać miała głowę wykonaną ze szmat, a na niej przyczepioną perukę, jaką teraz można kupić w każdym markecie przed sylwestrem. Dół marzanny był gorzej zachowany, ponieważ znajdował się najwidoczniej w wodzie. Pozostałości spódnicy były całe obłocone. Zajda czuła się jak ta kukiełka. Wraz z resztkami sił uchodziły z niej emocje.

Spojrzała na koleżankę, która siedziała zapłakana na trawie. Dominik wymiotował kilka kroków dalej. Pożałowała, że go tu zabrała. To był głupi pomysł.

– Dominik, wszystko okej? – zapytała, wyciągając butelkę wody z plecaka. – Masz, przepłucz usta.

Alicja wstała i otrzepała się. Miała czerwoną twarz.

– Tu nie ma Dagmary. Ona żyje, nie leży w żadnych krzakach – powiedziała stanowczo i obróciła się na pięcie. – Dzwonię do Maćka, żeby po nas przyjechał.

Wyszli w stronę bloków na Kołłątaja. Z parku wciąż dobiegała muzyka.

– Maciek zaraz zabierze nas ze Strumieńskiego – powiedziała Ala.

– Podwieziecie Dominika? – rzuciła Baśka. – Ja się jeszcze przespaceruję. Wrócę na nogach. Mam blisko.

Oboje przystali na jej propozycję. Po chwili Maciek zatrzymał się przy ulicy. Zajda nie czekała, aż wyjdzie z samochodu. Pomachała im i ruszyła z powrotem w stronę muszli koncertowej. Miała wielką ochotę napić się piwa. Był późny czerwcowy wieczór. Wpół do dziewiątej, a wciąż było widno. Doszła do baru przy muszli, gdzie młodzieży było coraz więcej, choć zebrała się też starszyzna. Na hamaku, na którym siedział wcześniej Dominik, bujał się około czterdziestoletni facet z ciekawą, asymetryczną fryzurą. Patrzył na nią. Obok niego bawił się cały stolik mężczyzn w tym samym wieku. Coś było w ich wyglądzie i zachowaniu, co sprawiało, że



Zajda zapragnęła się do nich dosiąść. Najpierw jednak ruszyła do baru. Gości obsługiwał tym razem młody mężczyzna, który wyglądał jak brat bliźniak poprzedniej barmanki. Baśka spojrzała w stronę zaplecza. Ciemności nie rozświetlał blask monitora – widocznie szef już poszedł. Zamówiła dwa piwa. Gdy płaciła, zapytała o dziewczynę, która wcześniej ją obsługiwała.

– Ma przerwę na fajkę – odpowiedział młody, nalewając kolejne napoje.

Wyszła z lokalu i zajrzała na tyły. Dziewczyna paliła papierosa, wpatrzona w ekran telefonu.

– Hej – przywitała się Zajda, stawiając piwa na murku.

Wyciągnęła papierosa i przybliżyła się do dziewczyny.

– Dziękuję, że pomogłaś mi z tym plakatem.

Barmanka uniosła głowę. Świdrowała ją małymi czarnymi oczyma.

– Trochę się zdenerwowałaś, gdy twój szef ze mną rozmawiał.

Zaciągnęła się, dalej milcząc.

– Spadł ci kufel. Miałam wrażenie, że z nerwów – ciągnęła Baśka.

– Kufle spadają, to normalne – odpowiedziała dziewczyna i wrzuciła peta do brudnego słoika z wodą leżącego pod jej stopami.

Gdy się obróciła, twarz Zajdy niemal jej dotykała.

– Ty ją znałaś... Powiedz, co wiesz. I tak policja wszystkiego się dowie. Po co masz mieć problemy, że coś ukrywałaś?

Wytatuowana papuga na ramionach dziewczyny poruszyła się niespokojnie, jak gdyby chciała się zerwać do lotu i usiąść na parkowej gałęzi.

– Nic nie wiem. Może znałam, może nie znałam. Tu jest taki przemiał. Co chwila pojawiają się nowe dziewczyny... – Pocierała nerwowo szyję, wbijając w nią pomalowane na czarno paznokcie.

– Pojawiają się gdzie? Za barem?

Dziewczyna zacisnęła usta. Zajda już wiedziała, że trafiła w sedno.

– Pracowała tutaj?

Cienkie palce barmanki zanurkowały znów w paczce papierosów. Wyciągnęła jednego i siłowała się z zapalniczką. Zajda podała jej ogień, jeszcze bardziej się przybliżając.

– A pani co się tak angażuje? Chyba nie z psiarni?

– No co ty, Baśka jestem. – Podała jej dłoń, której dziewczyna nie przyjęła. – Dagmara to córka mojej kumpeli. Staram się jej pomóc.

Znów zapadła cisza.

– Była tu tylko dwa wieczory. Chciała sobie dorobić, ale nie nadawała się.

– Do czego się nie nadawała? Co miała robić?

– Zbierać szkło ze stolików, myć je na zmywaku, wkładać do wyparzarki. Szefowi się nie spodobała.

– Dlaczego się nie przyznał, gdy go o nią pytałam?

– Nie wiem – odpowiedziała.

Baśka przyglądała się, jak dziewczyna wciąga dym papierosowy. Wręcz go pochłaniała.

– Szef jest specyficzny. Barmanki mają być uśmiechnięte i wyluzowane. Nie mogą obrażać się o byle co. – Nagle dziewczyna zeszywniała. – O kurwa, to on. Wrócił z sokami, bo zabrakło – powiedziała, wskazując na światła zbliżającego się samochodu. – Proszę stąd iść. Jak się dowie, że rozmawiałyśmy, to będę miała przejebane.

– Już się zmywam. Powiedz mi tylko: kiedy Dagmara tu pracowała?

– Miesiąc temu – odparła barmanka, wiążąc worek śmieci.

Ewidentnie szukała zajęcia, aby szef nie pomyślał, że się leni w robocie.

Baśka zabrała piwa z murku i już miała odejść, ale zatrzymała się za rogiem w kępie jaśminu. Właściciel lokalu wyszedł z samochodu dostawczego i zaszedł pracownicę od tyłu. Dziewczyna stała jak sparaliżowana. Wsadził jej rękę pod bluzkę, a drugą do spodni. Szeptał jej coś do ucha, lecz Zajda nie była w stanie niczego usłyszeć z tej odległości. Zrozumiała, czego szef wymaga od swoich barmanek. Mają być „wyluzowane” i dać się obmacywać na zapleczu.

Obeszła budynek i znów była wśród stolików. Grupka artystycznych czterdziestolatków wyglądających na członków grupy rockowej już się ulotniła. Wciąż jednak na hamaku spoczywał ten, na którego Zajda zwróciła uwagę na początku. Podeszła do niego i podała mu piwo.

– Napijesz się ze mną? – zapytała, sama nie rozumiejąc, dlaczego to robi.

Facet usiadł prosto i przyjrzał się jej z szelmowskim uśmiechem, zabierając kufel z jej ręki.

– Baśka jestem – przedstawiła się.

– Grzesiek.

Usiadła na worku sako ustawionym pod drzewem. Facet zeskoczył z hamaku, przyciągnął drugi worek i ustawił go blisko Baśki.

– No zaczynaj, dziewczyno.

– Co mam zaczynać?

– Nawijkę. Dosiadasz się, piwem częstujesz. Chyba pogadamy?

Zajda czuła, że tego właśnie potrzebuje. Wycieńczało ją myślenie o Dagmarze, patrzeć na cierpienie Alicji. Gdyby była w Zawoi, poszłaby po prostu do dziadka Uciechy. On zawsze jej słuchał, pomagał jej złapać balans. Teraz, po akcji z tą marzanną, czuła, że zaraz pęknie.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Czas płynął, a oni wlewali w siebie kolejne litry piwa, wylewali zaś opowieści. Grzesiek miał ciekawe

oczy, które się zapalały, gdy schodzili na temat muzyki. Mówili też o książkach, podróżach i psach. Baśka zapadała się coraz głębiej w worek sako, upojona chmielem. Jej rozmówca zdawał się nią żywo zainteresowany.

– Baśka, wiesz, że ty piękna jesteś?

Zaśmiała się grubo, tak jak nie lubią faceci.

– Jaja sobie robisz. Zawsze byłam tą brzydszą.

– Brzydszą niż kto?

– Niż Iza.

– Kim jest Iza?

Spojrzała w niebo. Świecił nad nimi Wielki Wóz. Wskazała palcem jedną z gwiazd.

– Iza – powiedziała.

Wstawanie z worka sako w stanie upojenia alkoholowego okazało się karkołomnym zadaniem. Zajda turlała się po ziemi niczym niezdarna panda.

– Odprowadzę cię – zaproponował Grzesiek, który sprawiał wrażenie dużo bardziej trzeźwego niż ona.

– Nie trzeba.

– Coś ty, nie wygłupiaj się. Po tym, co się stało z tą dziewczyną nad Hubertusem... Nie ma mowy. Sama nie pójdziesz.

Korciło ją, żeby zapytać, co mówią ludzie na temat zabójstwa. Ale ugryzła się w język. Miała się upić i zresetować. Jak dotąd plan przebiegał bez zarzutu. Odnieśli puste kufle do baru, a wzrok Baśki spotkał się ze spojrzeniem barmanki. Małe czarne oczy patrzyły lękliwie. Lokal był obskurny, ale zarazem klimatyczny. Jedna ściana była poświęcona zespołowi Myslovitz. Zdjęcia z koncertów, płyty winylowe. Grzesiek

zawołał Baškę i pokazał jej fotografię, na której tłum podskakuje przed muszlą koncertową. Obiekt był w dużo lepszym stanie.

– Kochana, to był najlepszy koncert, na jakim w życiu byłem. Widzisz tego gościa tu? – Wskazał jednego z pogujących chłopaków. – To ja. To był koncert na pięciolecie zespołu Myslovitz, zaprosili Muńka Staszczyka z całym zespołem T.Love. Piękne czasy. Jeszcze razem wtedy byli.

– A ty byłeś młody... – zaśmiała się.

Patrzyła na fotografię i pomyślała, że chciałaby się tam przenieść. Pogować z Grześkiem przed samą sceną.

– A tu w Kominie. Mieliśmy taki zajebisty lokal na Grunwaldzkiej. Goście z zespołu często tam wpadali.

Na fotografii członkowie zespołu tańczyli w wężyku. Zajda się zaśmiała.

– Rzeczywiście to musiały być fajne czasy.

Przyglądała się przez chwilę zdjęciom i tablicy ogłoszeniowej zawieszanej przy wyjściu. Coś przykuło jej uwagę, ale była zbyt pijana, by ze zrozumieniem przeczytać zamieszczone tam informacje. Ktoś niechcący ją popchnął, wchodząc z impetem do środka. Grzesiek ujął Baškę w pasie. Wyszli w czerń nocy.

Szli przez Park Zamkowy w kierunku Bytomskiej. Co chwila mijali ich młodzi ludzie, czasem jakiś samotny kłozard. Zatrzymali się na placu Mieroszewskich. Zajda spoglądała na pięknie zdobione kamienice z oknami zabitymi deskami.

– Jakie cudne! – mówiła, lekko bełkocząc. – Tu powinien być hotel albo coś fajnego. Dlaczego one stoją takie zaniedbane?

– Nie wiem. Te na Bytomskiej zaczynają remontować, całą ulicę mają odnawiać. I park.

Patrzyła na wielkie zdobione drzwi do kamienicy na rogu. Usłyszała coś jakby szept. Przeszedł ją dreszcz. Zrobiła krok do tyłu.

– Tam ktoś jest.

– Pewnie szczury albo bezdomni. Każdy pustostan ma jakiegoś lokatora.

– Może sprawdzimy?

– Zwariowałaś? O tej porze to tylko kosę można dostać w takim miejscu. – Grzesiek podniósł rękę na sunącą powoli taksówkę. – Chcę się z tobą znowu spotkać – powiedział poważnie.

– Szczerze? Nie ma takiej możliwości.

– Bez zobowiązań, poważnie...

– Znajdę cię na hamaku – powiedziała tajemniczo i wsiadła do taksówki.

---

26 pilnuję (śl.).

27 pani z miasta (śl.).

28 gazety (śl.).

29 Prawda? (śl.).

30 podobna (śl.).

31 chłopaki (śl.).

32 koleżankami (śl.).

33 niejeden (gwar.).

34 duszę (gwar.).

35 Pejoratywne określenie nie-Żydówki, dziewczyny chłopskiej.

36 brakło (gwar.).

37 pociągi (gwar.).

38 podskakujesz (gwar.).

39 Chodź (gwar.).

# ROZDZIAŁ 5

*Mysłowice, 1 lipca 2021 roku*

**W**stała z kacem, który rozsadzał jej głowę. Mimo wszystko uśmiechnęła się na myśl o poprzednim wieczorze. Dawno się tak nie bawiła. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło. Chyba nigdy wcześniej nie podeszła do obcego mężczyzny z piwem. Ale wczoraj właśnie tego potrzebowała. Może to nie było rozsądne, lecz pozwoliło jej złapać dystans do sprawy.

Zrobiła sobie kawę i muesli z mlekiem. Gdy tak siedziała w mieszkaniu ciotki, wpatrując się w obraz ze Świętą Barbarą, zadzwonił dzwonek. Usłyszała za drzwiami głos Kariny. Przez kilka sekund zastanawiała się, czy nie udawać, że jej nie ma. Podeszła jednak do drzwi i otworzyła. Kobieta się uśmiechnęła – wedle Baśki fałszywie – i wkroczyła do mieszkania. Chciała dać jasno do zrozumienia, że jest u siebie.

– Słyszałaś, że auto ci poszło kaput. Dōminik mi gōdōł – rzuciła, rozglądając się z zaciekawieniem po mieszkaniu. – Pōdź, jademy. Pōdã jeszcze po ujka, to nōm pōmoże.

Baśka była zaskoczona. Spodziewała się po Karinie ataku, uszczypliwości, ale nie pomocy.

– Nie chcę robić kłopotu.

– Niy gōdej gupot, ino sie rychtuj – odparowała Karina, zwiedzając mieszkanie. – Jak ci idzie z rymōntym?

– W porządku. Znalazłam fachowca, który zrobi hydraulikę. Ale płytki muszę położyć sama. Strasznie dużo sobie za to śpiewają.

Kobieta pokiwała z uznaniem głową.

– Prōwdã gōdajōm, że baby z gór sōm zwyrtn<sup>40</sup> – powiedziała, kierując się do drzwi. – Idã po ujka i cekōmy przy aucie.

Baśka nie myślała wiele, tylko zebrała się szybko i zbiegła na dół. Wujek Alojz mieszkał w identycznej kamienicy obok. Uśmiechnął się na jej widok.

– Co to góralica narobiła?

Zajda odwzajemniła uśmiech.

– Chyba przeliczyłam się trochę z moim passatem. Dociążyłam go płytkami i całą resztą. Nie miałam siły tego rozpakować i tak jeździłam z obciążeniem.

Zajęli miejsca w potężnym vanie Kariny i pojechali na Strumieńskiego. Tam wujek Alojz obejrzał samochód i zawyrokował, że muszą przełożyć ładunek. Karina z Baśką wzięły się do przepakowywania pudełek z płytkami.

– Fajnie flize żeś ôbrała – pochwaliła Baśkę.

– Dzięki. W sumie były najtańsze, ale i tak wpadły mi w oko.

Gdy skończyli, wujek Alojz założył koło zapasowe, które Baśka na całe szczęście wozila w bagażniku. Po godzinie dojechali samochodami do mieszkania i wnieśli towar. Baśka zaparzyła kawę, po czym usiadła.

– Jõ juz lecã, bo mōm ôd połedniõ – pożegnał się Alojz, lecz Karina zatrzymała go przed drzwiami.

– Ujek może byś pokłõd Baśce kafle?



Zajda otwierała szeroko oczy ze zdziwienia. Nigdy nie potrafiła prosić, ale teraz wiedziała, że sama sobie nie poradzi.

– Boże, byłoby wspaniale. Nie mam dużo pieniędzy, ale jakoś się odwdzięczę.

Alojz się zaśmiał. Karina spojrzała na niego z taką miną, że nie miał wyboru. To ona rządziła w tej rodzinie. Baśka zauważyła to już na pogrzebie.

– Zgoda – powiedział. – Ale niy spodziywej sie cudōw, bo jō niy fachman.

Baśka aż podskoczyła z radości.

– Bydã jutro z rana.

– Jeju, tak się cieszę.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale mężczyzna zniknął za drzwiami. Usiadła przy Karinie.

– Naprawdę mnie zaskoczyłaś. Wcześniej miałam wrażenie, że... jesteś na mnie zła – powiedziała ostrożnie.

– Bo je żech, ale familijō to rzecz śwyntō. A my, baby, musimy sie trzymać do kupy – odparła z rozbijającą szczerością.

Była ubrana trochę staromodnie, nadwaga dodawała jej lat, ale miała w sobie jakiś ukryty seksapil.

– À propos rodziny – zaczęła Zajda delikatnie. – Chciałabym porozmawiać z tobą o Dominiku. To naprawdę świetny chłopak. Pomógł mi w porządkach, a także wczoraj, gdy przeszukiwaliśmy teren nad Przemszą...

Karina otworzyła szerzej oczy.

– Wiem, to był głupi pomysł. Wybacz mi. Sama rozumiesz, nie mam dzieci i czasem to, co jest oczywiste dla rodzica, dla mnie takie nie jest. –

Patrzyła na twarz Kariny, niespecjalnie jednak przejętą tymi nowinami. Kontynuowała: – Spotkałam go w parku. Siedział zupełnie sam. Był smutny, bardzo smutny.

Karina skrzywiła usta, pociągnięte pomadką w krzykliwym kolorze.

– Wiysz, jak to je z nastolatkami. Durch<sup>41</sup> jakieś fochy.

Baśka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Zgadza się. Same takie byłyśmy. – Zaśmiała się. – Nie pomyśl, że się wtrącam, czasem ktoś z boku może zobaczyć więcej niż najbliżsi.

– Niy gorszã sie<sup>42</sup> na ciebie. Dobrze, iże gōdōsz. Je jakiś pofyrtany<sup>43</sup> ôstatnio. Može Marcin śniym pogōdō.

Na tym skończyła się rozmowa o Dominiku. Karina upiła łyk kawy i spojrzała smętnie do filiżanki.

– Nie smakuje ci? – zapytała Baśka.

– Niy mōsz barbōrki abo jakij maszkyt do bonkawy<sup>44</sup>?

– Mam gorzką czekoladę z kawałkami pomarańczy – zreflektowała się Zajda.

– Dej – powiedziała Karina, kręcąc z politowaniem głową nad gospodynią.

Baśka poczuła się jak Chujowa Pani Domu z fanpage’a na Facebooku, który uwielbiała. Gawędziły jeszcze jakiś czas. Karina była ciekawa, dlaczego pomaga w poszukiwaniach Dagmary. Nie mogła zrozumieć jej motywacji. Zajda pomyślała, że chyba to zmieniło podejście Kariny. Po wypitej kawie spacerowały po mieszkaniu, a Baśka opowiadała, jakie ma plany remontowe. Na koniec pomogła załadować do vana rzeczy po ciotce. Gdy stały przy samochodzie, obydwie spojrzały w stronę przewiązki.

– Most Westchnień – powiedziała Karina.

– Skąd ta nazwa?

– Ôpowiym ci przy nõstymponyj kawie. – Wskazała na dziewczynę zmierzającą w ich stronę. – Marzena, ty sam pomõgej czasym pani Basi! – krzyknęła tonem prawie rozkazującym. – To cera<sup>45</sup> ôd ujka Alojza – wytłumaczyła, po czym wyszeptała Baŝce do ucha: – Zosia, matka Marzeny, umrziała na raka põrã lõt tymu i ujek Alojz ôstoł bez baby.

Zajda nie była pewna, czy dziewczyna przypadkiem tego nie usłyszała.

Karina wsiadła do samochodu i odjechała, a Baŝka stała teraz z Marzeną na rozgrzanej ulicy. Mimo upału blada twarz dziewczyny sprawiała wrażenie zmarzniętej.

– Przyniosłam taker. Rozwiesiłam ogłoszenia, gdzie się dało.

Baŝka wzięła urządzenie.

– Bardzo ci dziękuję.

– Wiadomo coś w sprawie Dagmary?

Zajda pokręciła głową. Twarz dziewczyny była jakaś nieodgadniona. Patrzyła na Baŝkę z napięciem, ale ona nie wiedziała, o co chodzi.

– Dowiedziałam się, jak się nazywa dziewczyna znaleziona nad Hubertusem.

– Naprawdę?

– To Majka Waligóra. Mieszkała na Piosku.

– Coś jeszcze wiesz?

– Tylko tyle...

– Dzięki za info – powiedziała Baŝka. – Muszę już lecieć, mam dużo pracy z remontem.

Zrobiła krok w stronę kamienicy, ale dziewczyna stała w tym samym miejscu, niemal nie oddychając. Zajda przystanęła. Ich oczy się spotkały. Marzena przejechała dłonią po długich czarnych włosach. Spojrzała na ich końce jakby ze strachem.

– Jest kolejna.

Zajda poczuła zimny dreszcz na karku. Nie musiała pytać, o jaką „kolejną” chodzi. Podskórnie wiedziała, przeczuwała, że to następna dziewczyna o czarnych włosach.

– Gdzie? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– W kamienicy na placu Mieroszewskich – odpowiedziała Marzena z lękiem w oczach.

### ***Myslowitz, 23 marca 1912 roku***

**G**dy wróciły do baraku przy Entenstrasse, Marylka się zastanawiała, czy nie powiedzieć o swoich wątpliwościach Halince. Lecz po wizycie u krawcowej koleżanka paplała bez przerwy o jakimś gorseciku. Nie było sensu dzielić się z nią przemyśleniami. Marylka leżała długo na pościeli, czekając, aż Halinka zaśnie. Gdy usłyszała ciche pochrapywanie, wyciągnęła z rękawa mały przyrząd, który ukradła z zakładu krawieckiego podczas ściągania miary. Nie do końca знаła jego przeznaczenie, ale wydawało się jej, że to może być prujka do przecinania ściągów. W każdym razie przyrząd był wykonany z metalu i przypominał ostre szydełko. Po cichu wstała i podeszła do zaryglowanego okna. Wyciągnięcie gwoździ, którymi zabito okiennice, zajęło jej ponad kwadrans. Zraniła sobie palec, zaczął obficie krwawić. Ale w końcu się jej udało. Pod okno podstawiła zydelek i wyskoczyła na zewnątrz.

Noc była chłodna, a Marylka zdała sobie sprawę, że nie zabrała chusty. Nie chciała jednak ryzykować, że Halinka się obudzi. Oparła się o ścianę baraku i nasłuchiwała. Słyszała cichy szum Przemszy i hałasy dobiegające z kilku baraków postawionych obok. Szła na południe, w stronę dworca.

Nie wiedziała, która jest godzina. Dni były wciąż takie krótkie. Gdy tylko znalazła się przy Neue Kirchstrasse, zrobiło się prawie tłoczno. W wyszynkach bawili się ludzie, pijąc piwo i głośno śpiewając. Bała się iść samotnie przez miasto. Nie znała niemieckiego, którym porozumiewała się duża część mieszkańców Myslowitz. Przemykała od cienia do cienia na Wilhelmplatz, a dalej przez całą Bahnhofstrasse. Gdy doszła do końca, przed jej oczyma pojawiła się przewiązka nad ulicą. Zamarła ze strachu, widząc dwóch strażników pilnujących budynku administracji i wejścia.

Skręciła w lewo przy pięknej willi i obeszyła zatopione w gęstwinie ogrodzenie, szukając przejścia. Była już cała przemarznięta. W odległości kilkunastu metrów zobaczyła jakąś parę. Jasny księżyc oświecał ich błyszczące od potu twarze. Dziewczyna i chłopak całowali się namiętnie. Marylka zamarła, lecz było już za późno. Chłopak zawołał:

– Kto idzie?

Zostawił dziewczynę i zrobił kilka susów w stronę Marylki. Przyparł ją do płotu i uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby. Serce waliło jej ze strachu.

– Ktoś ty? – zapytał.

– Jo sukum Jyndrka Kwaśnego z Zawoji – wydukała, czując kwaśny oddech nieznanego.

Chłopak zwolnił uścisk.

– Tego młodego od górali z piątki szuka. Zawołajże go, Maniu! – krzyknął w stronę dziewczyny. – Ja ją tu przypilnuję.

Marylka stara sparaliżowana ze strachu. Chłopak musiał mieć z dwadzieścia lat. Na głowie nosił zawadiacki kaszkiet w kratę. W jego twarzy było coś chytrego, co napawało ją nieufnością.

– Co to? Na amory przyszła panna?

Nie odpowiedziała. Zmarznięta opatulila się rękoma.

– Ale panna drży, ja przytulę, ogrzeję – powiedział lubieżnie, zbliżając się znów do niej.

Odskoczyła na bok.

– Nie bałamuć! Bo jak Jędrak увидzi, to będzie bitka! – zawołała, skutecznie odstrasżając adoratora.

Chłopak stał naburmuszony kilka metrów dalej, dłubiąc w zgniłych zębach.

– A ty, panna, co? Czemu nie tu, u Weichmanna?

– A dyć nic ci do tygo – odburknęła.

– A przez jakiego agenta tu przyjechała?

– Majerczyka.

Słyszając to nazwisko, chłopak zagwizdał przeciągle i miał już zamiar coś powiedzieć, ale w szparze ogrodzenia pojawiła się głowa Jędrka Kwaśnego. Skinął głową, dając tamtemu znać, żeby ich zostawił.

Stanął naprzeciwko Marylki. Z zimna jej twarz była trupio blada.

– Jezusicku, przeca zmarzniesz. Ka mos chusto?

Zarzucił jej na plecy swój serdak i wahając się chwilę, wziął ją w końcu w ramiona. Poczwała ciepło bijące z tego młodego ciała. Jego zapach ją uspokoił. Może jeszcze wszystko się ułoży? Kwaśni zabiorą ją ze sobą? Stali tak przytuleni długą chwilę, aż w końcu Jędrak uniósł jej brodę i spojrzał głęboko w oczy.

– Co ci, Marylka? Cymuś przysło?

– Bojom sie – wyszeptała, a jej broda zatrzęsała się żałośnie.

Jędrak Kwaśny czuł, jak słabość do dziewczyny rozlewa się po jego ciele. Ogarniała go dziwną falą gorąca. Jej płacz sprawiał, że pragnął Marylkę chronić za wszelką cenę. Dziewczyna opowiedziała mu o swoich wątpliwościach. Błagała o wstawiennictwo u starego Kwaśnego. Jędrak

wysłuchiwał tych wszystkich niepokoi, scałowując je z jej ust. Słuchał, nie rozumiejąc do końca. W końcu zatopił w niej swój język. Poddała się mu, miękka ze strachu. Sięgnął dłonią do jej koszuli i wyłuskał jej młodą, jędrną pierś. Przez chwilę zeszywniała. Zamierzała uciec, ale te Jędrkowe usta i ręce wydały się jej jedyną bezpieczną przystanią. Ssał jej różowe sutki, a ona tuliła jego kosmatą głowę. Chciał jeszcze, ale Marylka zdecydowanym ruchem poprawiła koszulę.

– Nie byće toki dokucny, Jyndrku – powiedziała, uśmiechając się szelmowsko. – Dyć mlyko mos jesce pod nosem.

Chwyciła się pod boki. Jędrak się zaśmiał. Jego policzki i usta płonęły.

– Heboj – powiedziała tajemniczym głosem, wyciągając dłoń w jego stronę.

Chciała, żeby ją odprowadził. Strach było iść samej przez miasto, które nocą nie śpi. Szli przytuleni, a chłopak opowiadał jej o ludziach spotkanych w barakach Stacji Emigracyjnej. O Węgrach, których mowy nikt nie rozumie, o góralach z Podhala, których moc wyjechała już do Ameryki. Z każdym krokiem Marylka wpatrywała się w Jędrka z coraz większym zachwytem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego do tej pory go odrzucała. Nieraz smalił cholewki, a ona zawsze go zbywała, nie żałując docinek. Marzyła o nieistniejącym dandysie, o wyimaginowanym mężczyźnie, który miałby wachlarz cech spełniających jej naiwne pragnienia. Teraz jednak, po tych kilku dniach spędzonych poza domem, kiedy czuła, jak życie wymyka się jej z rąk, dobra twarz Jędrka wydała się pociągająca. Chciała, żeby chwycił ją jeszcze raz w ramiona. Po ulicy, oświetlonej światłami latarni, wciąż jednak kręcili się ludzie. Głównie mężczyźni wędrujący w grupach pomiędzy wyszynkami. Kiedy mijali lokal Żyda Szejmana, Marylka wskazała go chłopakowi, mówiąc o śniadaniu, które tu jadła. Jędrak był bardzo ciekawy, jak wygląda w środku taki wyszynk.

– Dyć co uwidza bez szybo – szepnął i zostawiając na chwilę dziewczynę, podbiegł do witryny i zajrzał przez nią do środka.

Musiał tam zobaczyć coś ciekawego, bo stał przy witrynie dłużej chwilę. W końcu odwrócił się powoli i dołączył do swojej towarzyszki.

– Cosik żeś uwidzioł, bo muce<sup>46</sup> mos kapke inkso<sup>47</sup>.

– Tamok łona siedzi i pijo z chłopami – odpowiedział młody Kwaśny, wyraźnie poruszony.

– Kiery łona?

– Ta Antonina, zamraćkana<sup>48</sup> cało.

– Poni Kowalowa? Wydziwias, Jyndrku mój, wydziwias – odpowiedziała głosem pełnym żartobliwej kpiny i sama podeszła do witryny, uważając, aby nikt z gości jej nie zauważył.

Wewnątrz przy jednym ze stolików siedziała jej opiekunka, wyraźnie już pijana. Wsparta na ramieniu jakiegoś mężczyzny, z rozchełstaną bluzką, czerwoną twarzą i oczami iskrzącymi od wypitego alkoholu. Marylka nie mogła jej poznać. W chwili gdy oparła czoło o zimną szybę witryny, do stolika podszedł Żyd Szejman z butelką wódki. Antonina Kowal trzymała w ręku papierosa umieszczonego na długiej lufce i zaciągnęła się dymem, po czym wypuściła go, zmysłowo składając wargi. Wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem, kierując głowę do góry i odsłaniając szyję. Marylka nie знаła mężczyzny, o którego bark wspierała się jej opiekunka. W kącie siedziało jeszcze kilku, ale ich twarze były skryte w cieniu przepierzenia.

Marylka poczuła się oszukana. Kobieta, którą znała, którą rodzice przyjęli pod swój dach, okazała się zupełnie inną osobą. Antonina Kowal, zapięta na co dzień pod szyję, siedziała teraz w wyszynku roznegliżowana, sama z kilkoma mężczyznami, pijąc wódkę i paląc papierosy. Marylka była zdumiona pewnością siebie pani Antoniny. Nie rozumiała, dlaczego przed



nią udaje kogoś zupełnie innego. Pewnie stałaby tam jeszcze trochę, gdyby nie Jędrak, który pociągnął ją za sobą. Przez długą chwilę młodzi się śmiali, zaraz jednak przyszła refleksja. Usiedli zmartwieni na deskach ułożonych przy brzegu rzeki.

– Łojcu łopowiom. Łon ta co umyśliy. Nie frasuj sie, Marylko moja. Wiys ty, ze jo cie zawse tok miłowoł? A tyś mi umykało choćby jako sarno płocho. A jo cekoł. Tera cie juz nie opuscom.

Ujął jej twarz i zaczął całować, czule i z namaszczeniem, jak gdyby trzymał w dłoniach największy skarb. Gdy się pożegnali, Marylka dostała się z powrotem do swojego baraku, przez nikogo niezauważona. Pomimo szoku doznanego na widok pijanej Kowalowej zasypiała spokojnie, czując wciąż ciepło Jędrkowych pocałunków. Teraz była jego, a on był jej i nic nie mogło już jej grozić. Naiwnie wierzyła, że siła miłości pokona wszelkie zło.

### ***Mysłowice, 1 lipca 2021 roku***

**W**ybrała numer do Ali, lecz poddała się po sześciu sygnałach. Czy wiedziała już o znalezionym ciele? Była na miejscu? Czy to Dagmara? W głowie Zajdy kotłowały się myśli, razem z tą najgorszą, która powoli wyłaniała się z rozmazanych alkoholem wczorajszych wspomnień. Uświadomiła sobie, że to ta sama kamienica, przed którą stała w nocy z Grześkiem. Przypomniała sobie szept, który słyszała. A właściwie czuła. Tak jak się czuje, gdy ktoś przejdzie obok, choć się go nie widzi. Postanowiła, że zaczeka, aż Ala się odezwie. Wzięła się do zabezpieczania mebli folią. Nie mogła się skupić na pracy, wszystko wylatywało jej z rąk. Z mozołem odsuwała od ścian szafy i kanapy. Przyłapała się na tym, że myśli tylko, by wziąć telefon i zacząć szukać jakichkolwiek wieści na lokalnym portalu informacyjnym. Zdusiła w sobie ciekawość. Najpierw

zdjęła ze ścian obrazy, które jeszcze zostały po ciotce, i włożyła je do kartonu. Jedynie świętą Barbarę pozostawiła w mieszkaniu. Miała wrażenie, że to trwały element tego miejsca. Omiotła ściany, a następnie rozrobiła w misce trochę gipsu i zaczęła szpachlować dziury i nierówności. Myśli wciąż jej uciekały do ciężkich zielonych drzwi prowadzących do kamienicy na placu Mieroszewskich. Nie, nie może się tak angażować. Musi się skupić na remoncie. Jest na urlopie. Tak by jej doradziła matka. Usłyszała dzwonek telefonu. Dzwoniła Celina Zajda. I jak tu nie wierzyć w telepatię?

– Hej, mammo.

– Basia, dlaczego nie dzwonisz przez tyle dni? – przywitała się kobieta z wyrzutem.

– Mam mnóstwo pracy z remontem. Jak się czujesz? Radzisz sobie?

– A co bym miała sobie nie radzić? Owoce dojrzewają. Dżemy robię. Nie ma kto zbierać. Wyobraź sobie, że do wnuczki sąsiadki mówię, żeby przysłała pozbierać sobie porzeczki, a ta mi na to, że jej się nie chce i że to ryzykowne, bo mogą tam być kleszcze. Ty sobie wyobrażasz? Co za czasy!

– I sama zbierasz?

– No sama, Basiu. Co zrobić.

– Może daj sobie spokój, piwnica jest pełna dżemów z porzeczki.

– Następna! Oj, zapłaczecie jeszcze, wy młodzi, jak nie będziecie jedzenia szanować! – perorowała Celina.

Zajda westchnęła ciężko. Nikt tak jak jej matka nie potrafił osadzić jej w świecie rzeczywistym.

– Mammo, wrócę, to pozbieram.

– Zanim ty, Basiu, wrócisz, to wszystko opadnie. Ale co tam, opowiadaj, jak sobie radzisz. Jak tam Marcin i Karina? Pomaga ci ktoś?

– Tak, Karina była dziś u mnie. Idzie mi powoli, ale teraz kupiłam już materiały, więc myślę, że powinnam skończyć najtrudniejsze rzeczy do końca urlopu.

Matka jeszcze przez chwilę szczebiotała po drugiej stronie linii, aż w końcu jej głos wpadł w poważne tony.

– Dziadek Uciecha bardzo się o ciebie martwi. Mówi, że sny złe ma. Że u ciebie coś się dzieje.

Baśka zamilkła. Poczowała wzruszenie ściskające ją za gardło. Skąd on wie? Jakim sposobem? Nigdy nie wierzyła w zjawiska parapsychologiczne.

– U mnie wszystko w porządku, mamó. Wiesz, jak to bywa przy remoncie. Aaaa, passat się zepsuł, może o to chodzi. To rzeczywiście zmartwienie. Wahacz jest do wymiany – próbowała uspokoić matkę.

Celina Zajda milczała chwilę. W końcu odezwała się głosem pełnym troski:

– Może przyjeźdź w piątek. Tam w tych Mysłowicach tak niemiło teraz. Jedną dziewczynę zamordowali, teraz drugą znaleziono...

– Skąd ty o tym wiesz?

– W telewizji mówili przed chwilą. Straszna sprawa. Nawet zakonnicę pokazali, dyrektorkę domu dziecka. Podobno rozpoznała w zabitej podopieczną.

Baśka zamknęła oczy. W takim razie to nie Dagmara. To nie ona szeptała do niej zeszłej nocy.

– Mamó, muszę malować ściany. Wybacz. Powiedz dziadkowi, żeby się nie martwił. Wszystko jest w porządku.

Celina Zajda prychnęła po drugiej stronie słuchawki, dając córce znać, że nie wierzy w jej zapewnienia.

– Już ja swoje wiem. W takim razie poproszę Józka, żeby mnie przywiózł do Mysłowic.

Nie wiedziała, jak się ma wykręcić. Matka od razu się dowie, że Zajda jest zaangażowana w poszukiwania zaginionej dziewczyny. Nie da jej spokoju. Uciekła się więc do fortelu, jedyne go tematu, który dla Celiny był zawsze wiodący.

– Mamo, poznałam kogoś. Nie możesz przyjechać. Teraz muszę być sama z Grześkiem.

Choć od matki dzieliło ją ponad sto kilometrów, oczyma wyobraźni widziała zadowolenie na jej twarzy.

– Grzesiek, świetne imię. Znałam jednego Grześka, to był naprawdę pracowity mężczyzna. A gdzie pracuje ten twój?

Baśka próbowała naprędce coś wymyślić, ale w końcu wymieniła zawód, który najbardziej się jej z Grześkiem kojarzył.

– Jest muzykiem.

– O, mocna bieda! – lamentowała matka. – Ale chociaż po weselach gra? Bo tam można zarobić.

– Mamo, ględzisz, rozłączam się.

– Dobrze, Basiu. Cieszę się i trzymam kciuki. Byleby nie pił za dużo.

– Pa, mamo, dobrze, że zadzwoniłaś.

– Uważaj na siebie, dziecko, mam tylko ciebie.

Rozłączyły się. Po drugiej stronie Celina Zajda została z nabożnym życzeniem, aby jej córka po prostu jak najszybciej zaszła w ciążę, tak jak to robią kobiety od zarania dziejów. Zdawało się jej to jedyną nadzieją na ułożenie sobie życia dla Basi.

Zajda rzuciła wszystko. Przed oczyma miała obraz dziewczyn stojących przy ośrodku prowadzonym przez zakonnice. Może to któraś z nich? Nie mogła tego znieść. Wyszła w końcu na zakupy, ale bezwiednie szła w stronę placu Mieroszewskich. Gdy była na Grunwaldzkiej, zadzwoniła Ala.

– Słyszałaś? – zapytała bez wstępu.

– Tak, ale to nie Dagmara.

– Wiem. Podobno któraś z dziewczyn od zakonnice... – W głosie Ali pobrzmiwało przerażenie. – Baśka, ona miała...

Rozmowę przerwał płacz, który uciszył matkę Dagmary na dłuższą chwilę. Szloch zabierający oddech przetoczył się po niej jak letnia burza. Gdy wreszcie doszła do siebie, Baśka usłyszała tylko zduszone:

– Długie czarne włosy.

Zajda tak bardzo chciała jej pomóc.

– Gdzie jesteś, Ala?

– Z Maćkiem w parku. Niedaleko placu Mieroszewskich. Musieliśmy tu przyjść.

– Idę do was, jestem już prawie na Rynku.

Rozłączyła się. Stała na Grunwaldzkiej obok lodziarni. To nie mogło się dziać naprawdę. Czyżby w Mysłowicach grasował seryjny morderca? To już trzecia dziewczyna o długich czarnych włosach. Dagmara byłaby czwarta. Brakowało jej oddechu. Spojrzała na ciągnącą się na kilkanaście metrów kolejkę po lody. Stała w niej dziewczyna pasująca wyglądem do zamordowanych. Zajda miała ochotę wziąć ją za rękę i odprowadzić do rodziców. Nastolatka zauważyła świdrujące spojrzenie Baśki. Powiedziała coś na ucho koleżance stojącej obok i obie parsknęły śmiechem.

W pięć minut doszła do placu Mieroszewskich. Kamienica była otoczona taśmą policyjną, za którą pracowali technicy. Tłum gapiów musiał już zmaleć, ale wciąż kilkanaście osób stało za barierą i obserwowało pracę policji. Niespodziewanie ktoś wyciągnął przed Baśkę rękę z mikrofonem.

– Lidia Bosiewicz, stacja TVN – przedstawiła się żywo młoda kobieta. – Czy boi się pani seryjnego mordercy zabijającego w mieście młode dziewczyny?

W odpowiedzi Zajda wykręciła twarz z zaskoczenia.

– Nie będę się wypowiadać na ten temat – odpowiedziała sucho.

– Czy myśli pani, że poszukiwana Dagmara także mogła paść ofiarą zwyrodnialca? – ciągnęła dziennikarka, nie tracąc energii.

Baśka zauważyła Alicję machającą do niej z ławki w parku. Odeszła, zostawiając rozczarowaną reporterkę bez odpowiedzi. Koleżanka rzuciła się jej na szyję. Cała się trzęsła.

– Widziałaś ją? – zapytała Zajda.

W odpowiedzi Ala zatkała usta dłonią, tłumiąc wybuch płaczu. Maciek wstał i ją przytulił. Trwali tak chwilę wśród śpiewu ptaków, na który byli głusi. Nie widzieli też kwitnącego jaśminu ani nie czuli jego zapachu, zawieszeni w przestrzeni między palącą nadzieją na odzyskanie córki a żałobą po jej stracie. Ich twarze były czerwone od płaczu.

– Ta dziewczyna jest podobna – wydukała w końcu Alicja. – Na buzi – przerwała, łapiąc z trudem oddech – ma odbitą wielką dłoń. Ktoś ją udusił.

Usiedli na ławce w ciężkim milczeniu, w którym zawarte były wszystkie niewysłowione lęki i domysły. Zajda spojrzała w stronę placu Mieroszewskich i zagryzła wargę, wążąc w głowie myśl.

– Posłuchajcie, nie możecie się poddawać – zaczęła, siląc się na entuzjazm. – Co myślicie o zamieszczeniu apelu w telewizji?

– Przecież jest post w necie.

– Tak, ale podobnych postów są tam setki. Trzeba pokazać was. Ludzie się wtedy zaangażują.

Małżeństwo Śmiałków spojrzało na siebie. Oboje mieli mieszane uczucia, o czym Baśka doskonale wiedziała. Sama się przed tym wzbraniała.

– Widzicie tę kobietę z mikrofonem? – Wskazała na Lidę.

– Z TVN-u? – zapytał Maciek.

– Tak. Zaproszę ją tu. Może uda się nagrać materiał teraz i wyemitować wieczorem.

Alicja nie była do końca przekonana.

– Ale w tym momencie, tu, w parku? Popatrz, jak ja wyglądam.

– Jak zrozpaczona matka. Będziesz autentyczna.

Zajda podniosła pytająco brwi. Promienie słońca prześwitywały przez korony drzew, oświetlając twarz Maćka. „Boże, jaki on jest podobny do Darka”, pomyślała, zła na siebie, że nawet w takiej chwili jej myśli zbaczą na ten temat.

W końcu Alicja pokiwała głową. Usiadła z powrotem na ławce, a Zajda ruszyła w stronę Lidii Bosiewicz. Reporterka stała z boku, rozmawiając przez telefon. Była to zadbana około trzydziestoletnia kobieta. Nosila markowe ciuchy. Baśka przedstawiła jej w skrócie, z czym przychodzi. Reporterka zrobiła wielkie oczy, zmartwiona zaginięciem dziewczyny. Nie była jednak w stanie ukryć radości z tego, że trafił się jej ciekawy temat. Zawołała swoją ekipę składającą się z dźwiękowca i kamerzysty. Zajda poprowadziła ich wzdłuż murku. Śmiałkowie przeszli w głąb parkowej alejki prowadzącej w stronę muszli koncertowej. Reporterka przedstawiła się i wyraziła ubolewanie. Porozmawiała z rodzicami Dagmary, ustalając z nimi, jak przebiegnie nagranie.

– Nie gwarantuję, czy i w jakim czasie zostanie wyemitowany materiał. To zależy od mojego wydawcy. Jestem jednak niemal pewna, że to pójdzie w dzisiejszych informacjach.

Gdy dźwiękowiec i kamerzysta zaczęli rozkładać sprzęty, Baśka zauważyła prokuratora Lisa wychodzącego z kamienicy, w której znaleziono ciało. Podeszła do niego.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

Nie było wątpliwości, że Aleksander Lis ją zapamiętał. Na jej widok zrobił nieodgadnioną minę.

– Bardzo chcę z panem porozmawiać. Czy znajdzie się dla mnie chwila?

Mężczyzna się rozejrzał, szukając wymówki, aż jego wzrok zatrzymał się na ekipie TVN-u, która rozkładała się w parku. Wskazał na nią palcem.

– Pani coś o tym wie?

– Między innymi o tym chcę porozmawiać.

Lis pokręcił głową, zniecierpliwiony. W dalszym ciągu nie przypominał urzędnika państwowego, a raczej trapera na górskich ścieżkach – z długimi włosami związanymi w kucyk i skórzanym, wytartym plecakiem, który wydawał się jego znakiem rozpoznawczym. Zaczął iść w stronę parku.

– Proszę, oddalmy się trochę, bo jeszcze zrobią nam jakieś zdjęcia.

Baśka podążała za nim, śledząc jednocześnie, co się dzieje z Alicją. Całe szczęście, przygotowania do nagrania wciąż trwały. Nie chciała tego przegapić. Podeszli do małego dworku, który wyglądał na świeżo wyremontowany, i usiedli na ławce.

– Słucham panią.

– Śmiałkowie zdecydowali się na emisję apelu o poszukiwaniu Dagmary w telewizji – zaczęła Zajda szybko i nerwowo. – Bez dwóch zdań reporterzy przedstawią to jako sprawę łączącą się z morderstwami dziewcząt. Chcę, żeby pan wiedział. Potrzebna jest współpraca na każdym polu – dodała na koniec.

Mężczyzna wyciągnął z plecaka butelkę wody. Upił spory łyk i spojrzał na Baśkę.

– Dlaczego się pani wtrąca? To nie pani teren, podobno jest pani na urlopie.

– Dagmara to córka mojej koleżanki. Chcę jej pomóc.



– Dziewczyna pewnie związała, a ta tutaj nie żyje.

Baśka nabrała powietrza.

– Niech pan nie zaprzecza faktom. Macie tu seryjnego.

– Skąd pani wie, że to ten sam morderca?

– Obie mają dłoń odciśniętą na ustach – odpowiedziała bez zastanowienia.

Prokurator milczał, pijąc zachłannie wodę.

– A Justyna Wieczorek? – kontynuowała Baśka. – Ile czasu minęło od tamtej zbrodni? Długie czarne włosy, uduszenie. Modus operandi się zgadza. Myślę, że powinniście brać pod uwagę Dagmarę. Trzeba wzmóc poszukiwania.

Lis wstał i spojrzał na nią surowo. Urok leśnego trapera ulotnił się w jednej chwili. Miała przed sobą twardego mężczyznę. Zobaczyła to w jego oczach.

– Pani jest dobrze poinformowana. Nie wiem, jak tam u was w górach, ale tu nie dopuszczamy obcych do śledztwa.

Opuściła głowę. Beton. Dlaczego ciągle waliła głową w beton?

– Nie rozumie pan, że zaraz mogą się pojawić kolejne ciała? Do tej pory nie znaleźliśmy Dagmary. Żywej ani martwej. Może ona jest kluczem? A może morderca przetrzymuje ją gdzieś w pobliżu?

Prokurator Lis cofnął się o dwa kroki. Wydawało się, że odejdzie bez słowa, ale przystanął.

– Jestem w kontakcie z grupą poszukiwawczą. Naprawdę nie musi mi pani tego mówić. Wysyłam pani sygnał, proszę zapisać mój numer.

Telefon Zajdy się rozdzwonił. Zanim wyciągnęła go z torby, prokurator był już daleko. Siedziała w cieniu myśliwskiego pałacyku, zastanawiając się, skąd Aleksander Lis wziął jej numer.

Podniosła się po chwili i pobiegła w stronę miejsca, gdzie zostawiła Alicję i Maćka. Nagranie właśnie trwało. Wokół zdążył się zebrać tłum składający się głównie z podrostków zwabionych logotypem TVN-u na sprzeczcie. Rodzice Dagmary stali na tle krzewów i trzymali plakat z podobizną córki.

– Córeczko, jeśli nas słyszysz, wiedz, że czekamy na ciebie. Nieważne, co się stało. Wszystko zniesiemy, we wszystkim ci pomożemy, bo kochamy cię nad życie.

Głos Alicji się łamał, pomimo że wkładała całą siłę woli, aby się nie rozkleić. Kamera przeniosła się na twarz Maćka. Jego jabłko Adama falowało z emocji, a na szyi pojawiły się czerwone wykwyty.

– Każdego, kto wie, gdzie przebywa Dagmara, lub ma informacje dotyczące jej pobytu, błagamy o pomoc. Nasza córka jest dobrym dzieckiem. Nigdy nie uciekła z domu, nigdy nie sprawiała kłopotów. Jesteśmy przekonani, że stało się coś złego.

Kamera podążyła w stronę pięknej twarzy Lidii Bosiewicz, która swą urodą zawłaszczała całą przestrzeń. Reporterka jeszcze raz przedstawiła ze zboląłą miną okoliczności zaginięcia dziewczyny oraz podała numery telefonów, pod które można dzwonić z informacjami. Operator wyłączył kamerę.

– Pani Alicjo, to teraz pojedziemy do waszego mieszkania. Musimy zgrać obrazki z pokoju Dagmary.

Operator i dźwiękowiec zaczęli zbierać sprzęt. Zajda podeszła do Śmiałków, którzy stali przejęci, nie mogąc się pozbierać po publicznej wypowiedzi.

– To była właściwa decyzja. Dobrze wypadliście. Wiarygodnie. Teraz na pewno się coś ruszy – starała się dodać im otuchy.

Alicja była niespokojna, ale to Maciek wyglądał na całkowicie rozbitego. Lidia Bosiewicz ich pospieszyła.

– Zadzwoń wieczorem – pożegnała się Baśka.

Wróciła pod kamienicę przy placu Mieroszewskich i rozglądała się dookoła. Nie widziała żadnych kamer monitoringu miejskiego. Do placu można było dojść od ulicy Wierzbowej, która prowadziła przez park, albo od Bytomskiej. Było też wejście od tyłu, od ulicy Piastowskiej. Obserwowała przez chwilę miotającego się podkomisarza Marka Bogacza, którego poznała nad Hubertusem. Rozpoznał ją i podszedł, ściągnięty jej spojrzeniem.

– Co jest, Zajda? – odezwał się do niej bezpośrednio, wprawiając ją w osłupienie. Tym samym przeszli na ty.

– Macie tu jakieś kamery w pobliżu?

– Chuja, nie kamery. Ukradli tę z Bytomskiej – machnął ręką – ale najpewniej morderca przyszedł z parku.

W myślach zgodziła się z podkomisarzem.

– A ty, Zajda, co?

– Dalej szukamy Dagmary. Myślę, że ona też może być ofiarą.

Marek Bogacz miał minę, jakby zjadł coś nieświeżego. Jakby sprawa seryjnego mordercy jeszcze na dobre nie zaistniała w jego świadomości, a już odbijała mu się kwaśno.

– A ślad dłoni? Był tej samej wielkości?

Bogacz spojrzał na swoją, zaciskając ją po chwili w pięść.

– Wielka jak skurwysyn. Łapa jak u drwala.

– Te chłopaki znad Hubertusa powiedziały coś o Majce Waligórze? Przesłuchaliście ich porządnie?

Bogacz rozejrzał się naokoło i zbliżył twarz do jej ucha.

– Zdaje się, że mówią prawdę. Poznali ją nad Hubertusem kilka godzin wcześniej. Resztę uczestników też przesłuchaliśmy. Była wśród nich tylko jedna jej koleżanka. Zostawiła ją, bo poszła z chłopakiem. A swoją drogą, skąd wiesz, jak nazywa się ofiara?

– Znam jej matkę – skłamała.

– Żanetę znasz?

– Tak, z dziecięcych lat.

Marek Bogacz otarł spoconą twarz rękawem, w tym czasie Zajda zapisała swój numer telefonu na skrawku papieru i wręczyła mu.

– Jakby było coś nowego, zadzwoń do mnie, proszę. Pomagam Alicji i Maciejowi. Oni chyba nie przetrzymają kolejnej ofiary. Tutaj masz plakat ze zdjęciem Dagmary. Może lepiej, jak następnym razem nie będziecie ich wołać pierwszych do identyfikacji zwłok.

– Jakim następnym razem? O czym ty mówisz?

Zajda nie odpowiadała, tylko wpatrywała się w ciężkie zielone drzwi kamienicy.

– Będziecie przesłuchiwać dziewczyny z ośrodka u zakonnicy?

– Tak. Przesłuchaniem zajmie się policjantka, która skończyła psychologię. Tak zarządził prokurator.

– I słusznie – pochwaliła Baśka. – Zapowiada się dla was bardzo pracowity tydzień. Ktoś musi wieczorami pilnować tego miasta.

---

[40](#) zaradne (śl.).

[41](#) Wciąż (śl.).

[42](#) Nie gniewam się (śl.).

[43](#) zwariowany (śl.).

[44](#) czegoś słodkiego do kawy (śl.).

45 córka (śl.).

46 twarz (gwar.).

47 inną (gwar.).

48 pijana (gwar.).

# ROZDZIAŁ 6

*Mysłowice, 2 lipca 2021 roku*

**W** nocy przyszła burza. Ciężkie krople stukały o szyby i parapety prawie do rana. Baśka nie spała. Przekopywała internet w poszukiwaniu informacji o znalezionej nad Hubertusem Mai Waligórze. Zdjęcie dziewczyny pojawiało się na kilku stronach związanych z międzyszkolnymi zawodami siatkarskimi. Miała na nim włosy związane w ciasny kok. Stała wśród żeńskiej drużyny, unosząc wysoko puchar. Z koka wysunął się jej kosmyk czarnych włosów, który zalotnie opadał na policzek. Właściwie była podobna do reszty koleżanek, coś ją jednak wyróżniało. Ustawiając się do zdjęcia, przybrała pozę modelki. Jedną stopę wysunęła w bok, optycznie wydłużając sylwetkę. Baśka zerknęła jeszcze na post o zaginięciu Dagmary. Po emisji materiału w TVN-ie rozszalała się tam burza. Tak jak podejrzewała, zaginięcie córki Alicji zostało powiązane przez reporterkę z zabójstwami. Temat podchwyciły serwisy internetowe. Pod artykułami o serii morderstw było czarno od komentarzy. Czytała je z bólem, bo jak w większości takich przypadków były kwintesencją ludzkiej głupoty i okrucieństwa:

**Dobra Polka**

to uchodźcy jebani POLSKA DLA POLAKÓW!!!! nie będą  
nam dzieci gwałcić

### **Poliszmen**

a policja co? CHWDP! strach córkę z domu wypuścić

### **Pesymistka**

Zaginiona laska pewnie już nie żyje.

### **Śląska frela**

Jo nosza gaz pieprzowy. Trza złapać tego pojeba!

### **Kazik Staszewski**

za jaja skurwysyna powiesimy

### **Detektyw**

Może jest gdzieś przetrzymywana.

### **kibic GKS-u**

Złapiemy zwyrola! Kibice! Robimy patrol w parku i okolicach!  
To nasze miasto, tylko my tu rządzymy

### **Trump**

Same się pizdy proszą

### **Wkurwiony**

Po pandemii się ludziom w głowach pojebało. Co robi  
państwo!

### **Inkwizytor**

Kara śmierci!

### **Mata lata**

Kurwa ktoś mieszka obok ciebie a nocami morduje  
MASAKRA!

### **Ewkaaa**

takiego za jaja na drzewo i oskórować

### **Kasandra**

jpr żal dziewczyn, takie młode pilnujcie swoich  
dzieci!!

### **Mysłowiczanie**

na zicher ktoś z sosnowca

### **GKS PANY**

Trza robić porządek w mieście. Pozbyć się ciapatych  
i ukraińców. Będą mordować.

### **Elka z piosku**

Bezma<sup>49</sup> to Sebek Samochodzik. Widzieli go jak sie plątał  
przi tyj dziółsze od zakonnic.

### **Dziunia**

To czemu on na wolności jeszcze jest?

### **kibic GKS-u**

My się nim zajmiemy.

### **Elka z piosku**

Ale ôn je upośledzony. To tyn co udowo, iże jeździ autym.



## **Inkwizytor**

Kara śmierci!

## **Śląska frela**

To dziółcha z piosku jo znam. Teroz boja się wyjść z doma.

## **Kasandra**

A w tym parku to zawsze było strach chodzić. Albo ekshibicjonista z gołym wackiem zawsze czai się w krzakach, albo jakieś męty. Może jak wyremontują to się to poprawi.

## **Trump**

Jebane szmaty! Sam bym gwałcił. Modelki pierdolone.

## **GOŚĆ**

Pewnie ksiądz. Czarna mafia rządzi w Mysłowicach.

## **Gabinet fryzur Bończyk**

Dziewczyny zmieniać fryzury! Czarne włosy może być niebezpiecznie nosić. Przez wzgląd na sytuację podaję promocyjny cennik: rozjaśnianie z farbą włosy średnie 170 zł, dekoloryzacja 200 zł, Flamboyage 350 zł, Splashlight 300 zł, regeneracja gratis! Zapraszam na ul. Kormoranów

## **Kasandra**

Jak byłam młodsza to w parku mnie dwa razy zboczeniec gonił z gołym chujem. Później już tamtędy nie chodziłam.

## **Trump**

Czarne pizdy włosy zapuszczają.

## **Hela w opałach**

Trump to ty jesteś pizda.

## **Dziunia**

Gabinet fryzur Bończyk a ile będą kosztować pasemka na długich włosach do łopatek

## **Gabinet fryzur Bończyk**

Ile kolorów Dziunia

## **Dziunia**

Dwa

## **Gabinet fryzur Bończyk**

280 zł

## **Inkwizytor**

Kara śmierci!

Walka na komentarze trwała w najlepsze. Zajda z całego tego bełkotu wypisała tylko trzy hasła: „Sebek Samochodzik”, „Trump”, „modelki”. Skopiowała link do artykułu i wysłała go SMS-em do prokuratora Lisa z informacją, że warto by sprawdzić faceta o nicku Trump. Wątpiła, by morderca objawiał się w tak oczywisty sposób, ale wiedziała, że niczego nie wolno przegapić. Dopisała jeszcze, aby zwrócić uwagę na to, co piszą o niejakiu Sebku Samochodziku. Z tego, co zrozumiała z komentarzy, to jakiś chłopak z niepełnosprawnością intelektualną.

Czuła, że już nie zaśnie, więc zrobiła sobie herbatę i zaczęła szlifować nierówności po gipsowaniu ścian. Zdecydowała się, że na ich część położy tapetę winylową, dzięki której uda się wydłużyć czas do kolejnego

malowania. Wybrała piękny roślinny wzór dający wrażenie trójwymiarowości oraz zmywalną farbę w kolorze piaskowym. Punkt ósma w mieszkaniu zjawił się wujek Alojz z torbą narzędziową. zaproponowała mu kawę i ciastko, ale odmówił.

– Dochtōr zabrōniył mie jeś sōdkiygo, bo mōm cuker<sup>50</sup> – wytłumaczył się Alojz i wziął się do roboty.

Pomierzył łazienkę i sprawdził, czy Zajda kupiła wszystkie materiały. Pokazała mu projekt, który narysowała w rzucie. Patrzył na niego długo, kiwając głową z uznaniem. W końcu poprosił o pieniądze na brakujące materiały i wyszedł do sklepu. Jego obecność dała Baśce nową motywację do remontu. Przygotowała wszystko do malowania. Zaczęła oklejać ściany taśmą malarską, następnie owinęła meble folią. Praca fizyczna ją odprężyła. Stopniowo stres związany z ostatnimi wydarzeniami odpływał z jej ciała, ustępując miejsca zmęczeniu. Malowała sufit, słuchając muzyki przez słuchawki bezprzewodowe. Było dość wcześnie, a utwory System of a Down nie nadawały się na pobudkę dla nowych sąsiadów. Wałek poruszał się po suficie w rytm mocnych dźwięków. Każda ścieżka świeżej farby wydawała się nową drogą. Nowym rozdaniem w jej życiu. Była pełna sprzeczności, jej wnętrze oscyloowało tak jak jej gust muzyczny – od radosnych i prostych tonów do czarnych dźwięków, których sama się bała.

Pracowała jak w transie, gdy nagle stanął przed nią wujek Alojz. Zupełnie o nim zapomniała i teraz mało nie spadła z krzesła. Przed pracą raz jeszcze przeanalizowali plan łazienki. Alojz zaczął skuwać stare płytki, a hałas wyrwał Zajdę z rytmu. Skończyła pierwszą warstwę i postanowiła wyjść. Zostawiła Alojzowi klucze i szybko się przebrała. Nie udało jej się zmyć do końca białej farby z dłoni. Już w samochodzie zadzwoniła do Ali. Śmiałkowie czekali na przybycie policjantów z Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych.

Zaparkowała pod ich blokiem. Drzwi otworzyła jej Alicja, która wyglądała z każdym dniem poszukiwań coraz gorzej. Głębokie worki pod oczami coraz bardziej się zapadały, postarzając twarz. Rozszerzone lękiem źrenice sprawiały niezdrowe wrażenie. W pokoju przed laptopem siedział Maciek.

– Siedzi tak od wieczora bez przerwy i szuka. Nie spał całą noc – wyjaśniła Alicja.

Maciek podniósł wzrok na Baškę. Skinął na nią, aby podeszła, a następnie pokazał jej palcem komentarze pod artykułem o morderstwach w Mysłowicach i zaginięciu Dagmary. Zajda syknęła. Czuła, że będą to czytać. Dlaczego ludzie nie mogą się powstrzymać przed wypisywaniem tych głupot? W realu nie byłiby pewnie w stanie nawet gęby otworzyć.

– Czytałam to. Wysłałam linka do prokuratora.

– Dał ci swój numer?

Pokiwała głową, nie chcąc wchodzić w szczegóły. Wskazała palcem na jeden z komentarzy użytkownika Trump.

– Ten mi się nie podoba. Pisze jak psychopata, o czarnych włosach, modelkach. Policja musi sprawdzić IP komputera, z którego to było wysyłane.

Maciek czytał komentarze z otwartymi ustami.

– Zostaw to. Przeanalizowałam wszystkie wpisy na różnych stronach. Daj spokój, Maciek, wykończysz się.

Delikatnie zabrała mu laptopa i położyła go na komodzie.

– Czy Dagmara mogła znać tę dziewczynę od zakonnic?

– Chyba nie – odpowiedział.

Ala wycierała blat. Polewała go mleczkiem do czyszczenia ciężkich zabrudzeń i tarła. Z płyty MDF zniknęła już warstwa ochronna, laminat dekoracyjny, a Ala wdzierała się właśnie we włókna drzewne.

– Ala, wiem, że to cię ratuje, ale usiądźmy razem. Zróbmy burzę mózgów.

Gospodyni rzuciła ścierkę do zlewu i opłukała czerwone dłonie. Po chwili siedzieli przy stole. Zajda wyciągnęła z plecaka notes i wyrwała z niego kartkę. Napisała na środku imię ich córki, a po bokach imiona zabitych dziewczyn. Majka Waligóra i Lena Stępień. Imienia i nazwiska ostatniej ofiary dowiedziała się z komentarzy na Facebooku. Na końcu dopisała nastolatkę, która została uduszona kilka miesięcy wcześniej. Zabójstwo Justyny Wieczorek pozornie nie miało nic wspólnego z tym, co obecnie się działo, więc Ala i Maciek spojrzeli na Baškę pytająco. Dopisała zatem pomiędzy strzałkami słowa: „długie czarne włosy”, „około 16 lat”, „uduszenie”.

– Musimy sprawdzić, czy oprócz wyglądu Dagmarę łączyło cokolwiek z tymi dziewczynami.

Alicja znów wstała. Nie mogła usiedzieć ani chwili w miejscu.

– Może jeszcze raz przejrzymy jej rzeczy. Ty to zrób, Baśka. Może dojrzysz coś, czego nie widzimy my.

– Naprawdę mogę? Nie chciałam tego proponować, żeby nie sprawiać ci dodatkowego bólu.

– Mnie już nie ma, Baśka. Jak ona się żywa nie znajdzie, to ja...

Maciek wstał nagle od stołu.

– Przestań ciągle histeryzować! Cały czas płaczesz, pocieszamy cię. Mamy się skupić na poszukiwaniach, a nie na tobie. Ciągłe ty! Nawet ze zniknięcia córki zrobisz show.

Zajda, oszołomiona tym wybuchem, wymknęła się do toalety. Normalnie by coś powiedziała, próbowała go uspokoić, ale myśl, że wygląda jak Darek, towarzyszyła jej w każdej minucie, uwierała jak kamyk w bucie. Z pokoju dobiegały krzyki Ali:

– Co ty mówisz? Sam się zgodziłeś na ten TVN. Ja robię show? Przecież szukamy Dagmary! Zrobię wszystko, żeby ją znaleźć. Mogę naga chodzić po Grunwaldzkiej, byleby się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Jak możesz? Zawsze tak robisz...

Kłótnia trwałaby jeszcze dłużej, gdyby nie dzwonek do drzwi. Policjanci z Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych musieli słyszeć awanturę, bo teraz wpatrywali się w rodziców zaginionej. Baśka wyłoniła się z łazienki i przywitała z nimi.

– Zostanę, może coś pomogę – wytłumaczyła się niezręcznie, jednocześnie pragnąc uciec z tego mieszkania.

Jeden z policjantów uśmiechnął się do niej z ironią.

– W sprawie poszukiwań właściwie nie pojawiły się żadne nowe fakty. Kontaktował się z nami prokurator Aleksander Lis, zajmujący się morderstwami dziewcząt z ostatnich dni. Zgadza się z nim, że zasadne jest, aby częściowo połączyć te sprawy.

– No dobrze, ale co ustaliliście w kwestii mojej córki? – zapytał Maciek z nutą agresji w głosie.

Starszy policjant spojrzał mu prosto w oczy, udając, że nie widzi jego zdenerwowania.

– Cały czas przesłuchujemy koleżanki i kolegów z klasy Dagmary. Po emisji materiału w telewizji mamy kilkadziesiąt zgłoszeń w jej sprawie. Każde z nich będziemy sprawdzać, ale muszę was ostrzec, że często mogą być one bezwartościowe. Ludzie zawsze dzwonią jak najęci, a gdy przychodzi do konfrontacji, ich informacje okazują się wyssane z palca. Robią to z nudów, z chęci zwrócenia na siebie uwagi.

– W poszukiwania są zaangażowane służby z całego kraju i z zagranicy – raportował młodszy policjant. – Obecnie przeszukujemy pustostany i meliny, gdzie znajdujemy czasem młodzież na gigancie.

Zapadła cisza. Wszyscy byli świadomi, że ich sprawozdanie brzmi dobrze, ale tak naprawę nie mają nic. Nie wiedzą, gdzie jest Dagmara.

– Ja coś mam. Chciałam to sprawdzić sama, ale nie mamy czasu. Dowiedziałam się, że Dagmara pracowała około miesiąca temu w barze przy muszli koncertowej. Spędziła tam dwa wieczory, miała zbierać szkło ze stolików.

Informacja Baśki sprawiła, że Alicja i Maciek spojrzeli po sobie zszokowani.

– Skąd to wiesz? Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? – zapytała Alicja głosem pełnym pretensji.

Zajda podniosła dłonie w przeproszającym geście.

– Dowiedziałam się przedwczoraj. Wczoraj chciałam z wami porozmawiać, ale nie było kiedy. Byliście w totalnej rozsypce. Chciałam jeszcze raz porozmawiać o tym z barmanką.

– Od kogo ma pani te informacje? – zapytał starszy funkcjonariusz.

– Od barmanki, która tam pracuje. Szczupła, wręcz chorobliwie chuda dziewczyna z papugą wytatuowaną na ramionach.

Dalej Baśka przybliżyła im okoliczności zdobycia tej wiedzy oraz opowiedziała o szefie baru, który budzi jej podejrzenia. Mężczyźni byli wyraźnie zaintrygowani.

Wstali od stołu, szykując się do wyjścia. Obaj patrzyli na Baśkę z dziwnym wyrazem twarzy. Widziała nieraz tę minę u facetów wkurzonych na to, że jakaś kobieta zrobiła coś lepiej od nich. Nienawidziła u mężczyzn tego naiwnego zaskoczenia. Gdy wyszli, w mieszkaniu zrobiło się cicho. Alicja patrzyła na nią z wyrzutem.

– No co? Nie patrz tak na mnie. Nie miałam kiedy wam powiedzieć – uznała Baśka zmęczonym głosem.

Opadła na fotel. Atmosfera była ciężka. Z każdym dniem stawała się coraz cięższa.

– Przejrzę jeszcze raz jej pokój, a później jadę na Piasek. Muszę odnaleźć matkę tej dziewczyny znalezionej nad Hubertusem.

Maciek spojrzał na nią zaskoczony. Wziął do ręki kartkę, na której Baśka wypisała nazwiska zabitych dziewczyn wokół imienia ich córki.

– Naprawdę myślisz, że to ma ze sobą związek? Może ona po prostu uciekła? Zakochała się, nie wiem... Zbierała te pieniądze z korepetycji.

– Mam taką nadzieję. Muszę to jednak sprawdzić. Nie dałoby mi to spokoju. A propos korepetycji, mógłbyś tam pojechać i rozejrzeć się wokół bloku, w którym mieszka ta nauczycielka? Zdaje się, że był tam obok jakiś sklepik. Warto popytać, czy ktoś zapamiętał twoją córkę. Skoro nie chodziła na korepetycje, musiała coś robić przez te dwie, trzy godziny.

– Pewnie, pojedę – odparł Maciek, sprawiając wrażenie zadowolonego z tego, że wreszcie może zrobić coś, co ma jakiś sens.

Baśka wstała i podeszła do drzwi pokoju Dagmary.

– Alicja, daj jakieś pudełko do segregacji.

Zakopała się w zeszytach, książkach i gazetach Dagmary. Przeglądała dosłownie wszystko. Maciek i Alicja jej pomagali, co chwila ocierając łzy. Sprawdzali kartka po kartce każdy zeszyt. Czytali ukradkowe zapiski na marginesach i rysunki na ostatnich stronach. Romantyczne cytaty w stylu: „Bawisz się uczuciami jak dziecko klockami”, „Jesteś czymś więcej niż wszystko” albo: „Tylko przy tobie nie jest mi zimno” pokrywały czasem całe strony.

– Kiedy mogła to pisać? – dopytywała ich Baśka, a oni przeglądali na telefonach e-dziennik w poszukiwaniu dat lekcji, na których ich córka przerabiała temat z sąsiadujących z cytatami stron zeszytu do języka niemieckiego.



– Jeszcze w pierwszym semestrze, w okolicach listopada – odparł w końcu Maciek.

– Czyli to mogło być o jej chłopaku, Krzyśku?

– Na to wygląda.

Oboje czytali te cytaty po kilka razy, jakby nie będąc w stanie zaakceptować, że mogły być napisane ręką ich córki. Tymczasem Baśka przeczesywała kolejne strony. Zapisywała w notesie numery telefonów, które się tam pojawiały.

– Alicja, znajdź w zeszytach czas po Dniu Kobiet. Pamiętasz, Krzysiek mówił, że wtedy się zmieniła.

Razem z Maćkiem odnaleźli w dzienniku elektronicznym zapis tematów realizowanych w tym czasie. Jednakże od ósmego marca w zeszytach brakowało zupełnie notatek, tak jakby Dagmara przestała się uczyć.

– Wejdz na frekwencję – poprosiła Ala męża drżącym głosem.

Mężczyzna ściągnął brwi, gdy zobaczył listę usprawiedliwionych nieobecności.

– Wtedy mieli naukę zdalną? – dopytała Baśka.

– Tak, my chodziliśmy do pracy. Ale przecież nie dzwonili ze szkoły. Oceny były w porządku. Nawet podciągnęła się z kilku przedmiotów.

Mówiąc to, Alicja zaczęła gorączkowo przeglądać dziennik. Weszła w wiadomości. W folderze „odebrane” nie znalazła niczego, czego nie widziałyby wcześniej. Folder z wiadomościami wysłanymi był pusty.

– To dziwne. Dam sobie rękę uciąć, że pisałam do nauczycielek dwa razy – zastanawiała się głośno Ala.

– Zadzwoń do wychowawczynie – polecił Maciek.

Kobieta odebrała po kilku sygnałach. Alicja poprosiła ją, żeby skopiowała wiadomości wysłane i odebrane ze swojego konta. Żeby zalogować się do dziennika, wychowawczynie musiała iść do szkoły. Wszyscy żyli zaginięciem Dagmary, więc namówienie jej, by zrobiła to jak najszybciej, nie sprawiło problemu. Obiecała oddzwonić do godziny.

Szukali dalej. Zajda wysłała Alę do kuchni, by przygotowała kawę. Chciała oderwać ją choć na chwilę od zajęć wyczerpujących emocjonalnie. Sprawdzili wszystkie zeszyty i książki. Przedzierali się przez mały album ze zdjęciami. Maciek tłumaczył Baśce, kto jest kim na fotografiach. Nie zauważyli niczego niepokojącego. Z aktualnych zdjęć były tylko klasowe, w których uczniowie stoją w dwóch rzędach z nauczycielką. Wyszli z pokoju zmęczeni i usiedli przy stole z kawą. W milczeniu czekali na telefon od wychowawczynie. W końcu zadzwoniła. Alicja długo z nią rozmawiała, chodząc nerwowo po pokoju. Zajda wstała. Czowała się podrażniona podniesionym głosem koleżanki. Wróciła do pokoju Dagmary i usiadła na łóżku. Modelki z plakatów na ścianie patrzyły z kpiącym wyrazem twarzy. Można było powiedzieć, że jak na nastolatkę dziewczyna potrafiła utrzymać nienaganny porządek.

Baśka zaczęła układać porozrzucone rzeczy z powrotem. Z jadalni dochodziła do niej rozmowa telefoniczna, z której wynikało, że Dagmara wysyłała z konta matki usprawiedliwienia i uspokajające maile. Te od wychowawczynie kasowała, zanim rodzice zdążyli je otworzyć. Oszukiwała ich przez dłuższy czas. Na biurku leżała podkładka komputerowa z twarzą Marilyn Monroe, a także etui na telefon z cekinowym jednorozcem. Baśka pomyślała, że szesnaście lat to bardzo trudny wiek, gdzieś w drodze między pragnieniem znalezienia partnera seksualnego a zachwytem nad tęczowym jednorozcem. W ciągłym konflikcie z sobą samym i otoczeniem. Wzięła do ręki etui, a cekiny zatopione w płynie zaczęły się poruszać niczym fala

wdzierająca się na piasek. Odpadła ułamana klapka, którą dziewczyna najwidoczniej próbowała skleić taśmą klejącą. W środku Zajda dojrzała napis. Bardzo niewyraźny, rozmazany. Podeszła do okna i zmrużyła oczy, próbując go przeczytać. W tym momencie do pokoju weszła Ala, a za nią stanął Maciek.

– Oszukiwała nas przez cały czas! – powiedziała gospodyni przez łyżę bezsilności.

Baśka nie zwracała na nią uwagi. Mrużyła oczy, starając się rozszyfrować napis, aż nagle uniosła głowę i spojrzała na Maćka stojącego za żoną. Jej twarz wyrażała zdumienie zmieszane z nutą odrazy.

– Co to jest? Baśka, co tam masz? – zapytała Ala, wręcz wyrywając jej etui z rąk.

Zajęło jej chwilę przeczytanie tego, co Zajdę wprowadziło w stan lekkiego ośpienia. Gdy zrozumiała, co tam jest napisane, również uniosła oczy na męża. Maciek stał przerażony, bo nie pamiętał, żeby żona choć raz w życiu spojrzała na niego z taką nienawiścią. Jednym krokiem znalazł się przy niej i wyrwał jej przedmiot z dłoni.

– Ty skurwysynu! – zawołała Alicja, szarpiąc się z nim.

Odepchnął ją na łóżko i przeczytał na głos:

– Nienawidzę mojego ojca. Czy on, kurwa, nie wie, jak to boli? Muszę odejść.

Etui upadło miękko na ziemię, a Maciek kręcił głową z niedowierzaniem. Alicja skoczyła w jego stronę jak dzika kotka.

– Co jej zrobiłeś? Jaki ból? – wołała coraz głośniejszym głosem. – Mów! Mów, bo cię uduszę, rozumiesz? Gdzie jest moje dziecko?

Zaczęła bić go po klatce piersiowej, lecz on złapał ją za nadgarstki.

– Co jej zrobiłeś? – krzyczała coraz bardziej zachrypniętym głosem.

Patrzył na Baśkę błagalnym wzrokiem, lecz ona stała przy oknie z rękoma założonymi na piersi. Jej wzrok go palił. Zrozumiał, że nie ma co liczyć na ratunek z jej strony.

– Uspokój się, Ala! – zawołał, ściskając ręce żony coraz mocniej.

– Przyznaj się! I tak już po nas! Dobierałeś się do niej?

Pytanie przecięło powietrze niczym samurajski miecz. Zapadła cisza, w której było słycać odgłosy z sąsiednich mieszkań. Zajda wpatrywała się w oniemiałego Maćka Śmiałka, starając się z całych sił nie widzieć Darka, lecz kogoś, kto w jakiś sposób skrzywdził własną córkę. Rósł w niej gniew. Gniew chwytający za gardło, przewalający się przez brzuch i serce. Alicja opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. Oddychała z trudem, łapiąc powietrze małymi haustami. Gdy Baśka zrobiła krok w stronę Maćka, stojącego przez dłuższą chwilę jak słup soli, on zerwał się z miejsca. Wybiegł z mieszkania, nie zamykając drzwi. Usłyszała tupot jego butów na schodach.

### ***Myslowitz, 24 marca 1912 roku***

**M**arylkę zbudziło zimno. Otworzyła powoli oczy i uniosła się na posłaniu. W drzwiach baraku, w snopie światła, stał Samuel Majerczyk. Zaraz za nim pokazała się twarz Antoniny Kowal, która po wczorajszej nocnej metamorfozie znów wyglądała jak skromna i pobożna kobieta. Już ubrana Halinka powitała ich niczym małe dziecko na widok rodziców wracających do domu po całym dniu pracy na polu.

– A panna co taka zaspana? – zapytała Kowalowa. – Całą noc w łóżku i taka rozmemłana? – Wyraźnie z niej drwiła.

Dopiero teraz Marylka dojrzała, jak końce palców mężczyzny i kobiety dotykają się niby przypadkiem. Przełknęła ślinę, zmuszając się do uśmiechu.

– Przecioz juz bedom gotowo – powiedziała, czekając, aż wycofają się z baraku, aby mogła się ubrać.

Spojrzała ukradkiem na Halinkę, dając jej znać, żeby została.

– Pospieszcie się, dziewczęta! Pan Samuel będzie tak dobry i pokaże nam automobil. – W głosie pani Antoniny była ekscytacja i gdyby nie to, że Marylka straciła do niej zaufanie, pewnie by jej uległa.

Kiedy zostały z Halinką same, Marylka szeptem zaczęła opowiadać koleżance o swoim nocnym odkryciu. Widziała, jak przez jeszcze dziecienną twarz towarzyszki przebiega cień przerażenia. W końcu Halinka wysyczała:

– Przestońże wydziwioć! Zazdrosnoś jest, ize pan Samuel ku mnie bardziyj spoziyra, i zacynos wymyśloć. Ka po nocy łazis? Przeca kazoli nie wychodzić. Jakżeś to wyložła? Zara powiom... – Halinka ruszyła ku drzwiom baraku, lecz Marylka zatrzymała ją w połowie i ściskając jej nadgarstki, wyprosiła, żeby przyjaciółka na nią nie poskarżyła.

Nie wierzyła, że mogła być tak ślepa. Ubrała się w milczeniu, czując, jak w gardle rośnie jej gula rozczarowania. Niebawem poprowadzili je na Rynek, gdzie na środku stał piękny automobil.

– Maxwell AB – tłumaczył z dumą Majerczyk, kłaniając się siedzącemu za kierownicą panu Maksymilianowi.

Marylka stała w miejscu, oszołomiona potęgą maszyny warczącej niczym zawojski potok po deszczach. Pan Maksymilian trzymał kierownicę umieszczoną na końcu długiego kija. Połyskujący w porannym świetle czarny automobil miał wielkie światła i schodek. Kanapy zdały się dziewczynie iście królewskie. Halinka podskoczyła z radości, opierając się na ramieniu Majerczyka. Zaprosił ją gestem do środka. Odwróciła się

jeszcze do Marylki z wyrazem triumfu w oczach. Rozsiadła się na skórzanej kanapie z Majerczykiem, który nie omieszkał złapać ją za kolano. Maksymilian wcisnął pedał i automobil sapnął, buchnął dymem i zaczął powoli toczyć się przez Rynek w stronę Synagogenstrasse.

Marylka Siwiec stała, patrząc nie na automobil, który zwracał powszechną uwagę przechodniów, lecz na Antoninę Kowal. Próbowwała odgadnąć, co kryje się w jej głowie. Kim była w nocy, gdy śmiała się do rozpuku, pijąc wódkę i paląc papierosy? Kim jest teraz i czego od niej chce?

– Kciołabyk pójść ku Kwaśnym. Pożegnoć się, przeca sie juz chebo nie uwidzimy – odezwała się w końcu do Kowalowej niby od niechcienia.

– Już ci tłumaczyłam, dziewczyno, że mają kwarantannę i nikt do baraków Weichmanna wchodzić nie może ani oni nie mogą nigdzie iść.

Marylka pokiwała głową. Coś chciała jeszcze powiedzieć, lecz w tej chwili stanął przed nimi policjant w pruskim mundurze. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, podkreślony wąsik i bardzo bystre spojrzenie. Strzelił oficerkami, uklonił się nisko kobietom i rozpoczął rozmowę z Kowalową. Przedstawił się nazwiskiem Halemba. Marylka czuła strach przed mundurem i cofnęła się o kilka kroków. Antonina nie wyglądała na poruszoną. Marylka dałaby sobie rękę uciąć, że kobieta wręcz flirtuje z mężczyzną. W końcu odezwała się do niej:

– Kochaniutka, podejdz do cioteńki.

Dziewczyna stała jak zamurowana, czując do Kowalowej niechęć, lecz kobieta postąpiła ku niej i przyciągnęła ją do siebie. Przytuliła mocno i uszczypnęła Marylkę w policzek.

– No ukłoń się panu policyjantowi. Pan widzi, jakie to biedne dziecko ze wsi, zahukane. Pod opiekę wzięłam, bo tam głodem przymierała.

Policjant spojrział na wydatny biust Marylki i jej silne, umięśnione ramiona, po czym wydał wargi z powątpiewaniem.

– Dokumenty proszę. Pani i dziewczyny – odezwał się surowym tonem. – W jakim celu przybyła panienka do Mysłowitz? – zapytał bezpośrednio Marylkę.

Kowalowa przycisnęła głowę Marylki do swojej piersi.

– Toż nie widzi pan, że to ułomna dziewczyna? Ledwo to to mówi. Z serca ją wzięłam – tłumaczyła Antonina, płacząc na zawołanie.

Tego Marylka już znieść nie mogła. Wyrwała się Kowalowej z całej siły.

– Marylka Siwiec, roków siydymności, zamieszkało Zawojo Widły. Łocięc Jasiek, matko Nastazjo – zaczęła recytować dziewczyna, dumnie podnosząc głowę.

Antonina doskoczyła do niej i wbiła jej z całej siły paznokcie w plecy.

– Już dobrze, dziecko. – Spojrzała na nią z litością, jak na szczenię. – Panie policyjancie, ona ataku może dostać. Epilepsja straszna w rodzinie.

Policjant pokręcił głową ze złością.

– Niech pani cyrku nie robi, bo nie przystoi kobiecie! – powiedział zimno i chciał zwrócić się do Marylki, lecz Antonina Kowal zrobiła krok w jego stronę i spojrzała z triumfem gdzieś za jego głowę.

Marylka usłyszała hałas zbliżającego się samochodu. Zerknęła z błaganiem na policjanta, lecz on patrzył zdumiony na pojazd, który jechał prosto na niego. Z płyty Rynku zerwało się stado gołębi, które kołowały teraz w górze, oglądając maszynę.

– Pan Maksymilian udzieli panu wszelkich informacji. Żegnam – powiedziała Kowalowa z manierą, wskazując na kierowcę samochodu. Złapała Marylkę z całej siły i pociągnęła ją w stronę Entenstrasse, skąd przyszły.

Dziewczyna chciała uciec, znów się wyrwać, lecz hipnotyzował ją warkot samochodu. Dała się ciągnąć wściekłej Kowalowej, w niczym już nieprzypominającej dobrotliwej kobiety, która pewnego dnia pojawiła się w izdebce pod Babią Górą.

### ***Mysłowice, 2 lipca 2021 roku***

**G**dy Maciek wybiegł z domu, Alicja dostała histerii. Wpadła do ich sypialni i zaczęła rzucać wszystkie rzeczy męża na podłogę. Zajda czuła się okropnie. Pożałowała, że w ogóle przyjechała do Mysłowic. Nie chciała brać w tym udziału. W powietrzu fruwały slipy, podkoszulki i inne części garderoby Maćka.

– Przecież nie wiesz do końca, o co chodzi – próbowała uspokoić Alę. – Nastolatki w tym wieku robią sceny, to normalne. Może jej czegoś zabronił? Albo zakazał się z kimś spotykać, a ty nie wiesz... – Baśka wymieniała kolejne powody, dla których Dagmara mogła tak napisać o ojcu. Jaki ból jej sprawiał? Dokąd chciała odejść?

– Tak, masz rację! Ale dlaczego uciekł? Uciekł! Zamiast ze mną rozmawiać, on uciekł! – wypluwała z siebie słowa Alicja.

Na ten argument Zajda nie miała dobrej odpowiedzi. Objęła mocno koleżankę i czekała, aż się wyciszy. Trwało to ponad kwadrans. Alicja kręciła nerwowo głową, przypominając Baśce przestraszoną kurę z hodowli matki. Była jak zwierzę doprowadzone do granic wytrzymałości.

– Muszę powiadomić o tym policję, Baśka – powiedziała cicho.

Zajda zamarła. Wiedziała, że takie zgłoszenie spowoduje lawinę czynności, które w efekcie mogą pogrzyść Maćka, nawet jeśli jest całkowicie niewinny.



– Najpierw spróbujmy same dojść do tego, dlaczego to napisała. Może Maciek wie, co się stało, czym ją tak uraził?

Alicja nie słuchała. Wzięła do ręki telefon i roztrzęsionym palcami wybrała numer do jednego z mężczyzn prowadzących poszukiwania jej córki. Po pierwszym sygnale odstawiła jednak smartfona od ucha i nacisnęła czerwoną słuchawkę. Stała przed ich zdjęciem ślubnym. Na fotografii wyglądali zjawiskowo. Alicja była dużo szczuplejsza, a Maciek miał młodzieńczy błysk w oku. Wielkie łzy spłynęły jej po twarzy.

– Nie mam pojęcia, co się stało – wyjęczała.

– Jakie były stosunki między nimi? Masz powody, aby go o coś podejrzewać?

Alicja odpowiedziała jej kręceniem głową. Zagryzła wargi, które zrobiły się białe.

– Był czas, że Dagmara się z nim pokłóciła i nie odzywała się do niego przez tydzień. Wówczas chodziło o to, że nie chciał się zgodzić na jej wyjazd na zagraniczny obóz. Ale ostatnio wszystko było dobrze. Tak mi się do tej pory zdawało... – Mówiąc to, tarła twarz, pozostawiając na niej czerwone ślady.

– Daj mu chwilę, niech ochłonie. Na pewno wszystko się wyjaśni – mówiła Zajda, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał ani cień wątpliwości.

A wątpliwości w jej głowie było mnóstwo. Sprawy o molestowanie seksualne w rodzinie zdarzały się ciągle. Sama prowadziła jedną, po której do tej pory jeżył się włos. Alicja pokiwała lekko głową bez przekonania.

– Jadę na Piasek – rzuciła Baśka. – Może uda mi się znaleźć matkę tej Majki. Nie będziemy przecież tu siedziały i rozpaczały.

– A jeśli Maciek ma z tym coś wspólnego?

– Nawet tak nie myśl – odpowiedziała, kierując się do drzwi.

Na zewnątrz wciąż panował nieznośny upał. Na placu zabaw obok jej samochodu bawiło się kilka małych dziewczynek. Na murku piaskownicy przygotowały „sklepik”, w którym sprzedawały piaskowe babki. Zajda poczuła głód. Otworzyła drzwi w passacie, nagrzanym jak piekarnik. Sięgnęła po telefon, żeby znaleźć jakąś restaurację w okolicy. Najbliższa z dobrymi opiniami mieściła się przy Katowickiej. Gdy wsiadała do samochodu, jej uszu dobiegł cienki głosik jednej z bawiących się w piaskownicy dziewczynek.

– Ja nie mogę iść na ławkę! Mama musi mnie widzieć z okna. Cały czas musi mnie widzieć. W Mysłowicach chodzi wampir!

Wskazała palcem na okno na pierwszym piętrze. Zajda podążyła wzrokiem w tamto miejsce i ujrzała czujną twarz kobiety wspartej na parapecie. Wampir? Przez ciało Baśki przeszedł lodowaty dreszcz.

Gdy tylko Baśka wyszła z mieszkania, Ala wróciła do pokoju Dagmary. Wzięła do ręki etui z jednorożcem, które Maciek rzucił na ziemię. Zapisane tam słowa wwiercały się w jej mózg. „Nienawidzę mojego ojca. Czy on, kurwa, nie wie, jak to boli? Muszę odejść”. Przez jej głowę przewijały się ich wspólne szczęśliwe chwile, które teraz jakby utraciły swój blask. Czowała, że traci rozum. Wybrała w końcu jego numer, chcąc za wszelką cenę wyciągnąć z niego prawdę. Nie odebrał. Złapała się za nasadę nosa, czując zbliżającą się migrenę. Dźwięki piosenki *Ale jazz!* Sanah, którą Dagmara ustawiła w jej telefonie jako dzwonek, przyniosły kolejną falę wspomnień. Złapała smartfona z nadzieją, że to jej córka. Niestety wyświetlacz wskazał nazwisko jednego z policjantów. Odebrała.

– Macie ją? – zapytała przez ściśnięte gardło.

Czuła w ustach piasek drażniący przełyk.

– Nie. Dzwoniła pani. O co chodzi?

Zamarła. Wcześniej wybrała ten numer pod wpływem impulsu. Teraz tego żałowała.

– To nic. Przez pomyłkę.

Po drugiej stronie zapadło krótkie milczenie.

– Ale słyszę, że coś się stało. Pomożemy. Ma pani jakieś informacje?

– To nic takiego. Zupełnie nieistotne – odpowiedziała zbyt szybko i nerwowo.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. – Głos mężczyzny przybrał mocny ton. – Robimy wszystko, aby odnaleźć pani córkę. Żywą – dodał z naciskiem. – Każdy, nawet najmniejszy szczegół może być istotny. Musimy sprawdzić każdą poszlakę, która może nas doprowadzić do Dagmary. Rozumie pani?

Alicja znów płakała. Z trudem wyjęczała przez telefon:

– Tak.

– Chce pani odzyskać córkę?

– Tak.

– Powie nam pani, co panią zaniepokoiło?

– Tak – odparła z rezygnacją.

Gdy wyznawała, co napisała jej córka z tyłu etui na telefon, czuła się jak zdrajczyni. Ale teraz była w stanie sprzedać duszę diabłu, byle ją odzyskać. Nawet jeżeli miała ponieść tak wysoką cenę. Po jej wyznaniu policjant powiedział, żeby czekała w domu. Że już do niej jadą.

Gdy się rozłączył, położyła się na łóżku córki i zawyla jak opuszczony pies. Zatopiła twarz w puchatej poduszce, chcąc chociaż na chwilę poczuć zapach Dagmary. Dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że serce znów przyspieszyło. Zrywała się z łóżka, gdy do pokoju wbiegł jej mąż. Był bardzo przejęty. Uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Usiądź, czegoś się dowiedziałem.

Alicja świdrowała go wzrokiem, zbyt słaba, by znów na niego krzyczeć. Maciek spojrzał lękliwie na błyszczące etui z jednorożcem, które mieniło się pływającymi cekinami.

– Tak jak mówiła Baśka, pojechałem na Brzęczkowice, pod blok korepetytorki. – Wziął głębszy oddech, by trochę się uspokoić. – W okolicy jest kilka sklepów. Popytałem w każdym. W spożywczaku rozpoznała ją ekspedientka. Mówiła, że Dagmara co jakiś czas robiła tam zakupy.

– Zapytałeś, co kupowała? – przerwała mu Ala.

– Tak. Wcześniej zazwyczaj chipsy. Ale ostatnio dwa razy próbowała kupić papierosy. Nie sprzedały jej. Słuchaj dalej. – Maciek zachowywał się tak, jak gdyby ich wcześniejszej kłótni w ogóle nie było. Jak gdyby wymazał z głowy oskarżenia żony. – Pytałem jeszcze w kilku sklepach, aż trafiłem na małą drogerię. Młoda dziewczyna, która tam pracuje, zna Dagmarę. Opowiedziała, że wykonywała jej profesjonalny makijaż do sesji zdjęciowej.

– Jakiej sesji?

– Mówiła, że do jakiegoś portfolio. Tyle z niej wyciągnąłem. Była przekonana, że nasza córka jest pełnoletnia.

– Dlaczego?

– Bo paliła papierosy i rozmawiała przez telefon jak dorosła osoba.

Alicja kręciła głową, nic nie rozumiejąc.

– Znalazłem zakład fotograficzny, który jest na osiedlu, ale był zamknięty. Na drzwiach wisiała kartka z napisem „urlop”. Po co jej była sesja fotograficzna?

Patrzyli na siebie, szukając w swoich oczach tego, co ich łączyło. Znajdowali jednak nieufność.

– Maciek, powiedz prawdę – powiedziała błagalnym tonem.

Popatrzył na nią wzrokiem winowajcy. Znała to spojrzenie. Widziała je za każdym razem, gdy czuł się winny. Otworzył usta, lecz w tej chwili usłyszeli dzwonek do drzwi. Oboje się wzdrygnęli. Maciek odwrócił się i skierował do przedpokoju. Po chwili wrócił z dwoma funkcjonariuszami prowadzącymi poszukiwania ich córki.

– Dobrze, że panowie są, bo odkryłem coś nowego – powiedział, stając przy żonie.

Spojrzał na nią, lecz nie znalazł w jej zaciętej twarzy choćby cienia zadowolenia z jego odkrycia. Zapadła niewygodna cisza.

– Proszę nam dać ten przedmiot – nakazał starszy policjant, podczas gdy młody patrzył nieufnie na Macieja.

Stali tak jak rewolwerowcy, którzy boją się nawet mrugnąć. W końcu Ala bez słowa podała im cekinowe etui na telefon.

Maciek cofnął się o krok, z niedowierzaniem kręcąc głową. Przecierał twarz, jak gdyby chciał się obudzić.

– Co ty wyprawiasz? Jak możesz? Przecież ja bym nigdy... Co ty robisz?

Jego głos z niskiego stał się nagle piskliwy.

– Pan pójdzie z nami. Musimy to wyjaśnić. – Głos policjanta był stanowczy.

– Ala! Zrób coś. Powiedz im!

Kobieta stała nieruchomo, patrząc na ścianę obwieszoną rodzinnymi zdjęciami. Jej twarz była jak maska.

– Co mam im powiedzieć? – zapytała, nie patrząc na niego.

– Że jestem dobrym ojcem.

***Myslowitz, 24 marca 1912 roku***

**G**dy wróciły do baraku, Marylka złapała Kowalową za rękę. Spojrzała na nią z błaganiem.

– Jo juz nie kcom za to Wielko Wodo. Nie gniewojcie się, ale jo pudom ku chałupie. Ino zeby te dudki, co matko zapłaciło, oddoć.

Policzek wymierzony przez Antoninę Kowal był tak nagły i silny, że zwałił ją z nóg. Uderzyła głową o ścianę i jej ostatnią myślą, zanim straciła przytomność, było mocne postanowienie, że w nocy ucieknie. Musiała tak leżeć długo, bo gdy się ocknęła, za oknem już zmierzchało. Drzwi do baraku były otwarte, stała w nich rozemocjonowana Halinka.

– Poć, pudomy na pokoje! – wołała ją, podczas gdy pani Antonina z pomocą Majerczyka wzięli Marylkę pod boki.

Doszli w ten sposób na Beuthenerstrasse, gdzie wprowadzili ją na pierwsze piętro. Zadowolona Halinka niosła torbę Marylki, z której ta kiedyś tak się cieszyła. Posadzili ją na fotelu.

– Co to się panience dzieje? Żeby tylko jakaś choroba się nie przyplątała, bo jeszcze na statek nie wpuszczą... – mówił Samuel Majerczyk z troską.

Marylka, nic nie rozumiejąc, spojrzała na panią Antoninę. Kobieta zrobiła minę niewiniątka.

– Wreszcie się zwolnił pokój, więc mogłem szanowne panie przenieść z tego baraku, za pobyt w którym ogromnie przepraszam.

Halinka uwiesiła się na jego ramieniu, a Marylka zmarszczyła czoło ze zdziwienia, zerkając na Antoninę. Kowalowa jednak jakby nigdy nic zaczęła wyciągać swoje pakunki, przywiezione tu widocznie wcześniej.

– Jo godała pani Kowalowej, iże jo juz nie kcom... – zaczęła dziewczyna cicho, lecz Majerczyk nie dał jej skończyć.

– Moja pani kochana, bilety zakupione, wszystko załatwione. Niech będzie Marylka spokojna. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nawet do rodziców pani wysłałem przez jednego pana wiadomość, że pojutrze wyjazd pociągiem do Hamburga.

Głos Majerczyka był słodki jak kogel-mogel, który Marylka ucierała na biszkopt. Tak bardzo chciała mu wierzyć. Gdzieś głęboko czuła jednak niepokój. Coś uwierało ją w duszy. Bo choć nie miała żadnego doświadczenia ani w podróżach, ani w podejmowaniu pracy, teraz była niemal pewna, że ci ludzie nie mają dobrych intencji. Uśmiechnęła się tylko lekko i pokiwała głową, aby ich uspokoić. Ale zaczęła obmyślać plan, jak odzyskać pieniądze i uciec. Jedyne ratunek widziała w Jędrku Kwaśnym i jego rodzinie. Tym razem do spania kładły się z Halinką do prawdziwych łóżek. Zazdrościła koleżance radości i entuzjazmu. Sama była pochłonięta przez czarne myśli. W brzuchu czuła węzeł niepokoju. Głowę, wciąż obolałą po uderzeniu, wsparła na poduszce, aby nie uciskać wielkiego guza na potylicy. Wiedziała, że nie zaśnie. Leżały z Halinką w jednym dużym łóżku, obok miała spać Kowalowa. Marylka uważnie śledziła, jak kobieta chowa klucz do pokoju na wstążce na szyi. Antonina Kowal spojrzała na nią chłodno.

– Jak się czujesz? – zapytała z udawaną troską.

– Cosik lepij – odpowiedziała i spojrzała na Halinkę układającą się do snu.

Kowalowa siedziała jeszcze przez chwilę, porządkując rzeczy. Marylka obserwowała ją spod półprzymkniętych powiek. W końcu kobieta zgasila lampę i wyszła z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Po chwili zza ściany dobiegły Marylkę rozmowy i śmiechy. Wstała po cichu i sprawdziła, czy Halinka śpi. Gdy się upewniła, zakradła się do pakunków Kowalowej i zaczęła w nich grzebać w poszukiwaniu pieniędzy lub biletów. Może jest

jeszcze jakaś nadzieja? Nie może wrócić do domu z niczym. Przecież bracia dali jej wszystkie oszczędności, matka się zapożyczyła. Wszyscy na nią liczyli. A ojciec? Jak spojrzy mu w twarz? Przecież on jej już do domu nie przyjmie.

W pakunkach nic nie znalazła. Kowalowa musiała trzymać ważne rzeczy w torebce, z którą się nie rozstawała. Z ulicy dobiegał Marylkę hałas, zbliżał się jak grzmot. Podeszła do okna i zobaczyła tramwaj, pod którym tory ciągnęły się aż do dworca. Obserwowała, jak sunie w górę do Alte Kirchstrasse, by zatrzymać się na przystanku przed kościołem. Spojrzała w stronę ulicy prowadzącej do Rynku. Jej wzrok padł na znajomą postać przemykającą wzdłuż ścian kamienic. Gdy tylko ta osoba znalazła się w kręgu światła latarni, Marylka rozpoznała Jędrka. Serce zabiło jej mocniej. Złapała za klamkę okiennicy, lecz ta ani drgnęła. Zaczęła stukać w szybę, wołać. Nie przyniosło to jednak żadnego efektu. Hałas tramwaju zagłuszał wszystkie dźwięki. Jędrak Kwaśny popatrzył jeszcze raz w lewo, później w prawo i zawrócił na Rynek.

– Cóż ci, Marylko? – wołała z głębi pokoju Halinka, zbudzona przez jej krzyki.

Z korytarza słychać było tupot, a po chwili dźwięk otwieranego zamka. Marylka wskoczyła do łóżka i w ostatniej chwili nakryła się kołdrą.

– A co się tu, panny, wyprawia? – zapytała surowo Kowalowa, której postać wyglądała złowieszczo w świetle padającym z korytarza.

Przestraszona Halinka wskazała palcem na Marylkę, która udając zaspaną, usiadła na łóżku i przetarła oczy

– Straśniony miał sen. Kieby som diabeł przyłoz ku mnie.

Świdrowała wzrokiem Antoninę Kowal, której twarz wydała się jej straszna. Kobieta zatrzasnęła drzwi bez słowa i zniknęła w korytarzu. Marylka zaczęła przekonywać Halinkę, że grozi im coś złego. Pokazała jej



guza nabitego przez ich opiekunkę. To wszystko jednak nie robiło na dziewczynie wrażenia. Halinka, ślepo zakochana w Samuelu Majerczyku, którego nazywała „dobrodziejem”, skomentowała rewelacje Marylki dosadnie:

– Jakżeż jest sprzeczno<sup>51</sup>, to niy bedom ciebie załowała.

Gdy Marylka zasnęła, czuła, jakby zapadała się coraz głębiej w bagno, z którego nie może się wydostać. Jej głowa i kończyny stawały się coraz cięższe. Sny, które ją nawiedziły tej nocy, były pełne lęków oplatających jej myśli jak pajęczyny.

### ***Mysłowice, 2 lipca 2021 roku***

**K**ręciła się po dzielnicy Piasek już dobre pół godziny, rozpytując przechodniów o Żanetę Waligórę. Napotykała jednak samych młodych ludzi, którzy zaczepieni, ściągali z uszu słuchawki z nieprzytomnym spojrzeniem i nie potrafili udzielić jej żadnej informacji. Skręciła w ulicę Gwarków. Po obu stronach ciągnął się rząd familoków, w których kiedyś mieszkały rodziny górników kopalni Mysłowice. Dziś były tylko cieniem dawnych czasów. Z lewej minęła stary cmentarz żydowski, który obiecała sobie w głowie kiedyś odwiedzić. Weszła na ogromne podwórko, okrążone z każdej strony budynkami z czerwonej cegły. Na drewnianej ławce dostrzegła dwie starsze kobiety. Podeszła do nich. Obie miały fioletowe włosy po trwałej ondulacji. Plotkując, zajadały prażony słonecznik. Przypominały jej siostry Marge z Simpsonów.

– Dzień dobry, szukam Żanety Waligóry. Podobno pracuje tu gdzieś niedaleko.

Kobiety spojrzwały na siebie porozumiewawczo, nic nie odpowiadając.

– Ja nie jestem z żadnej gazety. Słyszały panie o zaginionej Dagmarze Śmiałek? Pomagam jej rodzicom odszukać dziewczynę.

– Tã dziółszka, kerõ<sup>52</sup> pokazywali w telewizorze? – zapytała ta przypominająca Selmę.

– Właśnie ta.

Siostry Marge Simpson znów wymieniły spojrzenia.

– Żanetka pojechała po ślubnego na lotnisko. Miał covidą i terõzki dopiyro przilecioł ze roboty we Anglii – wytłumaczyła Selma.

– Takõ to jest pierońska zaraza. Jõ niy mogła iś na pogrzyb sõmsiadki w tamtym roku, bo ino piyńć ludzi mogło być – dodała Patty.

– A jõ po covidzie to do tyj pory niy czujã wõni. – Selma potarła się po nosie. – A wosy? Nawet mie niy nerwuj. Terõzki muszã jy tapirować, by niy świyć glacõm.

– To pani Żaneta tutaj mieszka? – Baśce udało się wreszcie wtrącić.

– Ja. Ôd strõny Sobieskiego.

– Chyba jeji auto parkuje – rzuciła Selma, wskazując czerwonego opla astrę. – A wje pani, iże dzisiej chycili tego Sebka, co to niby jom dõwiõł<sup>53</sup>? Policyjõ põ niego prziszła. Lõtoł, lõtoł za dziõłchami, aż wylotoł. Jõ czułach, iże to sie źle skõńczy.

– Pani mówi o tym upoõledzonym chłopaku? Sebku Samochodziku? – dopytała zaskoczona Zajda.

– Ja. Wszyjscy przecã Sebka znajõm. Ôn po cołkich Mysłowicach tak lõtoł. – Selma rozejrzała się po oknach familoka, jakby szukając potwierdzenia na swoje słowa.

– A jõ niy wierzã, iże õn im coś zrobiõł. Same mu sie cisły, dziõłchy gupie – skwitowała Patty, wprawiając towarzyszkę w złość.

– Abo tyś je takõ naiwna. Ino byś brõniyła wszyjskich. Ukraince biydne, uchodźce biydne...

Idąc w stronę Żanety Waligóry, Baśka słyszała z tyłu rozpętującą się sprzeczkę. Matka dziewczyny zabitej nad Hubertusem była ubrana na czarno. Otworzyła bagażnik opla, podczas gdy jej mąż stał bez ruchu, wpatrując się w jedno z okien familoka. Zajda szła powoli, nie chcąc ich przestraszyć. To nie była dobra chwila na rozmowę. Z okien wyglądały sąsiadki, obserwowały Waligórow z przejęciem. Kobieta postawiła pakunki męża na chodniku i spojrzała pytająco na zbliżającą się Baśkę. Jej mąż stanął przy niej, jakby chcąc ją osłonić. Baśka przedstawiła się cicho. Patrząc im w oczy, przepełnione bólem po stracie córki, zabrakło jej słów. Czy miała prawo ich niepokoić? Przemogła ucisk w gardle.

– Szukam Dagmary Śmiałek. Szesnastolatki o długich czarnych włosach.

Oczy obojga się rozszerzyły. Mężczyzna chwycił żonę za dłoń, rzucając Baśce nieufne spojrzenie.

– Czy mogę z panią chwilę porozmawiać? Ja wiem, że pani ciężko, ale to bardzo ważne... – mówiła Zajda.

Waligóra zastąpił jej jednak drogę ze wściekłą miną.

– Mowy nie ma. Proszę nas zostawić w spokoju. – Wziął do ręki walizkę i popchnął żonę do klatki schodowej.

– Proszę pomóc jej rodzicom. – Baśka nie ustępowała. – Może Dagmara jeszcze żyje?

Żaneta Waligóra odwróciła się w drzwiach i spojrzała na Zajdę przez napływające łzy.

– Proszę – powiedziała, wskazując Baśce drogę na schody, a następnie spojrzała na męża. – Porozmawiam z panią. Trzeba pomóc.

Podążyła za nimi schodami na pierwsze piętro. Mężczyzna wpuścił ją bez słowa, patrząc z wyrzutem na żonę. W mieszkaniu panowała dziwna atmosfera. Z pokoju wyszedł nastoletni chłopak i zaczął witać się z ojcem. Obaj płakali, a Baśka poczuła się jak intruz naruszający najbardziej delikatną tkankę rodzinną. Żaneta Waligóra kazała jej usiąść na kanapie przy ławie.

– Proszę mówić, o co pani chodzi. Chcemy zostać sami – powiedziała, przykładając roztrzęsioną dłoń do policzka.

Baśka położyła na ławie zdjęcie Dagmary. Opowiedziała o okolicznościach jej zaginięcia. Waligórowa zacisnęła powieki i wycedziła:

– Myśli pani, że ją też udusił?

– Nie wiem. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Czy widziała ją pani kiedyś z córką? Czy mogły się znać, mieć coś wspólnego oprócz wyglądu?

Za plecami gospodyni stanęli jej mąż i syn.

– Czy to konieczne? Może już wystarczy – pospieszał ten pierwszy.

Nie zważając na to, Waligórowa pokazała synowi zdjęcie Dagmary.

– Adrian, znasz tę dziewczynę? Kolegowała się z naszą Mają?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale mogę sprawdzić. – Wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie podobiznie zaginionej. – Wyślę do koleżanek Mai. Może któraś ją rozpozna.

– Dziękuję – odpowiedziała Zajda z nadzieją.

– Tego skurwiela powinni przycisnąć. Może coś powie. – Głos ojca zabitej był jak zgrzyt. – Będą dupę zawracać, jaki to niepełnosprawny. Kara śmierci za to, co zrobił naszemu dziecku! – Mężczyzna przeszedł w krzyk. Stał nad Baśką, jak gdyby miał ją zaraz uderzyć.

– Ja nie wierzę. – Żona złapała go za rękę. – Ja nie wierzę, że to ten chłopak. Tak nie można.

Gospodarz szarpnął się i rzucił w stronę witryny.

– Dziecko ci zabił, zwyrodnialec. A ty go jeszcze bronisz?! – darł się, przeskakując gorączkowo półki.

– Tam nic nie ma. Rozumiesz? Nie ma. Nie pijesz pół roku! – Kobieta także zaczęła krzyczeć. Odwróciła się do Baśki. – Proszę już iść. To zły moment. Odezwę się, jeśli się czegoś dowiem.

Zajda wstała, zastanawiając się, czy nie dojdzie tu zaraz do rękoczynów. Co mogła zrobić? Chłopak, stojący teraz w drzwiach do swojego pokoju, patrzył na nią z zażenowaniem. Położyła na ławie kartkę z numerem telefonu i powoli szła do drzwi, zostawiając za sobą awanturę. Nie mogła jednak tak odejść. Nie wiedziała, czy facet nie jest jakimś przemocowcem. Może zrobić im krzywdę. Gdy odwróciła się jednak ponownie, zobaczyła, jak Waligóra klęczy na ziemi i przytula głowę do nóg żony. Zamknęła za sobą drzwi i najciszej, jak potrafiła, zeszła na dół. Odgłosy awantury u Waligórowów musieli słyszeć wszyscy mieszkańcy, wyglądający teraz z niepokojem przez okna. Niektórzy kiwali smutno głowami. Zajda usiadła ciężko na ławce i wyciągnęła papierosa. Czuła, jak stres złapał ją za kark, usztywniając ramiona. Gdy został sam filtr, wstała. Z poczuciem porażki skierowała się w stronę wyjścia. Przeszła do końca ulicy Gwarków, gdzie wstąpiła jeszcze do sklepu Społem. Zrobiła małe zakupy i kiedy płaciła, zobaczyła syna Waligórowów czekającego na nią przy wyjściu. Pospiesznie przyłożyła kartę do terminala i dołączyła do niego na zewnątrz.

– Jedna z koleżanek Mai wysłała takie zdjęcie – powiedział roztrzęsionym głosem.

Chłopak musiał być starszy od siostry. Nosił za duży czarny T-shirt i postrzępione spodenki do kolan. Pokazał jej wyświetlacz telefonu. Na

fotografii Baśka rozpoznała córkę Ali oraz Maję Waligórę. Dziewczęta stały pod zabytkową przewiązką na Powstańców, tam gdzie jest mieszkanie po ciotce. Były ubrane niemal identycznie. Długie czarne włosy sięgały im prawie do pasa. Baśka poczuła, jak lodowaty dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

– Czy ta koleżanka wie, kiedy zrobiono to zdjęcie? Była tam z nimi?

Nastolatek pokręcił głową.

– Nic nie wie. Powiedziała, że Majka przysłała jej to dwa miesiące temu z dopiskiem „hot modelki”.

– A ty? – zwróciła się bezpośrednio do niego. – Gdzie spędzała czas twoja siostra? Co mogła z nią robić Dagmara przy Promenadzie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział bez zastanowienia. – Ona ciągle się stroiła, marzyła o wielkim świecie.

– Chciała zostać modelką? – zapytała policjantka.

– Tak, cały czas o tym mówiła. – Chłopak potarł czoło. – Dlaczego on ją udusił? Wszyscy gadają, że to ten Sebuś. – Oparł się o ścianę supersamu i zaczął płakać. – Ja mu piątkę zawsze przybijałem, jak biegał po parku. Udawał, że jedzie samochodem. Zmieniał biegi i kręcił kierownicą. Jak widział jakąś laskę, to wydawał dźwięk hamulców. Już go chłopaki z osiedla chcą zajebać. Dobrze, że go psiarnia zabrała. – Chłopak rozsypywał się na oczach Zajdy. Usiadł na chodniku i naciągnął T-shirt na czoło.

Rozejrzała się wokół, szukając wsparcia, ale ulica była pusta. Kazała Adrianowi zaczekać i weszła z powrotem do sklepu. Wróciła po dwóch minutach z puszką coli.

– Masz, napij się. Jest tak gorąco.

Chłopak podniósł skrytą między nogami głowę. Patrzył na Baśkę przez chwilę zaczerwienionymi oczami. W końcu sięgnął po napój, otworzył go

i zaczął pić. Jego ciało, wciąż wstrząsane resztkami szłochu, powoli się uspokajało. W głębi ulicy Zajda zobaczyła jego wściekłego ojca. Nie miała ochoty na rozmowę z nim. W jednej chwili strzępki informacji, które do tej pory krążyły jej bezładnie po głowie, połączyły się w jedną całość. Dotknęła delikatnie głowy chłopaka.

– Trzymaj się, młody. Dziękuję za pomoc – powiedziała i obróciła się na pięcie.

Minęła budynek sklepu. Na jego bocznej ścianie widniał wielki napis namalowany sprayem przez jednego z osiedlowych mścicieli: „Bóg wybacza, Piosek nie”.

Maciej Śmiałek czuł, że zaraz eksploduje. Siedział w pokoju przesłuchań już trzecią godzinę. Rozmawiali z nim ledwie ponad kwadrans, po czym w połowie zdania zostawili go i wyszli. Pytali wciąż o to samo. W kółko i w kółko. To było godzinę temu. Kazali czekać, więc czekał. Parcie na pęcherz stało się jednak nie do zniesienia. Wstał i podszedł do drzwi, za którymi stał funkcjonariusz.

– Muszę iść do toalety.

Policjant skinął głową i zaprowadził go do łazienki. Gdy Maciek stanął przed lustrem, przeraził się swego oblicza. Cienie pod oczami i pogłębione bruzdy wokół ust dodawały mu lat. Jego cera przybrała ziemisty odcień. Jak to się stało, że Alicja przestała mu ufać? Zadzwoiła na policję, żeby na niego donieść. Tak jakby nie byli zgodnym małżeństwem przez tyle lat. Jakby nic między nimi nie było. Czuł dławiący żal, gdy o tym myślał. Najgorsze jednak było to, że choć udawał sam przed sobą, doskonale wiedział, dlaczego jego córka napisała te straszne słowa. I jeszcze ten wypadek w kopalni. Był przy tym, widział to, ale do tej pory nie potrafił stwierdzić, czyja to wina. Nigdy nie zapomni wrzasku kneflarza<sup>54</sup>

z taśmociągu podścianowego wciągane przez bębny. Trzasku łamanych kości i wycia, które tam w podziemiach odbijały się od ścian i pędziły korytarzami.

Maciek był elektrykiem. Zmieniał wtedy żarówkę oświetlającą napęd taśmociągu. Było ciemno. Czy gdyby nie to, nie doszłoby do tragedii? Wystarczyło, żeby drugi na taśmie pociągnął za linkę bezpieczeństwa. Ale tamten stał. Stał z takim ogniem w oczach, jakby był sparaliżowany. Maciek krzyczał na całe gardło: „Linka, pociągnij linkę!”. Lecz pracownik nie zrobił nic. Był już dwa razy na przesłuchaniach, ale nie mógł przecież donieść na członka rodziny. Zdawało mu się, że głowa mu pęknie. I teraz jeszcze to...

Wyszedł z łazienki i prawie wpadł na chłopaka, który siedł z matką za rękę w asyście policji. Młody mężczyzna obrócił się komicznie, wydając dźwięk hamowania i redukcji biegów. Wyglądał na wniebowziętego. Rozglądał się wokół i „dodawał gazu”.

– Bruuuuuuuuuuum. – Po chwili „włączył syrenę” i ku rozpaczy jego i przerażonej matki zaczął wyć jak policyjny wóz na sygnale.

Maciej od razu się zorientował, że to Sebek Samochodzik, o którym pisano w internetowych komentarzach. Gdy doprowadzili go do końca korytarza, ułożył dłonie w kształt pistoletu i podniósł je tak, jak najpewniej widział w filmach.

– Ręce do góry! To jest napad – krzyczał z uśmiechem na ustach, jakby to był najlepszy żart w tym miejscu.

Był wysoki i dobrze zbudowany. Pomimo niepełnosprawności intelektualnej budził strach samym wyglądem.

Maciek poczuł, jak policjant go popycha.

– Idziemy z powrotem do pokoju.

– Ale ile to jeszcze potrwa? Mówiliście, że nie jestem aresztowany.



– Spokojnie. Musimy dokończyć zeznania, a tu widzi pan – wskazał chłopaka wprowadzanego właśnie do oddzielnego pomieszczenia – wynikły inne okoliczności.

Maciek spoważniał.

– Myślicie, że to on?

Policjant wzruszył ramionami.

– Wszystko jest możliwe. Na razie musieliśmy go tutaj przyprowadzić dla jego bezpieczeństwa. Dostaliśmy cynk, że już się jakieś kibole na niego szykują. Baliśmy się samosądu. I tak do przesłuchania musimy czekać na psychologa.

Maciek czuł niepokój.

– Mogę zadzwonić? – zapytał policjanta, który w odpowiedzi tylko skinął głową.

Wyciągnął telefon i przez chwilę myślał, do kogo wybrać numer. Alicji nie miał ochoty widzieć. Nie po tym, jak go załatwiła. Rodziny też nie zamierzał wtajemniczać w sytuację. Wybrał numer do Baśki Zajdy.

– Halo? Baśka? Mówi Maciek Śmiałek. Jestem na komendzie w Mysłowicach.

– Co ty tam robisz?

– Alicja na mnie doniosła. Zatrzymali mnie do wyjaśnień. – Przerwał na chwilę, jakby zażenowany tym faktem. – Słuchaj, przywieźli tu tego Sebka Samochodzika. Przyjedziesz tutaj? Mam nowe informacje. Byłem na Brzęczkowicach. – Po drugiej stronie słuchawki rozległa się krępująca cisza. – Ja nic nie zrobiłem Dagmarze. Nic nie zrobiłem... – Choć mówił cicho, pilnujący go policjant słyszał każde słowo.

– Dobra, przyjadę. Ale nie wiem, co na to Ala – odpowiedziała Zajda.

Po dwudziestu minutach pojawiła się w komendzie. Chociaż siedział w zamkniętym pokoju, od razu wiedział, że to ona. Wpadła tam z impetem,

odpierając próby zatrzymania jej w korytarzu.

– Maciek – powiedziała, wsadzając samą głowę przez szparę w drzwiach. – Daj im jeszcze kwadrans. Dokończą przesłuchanie i zabieram cię stąd.

Poczuł ulgę i radość, że przynajmniej ona nie traktuje go jak psa. Wszyscy zachowywali się, jakby był jakimś zwyrodnialcem. To było okropne uczucie, obezwładniające. Wzrok przesłuchujących go wcześniej policjantów oskarżał go i skazywał.

Do pokoju wszedł podkomisarz Marek Bogacz, ten sam, który rozmawiał z nim wcześniej. Usiadł przy stoliku i otarł spoconą twarz. Był wyraźnie zmęczony.

– Dobra. Proszę wreszcie powiedzieć prawdę i kończymy tę zabawę. I tak mamy tu niezły cyrk z tym chłopakiem. Dlaczego pana córka tak napisała?

Przełknął ślinę. Nikomu o tym jeszcze nie opowiadał. Miał nadzieję, że to nigdy nie ujrzy światła dziennego. W obecnej sytuacji nie miał jednak wyjścia. Zaczął powoli mówić. Podkomisarz notował z grobową miną i trudno było stwierdzić, czy wierzy w jego wersję wydarzeń.

Gdy wreszcie wyszli z pokoju, Baśka stała przy szybie pomieszczenia, gdzie siedział Sebek Samochodzik. Przyglądała się chłopakowi, który miotał się wewnątrz, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

– Dlaczego go tutaj trzymacie? – zapytała Marka Bogacza.

Podkomisarz podszedł bliżej i chcąc się jej pozbyć, podniósł dłoń. W tej chwili z korytarza wyłonił się prokurator Lis, który omiótł ich wzrokiem. W końcu spojrzał tylko na Baškę.

– Dziękuję za wiadomość. Sprawdziliśmy tego gościa o nicku Trump, który pisał agresywne komentarze pod postem. To raczej nie mógł być on. Facet jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Bez pomocy nie opuszcza

domu. Jeżeli chodzi o Sebka – wskazał na chłopaka zerkającego na nich z ciekawością zza szyby – to dziewczyny z ośrodka Caritas potwierdziły, że tego wieczora, gdy zginęła ich koleżanka, biegał za nią po parku. Podobno zapomniała plecaka i wróciła tam sama. Nie poszły za nią, bo bały się zakonnic. Za spóźnienia są podobno straszne kary.

Zajda była zaskoczona. Owszem, wysłała SMS-a do prokuratora, ale nic nie odpisał, więc stwierdziła, że wolałby, aby się nie wtrącała.

– Cieszę się – powiedziała powoli – ale to nie on. Ten chłopak nie mógł tego zrobić. On ich nie udusił – dodała zdecydowanie.

Maciek Śmiałek patrzył na nią, zaskoczony jej pewnością siebie. Powiedziała to tak, jakby to ona była prokuratorem. Bogacz i Lis stali w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Wzruszyła ramionami i wskazała na niepełnosprawnego chłopaka.

– Popatrzcie na jego dłonie.

Zbliżyli się do szyby, podczas gdy Sebek Samochodzik zaczął im machać, przytulając twarz do okna. Rozpłaszczył nos i robił zabawne miny, a następnie śmiał się i uderzał rękami w uda. Oni jednak patrzyli tylko na jego dłonie. Były małe i delikatne jak u dziewczynki. Nie pasowały zupełnie do jego ogromnej postury. Prokurator odwrócił twarz do Zajdy.

Maciek Śmiałek z zadziwienia uniósł brwi. Nie myliła się. Ofiary miały na twarzy ślad po wielkiej męskiej dłoni, nie zaś po małych, delikatnych paluszkach.

– Jak chłopak taki jak on mógłby to zorganizować? Ktoś by go przecież zauważył. Macie jakieś ślady biologiczne? Pewnie nie... – kontynuowała.

– Zamknęliśmy go tu głównie dla jego bezpieczeństwa. Chcieli dokonać na nim samosądu – tłumaczył lekko podniesionym głosem Marek Bogacz. – Poza tym mamy dowody, że obserwował zabitą od jakiegoś czasu.

– Już wystarczy – prokurator Lis mu przerwał. – Pan Śmiałek złożył wyjaśnienia?

– Tak, będziemy potwierdzać jego informacje – skwitował Bogacz.

– W takim razie żegnam państwa. Nie jesteście zaangażowani w tę sprawę, niemniej jednak dziękuję za pani wieści i polecam się na przyszłość.

Maciek przyglądał się z zaciekawieniem prokuratorowi, który był niepodobny do żadnego z mężczyzn, jakich znał. Jego długie, oprószone lekką siwizną włosy kontrastowały z pełnioną funkcją. Spojrzał na Baškę, która skinęła pozostałym na pożegnanie i wyszła za nim z komendy.

Było już późno. Zastanawiał się, co ma ze sobą zrobić. Głód dokuczał mu coraz bardziej. Nie chciał, nie mógł wrócić do Alicji. Za bardzo był na nią zły, ale też dręczyły go wyrzuty sumienia. Wiedział, że nie będzie mógł spojrzeć jej w twarz.

– Słuchaj, mam nowe informacje. Muszę ci wszystko opowiedzieć – zaczął.

– Ja też coś mam. Umieram z głodu. Usiądziemy w jakiejś knajpie?

Na miejscu poczuł się przez chwilę naprawdę dobrze. O ile mężczyzna w jego sytuacji może czuć się dobrze. Jedli i opowiadali sobie najnowsze wieści. Informacja o zakładzie fotograficznym, do którego najprawdopodobniej chodziła Dagmara, zelektryzowała Zajdę. Trwało to jednak chwilę, bo nagle wyprostowała się i spojrzała na niego poważnie.

– Słuchaj, będę szczerą. Nie mogę ci pomagać, dopóki nie powiesz mi, dlaczego Dagmara tak napisała. Co się stało?

Cały się w sobie skurczył. W jego oczach pojawił się błysk złości. Usta wykrzywiły mu się w nieładnym grymasie.

– To nie twoja sprawa. Nie wtrącaj się.

Zajda zaczęła wycierać chusteczką usta z resztek sosu. Wstała, szykując się do odejścia. Złapał ją jednak za rękaw i posadził z powrotem.

– Sami zaprosiliście mnie do swojego życia. Ja tego nie chciałam. Mimo to bardzo mi zależy, aby odnaleźć Dagmarę. Poświęcam na ten cel nie tylko swój urlop, ale przede wszystkim spokój. Jeżeli chcesz mojej pomocy, to do cholery, musisz być ze mną szczery. Inaczej stąd spadam. Koniec.

Po wygłoszeniu tej tyrady Baśka opadła na krzesło. Jej policzki były zaczerwienione, a pierś falowała. Maciek spojrzał na nią trochę z podziwem, a trochę z poczuciem porażki i zaczął swoją opowieść z nadzieją, że gdy Zajda dowie się prawdy, nie opuści lokalu.

### ***Myslowitz, 24 marca 1912 roku***

**L**eżał w dusznym baraku wypełnionym smrodem niemytych ciał. Nie spał całą noc, myśląc o Marylce. Jego wczorajsze poszukiwania dziewczyny skończyły się fiaskiem. Długo plątał się po ulicach wokół Rynku. Zaglądał do baraków przy ulicy Entenstrasse, ale zastał tam tylko jakichś podejrzanych mężczyzn. Doszedł aż do budynków kopalni. Wypytywał ludzi. Zajrzał do dwóch wyszynków. W jednym nic nie wiedzieli o dziewczynach z gór. Faceci stojący za ladą tylko dziwnie na niego spojrzeli. Wracając, wszedł jeszcze do ostatniego lokalu na trasie, hotelu z obszerną restauracją położonego naprzeciwko budynków dworca kolejowego. Obok licznych podróżnych siedziało też wewnątrz kilku policjantów. Bał się podejść do kontuaru, bo nie wiedział, czy starczy mu pieniędzy choć na piwo. Czaił się więc przy wejściu, czekając na moment, gdy elegancki barman przejdzie się po sali. Nagle drzwi restauracji się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna, którego widział we

wcześniejszym wyszynku, gdzie pytał o Marylkę. Gość podszedł do barmana i począł szeptać mu coś do ucha. Tamtego musiała ta informacja poruszyć, bo ciągnął się nerwowo za brodę. Przybysz rozejrzał się po sali i nagle zatrzymał spojrzenie na młodzieńcu skrytym w cieniu przy ścianie. Wskazał na niego palcem i krzyknął:

– To on! Łapcie go!

Ku przerażeniu chłopaka policjanci, którzy posilali się najprawdopodobniej po służbie, zaczęli się podnosić od stolików. Nie myśląc długo, rzucił się ku drzwiom i wypadł na ulicę. Owiął go wieczorny chłód. Serce waliło mu jak oszalałe. Skręcił w stronę Przemszy. Pędził ile sił w nogach, słysząc za sobą policyjny gwizdek. Biegał jednak szybko, we wsi mógł go pokonać tylko Staszek. Brakowało mu już tchu, gdy wpadł w nadrzeczne zarośla. Schylił się i na czworakach wczołgał w plątaninę łęgów. Słyszał, jak dwóch mężczyzn zbliżało się truchtem, powoli zwalniając kroku. Jędrak obserwował ich z ukrycia.

– Przepadł. Jutro dopadniemy kiepa – powiedział wyższy policjant.

– Niech go sobie sam Żyd goni. – Drugi splunął na ziemię.

– Najgorsze, że wszystko widział ten Halemba, co się tak na agentów zawziął. Psia mać!

– Specjalnie tu na dworzec przyszedł jeść.

– Trzeba będzie na niego uważać.

Gdy odeszli, siedział jeszcze dobrą godzinę w krzakach. Nie rozumiał, co się dzieje. Czym zawinił? Był przerażony. Bał się, że gdy wróci do baraków stacji, zastanie tam tych samych policjantów. Wiedział jedno: musiał odnaleźć Marylkę. Kiedy zakradł się do miejsca, w którym spała jego rodzina, opadł na posłanie i leżał tak całą noc. Nie mógł przestać myśleć o dziewczynie, za którą podążał całe życie. Nie pamiętał, kiedy się w niej zakochał. Czy to się stało podczas którychś z jesiennych wykopków?

Gdy śmiała się i pracowała w polu ciężej niż inne dziewczyny? A może podczas dożynek, kiedy tańczyła z bratem. Pamiętał, jak smagnęła go warkoczem podczas piasów. Poczł wówczas prąd przesywający go na wskroś. Nie miał odwagi poprosić jej do tańca. Nie miał odwagi nawet gęby otworzyć. A może to było w kościele, gdy śpiewała podczas nabożeństwa majowego? Gdy światło wpadające przez okno oświetliło jej twarz i zdawało mu się, że to Matka Boska. Kochał ją od dawna, ale już pogodził się z myślą, że ona nie dla niego. Aż do czasu, kiedy ją tu, przy ogrodzeniu, ułapił. Poczł wtedy żar jej ciała, które mu się poddawało, i już wiedział, że będzie jego. Gdzie ją zabrała ta Kowalowa? Dlaczego ją wtedy zostawił? Gdzie jest jego Marylka? Odchodził od zmysłów, czekając, aż rodzice się obudzą. Po godzinie ludzie stłoczeni na pryczach i podłodze baraku zaczęli się budzić. Ojciec wstał pierwszy. Przeciągnął się i udał do wychodka. Jędrak pobiegł za nim.

– Łociec – szepnął, wołając go na stronę.

Usiedli na ławce między barakami. Rozglądając się na boki, opowiadał mu o swoich podejrzeniach.

– Jo Marylke miłuje, łociec. Jo bez niyj nika<sup>55</sup> nie jadam. Nika.

Stary Kwaśny podniósł brwi i spojrział z zaskoczeniem na syna.

– Frajerke<sup>56</sup> żeś znalazł? Patrzta go! Siuhaj<sup>57</sup> lydwie mlyko spode nosa otarł. Miłowanio mu sie zachciewo. Upytuje<sup>58</sup> o babe.

Ojciec okrutnie go wyśmiewał i gdyby nie strach o Marylkę, Jędrak pewnie skuliłby się jak zawsze. Teraz jednak poczł jakąś nową, nieznaną mu dotąd siłę, by się zbuntować przeciw ojcu. Chwycił go za ramię.

– Nie bedom sie z tobo wadzić, łociec. Jo swoje pedzioł. Bez Marylki nie idom nika.

Obrócił się i chciał odejść, ale ojciec go wstrzymał.

– Pockaj, pockaj, Jyndrku. Scyze godos?

– Scyze, jok przed świontom obrozem.

– Jo cosik wymyślom.

Stary wyglądał na zmartwionego. W oczach potulnego zazwyczaj syna dostrzegł błysk, którego nigdy wcześniej nie widział. Zrozumiał, że stracił nad nim ojcowską władzę. Drapał się po głowie długą chwilę, aż w końcu odrzekł:

– Pod wiecór zeby łona tu przyjsła, tamok do budynku z boku stacyi. Ugodam strazników. Trza bedzie dutkami sypnoć.

Jędrek uścisnął ojca z ulgą. Bał się, że go nie przekona.

– Ino matce nic nie godoj.

– Comu?

– Przeca bedzie lamyntowoć.

Ojciec kazał mu do południa nie opuszczać stacji, bo czekały ich ostatnie badania przed wyjazdem. Nazajutrz rano rozpoczynała się ich podróż koleją do portu w Hamburgu. Stamtąd mieli wyruszyć do Ameryki jednym z okrętów towarzystwa okrętowego Hamburg-Amerikanische Packetgesellschaft. Jędrek miał za zadanie pilnować matki i rodzeństwa, bo kręciło się po barakach wielu złodziei i szubrawców. Poprosił jednak chłopaka z Bukowiny, który także podróżował z rodziną, żeby miał baczenie na jego bliskich, a sam udał się śledzić ojca. Wyszedł dziurą w płocie, obszedł budynki od tyłu i zaczął się przy willi sąsiadującej z budynkami agentury Weichmanna. Po kwadransie dostrzegł ojca, jak wychodzi ze środka z eleganckim mężczyzną. Musiał to być ktoś bardzo szanowany i bogaty, bo ludzie mijający ich na ulicy kłaniali mu się w pas. Człowiek ten poklepywał dobrotliwie starego Kwaśnego, co Jędrek wziął za dobry znak. Wiedział, że sprytny ojciec załatwił bilet dla jego Marylki. Czuł, jak serce podskakuje mu w piersi. Teraz tylko musiał odszukać ukochaną.



Ruszył w dół na tyłach budynku poczty, obawiając się policji. Zatrzymał się pod ratuszem i zastanawiał przez chwilę, co robić. W końcu pobiegł w stronę Neue Kirchstrasse i zajrzał przez szybę do wyszynku, gdzie wcześniej z Marylką widzieli Antoninę Kowal. Miał szczęście. Tyłem do witryny siedział rozparty na krześle pan Samuel Majerczyk. Jędrrek schował się w cieniu bramy i postanowił czekać, aż mężczyzna opuści lokal. Czuł suchość w ustach i narastający głód. Nic nie jadł od wczorajszego południa, a zapachy dobiegające z zaplecza restauracji pobudzały apetyt. Nie wiedział, ile czasu minęło, ale w końcu Majerczyk wyszedł na zewnątrz. Stał przed lokalem, zagadnięty przez jakiegoś mężczyznę.

– Co słyhać? Jakie wieści u szanownego pana Majerczyka? – przywitał się tamten. – Ponoć zyskał pan tytuł „króla agentów, króla granic i Myslowitz”.

Majerczyk zaśmiał się gardłowo.

– Na wyrost, na wyrost, proszę pana. Interesy idą wyśmienicie. Dziennie szesnaście wagonów odjeżdża z Myslowitz do Hamburga, Bremy i Antwerpii.

– Ponoć Weichmann bierze dwa procent od każdego biletu?

– To są informacje tajne, drogi panie, sam nie wiem, ale miasto kwitnie dzięki jego interesowi. Wychodźców coraz więcej.

– W rzeczy samej. Pokoje wszystkie wynajęte, i ja mam na tym interes.

– A no proszę. Moje uszanowanie. – Majerczyk uniósł kapelusz i ruszył ulicą Plessersstrasse w dół.

Jędrrek nasunął czapkę na twarz i wolnym krokiem podążał za mężczyzną, który niespodziewanie skręcił w lewo, między budynki. Chłopak przyspieszył kroku, by nie stracić go z oczu. Majerczyk wszedł do

odrapanej, niskiej kamienicy. Czekał na niego pod murem, lecz po chwili usłyszał jego głos w jednym z parterowych okien.

– Moje uszanowanie – przywitał się z kimś.

Odpowiedział mu stary, przepity głos.

– Jeszcze cię, psu bracie, nie posadzili w areszcie? Czekaj, ten policyjant zagiął parol na ciebie. Chodzi, rozpytuje, szuka haka jednym słowem.

– Pomówienia, wszystko pomówienia.

– Na Entenstrasse rewizję zrobił. Warto ci to ryzykować? Ile za te dwie weźmiesz?

– Pięćset rubli za głowę. Zdaje się, że warto? Dodatkowo sto za dziewice dają, bo jest klient na to.

– Szkoda, boby człowiek jeszcze použíwał. A tak to je tam wyruchają na wszystkie strony, że ich mamcia nie pozna. – Mężczyzna zaśmiał się ordynarnie.

Początkowo Jędrak nie rozumiał słów, które do niego trafiały. Skradały się powoli, jak pijawki, które w końcu wpiły się w jego umysł. Poczuł, że włos jeży mu się na głowie, a krew gotuje jak w kotle. Jego Marylkę? Jego ukochaną wyruchają?! Chciał wskoczyć przez otwarte okno, chwycić cokolwiek i rozbić łeb Majerczyka, a następnie tłuc nim o podłogę, aż zostanie z niego mokra miazga. Wyrwać mu wnętrzności. Zabić! Oddychał głęboko i powtarzał słowa swojej babki.

– Pokój, pokój na mom duso.

Zamknął oczy i próbował się opanować. Nie mógł się teraz zdradzić.

– A chłopak? – zapytał Majerczyk.

– Był przed chwilą Franz. Nie ma go w barakach.

– Trzeba go znaleźć.

– Rano wyjeżdża. Jakby się jeszcze plątał, to mordę objemy.

– A jeśli to nie wystarczy?

– To spławi się go Przemszą. Niejednego już rzeka zabrała.

Gdy Jędrak pojął, że mowa o nim, obleciał go strach. Wycofał się do pustego chlewiku. Po chwili Majerczyk wyszedł. Chłopak bał się jak nigdy, ale pobiegł za nim. Nie uszli daleko. Mężczyzna skręcił w stronę kościoła, przebiegł przez tory tramwajowe i zniknął w drugiej bramie po lewej stronie Beuthenerstrasse. Dokładnie tu Jędrak stał wczoraj w nocy. Był tak blisko!

### ***Mysłowice, 2 lipca 2021 roku***

**N**ie zgodziła się Maćka przenocować. Znalazła mu hostel przy dworcu. Zaparkowała przed kamienicą przy Powstańców i zdała sobie sprawę, że nie ma kluczy do mieszkania. Zostawiła je panu Alojzowi. Cofnęła się do pierwszego budynku, lecz zatrzymała przed schodkami, na których siedziała Marzena. Dziewczyna wyciągnęła dłoń i zadzwoniła kluczami.

– Tata kazał mi pani dać.

Baśka złapała się za głowę.

– Strasznie mi głupio. Zostawiłam go samego w mieszkaniu i zniknęłam na cały dzień.

– Coś tam porobił, ale później poszedł na nockę na kopalnię. Dowiedziała się pani czegoś nowego?

– Miałyśmy być na ty – poprawiła ją Zajda.

– Sorry, trudno się przestawić.

Baśka usiadła na schodach przy dziewczynie.

– Właściwie to tak. Byłam w domu tej dziewczyny znalezionej nad Hubertusem. Wiesz, że jest zdjęcie, na którym stoi dokładnie w tym

miejscu z Dagmarą? Tu, pod przewiązką.

– Poważnie? – Marzena wstała. – A ta dziewczyna od zakonnicy?

– Jej koleżanki wskazały na tego niepełnosprawnego chłopaka, Sebka.

Dziewczyna zakryła dłonią usta. Wyglądała na przejętą.

– Przecież on jest totalnie nieszkodliwy. Czasem się obraca za dziewczynami.

– Ciebie też zaczepiał?

– Pewnie, ale nic nie robi, tylko udaje, że jedzie samochodem.

Dziewczyna stała przed Baską, szarpiąc nerwowo bransoletki zawieszane na dłoni. Było tam kilka plecionych z muliny oraz jedna z zawieszką, w kształcie połowy serduszka.

– Masz chłopaka? – zapytała.

Dziewczyna przekreśliła głowę na bok.

– Miałam, ale zerwałam z nim.

– To od niego to serduszko? – Zajda wskazała na bransoletkę.

Marzena pokręciła głową i wyciągnęła papierosy.

– Wiesz, czasem słyszę tu głosy – powiedziała zniechęcona, po czym przyłożyła końcówkę papierosa do ognia. Wydmuchała dym wysoko w górę. – Właściwie to westchnienia. Tu, pod przewiązką.

Zajda zaśmiała się nerwowo. Poczowała niepokój, gdy przypomniała sobie moment, w którym sama coś usłyszała. Nie wiedziała co. Wcześniej tłumaczyła sobie, że to wiatr, teraz jednak nie była już niczego pewna. Suchość w ustach stała się nieznośna. Nieświadomie sięgnęła do torebki i zaczęła ją przeszukiwać. Wyciągnęła z niej poszukiwany przedmiot.

– Co to za swastyka? – zapytała zaintrygowana Marzena.

– To krzyżyk niespodziany.

– Taki amulet? Ale czad. – Dziewczyna wzięła go do ręki i przyglądała się mu dłuższą chwilę. – Ja też wierzę w takie rzeczy...

– W jakie?

– No w czary, magię. Te głosy na przykład. Nie zmyśliłam tego.

Wstała i otrzepała spodenki.

– Idę, bo znowu stary będzie narzekał, że nie poskładałam prania. Jakbym się mogła jakoś przydać w poszukiwaniach, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Zniknęła w drzwiach kamienicy. Baśka doczłapała do mieszkania. Wzięła szybki prysznic i otworzyła butelkę wina. To był ciężki dzień. Zerknęła na telefon i zobaczyła SMS-a od Tomka Witkowskiego: „Hej, diablico. Odezwij się. Chcę się z Tobą spotkać”.

Poczuła, jak robi się jej gorąco. Nalała sobie kieliszek wina i zanurzyła w nim wysuszone usta. Nie była na to gotowa. Kilka miesięcy temu pobiegłaby do niego. Nie zapomniała wspólnych chwil, ale też jego oczu, kiedy tam w szpitalu powiedział jej, że to koniec. Musiał wrócić do żony, bo ich syn był ciężko chory, i ona to rozumiała. Nie miała ochoty znów cierpieć. Zastanawiała się, co mu odpisać. W końcu wystukała na klawiaturze kilka słów, że jest zajęta remontem mieszkania w Mysłowicach. Odpisał jej tylko emotką z uśmiechem. Siedziała tak z telefonem, scrollując bez sensu ekran. W końcu weszła na post o zaginięciu Dagmary. Od czasu jego utworzenia często to robiła. Było sporo nowych komentarzy.

## **Śląska frela**

Miałach racyjo. Policyjo wezła Sebka Samochodzika.

## **Trump**

Oczywiście na niepełnosprawnego zwalili. Dziwki czarne!

### **Inkwizytor**

Kara śmierci!

### **Dodarobiloda**

Mieli my mu morde obić

### **Strażnik\_Piosku**

Piosek żegna goroli pedziów i innych pierdolców ma szczęście że go psy zabrały

### **Mata lata**

ja pierdole a wydawał się taki wesoły chłopak MASAKRA!

### **Kasandra**

Ja już z domu nie wychodzę tak się boję

### **Mysłowiczanie**

To nie będzie ten. To na zicher ktoś z sosnowca

### **GKS PANY**

Sebek kurwa! Nie godejcie że to on.

### **Elka z piosku**

Ja w to nie wierza. Kaj taki chopok by tak dusił.

### **Górnik**

To z gruby<sup>59</sup> wyszoł dioboł

### **GKS PANY**

dziewczyny nie chodzić wieczorem po dworze.

### **Kasandra**

Ciekawe czy tę Dagmarę też zabił

## Trump

Zabił udusił czarne dziwki modelki pierdolone

Poczuła napływające mdłości. Zamknęła oczy. Coś świdrowało jej umysł. Jakaś nieuchwytna myśl, która była blisko, ale umykała jej z powodu drugiego kieliszka wina. Bała się, że gdy zaśnie, ta myśl już nie wróci. Wyciągnęła więc swój notes i napisała „modelki” z trzema wykrzyknikami. Gdy tylko usiadła na łóżku, opadła na nie i bezwiednie zasnęła. Kieliszek wina wypadł jej z dłoni i ostatnie krople caberneta spłynęły na podłogę. Ciche szepty wpadały przez otwarte okno. Szumiały melodią rozkołysanych drzew.

---

[49](#) Podobno (śl.).

[50](#) mam cukrzycę (śl.).

[51](#) dokuczna (gwar.).

[52](#) którą (gwar.).

[53](#) udusił (śl.).

[54](#) pracownik obsługujący urządzenie (od śl. „knefel” – guzik).

[55](#) nigdzie (gwar.).

[56](#) kochankę (gwar.).

[57](#) gówniarz (gwar.).

[58](#) Prosi (gwar.).

[59](#) kopalni (śl.).

# ROZDZIAŁ 7

*Mysłowice, 3 lipca 2021 roku*

**G**dy otworzyła rano oczy, jej wzrok powędrował w stronę stolika obok łóżka. Zapisane na kartce słowo „modelki” sprawiło, że wróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Sięgnęła po telefon i jeszcze raz przeczytała wiadomość od Tomka. Jakby chciała sprawdzić, czy to się jej nie przyśniło. Zrobiła sobie śniadanie i zabrała się do sprzątanía. Wujek Alojz zrobił w łazience kawał roboty. Czuła się niezręcznie, że zostawiła go z tym wszystkim samego. Sięgnęła po kartkę, na której notowała najważniejsze informacje ze swoich poszukiwań. Połączyła imię Dagmary z Majką, dopisując „modelki”. Nieuchwytna myśl wreszcie się skryształizowała. Dopiła szybko kawę i wybrała numer do prokuratora Lisa.

– Dzień dobry, nie przeszkadzam?

– Słucham – odpowiedział Lis służbowym tonem.

– Wczoraj znów czytałam komentarze. Ja bym się jednak zainteresowała tym gościem o nicku Trump. Sprawdziliście jego komputer?

– Nie przypominam sobie.

– Dam sobie rękę uciąć, że coś tam będzie miał. Chyba że wszystkiego się pozbył po waszej ostatniej wizycie.



– Skąd takie przypuszczenia?  
– Te jego komentarze. Tak jakby znał ofiary.  
– Okej. Dziękuję za informację. – Zamierzał się rozłączyć, ale Baśka go powstrzymała.

– Czy kontaktowali się z grupy poszukiwawczej Dagmary Śmiałek?

– Tak. Rozmawialiśmy o zeznaniach złożonych przez jej ojca.

– Ja nie o tym – przerwała mu. – Chodzi mi o właściciela tego baru przy muszli koncertowej, tej w Parku Zamkowym. – Cisza po drugiej stronie świadczyła o tym, że Lis nie był wtajemniczony. – Zaginiona Dagmara Śmiałek pracowała tam przez dwa dni. Ten facet jest podejrzany.

– Tropów jest wiele. Mam dwa zabójstwa na głowie. Poszukiwania zostawiam grupie. Skoro nie przekazali mi tej informacji, to znaczy, że sami się tym zajmują.

Nie zdążyła nic dodać. Rozłączył się. Zacisnęła ze złości szczękę. Pewnie też mają mało ludzi, tak jak oni w Suchej Beskidzkiej. Ciągłe balansowanie na granicy. Nigdy się z tym nie pogodzi. Policja ciągle była dwa kroki za przestępcami.

Ubrała się i wyszła. Stała przed kamienicą i spojrzała na przewiązkę. Teraz było cicho. Skąpana w porannym słońcu budowla wydała się jej jak z innego świata. Jak tajemne przejście do innej czasoprzestrzeni, magiczna szafa z *Opowieści z Narnii*. W oknie pierwszej kamienicy stała Marzena. Obserwowała uważnie Zajdę, która wsiadała do passata.

Gdy Baśka zapukała do mieszkania Alicji, długo nikt nie odpowiadał. W końcu w drzwiach stanęła jej koleżanka. Wyglądała okropnie, miała opuchniętą twarz i śmierdziała wódką. Odstąpiła od wejścia bez słowa i wróciła na kanapę. Baśka zamknęła za sobą i usiadła obok.

– Ala, co się dzieje?

– Jak to, kurwa, co się dzieje? Życie mi się rozpadło! Nie mam mojego dziecka. Nie wiadomo, czy ten skurwiel jej czegoś nie zrobił. Policja go zabrała.

– Wiem.

– Skąd wiesz? Nie mów, że do ciebie dzwonił!

– Dzwonił. Uspokój się, Ala. Teraz muszę iść do pokoju Dagmary. Mogę?

Alicja skinęła głową i opadła znów na kanapę, zalewając się łzami. Zajda już nie zwracała na nią uwagi. W głowie kotłowały się jej myśli i skojarzenia. Modelki, zdjęcia, makijaże, pokaz bielizny... Otworzyła szufladę biurka i wzięła do ręki plik ulotek. Odrzucała na bok gazetki firm kosmetycznych oraz reklamy drogerii i lakierów do paznokci. W dłoni została jej w końcu jedna: „Agencja castingowa NEW LIFE”. Poszukała w Messengerze kontaktu do Krzyśka, byłego chłopaka Dagmary, i poprosiła go, żeby przesłał jej zdjęcie z Dnia Kobiet. Potem poszukała w sieci informacji o agencji, ale były lakoniczne. Brak adresu, telefonu. Jedynie formularz kontaktowy z okienkiem do załadowania zdjęć. Skorzystała ze starego maila, którego używała w pracy operacyjnej, i wysłała wiadomość, podając się za szesnastolatkę marzącą o karierze modelki. W tym czasie przysłała odpowiedź od Krzyśka. Gdy załadowała zdjęcie i powiększyła je palcami na ekranie telefonu, okazało się, że miała rację. Na fotografii za modelkami stojącymi w rzędzie z Dagmarą widać było różne banery, a wśród nich wyraźny, choć częściowo ucięty napis: „Agencja castingowa NEW LIFE”. Poczula, że wreszcie coś uchwyciła. Podbiegła do Alicji, która w totalnym stuporze kiwała się na kanapie w tył i w przód. Pokazała jej ulotkę oraz zdjęcie Dagmary z Majką pod przewiązką.

– Widziałaś kiedyś tę dziewczynę? Przyjaźniła się z twoją córką.

Ala pokręciła tylko głową.

– Ja nic o niej nie wiem... – wymamrotała.

– Obudź się, dziewczyno! – krzyknęła Zajda na całe gardło. – Czy Dagmara chodziła na jakieś castingi? Wiesz coś o tym? – Podsunęła jej pod nos ulotkę.

– Chciała, ale jej zabraniałam. Woleliśmy, żeby się uczyła.

Zajda syknęła. Ona nic nie wiedziała. Dlaczego rodzice tak się zamykają na pragnienia dzieci, czekając, aż staną się im zupełnie obce? Aż zaczną ukrywać, kim są i co je uszczęśliwia?

– Zadzwoń do męża – powiedziała Baśka, wychodząc.

Nie słyszała już odpowiedzi. Zbiegła na dół. Przed wejściem zastała Maćka. Stał z miną zbitego psa.

– Idź do niej. Wytłumacz.

Spuścił głowę, przepuszczając schodzące po schodach dwie sąsiadki. Kobiety lustrowały ich wzrokiem i zaczęły niedyskretnie komentować ledwie kilka kroków dalej.

– Nie dam rady. Chciałem, ale nie. Nie teraz. – Był wyraźnie rozbity. Unikał jej spojrzenia. – Powiedz lepiej, czy coś masz.

Patrzyła na niego, przeganiając myśli o Darku.

– Jadę na Brzęczkowice do tego fotografa. Coś mam.

Pokazała mu ulotkę. Wzruszył ramionami.

– Był czas, kiedy Dagmara intensywnie opowiadała o karierze modelki, tylko że Ala zrobiła jej awanturę i kazała wybić sobie te pomysły z głowy. Temat zniknął. Dagmara nigdy więcej go nie poruszyła. Miała świetne oceny.

Baśka pokiwała smutno głową.

– Co to za mina? Chcesz mi coś powiedzieć?

Machnęła lekceważąco dłonią.

– Mów, Baśka – nakazał jej.

– Nie mam prawa was krytykować. Sama nie mam dzieci... i pewnie już nie będę miała.

Patrzył na nią wyczekująco.

– Po prostu przypomniała mi się piosenka. – Zaczęła nucić dawny przebój: – „Dobry chłopak był i mało pił. Dobry chłopak był... Wysoki Sądzie! Powtarzam, nie uwierzę, że mój młodszy syn, choć narkotyków sam nie bierze, sprzedaje je w mieście ludziom bardzo młodym. Przecież kiedyś wygrał w ping-ponga zawody. Nie wierzę też, że do szkoły przestał chodzić trzy lata temu! Przecież mówił mi, że chodzi. Świadcstwa nie widziałem, powiedział, że zgubił. Po pracy sił nie miałem, aby z nim pomówić. Moja żona bezrobotna obiady gotuje”<sup>60</sup>.

– To trochę poniżej pasa – powiedział Maciek, wsadzając dłonie w kieszenie spodni.

– Wiem, ale nalegałeś. Jedziemy?

Gdy dojechali, zaparkowali pod lokalem, w którym mieściło się studio fotografa. Było nieczynne. Na drzwiach wisiała karteczka z napisem: „Zamknięte z powodu urlopu”.

– Musiał tu być. Gdy tu przyjechałem ostatnio, na karteczce było napisane „urlop”.

Wyszli z samochodu i zbliżyli się do witryny. Za szybą w gablocie wisiała wystawa zdjęć. Fotografie ślubne, pary ściskające się w łanach zboża, portrety artystyczne. Harmonię galerii zakłócała dziura po zdjęciu brutalnie wyrwanym z kompozycji. Puste miejsce zaburzało symetrię i budziło w Zajdzie niepokój.

– Słuchaj, musimy zdobyć namiary na tego fotografa. Znajdźmy właściciela lokalu.

Weszli do gabinetu masażu mieszczącego się obok. Przyjemna brunetka bez problemu dała im telefon do najemcy. Mężczyzna odebrał od razu. Powiedział, że zadzwoni do fotografa i zapyta go, czy może udostępnić jego numer. Oddzwonił po kwadransie.

– Facet jest na wakacjach w Grecji. Dałem mu numer do pani. W przyszłym tygodniu wróci z wczasów, to zadzwoni.

– Pan nie rozumie. Tu chodzi o zaginioną nastolatkę. On może coś wiedzieć. Najprawdopodobniej robiła zdjęcia w jego studiu.

– Niestety nie jestem w stanie więcej zrobić.

– W takim razie zajmie się tym policja.

– Trudno. Do widzenia.

Baśka była wściekła.

– Słuchaj, dzwoń do tych gości z grupy poszukiwawczej. Niech oni to przejmą – zwróciła się do Maćka ze zniecierpliwieniem.

– Spróbuję.

Próbował dwa razy, w końcu napisał wiadomość z prośbą o pilny kontakt. Wsiadli do samochodu z poczuciem straconego czasu. Zajda włączyła radio. W wiadomościach, po kilku informacjach o perturbacjach na Wiejskiej, podano na żywo wieści z Mysłowic.

„Kolejny dzień trwają poszukiwania zaginionej Dagmary Ś. Tymczasem w sprawie zabójstw dwóch dziewczyn został zatrzymany mężczyzna z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym. Miasto żyje w strachu. Czy seryjny morderca znów zaatakuje? Policja wzmocniła patrole. Zaleca też kobietom ograniczenie samotnego poruszania się po mieście, zwłaszcza po zmroku...”

Spojrzeli na siebie z rezygnacją.

– Zajmij się tym fotografem, porozmawiaj z Alą. Ja muszę to wszystko przemyśleć. Zdzwonimy się jutro. Przepraszam. Nie mam już po prostu sił.

Podwiozła go pod mieszkanie i wróciła na Powstańców. Przed kamienicą jakaś kobieta zbierała ziemniaki, które widocznie wysypały się z pękniętej reklamówki.

– Pomogę pani – zaoferowała się Baśka.

Gdy wrzuciła do worka ostatniego ziemniaka, zdała sobie sprawę, że kobieta bacznie się jej przypatruje.

– To pani pomaga szukać tej Dagmary? Pani Basia?

Zajda uśmiechnęła się lekko.

– Tak się jakoś złożyło.

– Hanna Wieczorek – przedstawiła się kobieta – mieszkam tu obok.

– Bardzo mi miło.

Baśka zrobiła smutną minę, bo uświadomiła sobie, że to musi być matka Justyny Wieczorek, którą zabito kilka miesięcy temu w parku Promenada.

– Pani wie o mojej Justysi?

Zajda przełknęła ślinę. Nieznacznie skinęła głową.

– To było takie dobre dziecko. Taka fajna dziewczyna. – Spojrzała gniewnie na okna pierwszej kamienicy. – Nie to co niektóre latawice. Justyna była wolontariuszką w schronisku dla psów. Miała plany, marzenia...

– Przepraszam, że pytam. Nie chcę pani urazić, ale takie mam zboczenie zawodowe... Jak idzie śledztwo w sprawie córki?

Twarz kobiety pociemniała.

– Nic nie mają. Z sekcji zwłok wynika, że została uduszona... Ja już tylko chcę sprawiedliwości, bo nic mi córki nie zwróci.

Jej głos był jakby wyprany z emocji i Baśka miała wrażenie, że kobieta jest tylko powłoką tego, kim była wcześniej. Hanna Wieczorek ścisnęła

w dłoni siatkę z ziemniakami i zaczęła się wspinać po schodach. Zatrzymała się na chwilę, mijając wujka Alojza. Popatrzyła na niego jakby ze złością i poszła dalej.

– To co, dziolcho? Idymy robić ta łazienka? – zawołał do niej wesoło.

– A wujek nie zmęczony po nocce na kopalni?

– Wysz, jok gōdajō? Gruba to naszō kochanka.

W mieszkaniu wzięli się do pracy. Potrzebna była pomoc, więc Zajda asystowała, z ciekawością słuchając górniczych kawałów i anegdot.

– Na grubie tak jest ôd dōwnō, że jak zjedziesz szolem<sup>61</sup> na spodek<sup>62</sup>, to ôstawiōsz wszyjske zmartwienie na wyrchu – tłumaczył jej Alojz. – Na dole musisz myśleć ino ô robocie.

Alojz poszedł o siedemnastej, bo znów czekała na niego nocna zmiana w kopalni. Baśka sama malowała jeszcze przez godzinę. Była zadowolona z efektu. Duży pokój już wyglądał całkiem inaczej. Wysokie stropy sprawiały, że całość prezentowała się bardzo elegancko i modnie. Zmęczona, ale zadowolona rozsiadła się na kanapie z kartką, na której miała wypisane wymiary frontów kuchennych. Brakowało jej pieniędzy na wymianę całych mebli, ale nowe fronty i blaty też powinny unowocześnić wnętrze. Wysłała zamówienie do producenta. Zamierzała gdzieś wyskoczyć i oderwać się na chwilę. Przestać myśleć o Dagmarze i jej rodzicach.

Wieczór był ciepły, ale nie tak upalny jak poprzednie dni. Wybrała się do jedyne miejsce, jakie знаła, do baru przy muszli koncertowej. Przyszła trochę za wcześnie, przy stolikach siedziało tylko kilka starszych pań, które o tej porze przychodziły tu na lody. Na małej scenie ustawionej przy barze rozkładał nagłośnienie jakiś zespół. Postanowiła jeszcze pospacerować po parku, który piękniał w oczach. Miasto wyremontowało już sporą jego część, ale niektóre przestrzenie wciąż były w budowie. Przeszła przez alejki, okrążyła stadion i wróciła pod muszlę. Przybyło sporo

nowych gości. Wśród nich dojrzała znajomą twarz. Grzesiek siedział na hamaku, popijając piwo ze znajomymi. Podeszła powoli, trochę skrępowana. Na jej widok niezgrabnie wstał z hamaka. Podeszedł i pocałował ją w policzek.

– Basia, gdzie ty się podziewałaś? Przychodzę tu codziennie wieczorem w nadziei, że przyjdiesz.

Znajomi Grześki zaśmiali się chóralnie, potwierdzając jego słowa.

– To prawda, żłopie tu piwsko codziennie, od kiedy cię spotkał! – zawołał chłopak o posturze niedźwiedzia.

Baśka zbliżyła się do stolika, gdzie siedziało całe towarzystwo, ale Grzesiek odciągnął ją na bok.

– Usiądźmy razem – zaproponował i poprowadził ją do zacisznego kąta ogródka.

Patrzył na nią długo z zagadkową miną.

– Co jest? – zapytała, przechylając głowę.

– Ty wiesz, że w tej kamienicy, przy której staliśmy wtedy w nocy, znaleziono martwą dziewczynę?

– Słyszałam.

– Widziałem cię tam następnego dnia, gdy przejeżdżałem samochodem. Rozmawiałaś z policjantem.

Zajda zagryzła wargi.

– Byłam tam przypadkiem i zobaczyłam zbiegowisko. Dowiedziałam się, co się stało, i postanowiłam powiedzieć o odgłosach. Pamiętasz, że coś wtedy słyszałam – skłamała. – Pijemy coś? – zapytała, by zmienić temat.

Grzesiek uklonił się dwornie i poszedł do baru. Pod sceną zaczęli gromadzić się ludzie. Przy mikrofonie stanął niepozorny chłopak. Do jej uszu wpadły pierwsze dźwięki i poczuła, że to będzie dobra muzyka. Grali



alternatywnie, inaczej – jak lubiła. Rozkołysała się, rozplynęła w harmonii. Gdy Grzesiek wrócił z piwami, zastał ją w zupełnie innym nastroju. Wstała z ławki i zabrała mu zimny napój z dłoni. Piwo było pyszne, chłodziło jej spragnione usta.

– Chodź. – Pociągnęła go w stronę rozkołysanego tłumu. – Jak się nazywa ten zespół?

– Baasch.

Podawała mu swój kufel i dołączyła do tańczących. Nieśmiało zaczęła podrygiwać, by w końcu złapać rytm. Gdy to się stało, jej ciało poddało się muzyce, a umysł wyzwolił się z natarczywych myśli. Nie kontrolowała już tego, co się dzieje naokoło. Wreszcie była tu i teraz. Śpiewała z wokalistą i tłumem:

„Bo to miasto płacze, rozbite na pół,  
no to miasto gaśnie, dymem spowite.  
Chociaż było własne, oddałem go pół,  
Ja to miasto tracę bez żadnych bitew”<sup>63</sup>.

Gdy utwór dobiegł końca, poszukała wzrokiem Grzegorza. Stał wpatrzony w nią. Zrobiło jej się głupio. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądał jej taniec z boku. Czy się wygłupiała? Odebrała swoje piwo.

– Fajnie grają – powiedziała niby od niechcenia.

– No raczej. Szalałaś.

– No co ty, nie śmiejesz się ze mnie.

Dała mu kuksańca w bok. Usiedli na jednym wolnym worku sako. Znowu rozmawiali o rzeczach nieistotnych. O muzyce, jedzeniu i wspomnieniach z dzieciństwa. Nie chciała go pytać o pracę, związki i wszystko to, co sprawia, że magia drugiej osoby pryska w oparach

przyjemności. On także nie schodził na te tematy, za co była mu wdzięczna. Każdy, kto w towarzystwie poznawał jej profesję, dręczył ją już przez całe spotkanie pytaniami o najbardziej makabryczne zbrodnie, przy jakich pracowała. Poszli pod scenę. Tańczyli razem i naprawdę fajnie się bawiła. W Zawoi ciągle była spięta. Tu nikt nie pytał o męża i dzieci. Ludzie uśmiechali się do niej i jedynie policyjny patrol krążący parkowymi alejkami przypominał, że w Mysłowicach stało się niedawno coś złego. Na nią widok funkcjonariuszy działał piorunująco. Nagle jej ciało znów się usztywniło. Grzegorz jak gdyby to zauważył. Wskazał na nich.

– Chyba się nie boisz „Wampira z Mysłowic”? Sebka już aresztowali.

Podniosła się zbyt szybko. Zakręciło jej się w głowie.

– Serio myślisz, że to ten chłopak?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Policja się tym zajmuje. Bez dowodów nic mu nie zrobią – odpowiedział, machając jej przed nosem pustym kuflem.

Zirytował ją. Potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć nieprzyjemnego odczucia.

– Pójdę do baru – zaproponowała.

Obsługiwał ten sam barman co ostatnio. Posturą przypominał jej Adriana Brody’ego. Jego szybkie, szczupłe palce podrzucały kieliszki i butelki, mieszając drinki. Stała w kolejce i rozglądała się w poszukiwaniu podejrzanego szefa. Z pewnością w taki wieczór musiał gdzieś tu krążyć. Jej wzrok zatrzymał się na tablicy informacyjnej.

– Co dla pani? – zapytał barman.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na tablicę z informacjami jak zahipnotyzowana. Zaczęła powoli iść w jej stronę.

– Nieźle przypaliła – skomentował któryś z gości w kolejce.

Nie zareagowała. Stała przed tablicą i szukała tego czegoś, co zainteresowało ją ostatnim razem. Nie wiedziała, co to było, ale niepokój w głowie świadczył o tym, że to coś ważnego. Na pierwszym planie wisiał plakat informujący o dzisiejszym koncercie. Obok informacja o AlterFest Festiwal, który miał się odbyć w lipcu. Pod spodem były starsze plakaty. Zaczęła odrywać kolorowe pinezki i zrzucać kartki na ziemię.

– Halo! Panienska za dużo wypila! – odezwał się jakiś samotny mężczyzna siedzący z boku. Złapał ją za rękę, lecz wyrwała ją z taką siłą, że cofnął się bez słowa.

Targała zawzięcie kartki, nie słysząc zamieszania, które tworzy się tuż za nią.

– Zostaw to, kurwa! – zawołał czyjś mocny głos.

Nawet się nie odwróciła. Zamrugła i odpięła ostatnie pinezki, biorąc do ręki ulotkę z tytułem: „Agencja castingowa NEW LIFE. Mysłowice, Promenada, 9 kwietnia 2021. Przyjdź na casting!”. Czyjaś dłoń ścisnęła jej przedramię w bolesnym uścisku. Bez zastanowienia zrobiła krok w tył i z całej siły nadepnęła na stopę napastnika, wbiła łokieć w jego brzuch i obróciła się z całym impetem, uderzając prawą pięścią w lewy policzek mężczyzny. Dopiero teraz zobaczyła, jak właściciel baru pada oszołomiony na podłogę. Wokół zapanował harmider. Kobiety piszczały, a zadziwieni mężczyźni się rozstąpili.

– Ja pierdolę! Dzwońcie po psy. No wariatka! – wołał szef lokalu, trzymając się za twarz.

Zajda patrzyła na ulotkę. Wyminęła leżącego, który zdążył wstać. Przestraszony barman podał mu worek z lodem.

– Zgłaszam sprawę na policję. Nigdzie nie pójdziesz. – Mężczyzna zrobił krok za nią i chciał ją znów złapać za rękę, w porę się jednak zreflektował, widząc zabójczą minę Baški.

– Ja też zgłaszam – powiedziała, chowając ulotkę do kieszeni.

Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się za patrolem. Dałaby sobie rękę uciąć, że widziała wśród funkcjonariuszy podkomisarza Marka Bogacza. Teraz go jednak nie było. Zobaczyła Grześka biegnącego w jej stronę.

– A gdzie piwa? – zapytał. – Coś się stało? – dodał zaniepokojony, widząc jej wyraz twarzy.

– Nic, po prostu przeszła mi ochota na imprezowanie. – Ruszyła w stronę ulicy Kołłątaja.

– Ale o co chodzi? Ktoś cię zaczepiał?

– Nie. Nie gniewaj się, Grzesiek. Zmęczona jestem.

– Dobra. Odprowadzę cię.

Szli, oddalając się od odgłosów muzyki.

– Tu chodziłem do Szkoły Podstawowej imienia Bolesława Prusa. – Wskazał na ceglany zabytkowy budynek, do którego przyczepiona była betonowa dobudówka. – Czasem mieliśmy lekcje w salkach w przyziemiu. Wiesz, że tam były takie zabytkowe ławki, gdzie było miejsce na kałamarz? Ciekawe, czy się ostały.

– Fajnie. Podoba mi się ten stary budynek.

– A ty? – Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Co ja?

– Powiesz mi wreszcie, czym się zajmujesz?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem.

Zaśmiał się, kręcąc głową.

– Jak chcesz. Nie muszę tego wiedzieć. Ale bez numeru telefonu cię nie puszcze. Choćbym miał go z ciebie wydusić siłą.

Spojrzała na niego poważnie.

– Ale czego ty ode mnie oczekujesz, Grzegorz?

– Jak to czego? – Wyszczrzył zęby. – Wszystkiego.

### ***Mysłowitz, 25 marca 1912 roku***

**P**ilnowali jej jak oka w głowie. Modliła się od kilku godzin, przeklinając przy tym własną głupotę. Zachłysnęła się marzeniami o wielkim świecie. Dlaczego biednym ludziom ciągle wiatr w oczy? Chciała zarobić, odmienić swój los. Tyle pieniędzy... Bracia oddali jej cały dorobek, matka się zapożyczyła. Wszystko zmarnowane. Nie wierzyła już, że ta historia dobrze się skończy. Halinka zachowywała się w stosunku do niej obcesowo, a po dawnej przyjaźni nie został nawet ślad. Wyglądała przez okno, za którym na brudną ulicę padały pierwsze krople deszczu. Zobaczyła Majerczyka przebiegającego przez tory tramwajowe. Chociaż nie zrobił jej nic złego, czuła, że jego uprzejme zachowanie jest tylko fasadą. Musiała się stąd jakoś wydostać. Nie miała jednak pieniędzy ani dokumentów. Wszystkiego pilnie strzegła Kowalowa. Usłyszała tupot stóp Majerczyka na schodach. Antonina Kowal, która drzemała na łóżku, podniosła się nagle.

– Ja muszę do wychodka – odezwała się Halinka.

– Tylko szybko – powiedziała Kowalowa, wychodząc razem z nią.

Marylka patrzyła beznamiętnie przez okno. Jakiś ruch po drugiej stronie ulicy przykuł jej uwagę. W deszczu nie mogła dostrzec co to. W końcu dojrzała Jędrka Kwaśnego, który rozpaczliwie machał do niej czapką z bramy kamienicy. Nie wiedziała, co robić. Zaparowała szybę gorącym oddechem i nakreśliła palcem strzałkę kierującą go do tylnego wyjścia z budynku. Sama rzuciła się w stronę drzwi, których Kowalowa nie zamknęła w oczekiwaniu na powrót Halinki. Usłyszała rozmowę dobiegającą z drugiego pokoju, w którym drzwi były niedomknięte. Pani Antonina stała w nich tyłem i szeptała ostrym głosem:

– Ten Halemba tu był. Służąca go nie wpuściła. Powiedziała, że nikogo nie ma. Zaczaił się na nas. Jak je wywieziemy?

– Uspokój się.

Marylka poczuła, jakby dostała obuchem w głowę. Zatoczyła się i najciszej, jak potrafiła, zaczęła schodzić po schodach. Stała na pólpiętrze, czekając, aż służąca niosąca wiadro z węglem schowa się za drzwiami. Ostrożnie stąpała po stopniach, w końcu usłyszała przejeżdżający tramwaj. Postanowiła skorzystać z okazji i szybkim krokiem pokonała ostatnią odległość dzielącą ją od drzwi prowadzących na podwórko kamienicy. Chwyciła za kłamkę i zamarła, bo poczuła, że ktoś ciągnie ją po drugiej stronie. Schowała się za otwierające się skrzydło. W szparze ukazała się głowa Jędrka. Marylka z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia. Serce zabiło jej mocniej na jego widok. Wycofali się do podwórka i chcieli biec do drugiego wyjścia, gdy usłyszeli cichy głos.

– Jędrus? Marylko? Ka wy idycie? – Halinka stała przed drzwiami wychodka.

Marylka już jej nie ufała. Zrobiła krok do tyłu, ale Jędrak dopadł do dziewczyny.

– Poć z nomi. Oni wos na ladacznice wiezo, do burdyli.

Halinka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Bedocie nierządnicie. Kurwy. Słysołek. Majerczyk tak pedzioł.

– Cyganis.

– A jusci ze tak. Na Pana Bucka sie klnom.

Marylka otwarła usta ze zdziwienia. Wiadomość, że wiozą ją na kurwy, podcięła jej nogi. Oparła się o drzwiczki chlewika, z trudem łapiąc oddech.

– Cobyś nie krzycała<sup>64</sup> potom. Idos cy niy?

– Nika nie idom.

– To właziyj do wychodka. Coby nie pedzieli potom, ześ nom pomogło.

Wepchnął zszokowaną dziewczynę do środka, zanim zdążyła zaprotestować.

– Cichej tamok. Pieć zdrowosiek zmów, a potom dzyj sie – dodał, ryglując drzwi deską.

Złapał Marylkę za rękę i wybiegli na ulicę. Serca dudniły w ich młodych piersiach. Uciekali wzdłuż torów w dół, a później przez park i w stronę Przemszy. Ulice były puste, gdyż rześisty deszcz przegonił z niej przechodniów. Choć mokrzy do suchej nitki, nie zatrzymywali się ani na chwilę. Grzęznąąc w błocie, doszli do portu rzecznoego. Schowali się w starych magazynach zakładu produkującego barki, teraz pełniącego funkcję składu drewna. Weszli do zamykanego pomieszczenia, gdzie pracownicy przebierali się do pracy. Było późno i wyglądało na to, że wszyscy już opuścili magazyn. Jedynie od strony rzeki słyhać było pokrzykiwania robotników. Zamknęli się od środka, dysząc ze zmęczenia. Ściągali przemoczone ubrania i chlupoczące błotem buty. Marylka opadła na ławkę z policzkami zaczerwienionymi od wysiłku.

– Co bedzie? Przeca nos złapio – zapytała chłopaka, który wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami.

– Ociec syćko załotwi. Widziałek, jok ugadoł jakisik woznego panocka ze stacyi. Pudomy tamok po zmroku.

Chwyciła go z wdzięcznością za rękę.

– Jyndrku mój miły.

Chłopak chłonał zapach jej mokrych włosów. Złapał ją za talię.

– Jo mu pedzioł, ze nika byz ciebie niy pudom.

Patrzył na jej usta, czekając na pozwolenie, które w końcu odczytał z jej spojrzenia. Marylka czuła się wreszcie czyjaś. Pod powiekami widziała te wszystkie razy, kiedy Jędrka odrzucała, i tym mocniej oddawała mu

pocałunki i pieszczoty. Po wszystkim leżeli otuleni w szmaty, które znaleźli w pomieszczeniu. Jędrrek gładził ją po twarzy, a ona całowała jego palce.

– Pudomy do Hameryki. Dutki przywieszom, to ociec da to pole na Smyrokach.

– A niy chcys ty w tyj Hameryce ostać?

– Obocym, jok tamok jest.

Snuli wspólne plany i marzenia. A Marylka nie mogła odżałować sukienki, która została w jej bagażach w kamienicy przy Beuthenerstrasse. Jakby ją Jędrrek zobaczył, toby mu oczy zapłonęły. Gdy przyszedł zmrok, ukląkł przed nią z zaciśniętą pięścią. Oczy błyszczały mu w świetle zapalanej świecy. Otworzył pięść i dziewczyna ujrzała dwa metalowe krążki.

– Marylko, ty wis, ze jo cie zawzdy miłowoł. Cy ty byś kcioła ze mno? Mieć tokiego Jyndrka za chopa?

Zapało jej dech w piersi. Zaśmiała się, chcąc odgonić napływające do oczu łzy.

– Zyniacka ci w głowie? Zmamroć siy<sup>65</sup> byś kcioł? – Zamarła jednak, bo twarz chłopaka była poważna jak nigdy dotąd. – Kcom ciebie, Jyndrku. Kcom – powiedziała cicho.

Wyciągnęła dłoń, a Jędrrek nasunął jej na palec metalowy krążek. Ona zrobiła to samo z drugim. Długo się tulili, aż w końcu chłopak powiedział, że trzeba iść. Cała nadzieja Marylki spoczywała teraz w starym Kwaśnym, który na tak zdecydowaną deklarację syna musiał coś poradzić. Skradali się znów wzdłuż rzeki. Gdy doszli na wysokość budynków Stacji Emigracyjnej, Jędrrek kazał jej poczekać na tyłach. Sam zakradł się przy willi i obserwował. Deszcz ustał, przed dworcem znów był spory ruch. Przy wejściu, gdzie ojciec kazał przyjść Marylce, nikogo nie było. Jednak kawałek dalej stał policjant i bacznie obserwował przechodniów. Po



kwadransie Jędrak zaczął się niepokoić, bo mundurowy ani myślał ruszyć się z miejsca. Nie sposób było przemknąć przed nim niezauważenie. W końcu wpadł na pomysł. Poszedł po Marylkę i nakazał jej na umówiony znak biec do wskazanych drzwi. Tam miała się przedstawić i powiedzieć, że jest od pana Kwaśnego. Rano mieli się spotkać w pociągu, gdzie Marylka zostanie przemycona przewiązką zawieszoną ponad ulicą. Ostatni pocałunek był pełen oddania. Jędrak wyczekał, aż nadjedzie tramwaj, i ruszył w kierunku policjanta. Gdy pytał go o drogę, dziewczyna przekradła się w cieniu budynków do drzwi i zniknęła za nimi.

– A pan szanowny dokąd się wybiera? – zapytał Jędrka policjant, uważnie się mu przyglądając.

Jędrak zdał sobie sprawę, że zwrócił na siebie uwagę gwarą.

– Do Feldarbeiter-Zentralstelle<sup>66</sup>, na roboty.

– Spać masz gdzie? – zapytał policjant, tracąc zainteresowanie chłopakiem. W ostatnich czasach dziennie do Mysłowic ściągало takich jak on blisko pięć tysięcy.

– Mom.

– Tylko żebym cię tu pod dworcem nie widział, jak śpisz. Tu na ulicy nie wolno.

Chłopak skinął głową i wolnym krokiem ruszył w dół ulicy z nadzieją, że Marylce udało się dotrzeć na miejsce.

### ***Mysłowice, 4 lipca 2021 roku***

**R**ano zadzwoniła do Alicji, martwiąc się o jej stan. Zostawiła ją wczoraj w zupełnej rozsypce. Ustaliły, że spotkają się po południu. Alę znów mieli odwiedzić mężczyźni z grupy poszukiwawczej.

– Rozmawiałaś z mężem?

– Dzwonił, ale nie mam mu nic do powiedzenia, dopóki się nie dowiem, gdzie jest moje dziecko.

– Musisz go wysłuchać – próbowała ją przekonać Baśka, lecz Alicja się rozłączyła.

Zajda kręciła się chwilę po mieszkaniu, omijając slalomem porozkładane na podłodze puszki z farbą, tapety i inne sprzęty. Zdała sobie sprawę, że musi iść na zakupy, bo nie ma nic na śniadanie. Ubrała się i wyszła. Kupiła kilka rzeczy w najbliższym spożywczaku. Gdy wracała, znów zastała przed kamienicą panią Wieczorek. Kobieta zatrzymała się z trzema wielkimi siatkami. Postawiła je na ziemi, by chwilę odpocząć.

– Dzień dobry. Ale duże zakupy – przywitała się Baśka.

– Truskawek nakupiłam na kompoty. Czymś się muszę zająć, żeby nie zwariować.

Próbowała znów dźwignąć z ziemi pakunki.

– Ja pani pomogę. Zaniosę – powiedziała Zajda i nie czekając na odpowiedź, zabrała z ręki kobiety dwie torby. – Niech pani prowadzi.

W mieszkaniu Wieczorków panowała grobowa cisza. Baśka postawiła siatki w kuchni.

– Proszę zostać na kawę – zaproponowała Hanna Wieczorek.

Baśka się zgodziła. Usiadła przy stole i obserwowała, jak kobieta krząta się po kuchni. Musiała mieć nie więcej niż pięćdziesiąt lat, ale garbiła się, a tragedia wyryła na jej twarzy cierpienie. Postawiła przed nią kubek z kawą i sama usiadła. Zapach truskawek dobiegający z zakupów postawionych na podłodze był jedynym akcentem życia w tym martwym wnętrzu.

– Widzi pani, Justysia... – Głos jej zadrżał. – Justysi nie ma. I sama tak siedzę. Mąż w pracy. Mężowie zawsze są w pracy. Jak się coś dzieje, jak

tragedia, to oni tam uciekają.

– Coś w tym jest – odparła Baśka i upiła łyk kawy.

– Takie to życie. Ja wiedziałam, że ta latawica ją w końcu do nieszczęścia jakiegoś sprowadzi – kontynuowała gospodyni, podchodząc do komody.

Na jej blacie stała ozdobna ramka ze zdjęciem Justyny Wieczorek. Widok jej twarzy, tak podobnej do ostatnich ofiar, sparaliżował Baśkę. Przymknęła oczy, chcąc przegonić ze wspomnień złe obrazy.

– Proszę podejść – zaprosiła ją Wieczorkowa. – Pokażę świadectwa Justysi.

Zajda niechętnie się podniosła. Stanęła za plecami gospodyni, która drżącymi palcami wyciągała z szuflady dyplomy córki. Baśka spojrzała z bliska na zdjęcie dziewczyny i zamarła. Z brzegu ramki zwisał czarny sznurek, a na jego końcu błyszczała połowa srebrnego serduszka. Wzięła przedmiot do ręki i przyglądała mu się. To była identyczna bransoletka, którą nosiła Marzena, córka Alojza.

– Obie takie miały – zaczęła Wieczorkowa, jakby czytając jej w myślach. – Ta latawica Marzenka to wymyśliła. Od kiedy Justynka się z nią zadawała, to czułam, że nic dobrego z tego nie będzie. Gdy były małe, to jeszcze mi się je udawało trzymać z daleka... Ale jak się mieszka po sąsiedzku, to jest niewykonalne.

– Dlaczego chciała je pani rozdzielić?

Kobieta zawahała się na chwilę, jakby mieląc słowa w ustach.

– Bo nie lubiłam jej matki. Po prostu nie chciałam, żeby Justysia zadawała się z Marzeną. Od tego matka jest, żeby dziecko uchronić przed takimi.

Zajda nie skomentowała.

– No ale jak poszły razem do tej samej szkoły średniej, to się zaczęło. Ciągnęła ją na dyskoteki, do chłopaków... I tak po jednym takim wyjściu już do domu nie wróciła. – Milczała chwilę, ściskając w dłoniach świadectwo z czerwonym paskiem. W końcu podjęła na nowo: – Ta zdzira ją wyciągnęła, a później powiedziała, że się na imprezie rozdzieliły.

Baśka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ja widzę tę Marzenę, jak siedzi pod domem cały czas. Nigdzie nie wychodzi.

– Tak, bo po tym wszystkim Alojz się za nią wziął porządnie i usiadła na dupie. Ale ja swoje wiem. Gdyby nie ona, to moja Justysia by jeszcze żyła.

Kobieta stała w milczeniu. Zająda chciała jej zadać jeszcze wiele pytań, lecz nagle poczuła się bardzo zmęczona. Spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że niedługo może przyjść hydraulik, z którym umówiła się na dzisiaj.

– Późno już. Wpadnę do pani następnym razem.

– Dziękuję za odwiedziny – powiedziała Hanna Wieczorek, spoglądając smutno za okno. – Wiadomo coś w sprawie tej zaginionej?

– Ciągle szukamy.

W mieszkaniu zjadła śniadanie, ale nie mogła zabrać się do pracy. Położyła na blacie ulotkę oderwaną poprzedniego dnia z tablicy w barze. Weszła na konto mailowe, które podała w wiadomości wysłanej do agencji castingowej NEW LIFE. Ikona nowej wiadomości sprawiła, że odruchowo wstała z krzesła.

„Prosimy o przesłanie zdjęcia portretowego, całej sylwetki oraz zdjęcia w kostiumie kąpielowym. Razem z fotografiami prosimy wysłać wszystkie dane osobowe, adres domowy, adres szkoły, profil w mediach

społecznościowych. Czy rodzice wyrażają zgodę na udział w sesji fotograficznej?”

Baśka zaklęła. Nie spodziewała się, że agencja tak szybko objawi się ze swoją prawdziwą działalnością. Musiała zdobyć jakieś zdjęcia. Na razie odpisała na wiadomość: „Zrobię zdjęcia i wyślę. Bardzo mi zależy, chcę być modelką. Mama na pewno się zgodzi, ale jest za granicą. Teraz jestem z babcią”.

Wiedziała, że tacy jak oni poszukują zagubionych nastolatków. Nie chcą mieć do czynienia z opiekuńczymi rodzicami, którzy mogliby zniweczyć ich plany. Pukanie do drzwi wyrwało ją z gonitwy myśli. Hydraulik się przywitał. O dziwo nie skrytykował pracy, którą dotychczas wykonał Alojz. Szybko zabrał się do roboty. W tym czasie Baśka obkleiła taśmami malarskimi kuchnię i usunęła niezbędne przedmioty z górnych szafek. Dołu postanowiła nie ruszać. Do mieszkania zajrzał Alojz. Porozmawiał chwilę ze specjalistą, pomógł Baśce ściągnąć szafki kuchenne i poszedł. Chciała go zagadnąć o córkę, ale nie miała odwagi. Hydraulik skończył po trzeciej.

– Dziś mam jeszcze coś do załatwienia. Jutro posiedzę dłużej. Wody proszę nie łąć – polecił i zniknął.

Nie pozostało jej nic innego, jak jechać do Alicji. Wiedziała, że policjanci, którzy mają przyjść, mogą powiedzieć jej całą prawdę. Zadzwoiła po Maćka. Gdy zapukała do drzwi Ali, miała nadzieję, że nie pożałuje swojego pomysłu, żeby go tu przyciągnąć. Alicja otworzyła, lecz gdy zobaczyła męża stojącego za Baśką, odskoczyła jak oparzona.

– Ja nie chcę go widzieć.

Zajda bez zaproszenia weszła do środka. Maciek zrobił to samo.

– Chcesz usłyszeć prawdę czy nie? – zapytała twardo.

Alicja patrzyła to na niego, to na nią. W końcu usiadła przy stole z rezygnacją.

– Zostawię was. Pogrzebię jeszcze w pokoju Dagmary – zaproponowała Zajda i zniknęła za przeszklonymi drzwiami.

Słyszała jego skruszony szept. Głos mu drżał, kiedy wypowiedział pierwsze słowa.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy poprosiłaś mnie, żebym pomógł twojej koleżance, Martynie? Miałem zainstalować jej dekodery i antenę.

W pokoju obok zapadła cisza, a Baśka mogła sobie tylko wyobrazić wyraz twarzy Alicji.

– Nie chciałem, ale ty się uparłaś, zrobiłaś jedną z tych min... To też zapewne pamiętasz.

Znów cisza. Zajda miała wrażenie, jakby sama była na jego miejscu. Poczowała lęk przed reakcją koleżanki.

– Zrobiłem, co chciałaś. Kiedy tam byłem, Martyna cały czas mnie podrywała. Ocierała się o mnie przy każdej sposobności. Czuję się jak w potrzasku. Ja naprawdę tego nie chciałem.

– Co ma z tym wspólnego Dagmara?

– Na koniec Martyna przeszła do ataku. Zawołała mnie do łazienki, żebym spojrzał na jakiś zawór. Gdy tam wszedłem, ona była już rozebrana. Nie pytała, czy chcę... – Odchrząknął kilkakrotnie, jakby wypowiedane słowa paliły go w gardle. – A potem przyszła Dagmara. Wysłała ją z jakąś książką do Martyny. Musiała pukać, ale jej nie słyszeliśmy. Więc weszła sama. Nawet jej nie zauważyliśmy. Po wszystkim czekała na mnie pod blokiem. Boże, jaka była wściekła. Okładała mnie pięściami. Nie odzywała się przez tydzień, ale w końcu jej wytłumaczyłem...

– Co jej, kurwa, wytłumaczyłeś? – Alicja uderzyła pięściami w stół.

– No... żeby ci nie mówiła. Że to była głupota i już nigdy do tej Martyny nie pójde. Słowa dotrzymałem.

– Wciągnąłeś w to naszą córkę? Myślisz, że ci wierzę w tę bajeczkę? „Przeszła do ataku” – przedrzeźniała go. – O biedaku, zgwałciła cię kobieta!

– Żebyś wiedziała! Te twoje koleżaneczki! Sama mnie do niej wypchałaś! Wiedziałaś, że to erotomanka. Ciągle opowiadałaś, jakie erotyki czyta, to się mogłaś spodziewać.

Pukanie do drzwi sprawiło, że zamilkli z twarzami czerwonymi z emocji. Zajda wyszła z pokoju i poszła otworzyć. Policjanci weszli do środka i utkwili wzrok w parze, wokół której napięcie wręcz elektryzowało powietrze.

– Coś się stało? Jesteśmy nie w porę? – zapytał starszy mężczyzna.

Maciek wstał.

– Powiedziałem żonie. Przed chwilą. No wiecie panowie, dlaczego córka tak napisała.

– Właśnie w tym problem. Pani Martyna Smolarz nie potwierdza pana wersji. Utrzymuje, że nigdy nie wiązała was żadna bliższa relacja, a tym bardziej stosunki seksualne.

– Kłamie! – krzyknął Maciek. – Chce się wybielić.

Baśka obserwowała rozwijającą się sytuację. Postanowiła wejść w słowo.

– A co z pozostałymi tropami? Mam nowe informacje.

Położyła na stole ulotki agencji castingowej i opowiedziała, co wie. Najbardziej zainteresowało ich zdjęcie Dagmary z Mają Waligórą, ofiarą morderstwa. Spojrzeli na siebie.

– Państwo chcą nadal udostępniać informacje pani Zajdzie?

– Oczywiście – odparła Alicja, a Maciek potwierdził skinieniem głowy.

– Prokurator Lis miał nosa. Kazał przeszukać komputer mężczyzny o nicku Trump.

Zajda nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Facet komentował aktywnie artykuły dotyczące morderstw w Mysłowicach. Na jego dyskach obok całej masy dziecięcej pornografii znaleźliśmy to.

Policjant położył przed nimi niewyraźny wydruk. Nie było jednak wątpliwości, co przedstawia. Na kanapie leżała Dagmara. Ubrana jedynie w krótki top i spódnicę, z nogami szeroko rozwartymi, ukazującymi wewnątrz jej ud. Maciek Śmiałek przełknął ślinę. Jego palce zacisnęły się w pięści, aż zbieleły mu knykcie. Alicja zaś otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w fotografię. W końcu wybuchnęła lawiną krzyków i pytań:

– O Boże! Czy ona żyje?! Gdzie jest?!

Miotła się tak dobrą chwilę. Zajda nie była zaskoczona. Od kiedy dostała odpowiedź od agencji castingowej, była niemal pewna, że Dagmara padła ofiarą handlu ludźmi.

– Wyciągnęliście coś z niego? Z tego faceta na wózku?

– A skąd pani wie, że na wózku?

– Mniejsza o to. – Machnęła niecierpliwie ręką.

– Nic ciekawego. Mówi, że kupił to zdjęcie przedwczoraj. Nie chce się przyznać, w jaki sposób dokonał transakcji. Zasłania się strachem o własne życie. Zawiadomiliśmy Wydział do Walki z Handlem Ludźmi.

– Nie mamy czasu do stracenia. Musimy zrobić ustawkę z tą agencją castingową. Potrzebuję zdjęć jakiejś szesnastolatki.

– Pomału. – Policjant podniósł dłoń. – Nic nie będzie pani robić sama. Zajmie się tym już wydział.

– Do tej pory mogą wywieźć Dągmare nie wiadomo dokąd – oponowała, jednak twarze mężczyzn były nieprzejednane. – A co



z fotografem? Udało się z nim skontaktować?

Starszy policjant pokręcił głową.

– Facet jest poza krajem.

Baśka spojrzała na Śmiałków, którzy jakby połączeni na nowo strachem o córkę, złapali się za ręce. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Jedyna nadzieja w tym, że handlarze ludźmi nie zabiją bez powodu tak młodej i ładnej dziewczyny. Żywa jest dla nich zbyt cenna. Zajda wolała sobie nawet nie wyobrażać, co się z nią teraz dzieje. Na zdjęciu znalezionym u tego świra wyglądała na naćpaną. Na pewno czymś ją faszerają. Tylko co, u diabła, mają z tym wspólnego pozostałe morderstwa? Maja Waligóra była z nią na zdjęciu. Najprawdopodobniej na tym castingu. A ta druga, Lena Stępień?

Zajda jeszcze raz wzięła do ręki wydruk i zaczęła analizować tło i otoczenie. Kanapa stała na środku dużego pomieszczenia, jakby magazynu. Choć nie było widać okien, to na twarz dziewczyny padało światło. Po lewej stronie kanapy na stoliku stał telewizor. Ekran był zgaszony i dostrzegła w nim odbicie. Zdawało się jej, że to okno z żaluzją. Musiało być łukowe, bo segmenty żaluzji układały się jak wachlarz. Młodszy policjant wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Muszę to zabrać.

Gdy stanęli przy drzwiach, szykując się do wyjścia, Alicja zastąpiła im drogę.

– Boże, róbcie coś! Musicie ją odnaleźć. Gdzie ją przetrzymują? Baśka, może ty jedź z nimi!

– Wykluczone – odpowiedział starszy mężczyzna. – Pani Zajda jest na urlopie. Nie możemy jej zakazać pomocy państwu, ale tylko w granicach prawa. Kontaktowaliśmy się w tej sprawie z jej przełożonym.

Baśka zakłęła w myślach. Nie spodziewała się, że na nią nakablują. Teraz pozostało jej czekać na telefon od szefa.

### ***Myslowitz, 25–26 marca 1912 roku***

**G**dy Jędrrek Kwaśny dotarł wreszcie do baraków, była już ciemna noc. Przybliżył się do ojca, który czyścił na zewnątrz stare, dziurawe buty.

– Ojciec, łona juz tamok ceko. Poćze do nijj.

Ojciec wstał i pokręcił głową.

– Niy wolno.

– Przeca łona sie boiy. Co z bieletem?

– Syćko ugodane. Ino cekoć i cichać.

– I tamok mosteckiem jo wrazom<sup>67</sup> ku wagonom?

– A juści. A tyroz tamok juz zowarte<sup>68</sup>. Idź ku matce, to ci zocierki do.

Jędrrek stał chwilę, patrząc w stronę budynków agentury. Miał nadzieję, że i jego ukochana dostała coś do jedzenia. Ale skoro jego ojciec załatwił to z tak zacnym urzędnikiem, to i pewnie dali.

– Łociiec, jokżeś go udodoł?

– Kogo?

– No widziołek. Tego uzondnika woznygo, co z nim tamok godał.

Stary Kwaśny tupnął nogą.

– Patrzta go, siuhaja. Kielo by kcioł wiedziyc. Juze do matki! – pogonił syna.

Matka była jakaś dziwna. Ale nie zaskoczyło go to, bo z rana mieli wyjeżdżać. Jego młodsze rodzeństwo już spało. Matka podała mu kubek z zacierką i kawałek chleba.

– Jydz – powiedziała, patrząc na niego ze smutkiem w oczach.

Chłopak odczytał jej zachowanie jako tęsknotę za domem i strach przed nowym. Począł ją więc pocieszać i uspokajać. Tak bardzo chciał jej powiedzieć o Marylce, ale obiecał. Ojciec zresztą zrobił na nim wielkie wrażenie. Nie wiedział, że jest taki obrotny i skory do pomocy. Wcześniej nie znał go od tej strony. Z panami gadał, załatwić potrafił wszystko.

Jędrzek przyłożył głowę do posłania i próbował zasnąć. W końcu jego umęczone z emocji serce zwolniło rytm. W sennych marzeniach znów brał w ramiona Marylkę, obsypując ją pocałunkami. Wirował z nią w tańcu i zajadał ciasto, które dla niego upiekła. Jego sny były pełne kolorów, smaków i zapachów.

– Wstawej, idomy. – Ojciec obudził go szturchnięciem.

Jędrzek się podniósł i zobaczył ustawiający się w kolejce tłum ludzi z tobołkami. Nawoływali się i pokrzykiwali. Wstał i wziął z ziemi pakunki. Jego rodzina zaczęła iść w stronę wagonów podstawionych dla wychodźców. Wcześniej czekała ich jeszcze jedna kontrola paszportów i biletów. Szedł w barwnym tłumie ludzi, głównie chłopów z Galicji. Łączyła ich jedna cecha: pragnienie lepszego życia, posiadania kawałka płodnej ziemi i życie bez bata zaborców. Wielu było wśród nich odważnych, jeszcze więcej naiwnych. Oszukanych przez agentów agencji, marzących o wolnym świecie.

Gdy stanęli pod przewiązką, Jędrzek się zatrzymał.

– Łocięć, kany łona je?

– Cichej. Hajtody<sup>69</sup> góro jo wezmo. – Wskazał na przewiązkę. – Pywno do inksego wagonu.

Jędrzek zapewne dalej by ojca pytał, ale w tej chwili z góry doszły do nich odgłosy kroków. Kilka osób musiało przemykać nad ich głowami. Chłopak poczuł ulgę. To jego Marylka idzie do pociągu. Ruszył, niesiony nową siłą. Zabrał od matki tobołek i chwycił młodszego brata za rękę.

Urzednicy sprawdzali skrupulatnie papiery i jeszcze raz wypytywali o cel podróży, upewniali się, że wychodźcy mają odpowiednio dużo pieniędzy niezbędnych na podróż. Przyglądali się uważnie wszystkim członkom rodziny. Jędrak spojrział w prawo, w stronę budynku dworca. Zobaczył tam tego samego policjanta, którego zagadnął wczoraj. Poczłł niepokój. Odwrócił się w stronę parku, bojąc się, że zostanie rozpoznany. Żeby tylko wsiąść do pociągu. Tam jak najszybciej odnajdzie Marylkę i już nigdy jej nie zostawi. Nawet na chwilę. Zawsze będą razem.

Odgłosy lokomotywy stawały się coraz głośniejsze. Piski, syczenie pary i cała symfonia dźwięków dworcowych rozbrzmiewały niczym poranny koncert. Ludzie przepuszczani po kontroli szli w stronę pociągu z bijącymi mocno sercami. Bo oto rozpoczynała się ich podróż, mająca trwać wiele dni. Podróż w nieznaną poprzecz lądy i ocean, którego pojęcie nie mieściło się w ich wyobraźni. Jędrak kroczył wśród ciżby, rozglądając się nerwowo. Wypatrywał Marylki w oknach innych wagonów, które stopniowo wypełniały się pasażerami. Urzednicy stali z listami i kierowali ich do odpowiednich przedziałów. Postawił nogę na schodku i wszedł do pociągu. Wśród wrzawy panującej naokoło zdało mu się, że słyszy wołanie. Obrócił się nagle, lecz pisk lokomotywy zagłuszył wszystko. Jeszcze raz nabrał w płuca powietrza, które zmaczone smrodem porannego palenia, przypomniało mu, jak jest daleko od Babiej Góry.

---

[60](#) Kazik, *Tata diler*, album *Porozumienie ponad podziałami*, 1995.

[61](#) klatka windy górniczej (śl.).

[62](#) pod ziemię (śl.).

[63](#) Baasch, *Miasto*, album *Noc*, 2020.

[64](#) płakała (gwar.).

[65](#) Ugadać się (np. na wzięcie ślubu) (gwar.).

[66](#) Centralnej Stacji Robotników Rolnych.

[67](#) wsadzą (gwar.).

[68](#) zamknięte (gwar.).

[69](#) Tamtędy (gwar.).

# ROZDZIAŁ 8

*Mysłowice, 5 lipca 2021 roku*

**N**a telefon od szefa nie czekała długo. Okazał się nie tak surowy, jak się zapowiadało.

– Kiedy ci się ten urlop kończy? Pajor za tobą tęskni.

Baśka mimowolnie uśmiechnęła się na myśl o swoim policyjnym partnerze. Gdy wyjeżdżała, jego żona wdrożyła mu dietę i plan treningowy. Pajor obiecał jej, że jak wróci z urlopu, to będzie lepszą wersją Ibisza.

– Jeszcze trochę. Cierpliwości. Chyba radzicie sobie beze mnie?

– No raczej. Ale słyszę, że ty znów, Zajda, wtrącasz się w nie swoje sprawy i jakieś prywatne śledztwa prowadzisz.

– Tak wyszło, szefie, ale wszystko w granicach prawa.

– Już ja znam te twoje granice... Pilnuj się tam, żeby nie było znowu afery.

– Postaram się, ale jest grubo. Chodzi o handel ludźmi.

– Tym bardziej. Trzymaj się od tego z daleka. Wydział się tym zajmie. – Szef wiedział, co oznacza milczenie po drugiej stronie słuchawki. – Baśka, uważaj na siebie. Życie masz jedno.

– Będę uważać. Niech szef przekaże Pajorowi, że też za nim tęsknię. Jak cholera.

Spojrzała na obraz świętej Barbary wiszący na ścianie. Jej twarz patrzyła smutno na Baškę. Odnalezienie Dagmary stało się jej obsesją. A może powinna posłuchać szefa? Odsunąć i pozwolić, by wydział zajął się tym sam? Ala i Maciek dzwonili do niej jeszcze wieczorem poprzedniego dnia. Byli pełni obaw. Bała się, że po wyznaniu Maćka Alicja go zostawi. Okazało się jednak, że to, co działo się teraz z ich córką, przyćmiło złość na męża. Chwyciła za pędzel i zamoczyła go w farbie. Od samego rana malowała stare drzwi. Na nowe nie starczy jej funduszy, zresztą te stare wydawały się jej dużo bardziej stylowe. Alojz miał być za chwilę. Dziś ostatni raz szedł na nockę. Po cichu liczyła, że nie zostawi jej z nieskończoną łazienką.

Zamiast Alojza w mieszkaniu zjawiła się Karina. Zachwyciła się kolorem ścian oraz płytkami wybranymi przez Baškę. Chwaliła tapetę z motywem roślinnym, którą Zajda położyła na jednej ze ścian. Wyciągnęła telefon.

– Knipsnã to<sup>70</sup> i pokõžã mojim funfelom<sup>71</sup>. – Po pierwszej ekscytacji jej twarz przybrała zatroskaną minę. – Z Dominikiym mõm problým. Wczorej prziszõł õžarty<sup>72</sup> jak bela i jeszcze w zgibaniach<sup>73</sup> sie ryncce pochlastõł.

Kobieta pokazała miejsce powyżej nadgarstka, gdzie najwyraźniej jej syn dokonał samookaleczenia.

Baška odwróciła się nagle. Nie mogła w to uwierzyć.

– Ale jak to, dlaczego?

Karina rozłożyła bezradnie ręce.

– Ty gõdałaś, iže ś nym coś niydobrego sie dzieje. Jõ jes winowatõ. Matka mõ to uwidzieć. – Zamknęła oczy, a spod jej przedłużonych rzęs

zaczęły wypływać łzy.

– Nie obwiniaj się. Teraz najważniejsze, żeby mu pomóc. Kiedy to się zaczęło? Ta zmiana w zachowaniu.

– W zumie to niy wiym.

– Na pewno macie tu Ośrodek Interwencji Kryzysowej albo poradnię. Trzeba szukać pomocy. Sami nie dacie rady. Mogą być różne przyczyny. Depresja, odrzucenie przez kolegów, jakieś traumatyczne doświadczenia. Należy iść do specjalisty.

– Jõ tam po żõdnych psychologach łazić niy bydã. Kiejõ tego niy bõło, my sie sami musieli radzić. Co mõ być, to bydzie – odpowiedziała żona kuzyna, wycierając łzy zdecydowanym ruchem dłoni.

– Tak. Nie chodziliśmy. Nie lataliśmy też samolotami, kobiety umierały przy porodach, nie jeździły samochodami i żyliśmy z uprawy roli. Rõzne rzeczy się zmieniły. Jak jest problem, to się teraz szuka rozwiązania. Chcesz czekać, aż z chłopakiem się coś stanie?

– A co sie mõ stõć? – zapytała powoli.

Zajda widziała, że Karina sama udzieliła sobie odpowiedzi, bo broda zadrżała jej w nagłym przypływie strachu o syna.

– Taki na tyn przykład ujek Alojz – zaczęła, próbując zmienić temat, żeby się znów nie rozpłakać – jakoõ se dõł rada w życiu. Matkã mu zabiły bandyty, szwestra tyż pomarła. A õn poszoł na Wesołõ na dõł fedrować i se radzi.

Baõka zrobiła wielkie oczy. Zawsze ją zaskakiwało, z jakimi ranami ludzie żyją.

– A ta jego córka, Marzena?

– Trochã pofolgotała. Po tym, jak jyj ta sõmsiadkã zabiyli.

Wypiły kawę, a wychodząc, Karina obiecała, że jeszcze dziś umówi się z synem na konsultację. Minęła się w drzwiach z Alojzem, który swoim



zwyczajem zabrał się od razu do pracy. Dziś montowali kabinę prysznicową. Baśka pomagała mu z dużymi elementami. Łazienka coraz bardziej nabierała kształtów. Jednak Zajda nie potrafiła się nią cieszyć. W głowie miała obraz Dagmary leżącej na kanapie w jakimś obskurnym miejscu. Co chwilę zaglądała na maila w oczekiwaniu na odpowiedź od agencji castingowej. Wczorajszego wieczora zdobyła zdjęcia nastolatki od znajomego z Krakowa. Wysłała je wraz z informacjami.

Nie mogła sobie teraz znaleźć miejsca. Położyła na stole w kuchni swoje notatki i napisała przy imieniu Dagmary: „Porwana przez sutenerów”. Sprawa jej uprowadzenia coraz bardziej nie pasowała do zabójstw. Handlarze ludźmi, owszem, mają na sumieniu wiele dziewcząt, ale głównie takich, które próbowały ucieczek z burdelu albo zawiniły w inny sposób. Po co mieliby je zabijać? Martwe nie przynoszą dochodu. Zresztą jak na razie seryjny morderca się uspokoił – czy to za sprawą wzmożonych patroli policyjnych, czy też przez wzgląd na to, że dziewczęta zaczęły unikać samotnego wychodzenia z domu. Wszyscy mieli nadzieję, że to koniec czarnej serii.

– Wiadomo, co z tōm dziolchōm, z Dagmarą? – zapytał Alojz, który wszedł do kuchni po wiaderko.

– Wygląda na to, że została porwana.

Oczy mężczyzny się zaszklily.

– Bandyterka sie szerzy w tym miyście. Dalij niy znōdli<sup>74</sup> tygo, co Justa zabiōł. – Jego twarz się napięła i Zajda zrozumiała, że mężczyzna nadal przeżywa śmierć córki sąsiadów. – Moja cera sie niy szlajō po miyście. Inksi tyż ōjce<sup>75</sup> muszōm dōwać pozōr na dziecka, coby darymnie niy ginyły.

– Zgadza się. Ale młodość to taki głupi wiek. Dzieciom się wydaje, że są niezniszczalne.

Alojz machnął ręką, drugą wycierając oczy. Spojrzał na kartkę Baški i pokiwał tylko głową.

– Podwieźlabyś mnie na gruba na wieczōr? Auto mi poszło kaput.

– Nie ma sprawy.

Gdy wyszedł odpocząć przed nocną zmianą, Baška wybrała numer do prokuratora Lisa.

– Dzień dobry, i jak tam sprawa z Trumpem? Podobno trafiłam?

Po drugiej stronie słuchawki mężczyzna wypuścił głośno powietrze, zastanawiając się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Miałem zadzwonić – wybąkał.

– Długo zeszło? – skomentowała z przekąsem.

– Miał sporo pornografii dziecięcej. Ale nic nie możemy z niego wyciągnąć. Informatycy wciąż pracują nad ustaleniem, jaką drogą została przesłana fotografia zaginionej dziewczyny.

– A co z tym gościem z baru w parku?

– Był przesłuchiwany, ale nic na niego nie mamy. Barmankę też przepytaliśmy. Zlecono obserwację gościa. Tak że może być pani spokojna. Trzymamy rękę na pulsie.

– Dlaczego morderca przestał zabijać? – zapytała znienacka, wybijając Lisa z samozachwyty.

– Ale to chyba dobrze, prawda?

– Bardzo dobrze. Choć niekoniecznie oznacza koniec. Bardziej mi to wygląda na przerwę.

Prokurator milczał.

– Co? Trafiłam? Macie profil?

– Mamy. Nie mogę zdradzać szczegółów. Profiler sądzi, że będzie zabijał dalej.

– To tu się zgadzamy. Ale tak naprawdę dzwonię w innej sprawie. – Opowiedziała mu o swojej korespondencji z NEW LIFE. – Na razie wysłałam im fikcyjne zdjęcia. Czekam na odpowiedź.

Aleksander Lis milczał długo, ważąc słowa.

– A co, jak zaproszą na spotkanie?

– Będzie okazja ich złapać na gorącym uczynku. Oni piszą z jakiegoś szyfrowanego maila.

– Będzie pani ryzykować?

– Ktoś musi. Mam nadzieję, że nie pójdę sama. Zrobicie zasadzkę i zatrzymacie ich.

– Pani wie, że to tak nie działa. Sprawę przejął Wydział do Walki z Handlem Ludźmi.

– Wiem, że ograniczenia są tylko w naszych głowach. Chyba chcemy uratować dziewczynę i złapać tych skurwieli? Nie możemy jakoś połączyć sił? Nie muszę iść ja. Możecie wysłać jakąś policjantkę ubraną młodzieżowo.

– Pomyślę nad tym.

– Byle nie za długo. Mogą się odezwać w każdej chwili.

Ta rozmowa ją wyczerpała. Baśka powlokła się do kuchni i zrobiła sobie coś do jedzenia, a następnie wróciła do malowania. Zapach farby w przedpokoju stał się nie do zniesienia, więc otworzyła drzwi na korytarz. Obkleiła je taśmą malarską i małym pędzelkiem zamalowała boazerię naokoło. Zza drzwi naprzeciwko dobiegały dźwięki rozmowy sąsiadki. Musiała mieć gościa, bo krzyknęła głośno:

– Ile słodzisz?

Po chwili do uszu Zajdy dobiegały najświeższe plotki: kto z kim i za ile, która z miejscowych piękności poprawiała urodę, który chłop zdradza, ile kto dał na remont kościoła. Baśka śmiała się pod nosem, zdając sobie

sprawę, że podobnie jest w górach. Ta sama zazdrość i radość z czyjegoś nieszczęścia. Zainteresowanie życiem innych spowodowane brakiem rozrywek.

– Gōdōm ci, to bōła jego cera.

– Ale że ôn z tōm...

– Ja, sama bych niy uwierzyła, ale jō ich widziała.

Kobiety plotkowały z niespożytą energią, podczas gdy Baśka umyślnie hałasowała w progu swojego mieszkania, żeby nie zostać posądzoną o podsłuchiwanie. Gdy skończyła malować, zamknęła drzwi. Spojrzała na zegarek i aż podskoczyła. Obiecała wujkowi Alojzowi, że go podwiezie na nocną zmianę. Musiała się jeszcze umyć z farby. Łazienka wciąż była nieczynna, więc obmywała się gąbką nad kuchennym zlewem. Telefon rozdzwonił się jak zawsze w nieodpowiednim momencie. Woda trysnęła jej w twarz. Wycierając się ścierką, odebrała.

– Basia? Grzesiek z tej strony.

– Wiem, wyświetlasz mi się.

Zaśmiał się.

– Słuchaj, nie odzywasz się, więc dzwonię. Co słyhać? Masz dzisiaj czas?

– W sumie to tak, ale nie mam humoru.

– Na to coś poradzimy. To gdzie i kiedy?

Milczała dłuższą chwilę. W końcu odezwała się, cedząc słowa:

– Grzesiek, ja nie chcę się wiązać. Jestem tu chwilę, niedługo wyjadę...

– Po prostu cieszymy się chwilą – przerwał jej. – Nic nie planuję. Chcę cię zobaczyć. Tyle.

– Dobrze. Muszę tylko podwieźć dokądś znajomego. Później jestem wolna.

– I świetnie.

– Będę czekać na ciebie o dwudziestej pierwszej na Rynku.

Rozłączyła się i wsadziła znów twarz pod kran. Zimna woda kapała na podłogę w kuchni, podczas gdy ona z zamkniętymi oczyma próbowała choć na chwilę odgonić obraz Dagmary. Kiedy zeszła na dół, Alojz stał przy jej samochodzie. Przez ramię miał przewieszoną torbę z kanapkami.

– Ale musisz mnie pokierować.

– Na Wesoła to niydaleko.

Jechała powoli, a Alojz opowiadał jej o tym, jak zmienia się miasto. Osiedla za torami rozwijały się prężnie, ale Śródmieście wciąż umierało. Miasto powoli zaczynało remonty zabytkowych kamienic, które zbyt długo niszczały w zapomnieniu. Zamknięta kopalnia Mysłowice była rozkradana każdego dnia przez złomiarzy, którzy wycinali jej stalowe elementy niczym łowcy narzędzi. Miasto krwawiło żałobą po pięknych czasach górniczego dobrobytu.

– A co wujek powie o tym wypadku na kopalni Wesoła?

Alojz przetarł nerwowo twarz.

– Jõ tam bõł, karlus<sup>76</sup> mody a gupi. Takich posywajõm do nõjgorszyj roboty na przodek.

– Nie wiedziałam, przykro mi. To okropne. I widziałeś to?

– Widziõłech i słyszõłech go sie drzić<sup>77</sup>.

– Przepraszam... nie zdawałam sobie sprawy. To może powinienes wziąć jakieś wolne? Macie psychologa czy kogoś, kto pomaga sobie poradzić w takich traumatycznych sytuacjach?

Alojz zaśmiał się gorzko.

– Na bergmõnõw<sup>78</sup> gõdajõm, ize „dobry hajer niy krepnie w dõma”<sup>79</sup>.

– No wiesz co? Tak to może w dziewiętnastym wieku było. Ale teraz? Przecież ty się wykończysz.

– Bydź cicho. Co by ino diõboł z gruby niy wyszõł – powiedział i wskazał jej skręt na kopalniany parking.

Zdumiała ją liczba parkujących samochodów – musiało ich być z tysiąc.

– Idymy, pokõżã gruba – zaprosił ją gestem dłoni.

Wyszła z samochodu i podążyła za nim. Pokazywał jej budynki sortowni i wieżę wyciągową, na której widniał olbrzymi napis „KWK Mysłowice-Wesoła”. Dziesiątki górników szły w stronę bramy, gdzie straż trzymała prywatna firma ochroniarska. Baśka wyobraziła sobie, że jest jedną z nich, za chwilę wejdzie z innymi do windy i zniknie w piekielnych czeluściach. Minęli bramę i stanęli przed ceglanym budynkiem nadzoru. Za nim kręciły się dwa stalowe koła wieży wyciągowej na tle kopalnianego labiryntu, który zdawał się nie mieć końca. Doszli do Stacji Ratownictwa i rozdzielni prądu. Na twarzy Alojza tłumaczącego jej przeznaczenie budynków malowały się zachwyty i dumy, jakby pokazywał jej co najmniej Wawel. Kochał kopalnię, a Baśka starała się ją zobaczyć jego oczyma. Przez sto lat wyznaczała rytm życia mieszkańców miasta. Niezależnie od wojen – czy to w rękach pruskich, czy komunistów – połykała mężczyzn każdego dnia, a co jakiś czas zasypywała kilku, aby zostali z nią już na zawsze. Mimo wszystko górnicy kochali ją jak matkę, surową żywicielkę.

Alojz pomachał jej na pożegnanie. Obiecał, że przy pierwszej zmianie będzie do niej przychodził popołudniami. Jak ona się mu odwdzięczy? Szła do samochodu, mijając bar Kilofek i lokale związków zawodowych. Ostatni blask zachodzącego słońca odbijał się w szybach aut stojących na parkingu, a w jej głowie pojawiła się ulotna myśl. Chciała ją złapać, zrobiła krok do przodu, lecz w tej chwili za jej plecami rozległ się klakson jakiegoś zniecierpliwionego kierowcy. Stała na środku drogi, zagradzając wyjazd.

Usunęła się na bok i spojrzała znów na szyby samochodów, jednak ulotna myśl już nie wróciła.

Gdy dojechała do centrum, usiadła przy stolikach na Rynku i zamówiła smoothie owocowe. Była kilka minut przed czasem, sprawdziła jeszcze pocztę. Zamarła z rurką przytkniętą do ust. Odpowiedź od agencji castingowej NEW LIFE była lakoniczna.

„Zapraszamy jutro na spotkanie. Zrobimy kilka próbnych zdjęć. Parking przy kąpielisku na Słupnej, godzina 18:00”.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer do Lisa.

– Odezwali się. Zapraszają na spotkanie – mówiła pośpiesznie, ścisząc głos.

Przekazała prokuratorowi wszystkie informacje z nadzieją, że zrobią z nich pożytek. Lis co prawda niczego nie obiecywał, ale w jego głosie usłyszała nutkę ekscytacji. Gdy się rozłączała, poczuła delikatne dotknięcie na plecach.

– Jestem – powiedział Grzesiek niskim głosem i wyciągnął przed siebie bukiet czerwonych róż.

Poczuła się speszona, ale mimo wszystko uśmiechnęła się, wyobrażając sobie zachwyty matki na ten widok.

### ***Myslowitz, 25 marca 1912 roku***

**M**arylka wpadła do budynku agentury i zamknęła za sobą drzwi, dysząc z wysiłku. Strażnik stojący wewnątrz nie wydawał się zaskoczony. Popatrzył na nią pytająco, a ona wyrecytowała:

– Maryla Siwiec, od pana Kwaśnego. Miałak tu psyjść z wiecora.

Strażnik wyprostował się i pokazał jej, że ma za nim podążać. Szli wąskim korytarzem, a następnie schodami w dół. Wprowadził ją do małej salki w przyziemiu i zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, zatrzasnął za nią drzwi i zamknął na klucz. Wstrzymała powietrze. Znów była w potrzasku. Dopadła do zakratowanego okienka u szczytu ściany. Widziała tylko zabudowany z każdej strony dziedziniec. Długi czas nasłuchiwała kroków na piętrze w oczekiwaniu, że któreś zbroczą na dół. Wypatrywała, aż w drzwiach pojawi się Jędrzek z ojcem, ale nic takiego się nie wydarzyło. W końcu zasnęła na zimnej pryczy.

Obudziły ją krzyki dochodzące z zewnątrz i gwizd lokomotywy. Wyrzała przez okienko. Na dziedzińcu zobaczyła trzy dziewczyny prowadzone przez dwóch oprychów. Po butach poznała Halinkę. Serce biło jej coraz szybciej, gdy słyszała zbliżające się kroki. Zamek w drzwiach zazgrzytał, a Marylka na chwilę przymknęła powieki, pragnąc z całej siły, by to był jej ukochany. Gdy je otworzyła, zobaczyła Majerczyka stojącego przed nią z kpiącą miną.

– No i po co były te ucieczki, panno Marylko? Jakby tu panienkę kto skrzywdzić chciał. Całe szczęście, wszystko dobrze się skończyło. Pociąg już czeka. – Podał jej dwornie dłoń.

Marylka stała w osłupieniu, czując, jak ulatuje z niej powietrze. Krew zawrzała w jej żyłach. Napięcie płynęło z przepony, aż wybuchło w głowie tysiącem małych iskier. Dziewczyna złapała metalowy nocnik stojący na podłodze i rzuciła się na mężczyznę. Majerczyk odskoczył oniemiały. Zamarkowała uderzenie naczyniem i kopnęła go z całej siły w krocze. Przeskoczyła nad nim, lecz złapał ją za kraj spódnicy. Runęła twarzą na ziemię.

– Straż! – krzyczał Majerczyk, ale gwar w budynku spowodowany odjazdem pociągu z wychodźcami był głośniejszy.



Marylka podniosła się i z całej siły przytrzasnęła drzwiami nogę Majerczyka. Trzymając się za krwawiący obficie nos, ruszyła na schody. Strażnik stojący na końcu korytarza zobaczył ją przy drzwiach, w chwili gdy ona otwierała je na zewnątrz. Wypadła na plac przed dworcem. Dostała zawrotów głowy. Nie wiedziała, gdzie ma biec. Spojrzała na przewiązkę i w okienku na środku zobaczyła twarz Halinki. Koleżanka też ją dostrzegła i przyglądała się jej z konsternacją.

– Halinka! – wrzasnęła Marylka z całej siły. – Uciekej! Na kurwy cie wiozo! Na kur...

Nie dokończyła, przywalona cielskiem oprycha, który skoczył jej na plecy. Za sobą słyszała głos Majerczyka:

– Szybko, bierzcie ją do środka! – syczał przez zaciśnięte zęby.

– Jyndrek! Ludzie, ratujcie! – krzyczała Marylka, czołgając się po ziemi, ale jej głos zlał się z gwizdem lokomotywy oznajmiającej odjazd.

Zamilkła, gdy poczuła zimny nóż przy szyi i nieświeży oddech bandziora. Smród był równie zjadliwy jak jego słowa:

– Zamknij mordę, jak ci życie miłe.

Oprych podniósł ją szarpnięciem i ujął w pól, dalej przyciskając nóż do szyi. Majerczyk zatarł ręce i pokuśtykał z nimi do budynku agentury. Do wejścia zostało dosłownie kilka metrów, gdy od strony dworca usłyszeli świst policyjnych gwizdków. Majerczyk i jego oprychy odwrócili się w tamtą stronę.

– W nogi, to Halemba! – zawołał ten trzymający Marylkę.

Dziewczyna zobaczyła strach w oczach mężczyzn. Czas jakby na chwilę się zatrzymał, a w pokonanej Marylce zatliła się nowa nadzieja. Złapała mężczyznę za przedramię, w którym trzymał ostrze, i wykonała obrót jak podczas tańca, uderzając łokciem w brzuch. Nóż upadł na ziemię, a ona rzuciła się w jego kierunku. Oprych popchnął ją jednak w ostatniej

chwili. Upadła, dotkliwie raniąc sobie kolana i łokcie. Dopadł do niej i kopnął ją z całej siły w bok. Jęknęła, kuląc się na trotuarze. Zamachnął się znów, wściekły z powodu jej nieposłuszeństwa. Nie zauważył nawet, kiedy wbiła mu jego własne ostrze w udo. Musiała trafić prosto w tętnicę, bo krew trysnęła jak fontanna, zalewając jej twarz. Gdy osuwała się w mrok, ostatnim dźwiękiem, który trafił do jej świadomości, był huk lokomotywy ruszającej do Hamburga. Majerczyk podbiegł do leżącego na ulicy Franza, swojego człowieka od brudnej roboty. W gasnących oczach chłopaka malowało się zaskoczenie.

---

[70](#) Zrobię temu zdjęcie (śl.).

[71](#) koleżankom (śl.).

[72](#) pijany (śl.).

[73](#) przegubach (śl.).

[74](#) znaleźli (śl.).

[75](#) rodzice (śl.).

[76](#) chłopak (śl.).

[77](#) jak się darł (śl.).

[78](#) górników (śl.).

[79](#) dobry górnik nie umiera w domu (śl.).

# ROZDZIAŁ 9

*Mysłowice, 6 lipca 2021 roku*

**W**komendzie panowało ogólne zamieszanie. Kobieta i mężczyzna reprezentujący Wydział do Walki z Handlem Ludźmi naradzali się już od godziny z funkcjonariuszami zaangażowanymi w poszukiwania Dagmary. Zajdę zaproszono w roli konsultanta. W akcji na parkingu kąpieliska przy Słupnej brało udział kilkanaście osób. Dwie z nich prowadziły obserwację właściciela baru przy muszli koncertowej. Młoda funkcjonariuszka miała odegrać rolę kandydatki na modelkę. Co prawda nie była bardzo podobna do tej ze zdjęć, które Baśka wysłała do agencji, ale w czapce z daszkiem i w dresie wyglądała jak nastolatka. Pozostali obstawiali teren naokoło. Ktokolwiek przyjdzie na spotkanie, nie wymknie się.

– Aspirant sztabowa Zajda nie może się tam pojawić – zakończył wywód komendant, który przewodniczył zebraniu.

Spodziewała się tego. Skinęła tylko głową.

– Zależy mi, aby odnaleźć dziewczynę. Żywą – dodała.

– Wszyscy to doceniamy – powiedział komendant, patrząc jej prosto w oczy.

Poczuła się tu pierwszy raz traktowana poważnie. Zebranie się skończyło, ludzie się rozchodzili. Postanowiła pojechać do Alicji i Maćka i zaczekać z nimi. Bała się, żeby nie wykręcili jakiegoś numeru. Wyszła z komendy i ruszyła w stronę ulicy Towarowej, gdzie zaparkowała samochód. Przejechała pod wiaduktem i dalej wbiła się w Katowicką. Stojąc na światłach, spojrzała w kierunku ogródka restauracyjnego. W pewnej chwili mignęła jej twarz Grzeška, który siedział w parku z kolegą i jakimś mężczyzną będącym do niej tyłem. Światło zmieniło się zbyt szybko, by mogła mu się przyjrzeć. Zaparkowała pod domem Śmiałków. Alicja i Maciek wiedzieli dopiero od godziny o akcji planowanej przez policję. Z trudem powstrzymała ich przed udaniem się na Słupną.

– Wasza obecność wszystko popsuje. Możemy tylko czekać.

Więc czekali. Alicja odnosiła się do męża z widoczną rezerwą. Przyznała się jednak, że pokazał jej screeny wiadomości, które dostał od Marty. Kobieta wyraźnie miała ze sobą problem. Baśka była daleka od usprawiedliwiania zdrady Maćka, ale to nie czas i miejsce na dywagacje o jego winie. Stres dawał im się we znaki. Siedzieli w kuchni, pijąc herbatę z melisy. Baśka paliła już czwartego papierosa.

Minuty dłużyły się w oczekiwaniu na telefon z policji. Gdy wreszcie zadzwonił, okazało się, że to Tomek. Zajda odebrała i schowała się w pokoju Dagmary.

– Basia, jak remont? – zaczął.

– Powoli.

Zapadła niezręczna cisza, której nie potrafiła przerwać. Przez tych kilka miesięcy urósł między nimi mur.

– Tęsknię za tobą – powiedział tak cicho, że wydawało się jej, że się przesłyszała.

Poczuła, jak ściska ją w gardle, a do oczu napływają łzy.

– Przepraszam cię, Tomku, czekam na ważny telefon.

– Baśka, nie zbywaj mnie tak. Wiesz, że wtedy nie miałem wyjścia.

Milczała przez chwilę.

– Jak leczenie Dawidka?

– Jest coraz lepiej. Wreszcie oddychamy bez lęku. Nowy lek przynosi efekty, a rehabilitacja stawia go znów na nogi. Marzymy, że będzie mógł wrócić do normalnej szkoły.

– Cieszę się. Jest bardzo dzielny.

– Tak, to nasz wojownik – odparł Tomek w taki sposób, że poczuła jego ciepło przez telefon.

Znów zapadła krępująca cisza.

– Masz kogoś? – zapytał w końcu.

– Mam – odpowiedziała. – Wybacz, muszę kończyć, jak mówiłam, czekam na ważny telefon.

Położyła się na łóżku, a z jej oczu pociekły łzy. Przez te wszystkie miesiące nie było dnia, żeby nie czekała na taki właśnie telefon. Aż do czasu, kiedy tu przyjechała. W Mysłowicach zapomniała o Tomku. Zajęła się remontem, poszukiwaniem Dagmary, poznała Grześka. Wczoraj spędzili naprawdę miły wieczór i była tylko o krok od tego, by zaprosić go na noc. Właściwie jedynie dzisiejsza akcja ją przed tym powstrzymała. Miał wiele zainteresowań, był dowcipny i kochał zwierzęta. Mogłaby z nim być. Tutaj. Może gdy zakończy remont, zostanie na jakiś czas? Poprosi o przeniesienie. Tutejszy komendant był naprawdę w porządku, a Mysłowice miały swój klimat.

Zasnęła, a Alicja i Maciek starali się jej nie budzić. Siedzieli bez słowa naprzeciwko siebie. Telefon, który rozbrzmiał w ciszy mieszkania, postawił wszystkich na nogi. Baśka odebrała z nadzieją na dobre wieści.

– Słucham.

– Nikt nie przyszedł. Czekaliśmy dwie godziny – odezwał się prokurator Lis. – Policjanci są na panią wściekli.

– To niemożliwe. Musieli się zorientować, ale jak? Zdjęcia nie były trefne. Nie ma ich w obiegu.

– Nie wiem. W każdym razie funkcjonariusze, którzy obserwowali tego właściciela baru, mówią, że facet nie ruszał się z pracy.

Gdy się rozłączył, Baśka opadła na krzesło obok Alicji i Maćka. Oboje płakali z bezsilności.

Musiała ochłonąć przez jeden dzień, poświęcając się remontowi. Nie mogła zrozumieć, co poszło nie tak. Co ich zdradziło? Montowała fronty meblowe, ale zupełnie nie mogła sobie poradzić z cichymi domykami i innymi nowościami z okuć meblowych. Całe szczęście, w sieci było mnóstwo filmików instruktażowych. Efekt był naprawdę niezły. Kuchnia wyglądała jak nowa. Baśka nie zmieniała płytek, tylko przykręciła na nich panele ścienne. Przyglądała się długo meblom, aż w końcu opadła na kanapę. Dziś planowała skończyć wcześniej, bo Grzesiek chciał ją zabrać w jakieś ciekawe miejsce. Alojz wyszedł z łazienki i zlustrował szafki.

– Dobrõ robota. Kuchnia choby nowõ – pochwalił. – Ino je problem z kłopotem w łazience. Te fachmany dali ciulatõ ruła i to niy zagro. Wymiyniã, bo jadã we strõnã Castoramy.

– A to nie będzie kłopot?

– Niy bydzie to problem żõdyn.

Została w mieszkaniu sama. Długo walczyła ze sobą, by nie zajrzeć do internetu i nie sprawdzić komentarzy pod postem o zaginięciu Dagmary. Dziewczyna patrzyła na nią ze zdjęcia przyczepionego magnesem do lodówki. Zajda traciła nadzieję, że ją odnajdą. Wydział skupił się teraz na rozpracowaniu zaszyfrowanego adresu mailowego, z którego prowadzono

korespondencję w sprawie castingu. Natarczywe myśli o tym, co może się w tym momencie dziać z zaginioną, doprowadzały Baškę do szału. Za oknem niebo było spowite chmurami. Miała kłopot z ubraniem się, bo nie wzięła z domu nic wyjściowego. Była nastawiona na pracę przy mieszkaniu, nie randkowanie. Wyszła trochę wcześniej, bo chciała wstąpić do drogerii i kupić kilka kosmetyków do makijażu. Na wysokości dworca spotkała jednak kuzyna.

– Marcin, co tu robisz?

Mężczyzna przyjrzał się jej uważnie.

– Właściwie to szedłem do ciebie. Karina mówiła, że mieszkanie pięknieje.

Baška rozłożyła bezradnie ręce.

– Szkoda, że nie zadzwoniłeś. Teraz jestem umówiona.

Marcin uniósł zabawnie brew.

– Tak mi się coś wydaje.

Rozejrzała się, lecz w pobliżu nie było żadnej ławki.

– Może usiądziemy w parku przed ratuszem – zaproponował. – Mam do ciebie sprawę.

Usadowili się na ławce pod pomnikiem kardynała Augusta Hlonda.

– Chcę ci podziękować za Dominika. Karina poszła z nim do tego ośrodka. – Twarz Marcina zrobiła się szara. – Ja nie wiem... – Kręcił głową, próbując coś powiedzieć.

– Dobrze, że otrzymał pomoc, został dostrzeżony.

– Psycholożka powiedziała, że on cierpi na zespół stresu pourazowego.

– Dominik chce o tym rozmawiać? Powiedział coś?

Marcin pokręcił głową.

– My nie mamy z Kariną pojęcia, co się mogło stać. Rzeczywiście jakiś czas temu trochę się zmienił, ale ciężko przechodzi dojrzewanie, więc nie zwróciliśmy na to uwagi. – Spuścił głowę. – To nasza wina, dopiero ty zauważyłaś, że coś jest nie tak.

Zajda zagryzła wargi. Co działo się z tymi młodymi? Może to przez izolację? Zdalne nauczanie i brak kontaktów? Mimo poluzowania obostrzeń zapowiadało się, że jesienią pandemia znów ruszy pełną parą.

– Musicie być teraz razem. Może pojedźcie wcześniej na urlop? Jakoś się wszystko ułoży.

Dotknęła jego przedramienia. Spróbował się niezdarnie uśmiechnąć.

– Są jakieś postępy w poszukiwaniu tej Dagmary? Podobno bardzo pomagasz?

Zajda smętnie wzruszyła ramionami.

– Już tracę nadzieję, że się uda. Na razie za wiele nie pomogłam.

Marcin wstał.

– Muszę wracać, bo Karina kazała mi czekać na nich pod poradnią.

– Pewnie. Trzymaj się. Pozdrów żonę, bardzo ją polubiłam.

Kuzyn popatrzył na nią zaskoczony, jakby nieczęsto słyszał taki komplement.

Była już spóźniona, więc szybko podążyła w stronę Rynku. Tym razem czekał na nią, trzymając w dłoni torebkę prezentową. Mówiła mu, żeby nic nie przynosił. Pocałował ją na powitanie i wręczył pakunek.

– Grzegorz, prosiłam cię.

– Po prostu otwórz.

W środku znalazła łąpacz snów wykonany techniką makramy. Podniosła go, tak że zafalował na wietrze. Był naprawdę piękny. Nie mogła się oprzeć, aby nie przyjąć prezentu.



– Czy ja ci mówiłam, że dręczą mnie koszmary?

Objął ją w talii.

– Zdecydowanie za mało o sobie mówiłaś.

Zamierzał ją pocałować, ale się uchyliła. Czowała, że Grzesiek chce przyspieszyć.

– Siadajmy, umieram z głodu. – Pociągnęła go do stolika.

Pokręcił tajemniczo głową.

– Dzisiaj pokażę ci inne oblicze Mysłowic.

Zabrał ją do nowo otwartego lokalu w pierwszej wyremontowanej kamienicy przy Bytomskiej. Podawali pyszne jedzenie i jeszcze lepsze drinki. Opowiedział jej o sobie. Jego ojciec zginął podczas wybuchu metanu w kopalni Mysłowice w osiemdziesiątym siódmym, dwa miesiące przed jego narodzinami. Katastrofa zabrała dziewiętnastu górników, dwudziestu ciężko poparzyła. Wychowała go głównie ulica. Matka pracowała w kopalnianej sortowni.

– Ale poradziłeś sobie – próbowała go rozchmurzyć.

– Tak. Jakoś się uchowałem. – Zaśmiał się gorzko. – Teraz twoja kolej.

Skoro on się przed nią otworzył, musiała się odwdzięczyć tym samym. Opowiedziała, co robi w Mysłowicach, w końcu wspomniała o tym, że pracuje w policji. Nie chciała jednak wchodzić w szczegóły.

Doceniając jej szczerość, uniósł szklankę z alkoholem. Baśka wypła toast za ich znajomość. Gdy zanurzali usta w drinkach bogato ozdobionych przez barmana, ktoś mignął za szybą wstawioną w łukowe okno. Grzegorz strzelił oczyma w tamtą stronę.

– Znajomy? – zapytała.

– To małe miasto, większość osób się tu zna.

– To tak jak u nas.

Wyszła do toalety. Gdy wróciła, zastała Grzegorza rozmawiającego z jakąś młodą kobietą.

– Świetne ujęcia, będę polecała. Rewelacja.

Zerknęła na Baškę stojącą przed nimi.

– Nie przeszkadzam. Do zobaczenia. – Odeszła, kołysząc biodrami.

Zajda uniosła pytająco brwi.

– Później ci opowiem – wyszeptał jej do ucha i podał szklanekę.

Wyszli z lokalu i pociągnął ją w stronę dzielnicy Piasek. Dopiero teraz poczuła alkohol uderzający jej do głowy. Zakamuflowany w kolorowych drinkach, wydawał się taki nieszkodliwy.

– Trochę mi słabo, chyba muszę już iść spać.

– To tylko kawałek. Chcę ci pokazać coś ciekawego.

Szli ulicą Świerczyny, gdzie ciemne bramy familoków napawały ją lękiem. Myśli zaczęły się kotłować w jej głowie. Gładził ją po biodrze i miała ochotę zrzucić jego dłoń, ale zdała sobie sprawę, że totalnie nie ma siły. Zatrzymali się na wysokości kopalni. Opuszczone budynki wyglądały jak sceneria z horroru.

– O czym mówiła ta kobieta w barze? – zapytała.

– Później ci opowiem, teraz chodź.

– Naprawdę źle się czuję. Innym razem mi pokażesz. Zadzwońię po taksówkę.

Sięgnęła po telefon, ale złapał ją za przedramię.

– Basia, proszę, jesteśmy na miejscu. – Wskazał ręką opuszczoną ceglana halę. – Pokażę ci, jak tam pięknie.

– W nocy?

Pociągnął ją przez ulicę w stronę nieczynnej bramy. Mrugała, czując, że traci władzę nad własnym ciałem. Myśl, którą tak bardzo próbowała

uchwycić, ugrzęzła jej w głowie niczym w bagnie. Popatrzyła w górę i zobaczyła wysoki komin królujący nad kopalnią, a obok wieżę wyciągową i koło, którego obraz zaczął się rozmazywać. I wtedy nadeszła jasność. Zrozumiała, co ją tak zainteresowało pod kopalnią Mysłowice-Wesoła. Na zdjęciu nieprzytomnej Dagmary nie odbijała się w ekranie telewizora żaluzja, lecz szprychy koła linowego maszyny wyciągowej. Niezdolna już prawie do żadnego ruchu, Baśka się zatoczyła.

– O czym mówiła ta dziewczyna? Świetne ujęcia? – zapytała, bełkocząc.

Oczy Grzegorza stały się nagle zimne.

– Jesteś fotografem, tak?

Milczał, patrząc gdzieś ponad nią.

– Dosypałeś mi czegoś do drinka... – powiedziała już całkiem niewyraźnie.

Prawdziwy strach obleciał ją wtedy, gdy usłyszała pisk otwieranej bramy kopalnianej, za którą zobaczyła właściciela baru z parku. To jego widziała w ogródku piwnym z Grześkiem, jak siedział odwrócony tyłem. Stało się jasne, że ze sobą współpracują. Kwas 4-hydroksybutanowy, zwany powszechnie pigułką gwałtu, przejął władzę nad jej ciałem. Złapali ją pod ramiona i wciągnęli na teren pokopalniany. Patrzyła w górę z otwartymi ustami, z których wypływała strużka śliny. Nad wysokim kominem wisiał księżyc, sprawiając wrażenie, że zaraz wpadnie do czarnej dziury. Tak jak ona.

***Myslowitz, 26 marca 1912 roku***

**L**okomotywa szarpnęła przepelnione wagony. Obrazy za oknem zaczęły się powoli przesuwać. Minęli tablicę z nazwą miejscowości: „Myslowitz”, składy zastępcze i bocznicę. Ujechali kilkaset metrów i wewnątrz zapanował gwar i smród. Jędrrek nagle wstał.

– Pudomy jej posukoć – powiedział do ojca.

– Pocekoj. – Stary Kwaśny chciał go powstrzymać, ale nieposłuszny syn wyrwał się i ruszył na tył wagonu, w stronę przejścia.

Ojciec również wstał i popędził za nim. Ludzie schodzili im na bok. Młody przebiegł przez następny wagon, zaglądając w oczy każdej dziewczynie. Dyszał coraz mocniej, podczas gdy pociąg się rozpędzał. Ojciec znów złapał go za koszulę.

– Potom jo obaczys – zapewniał, ale im żarliwiej to robił, tym szybciej syn mknął przez kolejne wagony.

W trzecim zaczął wołać:

– Marylko! Kany ześ?

Biegł jak rozszalały, a przerażeni pasażerowie uskakiwali przed nim, ściskając dzieci i tobołki.

– Moze jo do inksego bana<sup>80</sup> wrazo – próbował go uspokoić ojciec.

Jędrrek obrócił się i popchnął go z całej siły.

– Kany Marylko?!

Stali w ostatnim wagonie, w którym uchylone boczne drzwi wpuszczały hałas do środka.

– A dyć to jedno dziewczka no świecie?

Twarz chłopaka przybrała purpurowy odcień. Jego jabłko Adama pulsowało ze wzburzenia.

– Łociec, ka Marylko, godej!

Stary Kwaśny wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie. Syn rzucił się na niego i zwałił go na ziemię. Zaczął okładać ojca pięściami. Do wagonu, który opuścili przerażeni podróżni, wpadła jego matka.

– Dostaw<sup>81</sup> go!

Jędrrek wstał i otarł spoconą twarz. Mierzył ich morderczym wzrokiem.

– Jo godała mu, ze sie nie godzi...

Ojciec podniósł się z ziemi i splunął krwią.

– A ty, głupku, cóż ześ myśłoł? – Jego głos był pełen gorzkości. – Za co my bilet dlo cołej rodziny kupili? Przeca nie widzioleś, ze inksi nowet na jedyn nie mioli? Siuhaju ty? Ino no jedyn dutków starcyło. Zabocys<sup>82</sup> o niyj, bo w Hameryce nie takie dziewczki bedo. Nie skuc<sup>83</sup> jok babo.

Złapał za rękę trzęsącą się z żalu żonę. Zrozumiała, że właśnie bezpowrotnie stracili syna.

Jędrrek stał oszołomiony pośrodku wagonu, gdzie tylko turkot torów wyznaczał rytm niczym bębniarz. Spojrzał za siebie.

– Przekupcyliście mojo lubo?

Jego głos był niczym pisk odrzuconego przez matkę szczenięcia. Ojciec odwrócił ściętą złością twarz, chcąc wracać do swojego wagonu, ale matka dalej stała, skostniała jak granitowa figura.

– Synuś, jo nie wiedziałak, ze tyś jo miłujes. Jyndrusiu...

Jej prosta, naznaczona zmarszczkami twarz zadrgała w spazmie żalu. Ścisnęła małżonka za dłoń. Chłopak obrócił się i spojrzał raz jeszcze w tylne okno wagonu. Na ułamek sekundy serce matki się zatrzymało. Ona już wiedziała. Jędrrek złapał za uchylone drzwi i szarpnął nimi z całą mocą.

– Jo bez Marylki nika nie jadam! – krzyknął przez łyzy i wyskoczył z rozpędzonego pociągu.

Kwaśni rzucili się do okna tylko po to, by zobaczyć znikającego w oddali syna, zmiażdżonego uderzeniem o słup semafora.

### ***Mysłowice, 6 lipca 2021 roku***

**S**wiatło latarki strzelało po suficie, z którego odpadała farba. Baśka zamykała i otwierała powieki. Zdawało się jej, że udusi się śliną spływającą do gardła. Próbowwała przekręcić się na bok. Nie wiedziała, czy leży, czy siedzi. Czuła się jak kosmonauta zawieszony w stanie nieważkości. Traciła i odzyskiwała przytomność. Jej ciało było martwe niczym trup. Oddychać, byle złapać oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech...

– Po co tu przywlokłeś tę jebaną sucz? – usłyszała głos jednego z jej prześladowców.

– Rozpracowała nas. To ona wysłała zdjęcia.

– Kurwa! A tak dobrze szło!

Słowa dochodziły do niej przez mgłę, przez bagno, w którym tonęła.

– Pić – wydusiła z siebie.

Mężczyźni spojrzeli na nią.

– Ile tyś jej, kurwa, tego dał?

Światło latarki oślepiło jej twarz.

– Jakaś blada. Daj jej wody.

– A jak się udławi?

– To chuj z nią.

– Ona jest z psiarni – powiedział Grzegorz grobowym tonem.

– Ja pierdołę, no lepiej nie mogłeś trafić.

– Nawet mnie nie wkurwiał. Myślałem, że wreszcie poznałem fajną dupę. Polubiłem ją.

– Kiedy się zorientowałaś?

– Miałem szczęście. Inaczej już byśmy byli w pierdlu. Podśluchałem, jak dogadywała się z psami na akcję na Słupną. Dlatego nie poszedłem na to spotkanie.

Pochylali się nad nią. Wreszcie Grzegorz przytknął jej do ust butelkę z wodą mineralną. Ujęła ją ustami jak niemowlę pierwszy raz przystawione do piersi. Łykała z trudem, krztusząc się. Czuła, jak płuca rozrywa jej ból. Mimo wszystko piła chciwie.

– W sumie to ją też zabierzemy. Trochę stara, ale dupę i cycki ma niezłe. Znajdzie amatorów.

– Tego nie było w planie.

– No to musisz ją zabić i ukryć ciało. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Zapadła cisza. Słowa docierały do niej z opóźnieniem. Gdy wreszcie zrozumiała swoją sytuację, serce zaczęło jej bić coraz szybciej. Nieposłuszne powieki znów opadły. Nie wiedziała, ile to trwało. Kiedy znów otworzyła oczy, mogła już poruszyć rękoma. Złapała butelkę wody i wypila do dna. Słyszała głosy porywaczy dobiegające z pomieszczenia obok. Z trudem obróciła się na bok i uderzyła brodą o podłogę. Spróbowała skupić wzrok, który zdążył przyzwyczaić się do ciemności. Dostrzegła sofę i telewizor ze zdjęcia.

Poczuła zastrzyk adrenaliny, który walczył z trucizną w jej ciele. Tylko jedna myśl huczała jej w głowie: Dagmara! Ona musi tu być! Powieki jednak znów opadły. Gdy się podniosły, czuła ból w każdym skrawku ciała. Wyciągnęła dłonie przed siebie i zaczęła się czołgać.

– Jeszcze godzina i jedziemy.

– Co jest?

– Czekam na wynik testu.

– Ja pierdolę. Mówiłem, żebyś się zaszczepił. Teraz będziemy się bujać przez to, że jesteś jebanym antyszczepionkowcem. Ja tego nie rozumiem. Ćpasz, chlejesz, ale boisz się, że cię szczepionka zabije.

Zajda nie wsłuchiwała się już w ich kłótnię. Gdy tylko udało się jej oprzeć stopy na podłodze, wstała powoli z plecami przy ścianie. Zaczęła stawiać krok za krokiem. Zajrzała do pierwszego pomieszczenia, pełnego zdewastowanych szafek. Było puste. Minęła je i zataczała się dalej, trzymając się kurczowo ściany.

– To nasza ostatnia jazda. Na razie trzeba przeczekać. Będzie tu niezły dym, jak wywieziemy tę sukę.

– Ale co zarobimy, to nasze. Zamelinujemy się w Rumunii w mieszkaniu Czapy. Mam klucze.

– No i zajebicie. Pojeździmy znowu na crossach.

Gdy zaglądała do kolejnego pomieszczenia, usłyszała hałas na zewnątrz. Nie zatrzymała się jednak. W środku było ciemno. Za oknem migąły czerwone światła kopalnianego komina. Zobaczyła ją śpiącą na materacu ułożonym na podłodze. Była ubrana tak samo jak na zdjęciu. Baśka znów poczuła przyływ sił. Dziewczyna miała ręce przywiązane do rury biegnącej w kącie pokoju. Wyglądała na nieprzytomną. Zajda wślizgnęła się do środka. Coś działo się na zewnątrz. Widziała przez okno światło latarki przesuwające się po ścianach budynku. Podeszła do Dagmary i dotknęła jej twarzy. Dla bezpieczeństwa zatkała jej usta. Dziewczyna otworzyła półprzytomne oczy. Jej ciało było chłodne. Mieniło się w półmroku bielą.

– Nie krzycz. Pomogę ci. Jestem od twojej mamy i taty – wyszeptała jej do ucha.

Dagmara tylko mrugnęła. Jej źrenice były powiększone. Twarz, umęczona strachem, zamarła w oczekiwaniu. Baśka przyłożyła palec do ust



i zabrała powoli dłoń. Usłyszały jakieś krzyki na dole. Zamarły w oczekiwaniu na najgorsze, ale nikt nie nadchodził. Zajda podniosła się z kolan zbyt szybko. Zakręciło jej się w głowie. Zgięła się wpół i czekała chwilę, aż krew dotrze do mózgu. W końcu zaczęła tarmosić sznur na rękach dziewczyny. Rozgryzła go zębami. Dagmara była oszołomiona. Baśka podniosła ją jak manekina i postawiła na nogach.

– Wiesz, czy jest tu jakieś drugie wyjście? – zapytała.

– Brama – odpowiedziała dziewczyna mechanicznym głosem, wskazując na prawo.

Szły na sztywnych nogach, ostrożnie stawiając kroki. Usłyszały jakiś trzask, ale nie zatrzymały się ani na chwilę. Dotarły do klatki schodowej. Zejście na dół wydało się Zajdzie niemożliwe. Jej nogi nie chciały się zginać. Złapała się poręczy i cofała tyłem. Dagmara trzymała się kurczowo jej ramienia, łaskocząc ją długimi czarnymi włosami.

– Ja jestem Baśka, koleżanka twojej mamy. Nie bój się – szeptała policjantka, widząc wciąż strach w oczach nastolatki.

Znalazły się w dużym garażu, gdzie stał biały fiat ducato. Dagmara wskazała na bramę, w której mieściły się małe drzwiczki. Na górze słyszały jakieś kroki i szarpaninę. Skradały się do wyjścia. Dziewczyna nie puszczała jej ramienia. W końcu Zajda złapała za klamkę, która od razu odpadła. Z trudem schyliła się po nią i usadowiła w uchwycie. Gdy nacisnęła jeszcze raz, nagle cała brama zaczęła się otwierać na zewnątrz. Chciała uskoczyć i schować się za busem, ale było już za późno. Grzesiek stał przed nimi w poświacie nikłych świateł miasta.

Agnieszka Tabacka, strażniczka miejska z pięcioletnim stażem, czuła, jak cięży jej broń zawieszona w kaburze przy pasku. Zawsze marzyła, żeby mieli takie uprawnienia jak policja. Wtedy byłoby łatwiej zasiać lęk

w wandalach i pijakach, z którymi przyszło im się mierzyć na służbie. Teraz jednak, gdy komendant zlecił jej pobranie broni palnej, nie była już taka pewna, czy pomoże jej to w jakikolwiek sposób w pracy. Dostała zawiadomienie o libacji na skraju parku, gdzie trwał remont. Ktoś zgłosił, że demolują sprzęty budowlane. Jej partner pracował w Straży Miejskiej dopiero od pół roku. Jak dotąd zachowywali w stosunku do siebie chłodny dystans.

– Aga – zagadnął ją, gdy zaparkowali przy Stawowej.

– Tak?

– A ty dlaczego nie poszłaś do policji?

Sama co jakiś czas zadawała sobie to pytanie.

– Chciałam pomagać ludziom – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Nie wspomniała jednak o drugim powodzie. Tak naprawdę brakowało jej wiary w siebie – mimo że ćwiczyła regularnie, a na strzelnicy była co najmniej raz w tygodniu. Brat ciągle się z niej naśmiewał, że pracuje w „mysłowickim FBI”. Ale ona lubiła tę robotę. Była blisko ludzi. Kochała Mysłowice i marzyła, że kiedyś to miasto podniesie się z pokopalnianej depresji. Remont Parku Zamkowego był jednym z tych katalizatorów. Zadaniem Straży Miejskiej było upilnować go przed wandalami.

Już z daleka usłyszeli podniesione głosy imprezowiczów – lato sprzyjało picciu pod chmurką. Grupka około dziesięciu osób nawet nie uciszyła się na ich widok.

– O pierunie, FBI idzie! – krzyknął ktoś, na co reszta wybuchnęła śmiechem.

Agnieszka spojrzała w stronę koparki – jakiś chłopak załatwiał się do jej łyżki. Na boku maszyny widniał świeży napis nabazgrany sprayem: „Zaraz wracam. Józef Stalin”. Owszem, może i zabawne, ale to drogi

sprzęt. Czyjś dorobek. Spojrzała na partnera. Dlaczego stał za nią? Do cholery, gdzie są ci twardziele, których oglądała w filmach?

– Kto to napisał? – zapytała, wskazując na koparkę.

– Nie umiesz czytać? Stalin – odpowiedział ten sam żartowniś, znów wzbudzając ogólną wesołość.

Zacisnęła szczęki.

– Dowody tożsamości proszę – powiedziała lodowatym tonem, sięgając po notes.

Mężczyźni siedzący na deskach z rozebranych ławek zamilkli. Czuła, że atmosfera gęstnieje. Wiedziała, że to, jak rozwinie się sytuacja, zależy od najbliższych sekund. Przyjrzała się im dokładnie. Większość tych facetów znała z widzenia. Byli wśród nich koneserzy wódki, jeden diler sprzedający zielsko oraz dwóch złodziejasków grasujących weekendami po giełdzie samochodowej. Jednak w takim składzie nie spotkała się z nimi nigdy. Nieświadomie dotknęła kabury zawieszanej na pasku. Twarze zebranych błyskawicznie zmieniły wyraz.

– Ale po co od razu dowody? – zaczął znów wesołek. – Chodzi o ten napis? – Wskazał na pomalowaną koparkę. – Nie widzieliśmy, kto to namalował, ale to jakiś totalny amator. Nie odłuscił powierzchni.

Ściągnął poszarpaną bluzę dresową i zaczął trzeć litery. Ku zaskoczeniu Agnieszki rzeczywiście napis zaczął schodzić. Poczekala, aż koparka została oczyszczona.

– A teraz proszę panów o rozejście się. Park Zamkowy jest w remoncie, jeżeli będą jakiegokolwiek szkody, zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności finansowej i karnej. A dowodów nie potrzebuję, znamy każdego z was.

Jej partner wreszcie się wtrącił:

– Pana znajdziemy na Piastowskiej, a pana na Sobieskiego – wymieniał, sprawiając, że mężczyźni zaczęli się podnosić i odchodzić.

Strażnicy wrócili do samochodu.

– Widziałaś, jak na nich podziałała broń? Nawet nie musiałaś jej wyciągać – emocjonował się jej partner.

– Możliwe, tylko wyobraź sobie, co by się stało, gdyby nie posłuchali. Przecież my gówno możemy.

Mężczyzna się skrzywił.

– Chodź, jak już tu jesteśmy, przejdźmy się jeszcze. Ja pójdę na Świerczyny, a ty przez Gwarków. Tu wieczorami jest nieciekawie.

Rozdzielili się. Zatrzymała się przed ławką, na której siedziało dwóch starszych mężczyzn.

– Jak tam, panowie, spokój?

– Ja, dzisiöj żödyn niy rojbruje<sup>84</sup>.

– I dobrze.

Do skrzyżowania miała jeszcze pięćdziesiąt metrów. Przeszła ten odcinek szybkim krokiem. Spojrzała w lewo i w prawo. Spokój. Tramwaj nie jechał. Pusto. Już miała zawrócić, kiedy zauważyła mężczyznę jadącego na rowerze. Może nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie rura przyczepiona do bagażnika.

– Halo, pōmocy! – zawołał około pięćdziesięcioletni facet.

Zeskoczył z roweru i walcząc z zadyszka, zaczął chaotycznie mówić i wskazywać w stronę nieczynnej kopalni. Nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi, dlatego spróbowała skorzystać z metody parafrazowania poznanej na szkoleniu z komunikacji.

– Czyli zauważył pan swoją znajomą, która wychodzi pijana z obcym mężczyzną z lokalu?

– Tak, przecã gōdōm.

– Pojechał pan za nimi, bo się zaniepokoił. Mężczyzna zabrał kobietę na teren kopalni.

– Ja.

Pokręciła głową.

– To niemożliwe. Tam jest wszystko zamknięte na cztery spusty.

– Tam w strzodku czekōł drugi chop. Ôtwar im. Słyszeliście ô stracōnyj Dagmarze? Ta znajōmō jeji szukō.

W jednej chwili Tabacka przypomniała sobie opowieść brata, który mówił jej o nowej lokatorce w kamienicy na Powstańców. O zaginionej dziewczynie wiedziało całe miasto. Nadała przez radio wiadomość do swojego partnera. Zaraz potem skontaktowała się z policją. W tym czasie mężczyzna wsiadł na rower i zaczął jechać w stronę kopalni.

– Ale zaraz, gdzie pan jedzie?

– Trza retować dziołcha, przecã jōm skurwysyny ukrziwdzōm.

Pobiegła za nim. Brama kopalni była związana grubym łańcuchem, jednak kłódka została niedomknięta.

– Pan tu zaczeka i pokieruje mojego partnera i policję. Ja idę.

– Sama?

– Mam broń – powiedziała, wyciągając z kabury służbowy pistolet.

W drugiej dłoni trzymała latarkę. Ogarnęła ją niepewność – powinna zaczekać na wsparcie, ale postanowiła, że tylko sprawdzi, czy są tu ślady czyjejś obecności. Przeszła wzdłuż budynków maszyny wyciągowej, po prawej stronie minęła nieczynny basen kopalniany. Chciała zawrócić, ale coś ciągnęło ją w mrok. Minęła już większość budynków i stanęła naprzeciwko opuszczonej Stacji Ratownictwa. Poświeciła latarką po oknach. Jej uwagę zwróciły świeże koleiny wyżłobione w błocie, które

prowadziły do bramy garażowej budynku. Obeszła go naokoło i odnalazła drzwi. Otworzyła je i dopiero wtedy poczuła strach. Była sama. Powinna zaczekać. Usłyszała czyjeś kroki z tyłu i zamarła. Odwróciła się powoli, wstrzymując oddech. Zobaczyła swojego partnera zbliżającego się z mężczyzną, który ją zaalarmował.

– Jada z komendy? – zapytał strażnik miejski, gdy się z nią zrównał.

– Tak, musimy czekać.

– Jõ idã. Wy sam doczkejcie – powiedział Alojz i ruszył w stronę wejścia do budynku, zostawiając skonsternowanych strażników miejskich za sobą.

### ***Myslowitz, 26 marca 1912 roku***

**M**arylka leżała na twardej pryczy w celi myśłowickiego aresztu. Miała obolałe kolana. Nie pamiętała, jak się tu znalazła. Jak przez mgłę przypominała sobie pochylającą się nad nią twarz policjanta, tego samego, który zaczepił panią Kowalową kilka dni temu na Rynku. Ze strachu brakowało jej tchu. Co z nią teraz będzie? Co z Jędrkiem, który pewnie na nią czeka? Co z głupią Halinką? Ogarnął ją przemożny chłód. Po kocu, którym była okryta, skakały spalone pchły, napawające ją obrzydzeniem. Wnet cela się otworzyła, a do środka wrzucono kobietę dużo starszą od niej. Tak naprawdę trudno było stwierdzić, w jakim jest wieku. Miała twarz brudną jak górniczy wracający z szychty, spuchniętą i obwisłą. Wykrzywiła ją w uśmiechu, ukazując zepsute żółte zęby. Także jej ubiór był odrażający. „Czy to jeszcze kobieta?”, zastanawiała się Marylka.

Nieznajoma ściągnęła z siebie gruby robotniczy chałat i usiadła na pryczy, wspierając się na czarnych od brudu ramionach.

– To tyś jest ta dziołcha, co zażgała Mocnego Franza? – odezwała się do Marylki gwarą.

Długa chwila minęła, zanim dotarł do niej sens słów. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Jo zadźgała? – zapytała, usta miała białe jak śnieg.

W jej pamięci zachowała się chwila, gdy oprych zamachnął się na nią nogą po raz drugi. Ciachnęła na oślep nożem, który wcześniej wypadł mu z ręki. Czyżby to wystarczyło, żeby zabić człowieka?

– Ty, kamratko. Wszyjcy widzieli, iże chlastaś w sztōmpel<sup>85</sup> i ino krwia sikła. A taki mocny bōł pierōn. Gōdajōm ô gōrōlce, co zabiōła Franza.

Kobieta zamilkła, gdy po drugiej stronie drzwi usłyszały dźwięk otwieranego zamka. W otworze pojawił się znany już Marylce policjant – i najwidoczniej koleżance z celi też, bo zagwizdała na jego widok.

– O pieronie.

– Hilda Musioł się zamknie. Znowuś narobiła? Co ty, pierwszy rok na płuczce robisz, kobito? W rzyć ją klepli, to pobiła sztajgra. – Mężczyzna wyglądał na zafrasowanego wybrykiem kobiety. – Heksa ciulnięta – dorzucił.

– Gōdałach mu, iże dostaniy bez tyn bezpysk – wymamrotała Hilda.

– Leda żywy lyży. Ty sie rzykej do śwyntyj Barbary, cobyś wylazła z herestu.

Stracił nagle zainteresowanie kobietą i odwrócił się w stronę Marylki.

– Siwiec, za mną. Na przesłuchanie.

Dziewczyna poczuła, jak paraliżuje ją strach. Wszystko działo się tak szybko. Halemba, widząc jej lęk, ściszył głos.

– Panna się nie boi. Nic jej nie będzie.

Więzienie pruskie przy Neue Kirchstrasse budziło lęk samym wyglądem. Nowy budynek w stylu neogotyku przytłaczał strzelistymi oknami i wysokimi sklepieniami. Marylka człapała za policjantem i strażnikiem więziennym, czując się, jakby zmierzała na sąd ostateczny. Czy Pan wybaczy jej zbrodnię? Czy zrozumie, że musiała się bronić? Halemba zbliżył się do niej.

– Panna wszystko opowie bez strachu, jak było. Jak pannę sprzedali, jak uwięzili. To cała szajka jest handlarzy żywym towarem. Panny zeznania bardzo pomogą.

Umilkł, gdy zawiasy wysokich drzwi zaskrzypiały i strażnik wepchnął dziewczynę do środka. Słowa policjanta odbijały się echem w jej głowie. Za biurkiem siedział wyższej rangi oficer policji pruskiej oraz dwóch innych. Bacznie się jej przyglądali, gdy Halemba powiedział coś do nich po niemiecku. Skinęli niechętnie głowami, podczas gdy on zwrócił się do niej:

– Będę tłumaczył, bo oficerowie pruscy waszej góralskiej gwary nie rozumieją.

Zaczęli Marylkę pytać. Opowiadała wszystko jak na spowiedzi, nie widząc dla siebie żadnego ratunku. Interesowało ich, skąd miała nóż. Tłumaczenie, że wytrąciła go z ręki Franza, jakoś do nich nie trafiało. Wciąż to samo pytanie. W końcu Halemba podniósł głos:

– *Du fragst nicht, wie das Mädchen dorthin gekommen ist? Lass ihn alles von Anfang an erzählen*<sup>86</sup>.

Oficer spojrzał na niego surowym wzrokiem zza drucianych okularów. W końcu skinął głową.

– Niech panna wszystko opowie. Jak ją chcieli wywieźć i sprzedać. To jedyna nadzieja, żeby rozbić ich szajkę.

Marylka Siwiec przełknęła ślinę przez suche gardło, nie mając odwagi poprosić o choć kubek wody. Płatał się jej język, a spocone dłonie drżały.



Zacząła swoją opowieść od wizyty Samuela Majerczyka we wsi. Wspomniała także o pani Antoninie Kowal, co wzbudziło ogólne poruszenie. W połowie jej historii drzwi pokoju się otworzyły. Zebrani oficerowie wstali jak na komendę. I Marylka się obróciła. Mężczyznę, który pojawił się zniemacka, był pan Maksymilian, który jeszcze kilka dni temu woził pięknym automobilem jej koleżankę Halinkę. W swej naiwności chciała rzucić się mu do kolan, w porę się jednak zatrzymała. Dotarło do niej, że on o wszystkim wiedział. Ba, może był nawet przywódcą szajki.

– *Herr Weichmann was bringt dich?*<sup>87</sup> – zapytał oficer.

Marylka, słysząc to nazwisko, skurczyła się na krześle.

Mysłowicki multimilioner, właściciel Stacji Emigracyjnej, stuknął lekko laseczką o kamienną podłogę i usiadł na ławce pod ścianą z miną człowieka, który zdaje sobie sprawę, że jest nie do ruszenia. To on sprawił, że Mysłowice przeżywały największy rozwój w swojej historii. W ciągu dziesięciu lat przez jego stację przewinęło się półtora miliona wychodźców. Jedna trzecia wszystkich z tej części Europy.

Zapadło ciężkie milczenie. Halemba był wściekły. Patrzył na oficerów z wyczekiwaniem. Nie widząc żadnej reakcji, wstał i poprosił, żeby Weichmann opuścił pokój. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Marylka nie rozumiała, co się dzieje. Właściciel stacji wpatrywał się w nią. W końcu podszedł do biurka oficera i zaczął coś szeptać. Poruszyła się niespokojnie, gdy mężczyźni spoglądali na nią z dezaprobatą.

– Prosi o zwolnienie z aresztu jego pracownika, Samuela Majerczyka. Mówi, że jesteś ulicznicą, która chciała dostać bilet za nierząd. Kazał cię wyprowadzić swojemu człowiekowi Franzowi, a ty go zabiłaś. Żąda dla ciebie kary śmierci. Powiedział, że ma dziesięciu świadków.

Marylka Siwiec poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości.

– Dyć to diabeł! Dziewki za dutki kupcy! Nasłół no mnie zbirów. Tyn Majercyk mu narajo. Broniłak sie. Na kurwy brali do Argentynty! Panie sanowny! – lamentowała – Ion i ta Kowalowa. W barakach na Entenstrasse my społy z Halinką z mojjj wsi. Ona pojechało do Hamburga na statyk, bo głupio. Nie doła wiary, jak żem jyj godała. Dutki nom zabrali wsytkie.

Strażnik uciszył ją jednym szarpnięciem. Halemba wystąpił do przodu. Przetłumaczył i potwierdził słowa dziewczyny. Dodał, że widział, jak Weichmann woził ową koleżankę swoim automobilem, rozmawiał także z Kowalową, która udawała, że przesłuchiwana jest niemotą.

Oficer siedzący za biurkiem wyglądał na strapionego. Ciężar dowodów był poważny. Stanowczo odmówił zwolnienia Majerczyka i innych zatrzymanych. Halemba tłumaczył dziewczynie odpowiedź policjanta.

Weichmann zaciął twarz w grymasie rozczarowania. Wstał powoli i wycelował kościsty palec w pierś Halemby.

– *Das is dein Ende*<sup>88</sup>.

Spojrzał na Marylkę, jakby chciał dodać, że mówi również o niej. I choć dziewczyna nie zrozumiała ani słowa, poczuła lęk ściskający ją za gardło.

### ***Mysłowice, 6 lipca 2021 roku***

**A**lojz Hajok podniósł metalową rurkę opartą o ścianę budynku i podszedł do drzwi. Były otwarte. Ciężko oddychał. Wybrał się na rowerze do Castoramy, żeby wymienić rurę, gdy zobaczył Baškę. Prowadził ją ten mężczyzna. Coś go tknęło, żeby się im przyjrzeć. Jakie szczęście, że to zrobił. Ulica była pusta i nikt by nie zauważył, jak tamci dwaj wciągają Zajdę na teren kopalni.

Gdy uchylił drzwi, kątem oka zobaczył, że strażnicy miejscy idą za nim. Na podłodze starego budynku walał się gruz, resztki mebli i szkło. Z góry dochodziła cicha rozmowa. Nie miał latarki, ale oczy górnika nigdy go nie zawodziły – szybko przyzwyczajał się do ciemności. Powoli brnął do przodu. Po kilku krokach nadepnął na jakiś pręt, który potoczył się z głośnym skrzypieniem. Głosy na górze umilkły, a na schodach zobaczył światło latarki. Przytulił się do ściany. Schodzący z góry mężczyzna wyszedł prosto na strażników miejskich. Oświetlił ich twarze snopem światła. Zaśmiał się i wyciągnął przed siebie broń.

– Gleba – powiedział grobowym głosem.

Gdy odwrócił się tyłem do Alojza, Hajok zerknął na schody, czy nie zbliża się ktoś jeszcze. Nie czekał, tylko dotarł do napastnika w dwóch susach i zanim tamten zdążył się w pełni obrócić, uderzył rurką w ramię trzymające broń. Spadła na ziemię. Górnik podciął mężczyźnie nogi kolejnym ciosem – mocnym jak uderzenie kilofem. Bandyta upadł, krzycząc wniebogłosy. Z piętra dobiegł ich jakiś hałas. Alojz spojrział na Agnieszkę Tabacką, która już dociskała kolanem do ziemi leżącego. Skierował się do schodów. Wspinał się, nasłuchując. Niepokoiła go cisza. Drugi bandzior musiał uciec albo czał się w ciemnościach. Była to ostatnia myśl Hajoka, który stawiając krok na szczycie schodów, nie zauważył mężczyzny schowanego za rzędem szafek. Grzesiek popchnął na niego komodę na kółkach. Zaskoczony Alojz zawahał się chwilę, próbując złapać równowagę, ale runął na dół po stopniach.

Grzesiek zaklął w myślach, słysząc nadciągające z daleka wozy policyjne. Włączyli jak zawsze koguty. Zrzucił ze schodów jakiegoś typu skradającego się na górę. Tak mu, kurwa, dobrze szło z tą Baśką, a teraz wszystko wzięło w łeb. Dlaczego musiała wsadzać ryj w nie swoje sprawy? W pokoju ich nie było. Pizdy próbowały zwiać. Otworzył okno i zszedł, opierając się

stopami o rynnę i piorunochron. Teraz musiał się tylko dostać do garażu. Miał nadzieję, że nie wyszły jeszcze z budynku. Poruszał się cicho jak kot. Obszedł stację od tyłu i wyciągnął z kieszeni klucze do bramy i fiata ducato. Gdy otworzył jedno skrzydło, myślał, że krzyknie z radości. Stały tam we dwie, podpierając jedna drugą. Naćpane i bezwolne. Doskoczył do młodej i uderzył ją pięścią w twarz. Baśka złapała dziewczynę wpół. Ją też chciał uderzyć, ale zawahał się w ostatniej chwili.

– Baśka, uspokój się. Jeszcze nie jest za późno – powiedział, otwierając boczne drzwi busa.

Zajda stała, łapiąc powietrze. Wciąż nie władała w pełni swoim ciałem. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego po policzkach popłynęły jej łzy. Myślała, że widziała już wiele. Jak można być takim potworem! Poczula do tego człowieka nienawiść, która wzbierała w jej gardle jak wymiociny. Odepchnął ją z całej siły, po czym chwycił Dagmarę pod pachy. Wciągnął dziewczynę na pakę busa i położył ją na stercie kartonów. Spódnica młodej się podwinęła, ukazując majtki.

– Wsiadaj, kurwa, albo będę musiał inaczej się z tobą obejść. – Złapał czołgającą się po ziemi Zajdę i pociągnął za nogę.

Podniósł ją brutalnie i zaczął wpychać do środka. Zaparła się stopami. Walczyła. Jej spowolnione ruchy były jednak jak uderzenia małego kotka. Zaraz zamknie drzwi busa i wywiezie ją razem z Dagmarą do jakiegoś burdelu. Fala gorąca uderzyła jej do głowy. Ale w tym stanie nie miała z nim szans. Kopniakiem wtrącił ją do busa. Upadła na plecy, tracąc oddech. Jej noga wciąż zwisała poza krawędź paki. Gdy Grzesiek próbował ją zgiąć, by zamknąć drzwi, Zajda poczuła, jak coś kłuje ją w pierś. Dotknęła bolącego miejsca, a jej usta rozszerzyły się nagle w uśmiechu. Pomyślała, że dziadek Uciecha jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego zna. Złapała zapinkę z krzyżykiem niespodzianym, który staruszek dał jej

przed wyjazdem. Musiał się odpiąć z jej koszuli w ferworze walki. Podniosła się w ostatniej chwili, gdy drzwi sunęły już pchane po szynie. Zablokowała je nogą. Poczła nieprzyjemne trzaśnięcie łamanej piszczeli.

– Ty skurwielu. Zdechniesz! – zawołała.

Adrenalina sprawiła, że nie czuła bólu, tylko jasność. Uniosła dłoń. Krzyżyk niespodziany błysnął w powietrzu. Grzesiek nie zdążył zareagować. Wbiła mu broszkę prosto w oko. Ostra krawędź weszła w gałkę jak w masło. Wydał z siebie dziki kwik i upadł do tyłu. Z dłoni wypadły mu klucze. Baśka bała się, że wstanie. Podniosła z ziemi kluczyki. Zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak z jej nogą. Skacząc na tej sprawnej, obeszła pojazd. Wsiadła do szoferki i odetchnęła na widok automatycznej skrzyni biegów. Odpaliła. W lusterku bocznym widziała wijącego się na ziemi Grześka. Brama była otwarta tylko połowicznie, ale Zajda nie chciała ryzykować. Może jest ich więcej i zaraz przyjdzie kolejny? Wrzuciła „drive” i wcisnęła gaz. Bus uderzył w drugie skrzydło bramy, które urwało się z trzaskiem. Zobaczyła jakichś ludzi. Przyspieszyła. Coś stuknęło w bok pojazdu. Budynki kopalni wydawały się jej labiryntem. Ujechała zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy drogę zajechał jej radiowóz.

---

[80](#) pociągu (gwar.).

[81](#) Zostaw (gwar.).

[82](#) Zapomnisz (gwar.).

[83](#) Nie jęcz (gwar.).

[84](#) łobuzuje (śl.).

[85](#) nogę (śl.).

[86](#) Nie pytacie, jak dziewczyna się tam dostała? Niech opowie wszystko od początku (niem.).

[87](#) Panie Weichmann, co pana sprowadza? (niem.).

88 To pana koniec (niem.).

# ROZDZIAŁ 10

*Mysłowice, 7 lipca 2021 roku*

**S**zpital Miejski numer dwa w Mysłowicach miał piękną architekturę. Neogotycki budynek główny spoglądał jakby z odrazą na doklejone do niego socjalistyczne przybudówki pozostałych obiektów. Pomyślała, że można by tu nakręcić niezły horror. Gdy wywozili ją na wózku z SOR-u, strzelała oczyma w każdą stronę. Zablockowanie nogą drzwi busa okazało się mocno ryzykowne – miała złamaną kość piszczelową. Pielęgniarka zatrzymała wózek na podjeździe tuż obok wózka z Alojzem Hajokiem. Mężczyzna miał opatrunek na głowie.

– Uratowałeś mnie, Alojz. Co tam robiłeś o tej porze?  
– Jechołech na kole<sup>89</sup> do Castoramy wymiynić ta ruła.  
– Dlaczego wszedłeś tam sam? Mogli cię zabić.  
– Ôd tygo sôm chopy, coby brōnić kobiyt – odparł mężczyzna prostodusznie.

Zajda wolała nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby nie wujek Kariny. Z dwoma napastnikami nie miałyby szans. Wywieźliby je. Godzinę temu dzwoniła Alicja. Dziękowała Baŝce. Powiedziała, że ją kocha. Obie płakały.

Dagmarę zawieźli do szpitala w Chorzowie; Jej organizm był silnie zatruty środkami psychoaktywnymi.

Tyle dni myślała o Dagmarze, nawet jej nie znając. Emocje wciąż w niej buzowały. Chcieli zostawić Zajdę w szpitalu, ale się nie zgodziła. Przyjęła trzy kroplówki, opatrunek gipsowy na nogę i tyle. Czekali z Alojzem na Karinę, która miała podjechać po nich swoim dużym samochodem. Gdy pojawiła się na podjeździe, z pojazdu pierwszy wypadł Dominik.

– Ciociu, wszędzie o was piszą. O tobie, wujku, też – wyparował rozemocjonowany.

Zajda nie rozmawiała jeszcze z policjantami. Zawieźli ją od razu do szpitala. Powiedzieli tylko, że mają właściciela baru i Grzegorza. Ale z pewnością w handel dziewczętami było zaangażowanych więcej osób. Ktoś przecież zdążył zrobić Dagmarze zdjęcia, które wylądowały u Trumpa.

– Dobrze, że ujek Alojz tam był. Sōm tyła przeszōł w życiu, a jeszcze pomōgō inkszym. – Karina ucałowała Baškę i Alojza. – To terōzki bydzie pauza z rymōntym? – powiedziała, oglądając gips na nodze Zajdy.

Bardzo to było Bašce nie w smak. Kończył się jej urlop. Dostała co prawda dwa tygodnie chorobowego, ale z nogą w gipsie dużo nie zdziała. Dominik pomógł jej wsiąść do samochodu, obok usiadł Alojz.

– Tōż dzisiōj se dychnymy, ale jutro robimy fajer<sup>90</sup> na waszō cześć – zarządziła Karina, dumna ze swego pomysłu. – Wszyjscy chcōm wōm podziynkować za uretowaniy tyj dziōłchy.

Gdy Zajda znalazła się w mieszkaniu, opadła bez sił na łóżko. Nie zdołała nikogo przekonać, że impreza na cześć jej i Alojza to kiepski pomysł. Nie dziwiła się już, że kuzyn całkowicie poddał się żonie. Karina zostawiła jej w kuchni zakupy i zupę pomidorową. Ze zdjęcia przyczepionego do lodówki patrzyła na nią Dagmara. Baška wiedziała, że



przed dziewczyną długa droga, zanim jej życie wróci do normalności. Nieufność pozostanie na zawsze, niczym blizna. Miała tylko nadzieję, że jej nie gwałcili. Na wspomnienie Grzeška budził się w niej gniew. Głównie na siebie samą. Był taki miły, naturalny, gdy ze sobą rozmawiali. Nie potrafiła się z tego otrząsnąć. Zupełnie jakby miał rozdwojenie jaźni, dysocjację osobowości. Przed oczami miała jego twarz z wbitym w oczodół krzyżykiem niespodzianym. Była to twarz jak z horroru klasy B. Wiedziała, że będzie jej się śniła już całe życie. Nie czuła jednak żalu. Za to, co chciał zrobić Dagmarze, zabiłaby bez mrugnięcia okiem.

### ***Myslowitz, 30 kwietnia 1912 roku***

**M**ax Weichmann siedział przy hebanowym biurku z sekretarzykiem w swoim biurze Stacji Emigracyjnej. Choć był królem Myslowitz i wszyscy policjanci i urzędnicy, łącznie z burmistrzem, jedli mu z ręki, pasąc się na jego łapówkach, teraz czuł się bezsilny. Na blacie leżało rozłożonych kilka czasopism wydawanych w języku niemieckim i polskim. Krzykliwe tytuły głosiły: „Skandal na Stacji Emigracyjnej Weichmanna”, „Handel żywym towarem w Myslowitz!”, „Weichmann opłacał policję” i wreszcie: „500 rubli za jedną dziewczynę wywiezioną do Buenos Aires!” według „Myslowitzer Zeitung”.

Tak świetnie mu szło, to miasto kwitło dzięki niemu! Niewdzięcznicy, nie rozumieją, co to dobry geszeft. Na opłacenie wszystkich policjantów, urzędników, kolejarzy i przede wszystkim burmistrza wydawał majątek. Oprócz łapówek mieli otwarty rachunek w hotelu naprzeciwko dworca. Po okazaniu specjalnego bileciku z inicjałami M.W. oraz wypowiedzeniu hasła mogli jeść i pić do woli. Nawet kurwy im opłacał! Przez dziesięć lat wywieźli ponad tysiąc dziewczyn, aż trafiło na tę jedną. I ten Halemba!

Kilka razy robili do niego podejście, ale był nie do przekupienia. Franz dwukrotnie szykował na niego zamach. Zawsze się, psubratu, udawało umknąć. Ale teraz miarka się przebrała.

– Szefie, za kwadrans odjazd – przerwał Weichmannowi rozmyślenia jeden z jego ludzi.

Włożył na głowę melonik, pod pachę wsadził laseczkę i wyszedł na ulicę. Omiótł jeszcze raz wzrokiem przewiązkę, którą do tej pory tak gładko przemycali dziewczyny do wagonów. Trzeba było tę sprawę jak najszybciej uciszyć. Przechodnie kłaniali mu się w pas, gdy szedł w stronę peronu. Zabierał ze sobą dwóch ludzi. Wagon klasy royal czekał w najwyższej gotowości. Do Hamburga dotarli w przyjemnej atmosferze. Weichmann, zabawiany przez swoich ludzi, kelnerów i dwie panie do towarzystwa, nie mógł narzekać na nudę. W Hamburgu udał się do budynku towarzystwa okrętowego Hamburg-Amerikanische Packetgesellschaft. Poczł lekki niepokój, gdy kazano mu poczekać przed gabinetem dyrektora. Nigdy nie czekał. Nie miał tego w zwyczaju. Udał, że nie słyszy, i nacisnął mosiężną klamkę.

– Moje uszanowanie! – przywitał się z uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Cóż to pan dyrektor taki zajęty?

Dyrektor towarzystwa okrętowego – przysadzisty mężczyzna z siwym wąsem zakręconym według najnowszej mody – wyglądał na zaskoczonego. Skłonił się ze źle skrywaną niechęcią.

– Max Weichmann. Czyżby przywiodły cię do mnie kłopoty? Ostrzegałem cię, że te twoje geszefty doprowadzą w końcu do skandalu. – Podniósł z biurka gazetę.

Weichmann zacisnął szczęki ze złości. Miał nadzieję, że uda mu się ubiec doniesienia prasowe. Nie sądził, że wieści z zaboru tak szybko dotrą do Hamburga. Teraz zbagatelizowanie ich będzie trudniejsze.

– Rozpisały się pismaki. Ale drogi przyjacielu, czy nie wysłałem na twoje statki półtora miliona wychodźców? Całe Myslowitz mam w kieszeni.

– W kieszeni? – wybuchnął dyrektor, opluwając inkrustowane biurko. – Więc co to jest, ja się pytam? Cytuję: „Statki towarzystwa okrętowego wywożą już od kilku lat nieświadome młode kobiety do argentyńskich zamtułów”.

Rzucił gazetę na podłogę. Weichmann ze spokojem zrobił krok do przodu i podniósł ją, a następnie złożył na pół.

– Mam całe Myslowitz w kieszeni oprócz jednego wachmistrza z policji kryminalnej. Ma na nazwisko Halemba i ściga moich agentów już od jakiegoś czasu. Sprawa zrobiła się zbyt głośna i moje wpływy w policji chwilowo są zamrożone. Wystarczy, że dyrektor pomoże mi go wyeliminować, a ukręcę sprawie łeb.

– Ja mam się zająć jakimś polskim policjantem? Żartujesz? Może mam jeszcze jechać do tego waszego zaboru? – Dyrektor oddalił się na krzesło od biurka.

– To nie będzie konieczne. Niech szanowny dyrektor złoży wizytę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, gdzie ma rozległe kontakty. Jestem przekonany, że to całkowicie wystarczy. Trzeba odsunąć tego Halembę. Sam zajmę się podrzuceniem mu jakiejś świni.

Dyrektor podwinął wąsa. Najchętniej pozbyłby się tego chciwego żydowskiego biznesmena. Czasy były jednak niespokojne.

– Dobrze. Pójdę osobiście. Ale jeżeli po mojej interwencji sprawa się nie uciszy, nie uda mi się dalej utrzymać naszej współpracy. Znajdziemy inną stację emigracyjną. Nasze towarzystwo nie może ryzykować reputacji przez wasze geszefty.

## ***Mysłowice, 8 lipca 2021 roku***

**K**arina nie rzucała słów na wiatr. Przygotowała imprezę, jakiej nie powstydziliby się żadna śląska gospodyni. Biegała całe popołudnie, szykując grilla, na którego miała przyjść rodzina i wszyscy sąsiedzi. Ale Baśka nie czuła się w nastroju do świętowania. Rano była złożyć zeznania w komendzie. Przyjechał po nią prokurator Lis. Na miejscu dowiedziała się, że uciekając fiatem ducato z garażu w kopalni, staranowała strażniczkę miejską. To ona razem z partnerem i Alojzem przyszedli jej na pomoc. Podobno kobieta doznała poważnych stłuczeń. Baśka miała wyrzuty sumienia.

Grzegorz Karwat leżał w szpitalu – stracił oko i miał zmiażdżony oczodół. Ten drugi nie przyznawał się do niczego. Twierdził, że kradł złom na terenie nieczynnej kopalni. Policja powiązała z nimi sprawę zaginięcia dwóch dziewczyn. Najprawdopodobniej wybierali je w barze i zakładzie fotograficznym. Czy uda się je uratować? Baśka spojrzała przez okno na przewiązkę zwaną Mostem Westchnień. Alojz opowiadał jej, że na początku dwudziestego wieku przemycano tędy kobiety wywożone do burdeli w Argentynie. Czy to się nigdy nie skończy? Chciwość była zarazą ludzkości. Od początku cywilizacji człowiek wykorzystywał swój dar myślenia, aby krzywdzić i niszczyć. Czy rozum był przekleństwem? „Dlaczego nie potrafimy się wyzbyć ciągłego pragnienia posiadania?”, myślała Zajda.

Gdy Lis ją odwoził, długo milczeli, nie mogąc wysławić lęku, który wisiał w samochodzie jak woń choinki zapachowej. W końcu Zajda powiedziała to głośno:

- To nie oni zabijali.
- Wiem.

– Mam nadzieję, że nie podejrzewacie nadal Sebka Samochodzika.

– Nie. Dzięki Bogu jakiś sąsiad dał mu alibi potwierdzające, że był z nim tamtego wieczoru.

– A Maja Waligóra? Była na zdjęciu z Dagmarą.

– Wygląda na to, że to przypadek.

– Więc kto?

– Co mam powiedzieć? Nic nie mamy. Żadnych świadków, śladów biologicznych też jak na lekarstwo.

Z trudem wysiadła przed kamienicą przy Powstańców.

– Uratowałaś ją. Ty i ten twój szalony sąsiad – powiedział na pożegnanie prokurator przez uchylone okno.

Teraz z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Pokuśtykała otworzyć. Na początku nie poznała mężczyzny stojącego na wycieraczce.

– Dziyń dobry, jö je zech sōmsiadym.

– Ach tak, pamiętam. Przecież pomagał mi pan z wnoszeniem rzeczy. Zaprosiła go do środka.

– Agniyszka, ta baba wachtyrz, kierö tam bōła na tyj grubie, to moja szwestra.

– Rzeczywiście, przecież opowiadał pan, że pracuje w Straży Miejskiej. Co z nią?

– W porzōndku. Pojutrze wyndzie do dōm. Trochã poöbijanö.

– Mam straszne wyrzuty sumienia. O mało jej nie zabiłam.

Chłopak machnął ręką.

– Ona kazała pani podziękować. Wreszcie ktoś docenił jej pracę.

Podał jej telefon otwarty na stronie jednego z serwisów informacyjnych. Nagłówek głosił: „Dzielna strażniczka miejska z Mysłowic ranna podczas obławy na handlarzy ludźmi”.

– O kurczę – wydusiła z siebie Baśka.

– Prosiła, co by przekōzać, iże niy mō żōlu. Myślała, iże tym busym uciykō jedyn z tych chacharōw, i prōbowała go zastawić. Cołkō familijō śle gratulacje. Terōż juź żōdyn niy bydzie ś nij cisonōl, iże robi w „mysłowickim FBI”.

– Ja myślę. Niesamowicie odważna kobieta. Musimy się poznać.

– Wszyscy tam czekajōm na was. Karina kōzała juź sōdzić<sup>91</sup>.

– Skoro Karina kazała, nie mam śmiałości odmówić – zaśmiała się szczerze Zajda i pokuśtykała po schodach na dół.

Za kamienicą zebralo się sporo ludzi. Żarty i nawoływania było słyhać juź z daleka. Co jak co, ale Ślāzacy potrafią się bawić. Na grillu skwierczały mięsa, a stoły uginały się pod ciężarem sałatek i ciast.

– Sprōbujesz tradycyjnygo wusztu<sup>92</sup> i krupniōka z rusztu. Dejcie jeji piwo. A kaj je ujek Alojz? – komenderowała Karina.

Baśka rozejrzała się za Alojzem. Dostrzegła go rozmawiającego za samochodem z Maciejem. Ku jej zaskoczeniu się kłócili. Spodziewała się, że ojciec Dagmary będzie mu dziękował za pomoc w odzyskaniu córki. Tymczasem między nimi był jakiś konflikt. Podniosła się i podeszła do nich.

– Komisja ma wątpliwości – usłyszała strzęp rozmowy.

– Panowie, co się dzieje?

Maciek był spięty. Odwrócił się od Alojza.

– Problemy w pracy. – Niespodziewanie podszedł do Zajdy i zamknął ją w ramionach. – Nie wiem, jak ci się odwdzięczymy. Ocaliłaś ją.

Była naprawdę wzruszona.

– Co z nią? – zapytała, patrząc w jego załzawione oczy.

– Alicja nie odstępowała Dagmary na krok. Pilnuje jej policjant. Jest coraz lepiej. Wypłukali jej żołądek... – Głos mu drżał, Zajda objęła go za ramię.

– Będzie tylko lepiej, Maciek. Trzeba czasu.

Na grillu piła piwo i śmiała się z kopalnianych dowcipów. Z dworca dobiegały ich komunikaty dla pasażerów. Mysłowice, przeorane na pół torami, którymi wciąż toczyły się wagony z węglem i ludźmi, żyły według rytmu wystukiwanego przez szyny. Przysmaki Kariny okazały się wyborne. Zebrani podawali sobie kieliszki z wódką. W końcu rozwiązały się im języki.

– A kaj Marzyna? – dopytywała wujka Karina.

– A siedzi cheba na tym Tik-Ciōngu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Fto by to pomyślōł, iże nasz Alojz, co sie we bidulu wychowōł, terōz ôstanie bohaterzym – mówiła podchmielona Karina. – Wiym, iże niy lubisz ô tym gōdać, ale takō je prōwda.

Baśka pomyślała, że tylko rodzina potrafiła tak przysolić przy ludziach. A gdzie wyczucie? Wujek Alojz nie wyglądał jednak na bardzo zdenerwowanego.

– Sōm zachodzã w gowã, czymu jō tych klōsztornych pannien<sup>93</sup> niy pozabijōł. Ino bōło rzykać <sup>94</sup>, jak co niy tak, to szmary<sup>95</sup>.

Znów się śmiali, ale Zajda dostrzegła w jego wypowiedzi jakiś ukryty fałsz. Wyobrażała sobie, co musiał tam przejść. Tym większą poczuła do niego sympatię. Na chwilę dołączyła do nich pani Wieczorek. Przywitała się z Zajdą i resztą. Ucichli wodzireje i kawalarze. Bali się zrobić kobiecie przykrość.

– Jak syn ci, Karina, wyrōł – pochwaliła kobieta i wyciągnęła rękę do twarzy Dominika, zajętego telefonem.

Chłopak podniōł wzrok i odsunãł się gwałtownie.

– Modzi terõz nieruszani – skomentował ktoś z towarzystwa.

W końcu wszyscy zaczęli się rozchodzić. Marzena pojawiła się wreszcie, aby pomóc Karinie w sprzątaniu. Miała utrudnione zadanie, bo wstawiona ciotka plotła od rzeczy. Alojz pomagał odnieść Wieczorkowej pożyczone krzesła. Każdy zajął się swoją robotą. Gdy Zajda zniknęła już w klatce schodowej, usłyszała dźwięk tłuczonego szkła. Cofnęła się i zobaczyła Marzenę, która stoi nad upuszczoną tacą ze szklankami. Jej ciotka przystawiała dłoń do ust jak dziecko, które wyjawilo jakąś tajemnicę. Zupełnie jakby wcześniej dogadała coś młodej. „Musiała jej ładnie dopiec”, pomyślała Zajda.

### ***Mysłowicz, maj–grudzień 1912 roku***

**W**szystko szło dobrze, Halemba zapewniał Marylkę, że pod koniec tygodnia wypuszczą ją na wolność. Dwie osoby zeznały na niekorzyść zabitego Franza. Byli też świadkowie uliczni, którzy potwierdzili, że zbior kopał ją, gdy leżała na chodniku. Więźniarki mówiły tylko o tym. Trudno było jej zrozumieć ich śląską gwara, ale kobiety były tu równie pracowite jak góralki. Harowały nieraz na równi z mężczyznami w kopalniach i hutach. Ładowały węgiel, sortowały go na płuczce, zjeżdżały szybami do podziemnych chodników. Męska praca sprawiała, że stawały się podobne do innych górników. Miały twarde dłonie, silne ramiona i serce z węgla. Hilda opowiadała jej, jak wygląda dzień pracy na grubie, bo tak nazywano kopalnię – żywicielkę. I choć praca wydawała się ponad siły, przynosiła zarobek dużo wyższy, niż mogła zdobyć kobieta w Zawoi.

Jednak do piątku Halemba nie pojawił się w więzieniu ani razu, mimo że rozpoczął się proces Samuela Majerczyka, podobno głośny na całą Europę. Dziewczyna ślęczała przy kratkach, nasłuchując każdego kroku.



Wciąż myślała o Jędrku. Czy wyjechał, czy czeka gdzieś na nią? Wierzyła, że czeka. Gdy tylko się spotkają, wyjdzie za niego. Nie chciała już jechać do Ameryki. Przestała wierzyć w raj na ziemi obiecany przez agentów. Dziewczyny z celi opowiadały, jak oszukiwano emigrantów. Chłopów wyjeżdżających do Brazylii zapewniano, że z drzew kapie tam mleko i miód, a za ludzi pracują mały. Podobne brednie agenci wygadywali o Ameryce i Argentynie. Prości ludzie dawali im się przez lata oszukiwać i okradać, agenci byli bezkarni. Przypomniała sobie, jakie sama miała oczekiwania co do wyjazdu, i poczuła się bezdennie głupia.

Głośnie kroki strażnika więziennego wyrwały ją z rozmyślań. Wystawiła dłoń przez kraty, chcąc go zatrzymać.

– Ka wachmistrz Halemba? Niy mõ go tela czasu.

– Halemba już nie będzie – odparł tamten łamanym polskim i odszedł, nie tłumacząc nic więcej.

Dopiero po kilku dniach dowiedziała się, że Halemba został zawieszony w czynnościach służbowych. Straciła swojego sprzymierzeńca. Na parę miesięcy świat zapomniał o Marylce Siwiec, gnijącej w myśłowickiej celi. Marniała każdego dnia, a jej brzuch zaczął stopniowo rosnać. Drżała ze strachu o tę rozwijającą się pod jej sercem istotę. „Dlaczego teraz?”, zadawała Bogu wciąż to samo pytanie.

Proces Majerczyka był bardzo burzliwy, o czym dowiadywała się od nowych więźniarek. Za Samuelem Majerczykiem wstawili się rabin, burmistrz i miejscowi notable. Wszystkie liczące się gazety relacjonowały na bieżąco kolejne przesłuchania przed sądem. Sensacyjna sprawa oburzyła opinię publiczną, która wreszcie dostrzegła patologiczny proceder trwający wiele lat. Afera była poruszona nawet w pruskim parlamencie przez śląskiego posła Wojciecha Korfantego, który ostro skrytykował skorumpowanych urzędników policji. Nie pomogły wielkie słowa, bo siatka

handlarzy zakończyła proces ze śmiesznymi wyrokami. Majerczyk został skazany na trzy lata więzienia i grzywnę w wysokości dwunastu tysięcy marek. Czterech innych agentów dostało parę tygodni odsiadki.

Po procesie wypuszczono i Marylkę. Wystawili ją na ulicę przed więzieniem. Była ubrana jak nędzarka, w łachmany naciągnięte na pokaźny już brzuch. Nie miała w kieszeni ani grosza. Dokąd miała pójść? Pod Babią Górę było za daleko. Co powie ojcu? Bez pieniędzy i z brzuchem nie miała tam czego szukać. Udała się więc do jedynej życzliwej jej osoby, jaką tu знаła. Hilda Musioł przyjęła ją jak swoją. Wychowywała dzieci sama, bo jej mąż zginął w kopalni. Najstarsza córka była już prawie dorosła – opiekowała się młodszym rodzeństwem, a nocami pracowała w piekarni. Hilda wydzieliła dla Marylki jedno posłanie za przepierzeniem w małym mieszkanku w familoku. Nie narzekały. Marylka do czasu porodu gotowała i opiekowała się dziećmi Hildy. W wolnych chwilach kręciła się przy dworcu w poszukiwaniu Jędrka. Wypatrywała go wśród górników wracających z szychty, śledziła okna pociągów, zaglądała do portu. Nikt jednak o chłopaku nie słyszał. W końcu się poddała, przyjmując, że jej ukochany wyjechał jednak bez niej do Ameryki.

Aż wreszcie przyszedł czas rozwiązania. Poród był ciężki. Hilda przyprowadziła akuszerkę w brudnym fartuchu. Mały człowiek pchający się przez młode ciało Marylki walczył o każdy oddech. Rodząc, czuła, że nie będzie potrafiła dać temu dziecku szczęścia. Targana złymi przecuciami, zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na piękną córeczkę, którą urodziła. Hilda przystawiła ją do jej piersi i trzymała główkę.

- Jak jeji dōsz na miano<sup>96</sup>?
  - Ty dej – wyszeptała Marylka.
  - Teresa.
-

89 rowerze (śl.).

90 przyjęcie (śl.).

91 schodzić (śl.).

92 kiełbasy (śl.).

93 zakonnic (śl.).

94 modlić się (śl.).

95 lanie (śl.).

96 imię (śl.).

# ROZDZIAŁ 11

*Mysłowice, 13 lipca 2021 roku*

**S**pragniona słońca Baśka usiadła na murku przed kamienicą z gazetą o wystroju wnętrz w ręku. Z nogą w gipsie niełatwo było kontynuować remont. Nie poddawała się jednak, wykonując te czynności, które nie wymagały wspinania się na drabinę. Ale ciągłe kuśtykanie ją męczyło, szukała odpoczynku. Ledwo wystawiła twarz do słońca, a w jej kieszeni odezwał się telefon.

– Cześć, mamó – odpowiedziała trochę zmieszonym głosem. Nie przyznała się matce do tego, co ją spotkało.

– Dziecko moje, miałam dzwonić wcześniej, bo Uciecha mi już od kilku dni powtarza, żebyś pamiętała o krzyżyku niespodzianym. Że Babia mu mówi, że masz uważać. Kazał ci powiedzieć, żebyś go ciągle przy sobie nosiła. Jezusicku Nazareński, co się tam dzieje u ciebie?

Poczuła dreszcz, który towarzyszył jej zawsze, gdy jakimś dziwnym trafem była świadkiem góralskiej magii. Bo skąd Uciecha wiedział, że krzyżyk niespodziany ją uratuje?

– Nic takiego, mamó. Złamałam nogę podczas malowania – skłamała.

– Wiedziałam! Czułam, że coś jest nie tak. Poważne złamanie?

– Nie bardzo.

– To może tego nowego kawalera zaprzęgnij do roboty. Jak się na początku nie chwyci, to już później nie będzie chciał ci pomagać. Uwierz starej, doświadczonej kobiecie...

– Mamo – przerwała jej Baśka cierpkim głosem – nie ma już żadnego kawalera, to była pomyłka.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszała cichy wdech zawiedzionej nadziei.

– Może to i dobrze, Baśka, o Ślązakach to różnie mówią. Lepiej już jakiś miejscowy.

– Proszę cię, mamo, nie chcę o tym rozmawiać.

– Baśka, ty się powinnaś już uodpornić. Ceremugowa wreszcie się przyznała, że jej córka jest z Tunezyjczykiem. Podobno bardzo fajny i czysty chłopak. Tylko go stary Ceremuga ponoć wziął na męską rozmowę i go tak nastraszył, że Żanetka do Tunezji nigdy nie pojedzie, że może swatów zaprosić, ale córki tam nie zabierze. A jak ją skrzywdzi, to mu Allah nie pomoże.

– No i co? Nie obraził się?

– A co się ma obrażać? Podobno ma kebaba w Zawoi otworzyć. Ludziska to lubią tego kebaba, ale ja nigdy nie próbowałam. – Kobieta nagle zamilkła, jakby zdając sobie sprawę z bezsensu swojej paplaniny. – Basiu, kiedy wracasz?

– Niedługo. Skończę remont, pozałatwiam sprawy z przepisaniem liczników i wrócę.

– Smutno tu bez ciebie.

– Nie opowiadaj, na pewno codziennie odwiedza cię jakaś sąsiadka. Ucałuj Uciechę.

– Nie martw się o dziada, marudny jest jak zawsze.

– Mamo!

– Pa, córcia. A chłopami się nie przejmuj.

Nie zauważyła, że podczas rozmowy dosiadła się do niej sąsiadka mieszkająca naprzeciwko.

– Co tam? Matka jes strõpiõnõ?

– Jak to matka... A jak u pani? – zapytała Zajda z czystej uprzejmości.

– U mnie nic nowego. Tela, co sie bez ôkno abo sam<sup>97</sup> na murku ludziõw taksuja<sup>98</sup>. Posiedzi czowiek tak chwilã, to wszyjsko wiy.

– Co na przykład? – zapytała Baśka, kierowana policyjną ciekawościã.

I tak dowiedziała się o planie dnia wszystkich okolicznych mieszkańców. Sąsiad z dołu też pracuje w kopalni, a jego żona jest woźną w szkole. W weekendy jeżdżą do Imielina do rodziców. Ten, co ma siostrę w Straży Miejskiej, dostał mieszkanie po dziadku, ale na razie nie ma żony. Wcześniej, jak jeszcze były maszyny hazardowe za dworcem, to tracił tam masę pieniędzy, ale siostra nim wstrząsnęła i skończył z tym. Wieczorkowa żyje wciąż śmierciã córki. Zawsze nienawidziła tej Marzeny Hajok, ale nie mogła ich rozdzielić. A Alojz, jak ma na rano, to pod wieczór prawie zawsze na cmentarz na rowerze jeździ. I ona raz tam poszła za nim, bo myślała, że on te wszystkie róże niesie na grób matki. Ale na miejscu się okazało, że na jej pomniku leżała wyblakła wiązanka ze sztucznych kwiatów. Dopiero innym razem podejrzała Hajoka, że zostawia róże na grobie Justyny Wieczerek. A ta sąsiadka ze środkowej kamienicy to tak staje swoim samochodem, że trzy miejsca zajmuje. I raz jej porysowali ten wóz. Piekliła się i jej odgrażała, że ma ją nagrãną na kamerze, jak torbã z zakupami karoserię rysuje. Nie pomogły tłumaczenia i od tego czasu już jej nie mówi „dzień dobry”.

Baśka Zajda czuła, jak kręci jej się w głowie od natłoku informacji. Sąsiadka przerwała jednak w pół słowa na widok wracającej z zakupów

Wieczorkowej.

– Ledwo dwie minuty człowiek siądzie na słońcu, a już głowa boli – wykręciła się i zniknęła w kamienicy.

Baśka nie mogła oderwać wzroku od przewiązki, wyobrażając sobie młode, nieświadome niczego dziewczyny wywożone do argentyńskich burdeli. Jak wyglądała ich podróż? Co zastawały na miejscu? Ile upokorzeń i bólu musiały znosić? Wydawało się jej, że dlatego Most Westchnień do niej szeptał. Przenoszone przez niego cierpienia i lęki zapisały się w tutejszych murach na zawsze.

Mijali ją ludzie jadący na rowerach w stronę Promenady, rodziny z dziećmi i kobiety z kijkami do nordic walking. Miasto zdawało się budzić z koszmarne go snu. Dagmara za dwa dni wracała ze szpitala. Upał dał się Baśce we znaki. Wstała i z trudem wróciła do mieszkania. Za kwadrans miał się pojawić Maciek, który obiecał jej, że pomoże z panelami. Nie chciała go wykorzystywać, ale z Alicją czuli się tak bardzo zobowiązani, że w końcu się zgodziła. Przyszedł punktualnie. Czekala na niego z herbatą. Usadziła go przy odświeżonym kuchennym stole, który własnoręcznie wyczyściła i odmalowała. Maciek otworzył usta, ale powstrzymała go gestem dłoni.

– Umówmy się tylko: nie chcę więcej, żebyś mi dziękował. Nie potrafię prosić ani przyjmować komplementów i podziękowań. Taka już jestem. Pomożesz mi z panelami i będziemy kwita. Zgoda?

Pokiwał głową, wyraźnie rozbawiony.

– Właściwie to chciałem cię zapytać o moment, kiedy się poznaliśmy. Wiesz, nie było nigdy okazji. Zachowałam się wtedy, jakbyś zobaczyła ducha. Najpierw pomyślałem, że może wpadłem ci w oko. To było dziwne.

Zajda stanęła przy parapecie. Myślała, że będzie go pocieszała, a tymczasem on wyskakuje z czymś takim.

– Po prostu jesteś bardzo podobny do mojego nieżyjącego znajomego. W pierwszym momencie, gdy cię zobaczyłam, miałam mętlik w głowie.

– Okej. Opowiesz coś więcej? To był twój chłopak?

Poczuła, że jej twarz robi się czerwona.

– To stara historia. Ale ja też mam do ciebie pytanie. Wczoraj kłóciłeś się z Alojzem. O co chodzi z tymi kłopotami w pracy?

– W noc, kiedy zaginęła Dagmara, był wypadek na kopalni. Byłem tam ja, Alojz i jeszcze jeden, taki młody, Bartek.

– Pamiętam, opowiadałeś mi.

– Po każdym wypadku zbiera się komisja. Teraz też się zebrała. Twierdzą, że Alojz nie pociągnął linki bezpieczeństwa, a mógł. Bartek nieprzepisowo popchnął łopatą duży kawał węgla w kierunku bębna. Wciągnęło łopatę. A instynkt człowieka każe trzymać mocno, gdy coś stawia opór.

Zajda zakryła dłonią usta. „To musiało być okropne!”, pomyślała.

– Ja wymieniałem żarówkę oświetlającą napęd taśmociągu. Byłem daleko, ale widziałem. Stał jak słup, z wybałuszonymi oczyma.

– To się zdarza. Był w szoku.

– Wiem. Ale na kopalni nikt nie ma prawa do takiego błędu. Teraz maglują nas na przemian.

– I nawet w takiej sytuacji cię przepytawali?

– Wiesz, ilu ludzi pracuje w Wesołej? Jak idziesz na szychtë, musisz zostawić wszystkie zmartwienia na powierzchni.

Zrobiło się jej ciężko na sercu. Gdy w kubkach zabrakło herbaty, Maciek zabrał się do układania paneli. Ona mu asystowała. Był naprawdę sprytny. Podłoga szybko się zapełniała, tworząc piękną powierzchnię w kolorze rustykalnego dębu. W mieszkaniu zaczęło być gorąco i Maciek



ściągnął koszulkę. Spuściła wzrok, nie chcąc gapić się na jego klatkę piersiową. Spojrzała dopiero, gdy się obrócił i pochylił nad kolejną partią paneli. Skóra na jego plecach się rozciągnęła i Baśka zobaczyła lśniący od potu tatuaż na łopatce. Przedstawiał twarz dziewczyny o długich czarnych włosach. Poczła niepokój przesywający jej ciało i umysł. Zupełnie jakby zobaczyła wszystkie dotychczasowe ofiary. Oczy dziewczyny z tatuażu patrzyły na nią jakby z wyrzutem. Nie mogła wytrzymać tego spojrzenia. Podeszła do okna, by je otworzyć i złapać oddech. Odruchowo jej wzrok uciekł w stronę przewiązki. Początkowo myślała, że ma zwidy. Zamknęła na sekundę oczy. Gdy je otworzyła, Marzena nadal stała na dachu przewiązki. Machała rękoma, próbując utrzymać równowagę. Jej włosy, czarne jak skrzydła kruka, rozwiewały się na wietrze.

– Marzena, usiądź! – zawołała Baśka głosem wydartym gdzieś z trzewi.

Dźwięk odbił się od ścian kamienic. Usłyszeli, jak otwierają się okna sąsiadów.

Maciek podszedł do okna.

– O Boże, co ona robi? – powiedział szeptem.

Zajda patrzyła jak zahipnotyzowana na dziewczynę kołyszącą się na nogach. Gdy zobaczyła jej oczy, była pewna, że to nie zabawa.

– Zejdź stamtąd. Porozmawiamy. Cokolwiek się dzieje, znajdziemy rozwiązanie – mówiła powoli.

Usłyszała, jak Maciek wzywa służby. Chciała coś zrobić, krzyknąć, ale wszelkie gwałtowne ruchy i dźwięki mogły tylko pogorszyć sytuację. Nabrała powietrza, żeby mówić dalej, byle nawiązać z nią kontakt, nie pozwolić jej zostać samej ze strasznymi myślami, które doprowadziły ją do tego miejsca. Nie zdążyła jednak powiedzieć ani słowa.

– Słyszysz szepty?! – zawołała Marzena, patrząc na Baškę.

– Słyszę – odpowiedziała, czując, jak włosy jeżą się jej na głowie. – Usiądź powoli. Oprzyj się na rękach i chodź do wyjścia.

– I tak czeka na mnie piekło – odpowiedziała nastolatka ponuro.

Słowa dziewczyny były tak niedorzeczne, że Zajda pokręciła głową. Chciała coś dodać, lecz Marzena straciła równowagę. Przewróciła się i zaczęła powoli zsuwać z wąskiego dachu.

Czas się na chwilę zatrzymał, wszyscy gapie wzięli głęboki wdech.

– Maciek, idź do tego wejścia, ratuj ją! – krzyknęła Baśka do ojca Dagmary.

Mężczyzna wybiegł z mieszkania bez słowa. W tym samym czasie na ulicę wjechał dostawczy bus kurierski. Kierowca najwyraźniej szukał numeru, bo samochód sunął powoli ulicą. W końcu zatrzymał się pod samą przewiązką. Marzena przebierała w górze nogami, ale jej ciało było coraz niżej. Brat strażniczki miejskiej wybiegł na ulicę i zapukał w okno busa.

– Proszę stać w miejscu. U góry jest dziewczyna! – Podniósł głowę. – Marzena! Trzymaj się! Idziemy po ciebie!

Staął jedną nogą na kole i zaczął wspinać się na maskę. Zszokowany kurier chciał go skrzyknąć, ale gdy spojrzał na przewiązkę, sam wspiął się na dach samochodu. Baśka zamarła w oknie w zupełnej bezsilności.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę! – krzyknęła dokładnie w momencie, gdy Marzena oderwała się od dachu i runęła z trzaskiem na dach dostawczaka.

### ***Mysłowitz, kwiecień–czerwiec 1913 roku***

**M**arylka poddała się losowi, który przynosił zarówno krzywdy, jak i dobrodziejstwa. Takim oto rzuconym jej przez los dobrem była Hilda Musioł, bez której mała Teresa pewnie nie przeżyłaby pierwszych miesięcy

życia. Marylka leżała przez cały połóg pogrążona w dziwnym marazmie, którego nie potrafiło rozgonić nawet najśłodsze na świecie gaworzenie dziecka ani wrzask głodu i niepokoju. Jednak Hilda dobrym słowem, a czasem krzykiem poradziła sobie i z tym. Po czterech miesiącach od porodu postawiła Marylkę na nogi i zostawiając Tereskę pod opieką swojej córki, zabierała ją do Myslowitzgrube. Gdy Marylka przeszła przez bramę kopalni po raz pierwszy, zakręciło jej się w głowie od panującego tam ruchu i hałasu. Ceglany budynek maszynowni szybu Łokietek wydał się jej piękny. W wyobraźni widziała tam wielki bal. Wokół krążyli jednak mężczyźni i kobiety w brudnych ubraniach i o zmęczonych twarzach.

Zaskoczyły ją ich żarty, które słyhać było zewsząd. Choć już za chwilę mieli zjechać do bram piekieł, ich twarze się śmiały, nic sobie nie robili z tego, że każda ich szychta mogła być ostatnia. Ona poszła z kobietami na płuczkę. Praca tam okazała się trudna i czasem Marylka się zastanawiała, czy nie lepiej byłoby wejść do szybu z mężczyznami i robić za rębacza na przodku. Wielkie sita drgały niczym w febrze, wydając ogłuszający hałas, który dudnił w uszach jeszcze wiele godzin po pracy. Kobiety wypłukiwały z urobku węgiel, mokre od zimnej wody, i kierowały go na taśmociąg. W ciągu zmiany nie było dla nich wytchnienia. Nie każda wytrzymała. Mężczyźni pracowali z nimi bardzo sporadycznie, bo chłop przychodził na płuczkę tylko za karę. Na koniec pierwszego dnia Marylka nie czuła rąk. Przemoczona i zmarznięta, tłoczyła się przy bramie w tłumie robotników, wymiętych i przeciśniętych przez kopalnianą prasę. Ciężka praca w polu i robota przy bydle, którą do tej pory znała, wydawała się jej rajem. Bo tam przynajmniej towarzyszyły jej wiatr i słońce, ciepło bijące od zwierząt i zapach ziemi i trawy.

Hilda chwyciła ją pod ramię i w drodze powrotnej zabrała do wyszynku Glück Auf, gdzie przesiadywali gwarkowie. Kobiet było mało, bo niemal

wszystkie pędziły do dzieci i domu, na kolejną, tym razem rodzinną szychcę. Jednak każda przychodziła tu po pierwszym dniu spędzonym w kopalni. Marylka wypła jedno piwo postawione przez przyjaciółkę, która wśród gości piwiarni czuła się jak ryba w wodzie. Słuchała z niedowierzaniem żartów i piosenek górniczej braci. Pomyślała, że gdyby zabłąkał się tu jakiś obcy, umarłby na zawał na widok ludzi o oczach uczernionych węglowym pyłem.

Kolejne tygodnie upływały jeden za drugim, podobne jak krople wody. Marylka nie miała już czasu szukać Jędrka, pamiętała jednak o nim każdego dnia. Jej córeczka nie przybierała na wadze. Zbyt wcześnie odstawiona od piersi matki, kurczyła się w beciku. Miłość do niej kielkowała w sercu Marylki pomału, z przecuciem, że nigdy nie rozwinie się tak, jak powinna. Stopniowo przyzwyczajała się do nowego życia, a praca, która na początku zdawała się jej mordercza, stała się znośna.

– Bezma bardzo Weichmannowi na tym banchorze<sup>99</sup> siadło. Przed tom szperom<sup>100</sup> dziynnie szło szesnōście wagōnōw ze wychodźcami, a terōzki ledwo trzi – doniosła podczas przerwy jedna z pracownic płuczki, dojeżdżająca do kopalni koleją.

– Kōntrolujōm terōzki tak urzydniki, iże pōłowã zastawiajōm – komentowała inna.

– Ja, wybadujōm<sup>101</sup>, trza mieć zaproszynie z Ameryki.

– Chopy prawiōm, iże jak się to skōńczy, wojna bydzie – powiedziała Hilda.

Marylka słuchała tych rozmów jednym uchem, delektując się kanapką z białym serem. Nagle się jednak skupiła.

– Jakōś dziołcha sie położyła na glajzach<sup>102</sup> pōrã dni tymu. Dōwno już żōdneho na banhofie<sup>103</sup> niy przejechało. Ôd czasu, jak tyn gōrōl wyskoczōł

z tego cuga do Hamburga, to chyba żodyn – opowiadała ta dojeżdżająca koleją.

Marylka wstała, upuszczając kanapkę na ziemię. W piersi zaczęło jej walić.

– Kie to było, co tyn synek skoczył? – zapytała drżącym głosem.

– Zarõz przed tã aferõm na Stacyi Emigracyjnej. Skõnd õn to bõł? Z jakijõ Zawoi. Z õjcami do Ameryki jechoł – kontynuowała dziewczyna, zajadając się czerstwym chlebem, którym była tak zajęta, że nie zauważyła, jak Marylka osuwa się z braku sił.

Hilda mało nie dostała nagany od sztajgra, bo taką zrobiła aferę, żeby Marylkę wcześniej zwolnili do domu. Czuwała nad nią do nocy. Ale rano musiała iść na szychtę. Marylka została, bo nie mogła się zwlec z łóżka. Tak naprawdę jednak udawała, czekając, aż zostanie sama w domu. Gdy do tego doszło, wzięła na ręce małą Tereskę i wyszeptała jej do ucha swoje tajemnice. Niewprawną ręką, bo pisała słabo, skreśliła na karteczce dwa słowa: „Siwiec, Zawoja” i położyła ją na stole. Później utuliła córkę do snu, a następnie wepchnęła becik do łóżka córki Musiołowej, odsypiającej nockę w piekarni. Był koniec czerwca, gdy szła w stronę dworca, mijana przez rozpędzony tramwaj na Bytomskiej. Stała pod przewiązką, gdzie ostatni raz widziała Halinkę. Co się z nią działo? To już było nieważne. Zawiadowca stacji nie miał dla niej czasu. Czekala ponad dwie godziny, aż znajdzie chwilę. Gdy zapytała o chłopaka, który skoczył z wagonu, mężczyzna długo się zastanawiał.

– Jędrzej Kwaõny się nazywał. Cały pociąg zatrzymali przez niego. Ale w koõcu nie pamietam, czy rodzice, którzy z nim jechali, wysiedli, czy pojechali dalej do Hamburga. Strasznie niefortunnie skoczył... Pani wybaczy, ale obowiãzki wzywaja.

Zajęty rozmową z podwładnym, nie zauważył, że dziewczyna idzie jak w transie na pierwszy peron i stoi tam z nieobecny wzrokiem. Gdy się obrócił, nie mógł już nic zrobić. Stał sparaliżowany za oszklonym kantorkiem. Świst gwizdka i ryk maszyny zlały się z krzykiem ludzi stojących na peronie, gdy dziewczyna rzuciła się pod sunącą z gracją lokomotywę. W ułamku sekundy jej ciało zniknęło pod tonami stali, otulone parą zasnuwającą peron.

### ***Mysłowice, 13 lipca 2021 roku***

**P**rzy Powstańców rozpętało się istne piekło. Wezwane wcześniej przez Maćka służby przyjechały, w mgnieniu oka zastawiając ulicę samochodami. Zajda biegła po schodach, boleśnie tłukąc o nie gipsem. Na busa już wspinali się strażacy. Pierwszy z nich, który dotarł na górę, krzyknął do kolegów:

– Jest puls!

Nadjeżdżająca karetka zrównała się z dostawczakiem, na którym leżała dziewczyna. Ratownicy wyskoczyli ze środka i zaczęła się akcja ratunkowa. Baśka rozglądała się za Alojzem, ale nigdzie go nie było. Wybrała jego numer, lecz nie odbierał. Mieszkańcy wypadali z kamienic, by dołączyć do rosnącego tłumu, który lamentował kilkadziesiąt metrów od zdarzenia. Pojawiła się policja i po jakimś czasie przepytowała sąsiadów, w tym Baśkę i Maćka. Wszyscy potwierdzili, że dziewczyna sama wyszła na dach i skoczyła. Ratownicy zapakowali Marzenę do karetki i odjechali na sygnale. Sąsiedzi stali i patrzyli, jak ambulans odjeżdża, rozświetlając ściany kamienic niebieskim światłem, gdy na rowerze nadjechał Alojz. Zdziwiony podszedł do tłumu od tyłu i głośno zapytał:

– A kogo tam wiezōm?

Wszyscy zamilkli, patrząc na niego z przerażeniem. Zaczął iść w stronę policjanta, który zapytał go o nazwisko. Zajda widziała z daleka, jak Hajok łapie się za głowę i złamany wpół, siada na murku przed kamienicą. Stała z sąsiadami, słuchając ze smutkiem ich westchnień. Spojrzała na fasadę kamienicy i zobaczyła Wieczorkową wyglądającą przez okno jak mroczny duch. Patrzyła ponuro na Alojza. Zajda dałaby sobie rękę uciąć, że kobieta płacze.

---

97 tu (śl.).

98 poobserwuje (śl.).

99 stacji kolejowej (gwar.).

100 aferą (gwar.).

101 sprawdzają (gwar.).

102 torach (gwar.).

103 dworcu (gwar.).

## ROZDZIAŁ 12

*Myslowitz, 15 sierpnia 1919 roku*

**T**eresa Siwiec rosła na przekór pierwszej wojnie światowej, pyłowi węglowemu, ołowicy, brakowi pożywienia i słońca. Hilda Musioł, niczym Jezus w Kanie Galilejskiej, dzieliła skromny kawałek chleba, trochę kaszy, najczęściej bez omasty i mleka i sprawiała, że starczało dla wszystkich jej dzieci. Bo Tereska stała się jej, a Hilda, która swoją aparycją mogła budzić w obcych odrazę, pokochała ją bardziej, niż jej rodzona matka byłaby w stanie. Dziewczynka miała pięć lat, ale potrafiła już pomagać w domu. Zamiatała podłogę i szorowała ją małą szczoteczką, czym wprawiała wszystkich w osłupienie. Gdy sąsiedzi, zachwyceni jej urodą, pytali się małej, kim zostanie, jak będzie dorosła, odpowiadała dumnie, łapiąc się pod boki: „Mama Hilda gödö, iže bydã rechtörkōm<sup>104</sup>”.

Bo Hilda mocno wierzyła, że Teresa nie podzieli losu niewykształconych kobiet i nie zostanie robotnicą. Mała główka dziewczynki zapamiętywała modlitwy, piosenki i wierszyki szybciej od wszystkich.

– Idã z inkszymi na gruba po geltag<sup>105</sup> – rzuciła Musiołowa do średniej córki, bo najstarsza opuściła dom dwa lata wcześniej.



Nie miała już ani grosza. Była sobota, dzień wypłaty. Od kilku miesięcy nastroje wśród robotników Mysłowitzgrube, jak i na całym Górnym Śląsku przypominały pomruki nadchodzącej z daleka burzy. Tuż obok, za Przemszą, powstały ośrodki polskiej władzy państwowej. Górnoszlązakom odbijało się długo wzbierającą żólcia wyzysku, głodu i wojennej poniewierki. Oddziały Grenzschtzu wciąż trzymały ich jednak za gardło, dusząc w zarodku marzenia o Polsce.

Nim wybiła dziewiąta, przed kopalnią zebrało się ponad trzy tysiące górników wraz z rodzinami. W każdą sobotę odbierali tygodniówkę. Jakież było ich zaskoczenie, gdy zastali zamknięte bramy, a za nimi kordon żołnierzy Grenzschtzu z karabinami maszynowymi. Mysłowickiej grubie oddali to, co mieli najcenniejsze – zdrowie, bo pylica wśród górników zbierała śmiertelne żniwo, a bezpieczeństwo rębaczy było sprawą nieważną dla właścicieli kopalni. Hilda nie знаła rodziny, w której ktoś nie zginąłby na szychcie.

Przez tłum przeszła wiadomość, że wypłaty będą dopiero po trzynastej. W stronę żołnierzy i administracji posypały się wyzwiska. Głód zaglądał ludziom w oczy. Hilda Musioł jak zawsze musiała być z przodu. Masywnym ciałem dopchała się do samej bramy strzeżonej przez żołnierzy Grenzschtzu. Miała ochotę splunąć im prosto w twarz. W głębi serca Hilda Musioł nie miała do końca zdania, czy chce być w Polsce, czy w Rzeszy. Pragnęła sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę, która zabrała jej najlepsze lata życia. Żyć godnie i w poszanowaniu, a nie żebrać o pieniądze, które należały się jej jak psu zupa. Skręcało ją, gdy słyszała na co dzień o prześladowaniach. Wczoraj na Rynku strzelano do strajkujących, a rano na targu podobno żołnierze stali w asyście dwóch działek.

Teraz zaczęła krzyczeć z innymi górnikami. Dwóch żołnierzy uchyliło bramę i wpuściło na plac około trzydziestu osób. Przejście znów zamknięto.

Zdezorientowany tłum zaczął napierać z mocą huraganu. Hilda, niesiona ludzką falą, której nie mogła się już przeciwstawić, parła na skrzydła bramy, które wnet zaskrzypiały i pękły. Uwolniona siła wtoczyła się na dziedziniec jak lawa. Ludzie się jednak uspokoili, przestraszeni, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za zniszczenia. Musiołowa, widząc przygotowane do strzału karabiny żołnierzy, uniosła ręce, chcąc powstrzymać ludzi przed dalszym naporem. Dziedziniec rozdarł świst i padł pierwszy strzał. Zobaczyła, jak po jej prawej stronie upada na ziemię znany jej rębacz, Wilhelm Ścierański. Otworzyła szeroko oczy, nie wierząc w to, co widzi, i wtedy kula dotknęła i jej. Padła na kocie łby. Słyszała jak zza mgły kolejne strzały oraz krzyk uciekających, przerażonych ludzi. Umierając, myślała o dzieciach i czekającym je ciężkim losie. Czara goryczy się przelała i następnego dnia rozpoczęło się pierwsze powstanie śląskie.

### ***Mysłowice, 14 lipca 2021 roku***

**M**aciek kończył montować listwy, a Baśka przecierała mopem podłogę.

– I co z tą Marzeną? – zapytał.

– Podobno jest w śpiączce farmakologicznej. Ma obrzęk mózgu. Tyle wiem – odparła posępnym tonem. – Nikt nie ma pojęcia, dlaczego to zrobiła. Wszyscy zgodnie powtarzają, że jakiś czas temu się zmieniła.

Wsparła się na kiju od mopa, czując, że znowu przesiliła złamaną nogę.

– A jej ojciec? Ma jakieś podejrzenia?

– Jest załamany. Nie wrócił w ogóle ze szpitala. Siedzi tam cały czas, choć na oddział intensywnej terapii wpuszczają tylko na kwadrans. Ja nie wiem, co bym zrobiła na jego miejscu.

– Nie dziwię mu się. To musi być straszne. Pamiętasz, jak to powiedziała? – Maciek zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć ostatnie słowa Marzeny przed skokiem. – „I tak czeka na mnie piekło”. Czułem się jak w jakimś horrorze.

W przedpokoju odezwał się telefon Maćka. Podbiegł do niego i odebrał.

– O której jutro ją wypuszczą? – zapytał, najwyraźniej rozmawiając z Alicją. Zamilknął na długą chwilę, by po chwili zacząć krzyczeć: – O Boże! Gdzie? Co to za świr?!

Rozłączył się, oddychając ciężko i kręcąc głową.

– Co się stało?

Maciek podniósł na nią przestraszony wzrok.

– Jest kolejna martwa dziewczyna. Długie czarne włosy – dopowiedział, zamykając powieki.

Zajda poczuła, jak robi jej się słabo. Niby wiedziała, spodziewała się, ale jednak naiwnie wierzyła, że seryjny morderca przestanie zabijać. Że to zmęczone życiem miasto odpocznie w te wakacje, spędzając czas w parkach i nad Hubertusem. Schowała się w łazience i wybrała telefon do prokuratora Lisa. Gdy odebrał, zapytała bez wstępu:

– Gdzie ją ukrył tym razem?

– Leżała pod drzewem przy śmietnikach obok Towarowej. Znalazł ją złomiarz, szuka tam zawsze puszek – odparł prokurator.

– Wiadomo już, kim była?

– Tak, mieszkała obok, przy Wałowej. Bardzo podobna do wcześniejszych ofiar. – Milczeli chwilę. W końcu Lis odezwał się, aby zakończyć rozmowę: – Proszę sobie dać spokój, dość pani miała przygód w ostatnim czasie. W końcu go złapiemy.

Cisza w słuchawce zdawała się jej beznadziejna. Zapewnienie prokuratora było jak obietnica alkoholika, że to już ostatni kieliszek. Nie

wątpiła w jego umiejętności ani w zaangażowanie myślowickiej policji, czuła jednak dziwny przymus nakazujący jej zakończyć tę sprawę. Wiedziała, że nie da rady stąd wyjechać, póki zabójca będzie krążył nocami po ulicach.

– Maciek, podrzucisz mnie do Kariny? – zapytała z niechęcią. Prośzenie było dla niej koszmarem, ale ze złamaną nogą nie mogła prowadzić.

– Pewnie, tylko jak wrócisz?

– Jakoś sobie poradzę.

Przy Krakowskiej próbowała się powstrzymać, ale bez skutku.

– Zatrzymasz się na chwilę przy Towarowej? – W ostatniej chwili wskazała skręt w prawo.

Maciek zdążył wykonać manewr i spojrzął na nią pytająco.

– Gdzie mam się zatrzymać?

– Jeszcze nie wiem – odparła Baśka, wyglądając z otwartego okna. Wreszcie dostrzegła taśmę policyjną. – O, stań tutaj.

Z trudem wysiadła z samochodu. Maciek został w środku, wyraźnie wystraszony. Po drugiej stronie ulicy stał radiowóz. Zajda zrobiła kilka kroków w kierunku osłoniętego podwórka. Miejsce, w którym znaleziono ciało, kryło się pod dwiema wierzbami, których nieprzycięte gałęzie sięgały ziemi. Pod niewysokim murem stał rząd śmietników. Teren był zabezpieczony taśmą. Spojrzała w górę. Kamienica była strasznie odrapana. Z radiowozu wyszedł policjant i zmierzał w jej stronę. Rozpoznała Marka Bogacza.

– Witam – rzucił trochę oschle.

Baśka poczuła się głupio. Znowu się wtrącała.

– Przepraszam, chciałam się trochę rozejrzeć. Nie daje mi to spokoju.

Podkomisarz wyciągnął paczkę papierosów i ją poczęstował.

– Macie jakieś podejrzenia? – zapytała.

– Opuść sobie. Ludzie z domów boją się wychodzić. Trudno coś stwierdzić, bo wieczorem był taki ruch na ulicach, że na kamerach miejskich jest nagranych kilkadziesiąt osób, które mogły tu być. Nie licząc mieszkańców najbliższych kamienic.

– A gdzie są kamery?

– Na skrzyżowaniu z Krakowską i pod wiaduktem, przy bramie głównej kopalni. Ona szła ze znajomymi. Takie nieciekawe towarzystwo. Dwie dziewczyny w jej wieku i dwóch chłopaków, starszych, podpitych. Sąsiedzi ich zapamiętali. Podobno wróciła się po coś do domu. Czekali na nią sto metrów dalej.

– Nikt niczego nie widział?

Marek Bogacz zrobił kwaśną minę.

– Kręciło się tu trochę ludzi. Jacyś młodzi, ktoś tam na rowerze jechał. Na tym podwórku jest tak ciemno. Z okien nic nie widać, bo drzewa zasłaniają, a tu po drugiej stronie same pustostany. Leżała za śmietnikiem.

Zajda przyłożyła dłoń do ust, sugerując duszenie. Bogacz skinął ponuro głową.

– To samo co z innymi, wielka łapa odcisnięta po duszeniu. Pierdolony zwyrol.

Baśka spojrzała w stronę samochodu, gdzie czekał Maciek. Ten jego tatuaż ją zaniepokoił. Dlaczego facet tatuuje sobie twarz córki na plecach? Owszem, widziała czasem na plaży przypakowanych ojców z twarzami bobasów na ramionach, ale żeby twarz dorosłej córki?

– Dzięki. Odezwę się, jak na coś wpadnę.

Bogacz cisnął niedopałek pod nogi.

– Szacun od chłopaków, że się nie dałaś temu chujowi. Pięknie go załatwiłaś.

Zajda zeszywniała. Jeszcze nie przerobiła tego w głowie i wiedziała, że czeka ją długa praca nad odzyskaniem spokoju.

– Nie miałam wyjścia.

Karina była trochę zaskoczona jej przybyciem. A że nie lubiła być zaskakiwana, z trudem kryła rozdrażnienie.

– Jak ty żeś sama dotarła z tym gipsym?

– Maciek mnie podwiózł.

– Kafyj ci zrobić? Ôstrzegōm, iże kōnfektōw<sup>106</sup> niy mōm, bo je zech na dijycie.

– Może wody.

Gospodyni podała jej szklankę, lecz wciąż nerwowo krzątała się po kuchni, przecierając czyste już szafki i polerując nabłyszczzone w zmywarce talerze.

– Karina, usiądź. Musimy porozmawiać – powiedziała Baśka, patrząc jej poważnie w oczy.

Karina zamarła. Stała do niej tyłem.

– Usiądź, proszę – powtórzyła Zajda.

Gospodyni usiadła ciężko ze ścierką, którą ugniatała w dłoniach. Unikała wzroku Baśki.

– Coby takō modō dziołcha chciōła ôdebrać sie życie.... – zaczęła, lecz Zajda jej przerwała:

– Co jej powiedziałaś na tej imprezie?

Karina zrobiła zaskoczoną minę. Pokręciła głową.

– Jō jeji coś pedziałach? Ô co ci chodzi?

– Na koniec, jak już wszyscy odchodzili. Aż upuściła tacę z wrażenia.

– Niy pamiyntōm. Bōlach trochã ôzartō – odparła, ale Zajda czuła, że kłamie.

– Przypomnij sobie. Może to coś ważnego. Nikt nie rozumie, dlaczego to zrobiła.

– Niy gorsz sie, ale niy za barzo sie wtykōrz?

Zajda wzięła do ręki szklankę z wodą i zanurzyła usta, nie spuszcżając oczu z twarzy rozmōwczyni, która z emocji nabrała kolorów.

– Mogła żech coś fultnōńć<sup>107</sup> ô tyj Wieczorkowyj i Alojzie – wypaliła w końcu.

– Ale o co z nimi chodzi?

– Mieli sie ku sobie. Jedni gōdali, iże Justa to bōła jego.

Zajda zatkała usta dłonią. Chwilę milczała, trawiąc nowe informacje.

– Czyli że ta Justyna i Marzena mogły być siostrami?

Karina skinęła głową i wybuchnęła płaczem.

– Jō dycki<sup>108</sup> muszã ciulnōńć, co niy trza – wydukała, szlochając.

Rozpłakała się na dobre i Baśka zaczęła ją pocieszać. Z pokoju wyszedł Dominik, ubrany cały na czarno.

– To prawda? – zapytał matkę grobowym tonem. – Że one były siostrami?

Obie tylko patrzyły na niego zaskoczone.

– A fto to może wiydzieć, synek? – odrzekła Karina i głośno wydmuchała nos w chusteczkę.

### ***Mysłowitz/Mysłowice, 1919–1933***

**T**eresa Siwiec wraz z wybuchem pierwszego powstania śląskiego straciła przybraną matkę. Starsza córka Hildy Musioł z pomocą nauczycielki napisała list do rodziny Marylki. Sama posługiwała się tylko językiem niemieckim. Na kopercie skreśliła jedynie dwa słowa: „Siwiec, Zawoja”.

Zaraz po tym odprowadziła małą Tereskę do przytułku dla sierot. Nie miała co jej dać jeść. Sama nie wiedziała, co pocnie z dwójką młodszego rodzeństwa.

W przytułku Teresa doznała cierpień i odrzucenia, jakie trudno sobie wyobrazić. Każdy dzień był walką z podopiecznymi o kromkę chleba i miskę kaszy. Gdy miała jedenaście lat, poszła do Weißów na służbę. Córka Hildy umieściła ją tam cudem. Zdaje się, że pomogły łyzy, gdy opowiadała staremu sklepikarzowi, jak jej świętej pamięci matka śni jej się co noc i prosi, żeby nie zostawiać Tereski. Tym sposobem los dziewczynki znacznie się polepszył. Abraham Weiß, jak większość Żydów mieszkających w Myslowitz, opowiadał się w plebiscycie za opcją niemiecką. Swoje dzieci już odchowwał, a dziewczynka była niezwykle sprytna. Pomagała w sklepie, sprzątała i dotrzymywała im towarzystwa. Wyrosła na zaradną kobietę. I choć Weiß nigdy jej formalnie nie adoptował, marzyła, że kiedyś przejmie po nim sklep.

W kotle historii jednak wciąż wrzało. Któregoś dnia Weiß postanowił, że sprzeda interes i wyprowadzi się do Breslau. W planach nie przewidział jednak Teresy. Zostawił jej skromną odprawę i wyjechał z małżonką. Znów była sama. Zrozpaczona wprowadziła się do czynszowego pokoiku na poddaszu. Przekonana, że skończy na płucze w Myslowitzgrube, przeszła ostatni raz po lokalach i sklepach w poszukiwaniu pracy. Nie chcieli jej ani w piekarni, ani w pasmanterii. Odmówiono jej także w składzie mebli. Szła Bytomską, mając wrażenie, że kopalnia ją wzywa, by przepadła w jej czeluściach. Była coraz bliżej głównej bramy. W ostatnim lokalu przy Bytomskiej mieścił się wyszynk Glück Auf. Wstąpiła do środka. Piwiarnia pękała w szwach. Speszona taką liczbą mężczyzn, Teresa podeszła do kontuaru i stanęła w długiej kolejce, w której niemal każdy dzierzył w dłoni pusty kufel. Gdy w końcu nadeszła jej kolej, ukłoniła się uprzejmie



i zapytała o pracę. Pulchna barmanka z biustem wylewającym się z głębokiego dekoltu krzyknęła w stronę zaplecza. Po chwili zza drzwiczek wyłonił się mężczyzna, najpewniej właściciel, który zmierzył Teresę od stóp do głów. Zapytał ją po niemiecku, czy to ona pracowała u Weiße. Skinęła głową, a on uśmiechnął się blado i szepnął coś na ucho kobiecie za ladą. Barmanka odstawiła ogromny kufel z piwem, z którego piana kapała na kamienny blat.

– Co sie tak frela patrzy? Na zadek<sup>109</sup>, brać zopaska<sup>110</sup> z hōka i dō mie sam, bo mie te grubiörze zamordujōm.

Teresa stanęła wtedy za ladą i została. Jej dorosłe już piersi wystawały z głębokiego dekoltu i podskakiwały ku uciezce strudzonych grubiörzy za każdym razem, gdy stawiała kufle na blacie. Bo dekolt okazał się strojem służbowym barmanki wyszynku. Nie tylko dla piwa mężczyźni po szybcie ciągnęli tu jak pszczoły do miodu. Także dla tych falujących piersi, dla kobiety, która w odróżnieniu od pełnej pretensji żony częstowała piwem i nie robiła wymówek. Już do dziewiętnastoletniej Teresy, gdy zaczynała pracę w wyszynku, niejeden smalił cholewki. Przez niedługi czas odrzucała zaloty młodych i starszych gwarków. Aż do czasu, gdy przy kontuarze stanął chłopak inny niż wszyscy. Wysoki i silnie zbudowany mężczyzna przeszył ją takim spojrzeniem, że Teresa nie zauważyła, kiedy piwo przelało się z kufła i zaczęło kapać na podłogę. Po pracy czekał na nią po drugiej stronie ulicy, skryty w cieniu drzewa. Nie wzbraniała się długo, spragniona kogoś bliskiego. W sercu nosiła ciepło Hildy, jedynej osoby, która dała jej miłość. Ale to było tak dawno...

Gerard zamieszkał razem z nią. On wracał z gruby, ona z wyszynku i wspólnie dzielili każdy kawałek chleba, wszystkie szczęścia i zmartwienia. Właścicielka kamienicy, w której mieszkali, przeklinała ich, że żyją bez ślubu. Gdy Gerard się oświadczył, Teresa nie posiadała się ze

szczęścia. Pobiegła na grób Hildy, by podzielić się z nią radosną nowiną. Nawet na matkę przestała się już tak złościć. Spróbowała wybaczyć Marylce Siwiec, która wybrała śmierć, zamiast trudu jej wychowania. Nie doczekała ślubu, gdy jej brzuch zaczął się powiększać. Lęk przed byciem matką odziedziczyła po rodzicielce. Wkładała szerokie fartuchy, nie chcąc, by właściciel wyszynku ją zwolnił. Próbowowała wyprzeć natrętne myśli, ale w głowie wciąż słyszała pisk lokomotywy. Wyobrażała sobie matkę, której przecież nie pamiętała. Widziała, jak Marylka rzuca się na tory. Czy macierzyństwo to taki ból? Pocieszała się, że przecież Gerard jej nie zostawi. Zarobi na ich utrzymanie w kopalni. Nadzieja stopiła się jednak w jej sercu w dniu, kiedy narzeczony nie wrócił z szychty. Pobiegła wtedy z bijącym sercem pod bramę kopalni. Pomyślała, że na grubie był wypadek. Przy bramie jednak twierdzono, że na zmianie nic się nie działo. Wbiegła do wyszynku i stanęła wśród ostatnich gości – kawalerów i wdowców niespieszących się do domów.

– Widział fto Gyrarda? – zapytała.

Mężczyźni odwracali jednak wzrok. Nikt nie chciał spojrzeć, aż w końcu nalewająca piwo Aldona odrzekła do niej zmęczonym głosem:

– Wszyjscy wiedōm, iże zaciōngnōł sie do roboty do Francyje. W Gyneralnym Tōwarzistwie Emigracyjnym sie zapisoł.

Owszem, Teresa wiedziała, że na dworcu znów werbują pracowników do kopalni w Belgii i Francji. Jednak Gerard ani słowem się nie zająknął, że chce wyjechać. Podeszła do lady i wyrwała z ręki Aldony kufel z piwem, a następnie przystawiła go do ust i wypła duszkiem.

***Mysłowice, 15 lipca 2021 roku***

**R**adiowóz zatrzymał się pod oknami Baški dokładnie w chwili, gdy kończyła montować nowy drążek na zasłony. Podkomisarz Marek Bogacz dostrzegł ją w oknie i uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Ku jej zaskoczeniu wszedł z partnerem do kamienicy obok. Zastygła przy szybie, zastanawiając się, o co może chodzić. W końcu nie wytrzymała. Wzięła plecak i kule, z których zaczęła wreszcie korzystać, i zeszła na dół. Usiadła na murku i zerknęła do telefonu. Znów SMS od Tomka: „Czy mogę do Ciebie jutro przyjechać? Chcę porozmawiać”.

Poczuła ucisk w żołądku. Uniosła głowę i przyjrzała się gołębiowi tańczącemu przed samiczką. Tak naprawdę chyba wstydziła się przyznać do tego, co ostatnio przeżyła. Z jakim człowiekiem się spotykała i czym mogło się to zakończyć.

„Jak chcesz”, odpisała w końcu.

Odwróciła się, gdy usłyszała odgłos kroków na schodach. Marek Bogacz i jego partner szli w milczeniu. Zajda uniosła pytająco brwi. Policjant nie chciał najwyraźniej rozmawiać pod oknami, więc dał jej znak, żeby udała się za nimi. Stanęli za przewiązką.

– Mamy nowy trop w sprawie Justyny Wieczorek. Byliśmy z tym u jej matki. Złapaliśmy jakiegoś smarka z amfetaminą i w końcu wysypał, od kogo kupował. Od Dawida Ćmoka, tak się gość nazywa. Wzięliśmy go do siebie na rozmowę i zwalił wszystko na tego smarka. A tamten tak się przestraszył, że zaczął śpiewać, że tę Justynę to najpewniej ten Dawid utopił, bo widział, jak tamtej nocy wychodzili razem z klubu. I że jakieś prochy jej dawał.

To rzucało całkiem nowe światło na pierwsze morderstwo.

– Dlaczego wcześniej nikt go nie wskazał? Skoro byli w klubie, musiało ich widzieć kilka osób. Nie chcę się wtrącać, ale to dziwne.

Bogacz zmarszczył brwi.

– Niby tak, ale te smarkacze nie chcą z nami rozmawiać. Ciągła zmowa milczenia. – Splunął pod nogi.

Rozumiała go. Wśród młodych często panowały wzorce rodem z Sycylii. Rozmowa z policją była towarzyskim samobójstwem.

– Masz jakieś jego zdjęcie? – zapytała.

Podkomisarz zagryzł wargę.

– Raz, że nie mam, a dwa, nie mógłbym ci go pokazać. I tak naruszam regulamin tym, że z tobą rozmawiam.

– Przecież wiesz, że chcę tylko pomóc.

– Wiem. Masz mój szacunek, dlatego ci o tym mówię. Ale nie mogę przesadzić.

Skinęła głową, stwierdzając w myślach, że znajdzie zdjęcie tego chłopaka w necie.

– Myślisz, że ten sam człowiek zabił Justynę i pozostałe dziewczyny?

– Nie wiem. Czekamy na profil psychologiczny, ale coś długo z tym schodzi. Musimy go złapać, zanim znowu jakąś udusi. Na razie grupy patrolują teren wokół Śródmieścia.

Zajda wiedziała, że w mediach rozpętała się burza. Dzwoniła do niej Lidia Bosiewicz z telewizji z prośbą, żeby wypowiedziała się przed kamerami. Odmówiła. Nie czuła się kompetentna.

O kulach doszła do spożywczaka. Kupiła najpotrzebniejsze rzeczy i postanowiła, że odwiedzi grób cioci Ewy. Pokuśtykała pod przejściem dworcowym i dalej Oświęcimską w stronę cmentarza. Doszła do cmentarza, obchodząc ogrodzenie. Kupiła dwa znicze na stoisku przed wejściem. Stała chwilę nad grobem ciotki, z którego Karina wyniosła już część zwiędłych wiązanek. Po jakimś czasie zaczęła się rozglądać. Przypomniała sobie moment, jak szła w kondukcje żałobnym. Pamiętała, że zobaczyła

wówczas Dominika pochylającego się nad jakimś nagrobkiem. Podeszła w tamto miejsce. Płyta z napisami była zakryta bukietem czerwonych róż. Przesunęła delikatnie flakon, by przeczytać: „Justyna Wieczorek”. Poczła jakiś niepokój, dziwne przeczucie, że pierwsza zbrodnia jest najważniejsza, stanowi katalizator kolejnych wydarzeń. Usiadła na ławce w głównej alejce i zaczęła szukać w internecie zdjęcia Dawida Ćmoka. Nie miał konta na Facebooku, znalazła go jednak na fotografii sprzed czterech lat z międzyszkolnych zawodów w koszykówce. Nie była do końca pewna, ale zdawało się jej, że już gdzieś widziała tego chłopaka.

Chwyciła kule i ruszyła w kierunku przejścia podziemnego. Przez chwilę miała ochotę zadzwonić do Ali z pytaniem, czy przywieźli już do domu Dagmarę. Stwierdziła jednak, że powinna raczej oddalić się od tej rodziny – teraz najbardziej potrzebowali siebie nawzajem, a nie wścibskich znajomych. Zatrzymała się na chwilę, zmęczona kroczeniem o kulach, i usiadła na murku przy kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Jego wieża królowała nad okolicznymi budynkami: gmachem sądu, aresztem i zabytkową secesyjną kamienicą. Na neobarokowym balkonie tej ostatniej stała zmęczona życiem kobieta w wałkach na głowie. Paliła papierosa. Ich spojrzenia się spotkały. Zajda miała wrażenie, że widzi siebie z przyszłości. O nie, wałków nie będzie nosiła!

Zza balustrady wyłonił się mężczyzna, najpewniej mąż palącej kobiety. Spojrzał w stronę Baški. Przymknęła powieki, czując, że ma *déjà vu*. Przypomniała sobie bladą twarz Marzeny i zeszywniała. Zdała sobie sprawę, że wie, gdzie widziała Dawida Ćmoka. To on siedział na ławce w parku Promenada z córką Alojza. Był z nią tego dnia, gdy Baška przyjechała do Mysłowic samochodem zapakowanym sprzętem. Obrócił się wtedy w jej stronę i przez chwilę na siebie patrzyli. Czy był jej chłopakiem? Co go łączyło z Justyną Wieczorek?

Długo biła się z myślami, co z tym zrobić. Postanowiła poinformować o nowych rewelacjach prokuratora Lisa. Gdy nie odebrał od niej trzeci raz, napisała do niego wiadomość: „Mam informacje o zatrzymanym chłopaku”.

### ***Mysłowice, 5 maja 1933 roku – 5 grudnia 1933***

**T**eresa Siwiec rodziła w asyście siostry Boromeuszki w Szpitalu Miejskim przy Mikołowskiej. Znów była sama. Gerard nie napisał listu ani nie dał znaku życia w inny sposób. Nie poznała jego rodziny. Wiedziała, że do Mysłowic przyjechał z okolic Zatoru. Cały personel szpitala, łącznie z posługującymi w nim Boromeuszkami, patrzył krzywo na samotne matki. Miasto wciąż leżało na granicy, przyciągając przybyszów szukających pracy w kopalni albo wybierających się na emigrację. Wielu z nich zostawało już na zawsze – również kobiety opuszczone przez mężczyzn, dla których były tylko chwilową rozrywką.

Teresie zdawało się, że prędzej umrze, niż urodzi. Ból, który siekł ją i rozrywał od środka niczym rzeźniczy nóż, narastał z każdą minutą. Próżno było jej szukać pocieszenia w oczach zakonnicy, na której jęki nie robiły wrażenia. Obok zresztą rodziła też inna kobieta. Gdy wreszcie Teresa zaczęła przecierać, czując, jak główka dziecka rozrywa krocze, położyła podszła i zajrzała między jej uda.

– Już wychodzi. Przyj i módl się do Pana Najwyższego.

Teresa nie wiedziała, co wybrać, bo parcie nijak nie szło w parze z modlitwą.

– Jest – powiedziała zakonnica wśród wrzasków.

Lecz Teresa nie poczuła ulgi, tylko kolejną falę bólu napływającą niczym sztorm.

– Przyj, idzie drugie dziecko.

– Jak to drugie? – zdążyła z siebie wydusić, zanim krzyknęła z bólu na całe gardło.

Jej głos niósł się po wysokich sklepieniach szpitalnych sal. Padła wyczerpana, a siostra Boromeuszka przyłożyła jej do jednej piersi jedną główkę, a do drugiej drugą.

– Dwie dziewczynki – powiedziała.

Gęste powietrze w sali porodowej rozdarł krzyk noworodków, przerażonych światem tak różnym od brzucha matki. Dziewczynki przekrzykiwały się jeszcze przez chwilę, aż w końcu doszły się do piersi. Gdy zapadła cisza, przerywana tylko miarowym ssaniem, młoda matka poczuła troskę o te małe istotki. Za co je wychowa? Nie miała przecież nikogo...

Nadała im imiona Jadwiga i Marika. Gdyby chociaż były chłopcami... Mogliby już za kilka lat zarobić na siebie, choćby zbierając węgiel na torach. A tak czekała je nędza.

Po sześciu miesiącach od porodu Teresa nie miała już za co żyć. Zużyła oszczędności i sprzedała wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Musiała wrócić do pracy. Znalazła w końcu mamkę, która sama karmiła swoje dziecko. Ona jednak zgodziła się za opłatą przyjąć pod opiekę tylko jedną dziewczynkę. Którą miała u niej zostawić? Jadzia była słabsza. Urodziła się dużo mniejsza od Mariki i wciąż chorowała. Lekarz powiedział, że szkodzi jej śląskie powietrze.

Teresa siedziała w mieszkaniu strapiona i zmarznięta. Nie miała czym palić w piecu. Pewnego dnia wyciągnęła mały woreczek z ostatnimi kawałkami węgla, które zebrała na torach kolejowych. Chodziła tam z dziećmi w chuście na plecach, ale teraz były już dla niej za ciężkie. Po wielu próbach w końcu zdołała rozpalić ogień i na kuchni zaczęła gotować

kaszę. Jadzia pokasływała jak zawsze. Sąsiadka poradziła nasmarować ją na noc sadłem z borsuka, sprzedawał je ponoć jeden myśliwy na targu. Tylko skąd ona weźmie na to pieniądze? Gdy w mieszkaniu zaczęło się nagrzewać, rozebrała dziewczynki z koców. Usłyszała, że ktoś wspina się po schodach. Podeszła do drzwi z nadzieją. Wciąż czekała na Gerarda. Nacisnęła klamkę. W progu zobaczyła około pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Miał na sobie proste ubranie, jego twarz była ogorzała od słońca.

– Pochwalony – przywitał się i lekko uklonił.

Jego ubiór i gwara zdradzały pochodzenie. Musiał być chłopem z gór. Widziała takich wśród nowych górników przybywających do pracy w kopalni.

– Pani Teresa Siwiec? – zapytał, a jej serce zadrżało.

Czekała, aż mężczyzna powie, że jest od Gerarda. Może to jego ojciec?

– Proszę wejść – zaprosiła gościa do środka.

Mężczyzna podążył za nią. Spojrzał na siedzące na podłodze dziewczynki. Przykucnął przy nich z uśmiechem rozjaśniającym twarz.

– Słucham? – zapytała w końcu.

– Jo je Józyk Siwiec. Twój ujek – powiedział i znów pochylił się nad dziewczynkami, gładząc je na zmianę po główce.

One, jakby wyczuwając rodzinne więzi, nie zapłakały, tylko wpatrywały się to w Józka, to w matkę. Teresa trawiła przez chwilę tę informację. Otwierała usta i zamykała, niegotowa, by zadać jakiegokolwiek sensowne pytanie. Wreszcie Józek spoczął na jednym z dwóch krzeseł, które stały w jednoizbowym mieszkaniu, i poprosił o herbatę. Gdy usiadła przy nim i wzięła dziewczynki na kolana, zaczął opowiadać jej o tym, jak przez lata szukał wieści o swojej siostrze, Marylce. Długo czekali na list z Buenos Aires, ale nigdy nie przyszedł. Pisali do Kwaśnych, którym powierzyli



opiekę nad nią. Oni jednak odpowiedzieli lakonicznie, że ich pociąg odjechał wcześniej i nie mają żadnych wieści, czy Marylka wsiadła na statek do Argentyny. Później wybuchła wojna. Razem z bratem wcielono go do austro-węgierskiej armii. Walczył pod Gorlicami. Brat Antoni zginął, a on sam ledwo uszedł z życiem z wielkiej wojny. Długo do siebie dochodził, bo nie mógł wymazać z pamięci obrazów piekła, w którym zabijał innych Polaków, niewolników swoich zaborców. Zaraz po wojnie pochował rodziców. Pracował i pił, aż wreszcie znalazł kobietę, która go zechciała. Dzieci nie mieli. Próbował ułożyć sobie życie, jednak wspomnienie młodszej siostry wciąż do niego wracało. Aż w końcu trafił do niego list opatrzony jego nazwiskiem, napisany w języku niemieckim. Koperta była mocno sfatygowana – musiała przebyć długą drogę, tak jak on po wojnie. Siwców w Zawoi było wielu, wszyscy tułali się po świecie. Krążył więc od jednych do drugich, aż po kilkunastu latach trafił do adresata. Wiadomość o tragicznych losach siostry wstrząsnęła Józkiem, który udał się do Mysłowic w poszukiwaniu dorosłej już siostrzenicy. Zajęło mu dwa dni, nim trafił do mieszkanca na poddaszu.

– Cego ci trza? Dutków ni mom wiela, ale dom. Psyjedze do nos, pod Babio? Na wiesne bedzie pieknie.

Spojrzała na pyrkający na piecu litrowy garnuszek z kaszą, która miała starczyć im za obiad i kolację. Zadrzała jej broda, rozplakała się. Dziewczynki na widok szlochającej matki również zaczęły płakać. Mała Jadzia dostała ataku kaszlu. Teresa podbiegła do córki, której usta zsiniały. Poklepywała ją po drobnych pleckach i próbowała uspokoić. Po kwadransie niemowlę usnęło, kołysane w ramionach matki. Józek obserwował to wszystko z przerażeniem, zdając sobie sprawę, jak ciężko musi być tej młodej kobiecie.

– Chce mi wujek pomóc? – zapytała, unosząc na niego wielkie, zatroskane oczy Marylki.

Pokiwał głową. Podeszła i podała mu becik ze śpiącą Jadzią. Mężczyzna delikatnie przytulił niemowlę i poczuł dziwne ciepło rozlewające się po sercu.

– To niech wujek zabierze Jadzię do siebie. Czuję, że ona nie dożyje tu roku.

Na jej słowa Józek otworzył usta, a następnie wbił wzrok w małą istotkę, szarpaną niespokojnym oddechem.

– Z Mariką sobie jakoś poradzimy, ona jest silna i zdrowa. Jadzia nie...

Zakryła twarz ścierką, w którą wsiąkały łzy i marzenia o cudownej rodzinie.

### ***Mysłowice, 15 lipca 2021 roku***

**L**ato rozpanoszyło się w mieście, nagrzewając betonowe chodniki do tropikalnych temperatur. Zajda, stukając kulami po rozgrzanym, miękkim asfalcie, zostawiała za sobą ślady niczym mewa na piasku. Gdy doszła na Powstańców, pot lał się z niej strumieniami. Wcześniej nie przypuszczała, że chodzenie o kulach to taki karkołomny sport. Zdziwiła się, gdy zobaczyła przed budynkiem radiowóz. Podkomisarz Marek Bogacz nadchodził od strony parku z telefonem przy uchu. Miał niewyraźną minę. Podeszła pod wejście do sali sportowej MOSiR.

– Co jest, podkomisarzu? – zapytała, gdy schował telefon.

Marek Bogacz wyglądał, jakby zjadł robaka. Na jego twarzy malował się głęboki niesmak. Najwidoczniej nie miał zamiaru dzielić się z nią

informacjami. Jednak pulsująca na szyi żyła zdawała się rosnąć z wściekłości. W końcu wybuchnął:

– Miałaś rację, Zajda, gdy dopytywałaś, dlaczego nikt wcześniej nie przyjrzał się temu chłopakowi. Od razu powinniśmy byli zwrócić na niego uwagę. Kręcił się przy tej Justynie. Teraz jak go wsadziliśmy, nagle koleżanki z klasy zaczęły mówić. Byli tej nocy razem w klubie Bikini Party.

– Ja też mam dla was informacje, napisałam do prokuratora Lisa w tej sprawie, ale nie oddzwania.

Bogacz zrobił ponagląjący gest, więc szybko kontynuowała:

– W pierwszy dzień, gdy tu przyjechałam, widziałam tego Dawida Ćmoka z Marzeną Hajok. Tą dziewczyną, która próbowała popełnić samobójstwo. Siedział obok niej na ławce, wydawało się, że są parą.

– Skąd wiesz, jak wygląda ten Ćmok? – zapytał zaskoczony policjant.

– Znalazłam jego zdjęcie w necie. Ale to nie wszystko. – Zamilkła na chwilę, bijąc się z myślami, czy powinna zdradzać tak intymne szczegóły dotyczące czyjegoś życia. Doszła jednak do wniosku, że w sprawie zabójstwa nie może kierować się takimi rozterkami. – Z plotek wiem – zaczęła powoli, ważąc słowa – że Justyna Wieczorek i Marzena mogły być siostrami. Może warto sprawdzić te informacje u pani Wieczorek? Oczywiście dyskretnie, żeby jej mąż tego nie usłyszał.

Marek Bogacz cofnął się o krok i zmarszczył brwi. Spuścił głowę.

– Odejźmy kawałek – powiedział niemal szeptem.

Baśka pokuśtykała za nim. Gdy znaleźli się w zbawiennym cieniu parkowej alejki, usiedli na ławce.

– Nie wiem, dlaczego teraz, bo grzebiemy w tej sprawie już długi czas – zaczął enigmatycznie – ale dosłownie przed chwilą dzwonił do mnie prokurator Lis.

Baśka poprawiła się niespokojnie na ławce, którą obległo stado wróbli czekających na okruchy.

– I? – pospieszyła policjanta.

– Powiedział, że składa oświadczenie o wyłączenie Ćmoka ze sprawy. Okazuje się, że to syn jego partnerki.

– O szlag!

– No właśnie. – Bogacz potwierdził wzburzenie Zajdy. – On też przesłuchiwał świadków w sprawie Justyny Wieczorek.

– Myślisz, że krył tego Dawida?

– Mam nadzieję, że nie. Ale śmierdzi to na kilometr. Prokurator jest w porządku, współpracujemy już długi czas. Pierwszy raz zdarzyła mu się taka sytuacja. Ale co zrobić? Ja też z moim synem nie mam lekko. Ciągle trzeba go ratować z oparów.

Gdy wrócili do kamienicy, okazało się, że pani Wieczorek nie ma w mieszkaniu. Rozmowę z nią trzeba było odłożyć w czasie. Podkomisarz odjechał, a Baśka stała jeszcze chwilę w cieniu trzech kamienic, wpatrując się w przewiązkę, która była niemym świadkiem ludzkich dramatów. W jej obrysie było coś niepokojącego. Jakby stanowiła wrota do starych czasów, w których znajdują korzenie wszelkie ludzkie ułomności. Wrodzona niezdolność do bycia szczęśliwym.

Zaczęła wspinać się po schodach, zastanawiając się, po co jej to wszystko. Czy jej samotność także jest zakorzeniona w przeszłości? Usłyszała ciężkie męskie kroki zbliżające się z góry. Uniosła głowę i zobaczyła wujka Alojza schodzącego w jej stronę.

– Alojz!

– Szukolech cie. Chciõlech õbejrzeć, jak wõm wyszło ze panelami.

– Chodź, zapraszam. – Minęła go i otworzyła drzwi.

Stał spłoszony w progu jej mieszkania. W końcu wszedł do środka i obejrzał wszystkie zmiany, które zaszły tu od ostatniego razu. Kiwał z uznaniem głową.

– Ty je żeś naprōwdã chytrō i robotnō dziółcha – pochwalił ją.

Podala mu szklaną butelkę z zimną wodą mineralną. Pił chciwie. W końcu usiadł na krześle i wbił wzrok w obraz świętej Barbary.

– Co z Marzeną?

Zadała w końcu to pytanie, które wisiało między nimi jak trujące opary. Wzruszył ramionami, ale jego oczy stały się mokre.

– Je w Rybniku<sup>111</sup> – powiedział cicho.

– To dobrze. Tam jej pomogą. Jeśli pozwolisz, pojedę z tobą, żeby ją odwiedzić.

Spojrzał na nią poważnie.

– Basiu, wiysz, ila tam je modych ludzi? – ciągnął ponuro. – Nabadanych<sup>112</sup> ôd narkotykōw, hazardu. Sōm inksi, co chcieli ze sōbom skōńczyć. Tak fajniście sie tam ś niymi ôbchodzōm. Majōm terapijō zajyńciowō, werksztele<sup>113</sup>... Kejs niy bōło takich rzeczōw. – Zamilkł, obracając w dłoniach pustą butelkę.

– Przykro mi, że tak się stało. Teraz najważniejsze, żeby Marzena doszła do siebie. Może się otworzy na terapii...

Zajda mówiła powoli, wpatrując się w niego. Nie mogła zdobyć się na odwagę, żeby zapytać go wprost, czy to prawda, że Justyna Wieczorek była jego córką. W końcu spróbowała okrężną drogą.

– Byłam na cmentarzu u ciotki Ewy. Zajrzałam też na grób tej Justyny Wieczorek. – Patrzyła uważnie na jego twarz, tak smutną, że trudno było z niej coś wyczytać. – Podobno chodzisz tam często z kwiatami?

Przeszył ją spojrzeniem, jak gdyby chciał ją skarcić za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

– Noszã czynsto ôd mojj Marzynki. Ône ôbie se pszoły<sup>114</sup>.

Baśka poczuła się głupio; jego wytłumaczenie było bardzo prawdopodobne.

– Przepraszam. – Machnęła ręką. – Chodź, pokażę ci oświetlenie led, które zamontowałam za listwą podsufitową. Wygląda bardzo klimatycznie.

Alojz wstał i oglądał z entuzjazmem wszystkie dokonania Baśki. Żegnając się, powiedział jeszcze:

– Przidã sam pod kōniec tydnia podłōnczyć byrny<sup>115</sup> do lampów i bigle<sup>116</sup>.

– Mam wiertarkę udarową, może sobie poradzę sama.

– Basiu, ty niy wiysz, kaj borowac<sup>117</sup>. W niykerych placach<sup>118</sup> ściany sōm tak twarde, iże niy dōsz rady.

Gdy wyszedł, położyła na wezglowiu nogę w gipsie, zmęczona upalnym dniem. Wyciągnęła telefon i z nudów zaczęła przeglądać posty. O sprawie handlarzy kobiet pisały wszystkie media. Całe szczęście, ona pozostała anonimowa. Żaden z dziennikarzy nie dowiedział się o tym, jak została zaciągnięta na teren kopalni, nie wspomiano też, jak wbiła Grześkowi broszkę w oko. Gdyby o tym napisali, jej matka byłaby już tutaj i nie pojechałaby do Zawoi bez niej.

Zatrzymała się na materiale poświęconym ofiarom seryjnego mordercy. Autor pokrótce opisywał okoliczności morderstw. Bardziej jednak niż tekst interesowały ją komentarze internautów.

## **Polizmen**

jak psy nie złapią tego zwyrola bierzemy sprawy w swoje ręce.

## **Śląska frela**

kejs by chopy niy dały żyć takymu a tyrozki to som żeście cipy  
niy chopy.

### **kibic GKS-u**

nie pierdol, co wieczór patrol naszych idzie przez miasto  
GIEKSA czuwa!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

### **Śląska frela**

coś chujowo wachuje bo już czworto dziółcha udowiono<sup>[119](#)</sup>

### **Elka z piosku**

Sebka Samochodzika wypuścili że niby niy on

### **Inkwizytor**

Kara śmierci!

### **Śląska frela**

Masakra! A te skurwysyny co przedowały dziółchy? Na tyj  
kopalni to powinna być lepszo łochrona. Niy doś że złom  
porwali<sup>[120](#)</sup> to jeszcze ludzi tam trzimiom i żodyn nic niy  
widzioł.

### **GOŚĆ**

Kto morduje???? Musi być jakiś facet, bo trzeba siły żeby tak  
udusić kogoś

### **Dodarobiloda**

jak go dorwo z GIEKSY to bydzie po nim

### **Strażnik\_Piosku**

Piosek żegna goroli pedziów i innych pierdolców

## **Śląska frela**

jo sie przekludzom<sup>121</sup> do Sosnowca

## **Górnik**

To z gruby wyszoł dioboł

## **Kasandra**

a wiecie że ten Trump co tu pisał to ponoć pedofil?????????

## **Kazik Staszewski**

dojedziemy go

## **Wkurwiony**

Cała Polska teraz gada o naszym mieście ładna reklama nie ma co

## **Inkwizytor**

Kara śmierci!

## **Mata lata**

wakacje a przez tego zwyroła pozamykali kluby i bary na działki też nikt nie chodzi ani na Hubertus Masakra!!!!

## **Inkwizytor**

Kara śmierci!

Zamknęła oczy, analizując tę internetową paplaninę, w której tak trudno było uchwycić prawdziwy sens. Jedna myśl próbowała przebić się do jej świadomości, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Zatkąła uszy, starając się dogonić uciekające olśnienie. Pukanie było jednak tak natarczywe, że nie pozostało jej nic innego, jak otworzyć. Zanim doszła do drzwi, usłyszała, że



ktoś zbiega po schodach. Próbowwała przyspieszyć, ale gips ją spowalniał. Otworzyła, lecz na klatce nikogo już nie było. Jedynie na wycieracze leżała nieduża paczka. Próbowwała sobie przypomnieć, czy nie zamawiała czegoś przez internet. Zabrała pakunek i pokuśtykała do kuchni. Wzięła nóż i rozcięła taśmę klejącą. Odkoczyła, bo ze środka wydobył się fetor. Nie mogła opanować napływających torsji. Oparła się o zlew i walczyła przez chwilę sama z sobą, przykładając do nosa pachnący płyn do naczyń. Po kilku minutach przemogła się, by znowu podejść do paczki. Dopiero teraz zauważyła, że wystaje z niej karteczka. Sięgnęła po nią i szybko odeszła w stronę okna. Otworzyła je na oścież i przeczytała wydrukowany napis: „Spierdalaj z Mysłowic wścibska kurwo”.

Zakryła twarz rękawem koszuli i podeszła do paczki. Serce waliło jej z przerażenia. Ostrożnie uchyliła jej wieczko. W środku leżał martwy szczur z miniaturową pętlą na szyi. Zwierzę miało otwarty pyszczek i patrzyło na nią nieruchomymi oczyma.

### ***Myslowitz/Mysłowice, wrzesień 1939 – grudzień 1953 roku***

**M**arika miała iść do pierwszej klasy, gdy wybuchła wojna. W mieście nastał chaos. Szyby w oknach kamienic pękały, gdy wysadzano most na Krakowskiej. Z więzienia wypuszczono skazanych. Grabieże były na porządku dziennym. Czwartego września do miasta wkroczyli Niemcy, zmieniając jego nazwę z powrotem na Myslowitz. Okna piwiarni Glück Auf właściciel zabił przezornie deskami i lokal był nieczynny do odwołania. Teresa została z córką w mieszkaniu, obserwując z poddasza, jak przez miasto przetacza się niemiecki oddział, a okupant wprowadza swoje rządy. Z początku wielu mieszkańców, rozczarowanych dotychczasową władzą, wywieszało w oknach flagi poparcia. Już po kilku

dniach ich entuzjazm opadł. Rozpoczęły się konfiskaty mienia polskiego i żydowskiego, przejęcia zakładów i magazynów. Za wojskiem szły grupy gospodarcze, które rozgaszczwały się w sklepach i zakładach rzemieślniczych. Przejmowano najładniejsze kamienice i wyrzucano ludzi na bruk. Najgorszy los spotkał Żydów. W październiku zaczęto wyburzanie imponującej synagogi stojącej na Adolf-Hitler-Platz, który od czwartego września przestał być placem Piłsudskiego. Wysadzano świątynię przez kilka miesięcy, nie mogąc zwalczyć tego dumnego świadectwa obecności Żydów w mieście.

Teresa przyglądała się temu wszystkiemu z niemym przerażeniem. W końcu otwarto znów piwiarnię i wróciła do pracy. Okazało się, że Niemcy bardzo polubili lokal i przesiadywali w nim wieczorami, przeganiając Polaków. Gdy podawała im piwo, miała przed oczyma Żydów stłoczonych w pozostałych po Stacji Emigracyjnej barakach Rosengarten<sup>122</sup>. Koszmar wojny panoszył się w jej umyśle niczym rak mózgu. Widząc roześmiane twarze Niemców, nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że potrafią strzelić człowiekowi w głowę.

Zaczęła pić. Najpierw po kryjomu, odlewając z butelek niewielkie ilości wódki, w ostateczności piwa. Z każdym miesiącem wojny coraz więcej. Aż któregoś dnia przewróciła się z tacą, niosąc pięć kuflów dla niemieckich policjantów. Bursztynowy płyn zalał ich dobrze skrojone mundury. Rzuciła się ze ścierką, aby wytrzeć ich odzież, ale jeden z nich uderzył ją brutalnie w twarz, wołając: „Polnische Hure!”<sup>123</sup>. Stało się jasne, że jest pijana. Na miesiąc trafiła do więzienia, podejrzewana o sabotaż. Umierała ze zmartwienia o Marię, pozostawioną pod opieką gospodyni. Nikt jednak nie przychodził z odwiedzinami, nie miała żadnych wieści. Gdy w końcu ją wypuścili, w całej kamienicy zastała niemieckich osadników – po gospodyni i Marię nie było ani śladu. Wiele dni kręciła się po mieście,

szukając córki. Nikt nic nie wiedział. Ciągnęło ją do butelki i w końcu trafiła do meliny, z której już nigdy nie wyszła. Nie wiadomo, czy udusiła się własnymi wymiocinami, czy któryś uderzył ją zbyt mocno. Jej ciało znaleziono nagie z licznymi sińcami i otarciami. Równie dobrze mogła skończyć ze sobą jak jej matka, na torach kolejowych.

Tymczasem Marika przeczekała wojnę u najstarszej córki Hildy, która gdy dowiedziała się o aresztowaniu Teresy, zabrała dziewczynkę do siebie, do Imielina. Mieszkała tam na kupie z mężem, dziećmi i dwiema innymi rodzinami. Gdyby nie kopalnia, pewnie umarliby z głodu. Odkąd Niemcy zaczęli fedrować na całego, potrzebni im byli fachowcy – doświadczeni bergmani, którzy mają serce z węgla i wiedzą, jak go wydobyć z podziemi. Tak zdołali przetrwać wojnę, a Marika razem z nimi. Zawsze jednak była tą gorszą. Wnuczką samobójczyni i córką kurwy i pijaczki. Złe słowa raniły jej duszę, pokaleczoną niczym drzewo obwiązane drutem. Po czterdziestym piątym ojca, żywiciela rodziny, wywieziono w głąb ZSRR, tak jak większość tych, którzy podpisali volkslistę. Któż zresztą nie podpisał? Za okupacji nie pytano o zdanie.

Zostały same z dziećmi. Było biednie i smutno, bo córka Hildy czuła, że mąż już nie wróci. Marika zaczęła pracować jeszcze przed ukończeniem czternastego roku życia. Najpierw poszła na płuczkę do kopalni jak jej babka. Gdy otwarli na nowo piwiarnię Glück Auf pod zmienioną nazwą Klimczok, pełnoletnia już Marika znalazła tam pracę równie łatwo jak jej matka – czy to za sprawą urody, czy jakiejś cechy poszukiwanej przez górników udających się na piwo po szychcie. Marika z każdym rokiem piękniała, a grono jej adoratorów rosło. Nie dała się wbić w buty przodowniczkich pracy. Była „kociakiem”, wyróżniała się spośród innych kobiet kolorowymi bluzkami i dopasowanymi sweterkami. Złą reputację miała już jednak w akcie urodzenia, bo tragiczne historie jej matki i babki

stały się legendą powtarzaną przez lata z ust do ust. Przyciągała i odpychała od siebie mężczyzn, którzy pragnęli jej, a zarazem bali się jej fatalizmu. Zupełnie jak samce modliszki, podświadomie czujące, że spełnienie może się wiązać z tragiczną śmiercią. Urządzali na nią polowania. Osaczali ją jak wataha wilków. Zakładom, kto ją zdobędzie pierwszy, nie było końca. Wdała się w romans z żonatym kierownikiem z kopalni. Później przekazywali ją sobie z łóżka do łóżka. Ale na koniec zawsze zostawała sama.

Samotność wysłała z mlekiem matki, tamta zaś odziedziczyła ją po swojej. Była ona spadkiem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Odkąd Jędrzek Kwaśny wyskoczył z pociągu za Marylką Siwiec, jej córce i wnuczkom nie dane było zaznać miłości.

---

[104](#) nauczycielką (śl.).

[105](#) wypłatę (śl.).

[106](#) słodyczy (śl.).

[107](#) palnąć (śl.).

[108](#) zawsze (śl.).

[109](#) zaplecze (śl.).

[110](#) fartuch (śl.).

[111](#) Powszechnie znane na Śląsku „iść do Rybnika” to „iść do szpitala psychiatrycznego.

[112](#) uzależnionych (śl.).

[113](#) warsztaty (śl.).

[114](#) przyjaźniły się (śl.).

[115](#) żarówki (śl.).

[116](#) wieszaki (śl.).

[117](#) wiercić (śl.).

[118](#) W niektórych miejscach (śl.).

[119](#) uduszona (śl.).

[120](#) ukradli (śl.).

[121](#) przeprowadzam (śl.).

[122](#) Niemieckie Zastępcze Więzienie Policyjne działające w latach 1941–1945.

[123](#) polska dziwka! (niem.).

# ROZDZIAŁ 13

*Mysłowice, 16 lipca 2021 roku*

**S**iedziała w komendzie przy Starokościelnej i patrzyła na dwóch funkcjonariuszy z Wydziału do Walki z Handlem Ludźmi, których poznała już wcześniej.

– Co pani na to? – powtórzył pytanie oficer.

Sposób, w jaki przedstawili jej sytuację, budził w niej lęk. Zawsze miała skłonność do bagatelizowania niebezpieczeństw, jednak ostrzeżenie rodem z mafijnych filmów zrobiło na niej wrażenie. Złożyła palce w piramidkę i jeszcze raz spojrzała na kartkę z groźbą, która leżała pomiędzy nimi na stole.

– Myślę, że mimo wszystko ochrona jest zbędna. Ja i tak miałam już wyjeżdżać. Remont jest skończony. Dzisiaj idę podpisać umowę na energię elektryczną i myślę, że pojutrze wyjadę do domu. Kto mnie tam będzie w Zawoi szukał?

Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo, jakby spodziewali się takiej odpowiedzi.

– Jak pani chce. Przekażemy sprawę do pani przełożonego w Suchej Beskidzkiej.

– Skoro musicie. – Pochyliła się do nich konspiracyjnie. – Co z tym skurwielem, Grześkiem Karwatem?

– Leży dalej w szpitalu. Będzie miał drugi zabieg plastyki twarzy.

– Powiedział coś?

– Pracujemy nad nim. Wygląda na to, że pójdzie na współpracę. Za to ten drugi to twardy zawodnik. Ma najlepszego adwokata na terenie. Niemiecka policja zrobiła nalot na burdel, który najprawdopodobniej przejmował dziewczyny z Polski. Więcej nie możemy powiedzieć.

– A ten Trump na wózku?

– Prokurator szykuje na niego kwity. Wygląda na to, że siedział od lat w sitwie pedofilskiej.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. To lubiła w swojej pracy najbardziej. Kiedy po wielu trudach i walce z idiotycznymi przepisami, które pozwalały przestępcom wymykać się im z rąk, w końcu mogli kogoś usadzić.

– A w tym domu publicznym w Niemczech były jakieś dziewczyny?

– Kilka. Jedna może być tą, która zaginęła w Sosnowcu dwa miesiące przed Dagmarą. Na razie przebywa w szpitalu. Ma całkowitą afazję, nie wydaje z siebie żadnych dźwięków. Jutro mają dojechać jej rodzice. Może ją zidentyfikują.

Zajda podniosła się z trudem i podparła kulami. Oficer podszedł, żeby jej pomóc. Zbliżył twarz do jej ucha.

– Spieprzaj stąd, Zajda, póki czas. Oni mają wszędzie swoje macki. My złapaliśmy tylko płotki. Nadepnęłaś im na odcisk i pora się zwijać.

Poczuła, jak nogi jej flaczeją. Spojrzała poważnie na mężczyznę, ale nie dostrzegła w jego zimnych oczach niczego poza pewnością. Wyszła na korytarz i opadła znów na krzesło w dyżurce, zbyt słaba, by iść dalej. Na

zewnątrz było ponad trzydzieści stopni w cieniu. Podkomisarz Marek Bogacz wyłonił się nie wiadomo skąd.

– Ale się porobiło. Gdy wysyłają szczura, to już nie ma żartów. Uważaj.

– Pojutrze wyjeżdżam. Co z tym Dawidem Ćmokiem?

– Nowy prokurator przejął sprawę. Pojawił się świadek, który widział go w parku, gdy zginęła ta dziewczyna od zakonnicy, Lena Stępień. Nie wiadomo, czy nie przyklepie mu wszystkich zabójstw.

– Myślisz, że to on?

– Wszystko wskazuje na to, że udusił tę Justynę Wieczorek. Jeżeli udowodnią mu pierwszą, z resztą pójdzie jak po maśle.

– A motyw?

– Nie wiem. Biegły psychiatra ma go zbadać. Pewnie jakaś chorobliwa zazdrość. Koleżanki z klasy zeznały, że ona była w nim zakochana od dawna. – Bogacz spojrzał na nią uważnie. – Co jest?

– Nie pasuje mi to – odrzekła z niewyraźną miną.

W odpowiedzi podkomisarz pokręcił głową z dezaprobatą.

– Wreszcie coś mamy, a tobie nie pasuje. Są zeznania, że to on wyszedł z dziewczyną z klubu. Później nikt jej nie widział.

Baśka machnęła dłonią, po czym wstała.

– Marku, cieszę się, że się poznaliśmy. Jakbyś jechał kiedyś w góry, to wpadnij na herbatkę z prądem. Zostawiam was z tą sprawą. Mam nadzieję, że za bardzo nie namieszałam.

Marek Bogacz również wstał i skłonił się Zajdzie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dużo nam pomogłaś, i to na urlopie. Doceniamy.

Wyszła przed komendę i zaczęła się wpatrywać w kościół. Zdała sobie sprawę, że nie da rady. Nie może tego tak zostawić. Nie spałaby w nocach.



Przeszła na drugą stronę ulicy i zadzwoniła po taksówkę. Musiała się pożegnać z Kariną i Marcinem. Chciała przejechać się jeszcze po Mysłowicach. Spojrzeć ostatni raz na kopalnię, familoki i mały kościółek przy Bytomskiej. Czekać na taryfę, zapaliła papierosa. W paczce były ostatnie cztery. Wypali je do jutra i do Zawoi wróci już bez nich. Koniec z paleniem.

Jadąc przez Starokościelną, zerknęła na posępny budynek ośrodka prowadzonego przez zakonnice i przypomniało się jej, co mówił Alojz na grillu. Mimowolnie przeszedł ją dreszcz, gdy wspomniała reportaż Justyny Kopińskiej o Boromeuszkach z Zabrze. Czy tu było inaczej? Nie mogła o tym myśleć. Gdy dojechała, przywitali ją Karina i Marcin. Cieszyła się, że zastała ich oboje.

– A gdzie Dominik? – zapytała.

Na to pytanie wyraźnie osłabli. Marcin usiadł ciężko na nowoczesnej kanapie, Karina zaś złapała za ścierkę, wskazując na drzwi do pokoju z napisem: „UWAGA, ZAKAZ WSTĘPU! GROZI ŚMIERCIA LUB KALECTWEM”. Nie przypominała sobie, żeby ta tabliczka wisiała tu wcześniej. Rodzice Dominika patrzyli na te drzwi z przestachem, jakby bali się swojego własnego dziecka.

– Zajrzę do niego... – bardziej zapytała, niż stwierdziła.

Gdy nie usłyszała słów protestu, weszła powoli do ciemnego pomieszczenia z zaciągniętymi roletami.

– Hej, Dominik. Chciałam się pożegnać – powiedziała cicho do chłopaka, nie mając pewności, czy ją słyszy.

Leżał na łóżku ze słuchawkami w uszach. Wykręcał nerwowo palce, sprawiając, że kości nieprzyjemnie strzelały. Dotknęła jego przedramienia i spojrzał na nią, a następnie ściągnął słuchawki.

– Co jest, Dominik? – zapytała i usiadła na krześle obrotowym. – Rodzice się martwią.

Wzruszył ramionami.

– Będę się źle czuła, zostawiając cię tu w takim stanie. Polubiłam cię.

Usiadł na łóżku, trąc zaspaną twarz. Długo musiał tak już leżeć, bo jego włosy były wytarte z tyłu głowy. Baśka rozglądała się po pokoju, zdjęciach i napisach wydrapanych nożem na biurku. Podeszła do blatu i podniosła dużą podkładkę pod myszkę i klawiaturę. Wszystko zaczęło się układać w jedną całość. Z każdą minutą w pokoju powietrze robiło się coraz gęstsze. Zapach młodocianego potu stawał się nieznośny. Gdy Zajda znalazła już wszystko, czego szukała, odwróciła się do chłopaka i spojrzała w taki sposób, że poczuł się nagi. Zrozumiał, że nic się przed nią nie ukryje.

– Musimy poważnie porozmawiać, Dominiku.

### ***Mysłowice, 1968–1977***

**B**enek poznał ją w barze Klimczok. Po szychcie górnicy siadali tam na piwo przy drewnianych ławach. Pili chciwie zimny złoty napój, ale nie aby się upić – choć i tacy się zdarzali – po prostu według nich piwo jak nic innego spłukiwało rozgrzane, zapyłone gardło. Pył węglowy, wżerający się w każdą tkankę ich ciała, zatykał nos, a w gardle tworzył nieznośne uczucie suchości. Im zimniejsze piwo, tym lepiej. To ulga dla rozgrzanych wnętrzności. Taki to był właśnie dzień, gdy z kolegą ze zmiany zamówili piwo w Klimczoku przy Bytomskiej, a ona spojrzała na niego szarymi oczyma. Zrobiło się mu wtedy słabo. Marika wciąż dolewała mu piwa. Siedział tam do wieczora, a ona go czarowała. Zapomniał o swojej narzeczonej i o tym, że mieli iść po południu do jej rodziców. Zapomniał

o wszystkim. Marika z dnia na dzień stała się całym jego światem. Mariola, narzeczona, którą porzucił, przyszła do jego rodziców z pretensjami. Zalana łzami, pohańbiona, szukała odpowiedzi na pytanie: „dlaczego?”. Ale oni nie mogli jej pomóc.

– My już nie mamy syna, Mariolu.

– Jak to nie macie? Gdzie jest Benek?

– U tej kurwy – odparła jego matka, nienawykła do bluźnierstw.

Najpierw był ognisty seks i duma, że to on ją ma. Tę, na którą wszyscy mężczyźni spoglądają z fascynacją. Wierzył, że uda mu się Marikę odmienić. Że jego miłość ocali ją przed tym, co w niej czarne i mroczne. I tak było przez pierwsze lata. Marika urodziła synka, a później córeczkę. Była troskliwą matką, mimo że nikt jej tego nie nauczył. W soboty Benek zabierał ich nad zalew do Jaworzna, a w ferie na zimowisko do Wisły. Jego rodzice nigdy jej nie zaakceptowali. Odwiedzał matkę sam raz w tygodniu, by wysłuchać od niej gorzkich słów i zapewnień, że jak zmądrzeje, to może wrócić.

Marika wciąż była kolorowym ptakiem. Nie wiadomo, jakim sposobem zawsze wyglądała lepiej od innych kobiet z osiedla. Przestała chodzić na grób babki i matki. Gdy zdawało się jej, że zerwała się z łańcucha przeszłości, który ciągnął ją w otchłań, przeszłość niespodziewanie wróciła. Zakradła się do jej życia zupełnie niepostrzeżenie, podczas zakupów, gdy wskazała ekspedientce setkę wódki stojącą na półce. Kobieta podała ją w milczeniu. Marika szła z nią do mieszkania na drżących nogach. W końcu zatrzymała się w ciemnej bramie i krztusząc się, wypila do dna, a następnie rzuciła pustą buteleczkę w krzaki. Jej mąż się nie zorientował. Za to wieczór był cudowny. Nie przejmowała się praniem i prasowaniem. Przez chwilę przestała myśleć, czy jest dobrą żoną i matką. Bo to ją właśnie zajmowało przez ostatnie lata. Tak bardzo nie chciała rozczarować jego

i siebie. Tak bardzo nie chciała skończyć jak jej matka i babka. Być godną małżeństwa i tego wszystkiego, co ją spotkało: ładne mieszkanie, kochający mąż, który przynosi jej goździki bez okazji, dzieci w porządnym ubrankach, trzymające ją za dłonie. I ona czytająca bajki na dobranoc, piekąca ciasto na święta i ubijająca roladę na niedzielny obiad.

Kolejnego dnia ominęła monopolowy szerokim łukiem, ale już następnego wymyśliła pretekst, żeby zdobyć alkohol. Okazało się, że jest mistrzynią kamuflażu. Płukała usta miętową herbatą, a puste buteleczki owijała w papier po mięsie. Któregoś dnia zapomniała odebrać Bernatkę z przedszkola – na szczęście Benek wrócił późno z kopalni.

Mijały miesiące, a Marika tonęła w alkoholu i długach, bo na wódkę zaczęła pożyczać. Aż któregoś dnia zadzwonili po Benka do pracy z przedszkola, bo Bernatki nikt nie odebrał, a było po czwartej. Wpadł tam zdyszany. Syna, który kończył już drugą klasę, zastał pod klatką schodową.

– Czymu niy idziesz do dōm? – zapytał gniewnie.

– Matule niy ma. Zawarte.

Dowlekleła się rano do domu w poszarpanych rajstopach i rozmazanym makijażu.

### ***Mysłowice, 16 lipca 2021 roku***

**W**szystko stawało się jasne. Była zła na siebie, że nie posłuchała intuicji. Pora wyjechać. To chyba ona sprowadziła nieszczęście na to miasto. Morderca zaczął zabijać, gdy się tu pojawiła. Może jak odjedzie, czarna seria się skończy?

Jadąc taksówką, poprosiła kierowcę, aby zatrzymał się pod kopalnią Mysłowice. Stanęli pod bramą główną. Chwasty wdzierały się na

zamknięty teren z każdej strony. Jakby natura odbierała to, co ludzie skradli jej wiele lat temu. Kopalnia zdała się Baŝce obumarłym sercem miasta. Matkã, którã niewdzięczne dzieci okradły ze wszystkiego, co ma wartoŝc, i pozostawiły na samotnã ŝmierc. Przez niã przetaczały siã kolejne rãdzy okupantów, tu tworzyła siã historia miasta, stãd torami wysyłano wãgiel na wszystkie strony kraju. Wiedziała, że aby zrozumieć, musi zaczãc myŝleć jak górnik. Jak człowiek połączony z tym miejscem ukłãdem nerwowym. Jak ktoŝ, kto ma serce z wãgla. „Diöboł wyszöł z gruby”, szeptała do siebie. Spojrzała jeszcze raz na koło szybowe, które w zachodzącym słońcu przypominało jej kosmicznã krwiozerczã machinã z *Wojny ŝwiatów*.

– Na Powstañców proszã – rzuciła do kierowcy.

Gonitwa myŝli była nie do zniesienia. Gdy tylko dostała siã do mieszkania, strãciła wszystko ze stołu na podłogã i położyła na nim płaski karton po lampie. Zaczęła mazać markerem jak szalona artystka. Całöc przypominała niezgrabny rebus. Była tak wciãgniãta, że nie usłyszała, jak ktoŝ puka do drzwi. Dopiero głöŝ Alojza wyrwał jã z zamyŝlenia.

– Klupiã<sup>124</sup>, ale žödyn niy ötwiyrö. Przeszöł zech po te stare farby i fyrnajse<sup>125</sup>.

Stanãł obok stołu trochã zakłopotany.

– Wybacz, Alojz, zapomniałam o tobie – powiedziała nieobecny głösem.

– To moźno jö zawieszã ta lampa w kuchni.

– Pewnie, super, że o mnie pomyŝlałeś – odparła, nie odrywając wzroku od zapisków.

Odłożyła marker i spojrzała jeszcze raz na karton. Nie mogła siã jednak skupić, bo juź dawno powinna iŝc do ubikacji. Gdy siedziała na swoim piãknym nowym sedesie, w głöwie wirowały jej słowa: „Diöboł wyszöł z gruby”, „wielkie łapy”, „ktoŝ tam na rowerze jechał”, „długie czarne

włosy”, „ona nie będzie jeszcze miała osiemnastki”. Wszystko to wiedziała, ale dlaczego teraz morderca zaczął zabijać?

– Ôj, Basia, Basia, mało cie tyn bandit niy zamordowōł na tyj grubie. – Głos Alojza dochodził z za drzwi, przeszkadzając jej w myśleniu.

Dlaczego zabijał? Bo przyjechała do miasta? Nie, nie jest pępkiem świata! Musi zacząć myśleć jak górnik. Kopalnia! Wypadek! Pierwsze uduszenie miało miejsce dzień po wypadku na Wesołej. Trzymała się teraz sedesu, jakby miała zaraz wpaść do środka, i łapała z trudem powietrze. Czowała mrówki chodzące jej po ciele. Przed oczami pojawiły się mroczki. Zamrugnęła i spojrzała na szybę kabiny prysznicowej i widniejący na niej ślad po wielkich łapach Alojza. Z twarzy odeszła jej krew.

– Ty musisz dōwać pozōr na chopōw. Durch<sup>126</sup> sie cichtujōm<sup>127</sup>, na wieczōr, robiōm łōwy. Trza ciã przywachować, ôchrōnić... – słyszała, jak Alojz mówi spokojnym głosem.

Powoli wstała i otworzyła drzwi. Weszła do wąskiego przedpokoju i spojrzała na Alojza stojącego za stołem, kręcącego z niezadowoleniem głową. W mieszkaniu unosił się zapach lakieru i rozpuszczalnika. Gdy zaczęła iść w jego stronę, podniósł głowę i spojrzał na nią. Miał takie dobre oczy.

– Kochałeś Justysię? – zapytała miękkiem głosem.

Oparł się o stół ogromnymi dłońmi, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Przołech<sup>128</sup> jej nad życie, a jakiś skurwisyn mie jōm udowiōł.

Czekała, aż przejdzie przez niego fala wzruszenia.

– Co tam się stało w kopalni, Alojz?

Podniósł na nią oczy, które zdawały się wypływać z twarzy.

– Diōbōł wyszōł z gruby – powiedział ze strachem. – Jō go widziōłech. Niy mōg zech uretować tygo modygo, bo trzimōł mie za krawikel<sup>129</sup>.

Wiedziała, że powinna stąd wyjść. Uciekać od tego szalonego, skrzywdzonego człowieka. Coś jednak kazało jej zostać.

– Co zrobiłeś tym dziewczynom?

Alojz potarł dłońmi twarz jak małe dziecko niemogące sobie poradzić z emocjami.

– Wszystkie bōły podane na siã<sup>130</sup>. Te wosy czōrne... Ta nad zalywym, ta we parku i ta na Tõwarowyj. Ône już spiõm, niy trõp sie<sup>131</sup> ô niy. Spiõm jak Justysia i jak Bernatka. Jõ je uspołech, coby już żõdyn bandit jejch niy ukrziwdziõł. Ôni cichtujõm<sup>132</sup> w nocy.

– Kim jest Bernatka?

Pytanie sprawiło, że na jego czole pojawiła się poprzeczna zmarszczka. Podniósł karton z jej bazgrołami i pomachał nim z niezadowoleniem.

– Czemu chcesz to skapucić<sup>133</sup>? Ftoś musi ôbrõnić te dziõłchy. Justyny niy zdõnzylech<sup>134</sup> uretować, ale te uratujã. Chodzõm po ćmoku<sup>135</sup>, a bandity ino wachujõm.

– Boże, Alojz, ty potrzebujesz pomocy! Ty je zabijasz, nie ratujesz!

Zamknął oczy, a jego olbrzymie dłonie zacisnęły się w pięści.

– Kim jest Bernatka? – zapytała znowu, czując, że to klucz do zagadki jego umysłu.

– Jõ niy chciołech, ale ôna sie ôzdarła. A bandity były blisko. Dowiyli<sup>136</sup> matkã.

Złapał się rękami za głowę i zaczął piskliwie płakać, jak mały chłopiec drzemiący gdzieś w jego wnętrzu.

– Mamo! Mamo! – jęczał przeraźliwie, sprawiając, że ciarki przeszły Zajdzie po plecach.

Strach dopadł ją niczym wir. Zaczęła się powoli wycofywać. Gips stukał o płytki w przedpokoju. Złapała za klamkę, ale drzwi były

zamknięte. Nagle Alojz skoczył ku niej. Dopiero teraz zobaczyła na podłodze pustą butelkę po rozpuszczalniku, którego zapach unosił się w powietrzu.

– Niy bōj sie, Basiu. Już jeżeś bezpiecznō – szeptał.

Złapała za wieszak przyczepiony na ścianie, chcąc użyć go do obrony, lecz wielkie ręce Alojza już się na niej zaciskały. Mężczyzna zdławił krzyk Zajdy, obejmując prawą dłonią jej usta, i szepnął:

– Ty jeżeś moja cera, Basiu. Jō cia zarōzki ululōm i już żōdyn ci nigdy niy ukrziwdzi. Cicho, uśnij już, nynej<sup>137</sup>.

Jego ramiona były silne i ciepłe, w innych okolicznościach mogłaby rzeczywiście poczuć się dobrze. Próbowwała uspokoić oddech, bo wiedziała, że najgorsza jest panika. Wciąż mogła oddychać nosem. Alojz zaczął mrużyć jakąś kołysankę, kiwając się z nią na boki. W końcu sięgnął po jej zapalniczkę leżącą na małej komodzie na buty. Zapalił ją i przyłożył do łapacza snów, który dostała od Grześka. Ozdoba zajęła się ogniem, by po chwili spaść na dywanik nasączony rozpuszczalnikiem. Ogień buchnął pod wysoki sufit niczym słowiańskie ognisko. Baśka spróbowała złapać oddech, lecz dłoń Alojza zakryła teraz pół jej twarzy. Poczula żar ogarniający jej ciało. Alojz przytulił ją mocno, jakby chciał ochronić przed całym nieszczęściem tego świata. Zaczęła tłuc go rękami, lecz chwycił je drugą dłonią. Jej stopy wiły się w konwulsjach, a ogień tańczył taniec śmierci.

### ***Mysłowice, 1977–1980***

**T**o, co w Marice ciemne, zaczęło zabijać to, co jasne. Jak jesień, która powoli, dzień po dniu kradnie trochę lata, by utopić je w końcu w deszczu i przykryć ciemnością. W głębi czuła, że nie zasłużyła na Benka.



Przeznaczenie upominało się o nią. Jej mąż długo udawał przed samym sobą. Prowadził ją pijaną do mieszkania pod karcącym spojrzeniem sąsiadek. Pękł dopiero wtedy, gdy wywlókł ją z łóżka blokowego babiarza. Zabrał dzieci. Myślał, że to nią wstrząśnie, i miał rację. Pod namową matki, w której zamiast żalu odnajdywał tylko dziką satysfakcję, że się nie myliła, złożył pozew o rozwód.

Marika przeszła spektakularną przemianę i kuratorka sądowa nie posiadała się z zachwyty nad jej zaangażowaniem w wychowanie dzieci. Na sali sądowej pojawiła się ubrana jak wzorowa matka. Bluzka z żabotem, spódnica do połowy łydki i czółenka na płaskim obcasie. Włosy gładko zaczesane. Przedstawiła szereg zaświadczeń i opinii potwierdzających to, jaką dobrą jest matką. Słuchając jej, Benek mrugał oczyma, nie mogąc poznać swojej żony. Sąd przychylił się do wyświechtanego przekonania, że „dzieci muszą zostać przy matce”. Bardzo chciał wierzyć, że jej przemiana jest trwała. Właściwie gdyby nie matka, pewnie wróciłyby do żony na kolanach. Zabrała dzieci. Po jakimś czasie zaczął się dowiadywać pocztą pantoflową, z kim obecnie się spotyka. Przez kilka miesięcy trzymała fason. Gdy przychodził w niedzielę po dzieci, były czyste i zadbane. Przestał ją kontrolować. Związała się z Mundkiem, mężczyzną o wątpliwej reputacji, który ubierał się w zachodnie ciuchy i podobno zajmował się paserką. Tyle wywęszyła jego matka. Czy pili razem? Nie miał pojęcia.

Benek każdą niedzielę spędzał z dziećmi, aż do czasu, gdy w kopalni miał poważny wypadek – kawałek skały zmiażdżył mu kości śródstopia. Po hospitalizacji musiał wyjechać do sanatorium w Szczawnicy. Martwił się o dzieci, o Marikę także. Miał wrażenie, że jego regularne wizyty sprawiały, że się trzymała – chciała mu udowodnić, że jest dobrą matką. Stroiła się i perfumowała zawsze, gdy się go spodziewała. Poprosił matkę,

żeby w czasie jego nieobecności brała raz na tydzień wnuki do siebie. Ona jednak kategorycznie odmówiła: „Do tej kurwy nigdy nie pójdę”.

Gdy Marika dowiedziała się o wypadku Benka, poczuła ulgę. Wreszcie będzie mogła się spokojnie napić, bez obawy, że do jego niedzielnej wizyty nie dojdzie do siebie. A pić chciało jej się strasznie. Związek z Mundkiem był jak wejście w struktury mafii. Nie było odwrotu. Zawłaszczył sobie jej życie, każdego dnia coraz bardziej brzydziła się swojego odbicia w lustrze. Takie było jej przeznaczenie, taka była jej droga, napisana jeszcze przed narodzinami. Wprowadził się właściwie bez pytania, a za nim wtargnął do mieszkania cały jego świat. Koledzy o zakazanych gębach, nocne telefony, wódka do śniadania. Dzieci kryły się po kątach, podczas gdy ona piła z nim. Alojz miał już jedenaście lat. Patrzył na nowego tatusia z mieszaniną przerażenia i nienawiści. Po jakimś czasie Mundek zaczął bić Marikę, lecz zaraz potem przybiegał z perfumami i czekoladkami. Nie sprzeciwiała się mu, bo miała to, na co zasłużyła. Bo co może się należeć córce alkoholiczki i wnuczce samobójczynie?

### ***Mysłowice, 16 lipca 2021 roku***

**J**ej oczy zasnuły się mgłą. Ginęła w nicości, całkiem przyjemnej niemocy. Stawało się to coraz bardziej kuszące. Ciało przestało walczyć, ogarniał ją spokój. Ciepło rozlewające się po wszystkich członkach rosło w siłę. Zbliżało się jak promienie słońca w upalny dzień. Zamieniało w kulę ognia. Ogień! Świadomość wróciła w ułamku sekundy. Mgła opadła jej z oczu. Pali się!

Obróciła się w bok, popychając Alojza na drzwi do łazienki. Nie puścił jej, ale dłoń zsunęła się z jej ust. Nabrała powietrza, jak gdyby wynurzyła się z głębin oceanu. Jej płuca rozrywał ból. Jeszcze raz i jeszcze.

– Ja wiem, kto ją zabił! – powiedziała z trudem przez ściśnięte gardło. – Justynę – dodała.

Alojz obrócił ją do siebie twarzą. Jego oczy były zaskoczone. Jakby dopiero się zorientował, gdzie jest. Postanowiła wykorzystać tę chwilę. Szarpnęła się w stronę drzwi, ale jego olbrzymie dłonie trzymały ją w stalowym uścisku.

– Mōw! – wycharczał.

– To Dominik i... twoja córka, Marzena.

Dobiegło ich walenie do drzwi. Ktoś próbował wejść do mieszkania. Alojz złapał Baškę za szyję i zacisnął na niej palce.

– Kłamolisz!

Musiał zobaczyć w jej oczach współczucie, bo puścił ją i oparł się ciężko o ścianę.

– On był pod wpływem narkotyków – mówiła, z trudem łapiąc oddech. – Zakochał się w niej, a ona go wyśmiała. Marzena go namówiła. Z zazdrości. Nie wiedziała, że są siostrami, prawda?

Zajda musiała uciekać. Spojrzała w bok. Ogień szalał już po kuchni. Czarny dym unosił się do sufitu, topiąc gustowne tapety w motywy roślinne. Płonęły lampy, meble i dywaniki, które dobierała z taką pieczołowitością. Zaczęła kaszleć. Obróciła się powoli w stronę drzwi, bojąc się, że znów Alojz chwyci ją za szyję, lecz tym razem już nie puści. W jego oczach zobaczyła śmierć. Walenie do drzwi było coraz donośniejsze. Alojz zrobił krok do przodu. Odsunęła się i patrzyła z przerażeniem, jak wali głową o ścianę, pozostawiając na niej krwawy ślad. Jeden raz i drugi. Wnet nie mogła go już zobaczyć w dymie, który wdarł się nagle do przedpokoju. Ogień buchnął z całą mocą, rycząc jak smok zionący płomieniami. Opadła na kolana, szukając powietrza, i zaczęła się czołgać w stronę drzwi. Kiedy wydawało się jej, że traci oddech, czyjeś

dłonie złapały ją pod ramiona. Była ciągnięta po podłodze. Zastanawiała się, czy te ręce dadzą jej życie, czy śmierć.

Znów odleciała. Widziała zbliżające się światło. To pewnie tunel, o którym zawsze opowiadają. Czekał tam na nią Tomek. Wołał ją. Tak, chciała do niego iść.

– Baśka, kurwa mać! – Jego zrozpaczony krzyk nie pasował jednak do wizji nieba.

Szarpnięcia stały się coraz mocniejsze. Ostatecznie orzeźwił ją chlust wody z butelki prosto na twarz. Otworzyła oczy, ale po chwili je zamknęła.

– Basia, Basieńka, góralico!

Czuła na ustach jego pocałunki. Otworzyła znów oczy i dostrzegła, że leży na chodniku przed budynkiem. Paliły ją płuca. Nad nią pochylał się Tomek, wpatrywał się w nią załzawionymi oczyma. Miał brudną i nabrzmiałą twarz. Słyszała sygnał karetki, jakieś krzyki, kroki naokoło. Spojrzała w niebo nad przewiązką. Czarny słup dymu wyglądał jak kopalniany komin. Uśmiechnęła się delikatnie do Tomka.

– Jesteś – wyszeptała.

### ***Mysłowice, 19–20 lutego 1980 roku***

**A**lojz uciekł ze szkoły i wybrał się do babci, która nie odwiedzała ich wcale. Chciał jej powiedzieć, co się u nich dzieje, i błagać, żeby ich zabrała. Nigdy nie szedł do Szopienic na nogach, bał się, że nie trafi. W połowie drogi spotkał jednego z kolegów Mundka, mężczyznę z blizną pod okiem i połamanym nosem, który nagle zastąpił mu drogę. Złapał Alojza za plecak i trzepnął w głowę.

– Kaj, kurwa, łazisz? Ze szkoły prosto do dōm. Zresztōm idã do Mudka, to cie zakludzã<sup>138</sup>, giździe<sup>139</sup>.

Mężczyzna chwycił go za ramię i ciągnął za sobą całą drogę. Alojz był przerażony. Koledzy z podwórka patrzyli na niego ze współczuciem, bo każdy się bał jego nowego tatusia. Wiedział, że czeka go srogie lanie. Serce chciało mu wyskoczyć z piersi, gdy otworzyły się drzwi do mieszkania. Na szczęście Mundek był bardziej zaaferowany odwiedzinami kolegi. Strzelił syna tylko raz po uchu i Alojz uciekł do pokoju, gdzie na podłodze siedziała przestraszona Bernatka. Siostra miała sześć lat. Bawiła się lalkami, naśladowując pijackie kłótnie matki i jej konkubenta.

– Kedy tatulek przyjdzie po nōs? – zapytała piskliwym głosem.

– Niy wiym. Pewnie już niydugo – odparł, choć bardzo w to wątpił.

Wyciągnął z tornistra jabłko, które zwędził ze szkolnej stołōwki, i podał siostrze. Od wielu dni nie było w domu normalnego obiadu. Siedzieli cicho, wyczekując powrotu matki. Z drugiego pokoju dobiegały krzyki i przekleństwa – dyskusji towarzyszyła flaszka wōdki.

– Gōdōm ci. Pedzioł, iże cie zabijōm. Zadarłēs z niy tymi, co trza. Lepij sie stōnd stroć<sup>140</sup> na jakiś czas.

– Już sie jich, kurwa, bōja. To je mōj teryn. Mogōm mnie ugryź w rzić.

Wreszcie Marika wrōciła. Alojz czekał na nią, cały drząc. Nie poszła jednak od razu do nich – wypytywana przez Mundka, musiała zdać relację, jak jej poszło wykonanie zleconego jej zadania. Coś musiała zanieść, odebrać pieniądze, tyle chłopak zrozumiał. Czekał, aż matka przyjdzie i da im w końcu jeść. Ona jednak wsadziła tylko głōwę w szparę drzwi, kazała im siedzieć cicho i udała się do kuchni. Wrōciła dopiero po godzinie, gdy nakarmiła podpitych mężczyzn.

Usiadła z Alojzem na wersalce z talerzem kanapek, ale unikała jego wzroku, pełnego smutku i pytań.

– Mundek gōdoł, iże uciyk żeś ze szkoły.

Pokiwał głową.

– To sie chnet<sup>141</sup> skōńczy – wyszeptała, nie chcąc budzić śpiącej już Bernatki. – Wróćcie do taty.

– A ty? – zapytał, nie dopuszczając myśli, że mógłby zostawić matkę z tym potworem.

– Jō... – Nie zdążyła dokończyć, gdy drzwi pokoju otworzyły się z łoskotem.

– Marika! Pōdziesz po flaszka do Kulawego – zaordynował Mundek.

Ciała kobiety i jej syna zastygły w strachu. Gdy wyszła, Alojz wyczekiwał na moment, kiedy mężczyźni będą na tyle zajęci, by mógł niezauważony przemknąć do toalety i kuchni. W końcu położył się i czekał, aż matka wróci. Nie wiedział, kiedy zasnął.

Wstał jak zawsze nad ranem, żeby wyciągnąć spod Bernatki zasikane prześcieradło i wyprać je, nim Mundek się obudzi. Odkąd ojciec przestał zabierać ich w niedziele, Bernatka moczyła się niemal każdej nocy. Na łóżku w dużym pokoju spała matka z Mundkiem, ubranym tylko w slipy. Zakradł się jeszcze do kuchni i zrobił dwie kanapki z marmoladą, na wypadek gdyby rano była awantura i znów nie dostali z siostrą śniadania. Nagle usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Upuścił kromkę na blat i czmychnął do pokoju. Obserwował jednak przedpokój przez szparę w drzwiach. Zamarł, gdy ujrzał trzech mężczyzn skradających się na palcach po dywanie. Nosili skórzane kurtki i byli zamaskowani. Z dłoni jednego z nich zwisała linka. Stanęli nad śpiącymi. Alojz czuł, jak po nogawce spływa mu strużka ciepłego moczu. Zaczął się cofać w kierunku śpiącej Bernatki. Z dużego pokoju dobiegł go zduszony krzyk matki, a zaraz po nim Mundka. Dopadł do siostry i zakrył jej usta dłonią. Przestraszona dziewczynka nie wiedziała, co się dzieje. Pociągnął ją

w stronę szafy. Otworzył drzwi i wsunął się z nią do środka. Szepnął jej do ucha:

– Cicho, bo nōs zabijōm.

Lecz Bernatka się wierciła i chciała mu się wyrwać. Zatkał jej usta z całej siły i przycisnął ją do siebie. Nie mogła ich zdradzić. Z pokoju dobiegały wrzaski.

– Już po tobie i twojej kurwie! Ostrzegaliśmy cię.

Zrozpaczony pisk matki, której widocznie ktoś również zasłaniał usta, wdzierał się do jego uszu, rozrywając umysł na strzępy. Słyszał uderzenia i bezgłośne jęki. Chciał biec ją ratować, ale bał się. Zawsze gdy działo się coś złego, kazała im siedzieć cicho w pokoju. Bernatka zaczęła się rzucać, ale on ścisnął ją coraz mocniej i mocniej.

– Cii, zarōż bydzie po wszystkiym – powtarzał do czasu, aż się uspokoila i zasnęła.

Poczuł ulgę. Teraz była bezpieczna.

---

[124](#) pukam (śl.).

[125](#) rozpuszczalniki (śl.).

[126](#) Ciągłe (śl.).

[127](#) czają (śl.).

[128](#) kochałem (śl.).

[129](#) szyję (śl.).

[130](#) podobne do siebie (śl.).

[131](#) nie martw się (śl.).

[132](#) czają się (śl.).

[133](#) zepsuć (śl.).

[134](#) nie zdążyłem (śl.).

[135](#) wieczorem (śl.).

[136](#) dusili (śl.).

137 śpij (śl.).

138 zaprowadzę (śl.).

139 smarkaczu (śl.).

140 zniknij (śl.).

141 wnet (śl.).



# ROZDZIAŁ 14

*Mysłowice, 17 lipca 2021 roku*

**P**oprawiła się na szpitalnym łóżku, które mimo całej swej nowoczesności wydało z siebie skrzypienie jak za starych czasów.

– Wyjściowy poziom HbCO wynosił sześćdziesiąt osiem procent – poinformował ją lekarz. – Teraz znacznie spadł, ale wciąż wymaga pani tlenoterapii. Proszę nie ściągać z nosa tlenu. Jutro usuniemy opatrunki z twarzy, wtedy ocenimy jej stan. I tak bardzo się pani poszczęściło.

Nie miała siły odpowiedzieć. Mrugnęła tylko na znak zgody. Lekarz wyszedł z sali, na której leżała całkiem sama. Czowała się tak strasznie zmęczona. Bała się tego, co zobaczy w lustrze. Nie miała pojęcia o oparzeniach. Usłyszała szuranie na korytarzu i głos matki, gorączkowo szukającej sali. Radość mieszała się ze skurczem żołądka. Celina Zajda wpadła do sali, a za nią podążała pielęgniarka, która omiotła tylko wzrokiem salę i wycofała się na korytarz.

– Jezus Maria, dziecko, dziecko... – Matka się nad nią pochyliła, bojąc się dotknąć jej poparzonego ciała.

Baśka widziała, jak bardzo stara się nie histeryzować, zachować zimną krew. Jej twarz trzęsa się jednak w spazmie lęku. Pomyślała, że skoro matka tak zareagowała na jej widok, to musi wyglądać strasznie.

– Mamo – powiedziała cicho, gardło miała wysuszone od tlenu. – Lekarz mówi, że jest dobrze. Jutro mi to ściągną. Nie płacz.

– To przeze mnie. Ja cię tu wysłałam. Wybacz mi, Basiu. Kruca fuks, zawsze taka jestem rządzicielka. Przyrzekam, że już nigdy nie będę.

Zobaczyła w mleczej szybie jakiś cień. Strach momentalnie znów złapał ją za gardło, ale po chwili zmienił się w kojące uczucie ulgi.

Tomek wszedł powoli do środka. Celina Zajda spojrzała na niego z zaskoczeniem. Jej twarz rozjaśniła się po kilku sekundach.

– To pan uratował moją Basię? – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Rzuciła się zszokowanemu Witkowskiemu w ramiona i zaczęła go całować po policzkach. Mężczyzna się nie bronił, lecz patrzył z zażenowaniem na Baśkę.

– Mój tyś, ja ci się nigdy nie odpłacę. Dziecko mi uratowałeś!

– Mamo, przestań – przerwała jej Baśka zachrypniętym głosem.

Matka patrzyła to na nią, to na Tomka. Uśmiechnęła się pod nosem i wyszła na korytarz, wołając na odchodne:

– Nie przeszkadzajcie sobie. Idę na zakupy po jakąś ładną koszulę nocną i klapki dla Basi.

Patrzyli na siebie bez słowa. Wiedziała, o czym on myśli. Jak będzie wyglądała po ściągnięciu bandaży? Czy będzie na trwałe oszpecona?

– Dlaczego nie powiedziałaś, że zaangażowałaś się w tę sprawę? Że mnie potrzebujesz?

Milczała, bo co miała mówić? Nic nie mogła mu zaoferować. Była poparzona, oszpecona może już na całe życie. Miała zabierać ojca choremu dziecku? Nie, tak nisko jeszcze nie upadła.

– Wcześniej mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać. Teraz masz okazję – oznajmiła w końcu, żeby przerwać nieznośną ciszę.

Spoglądała na niego, chcąc wychwycić w jego ruchach wahanie. Zamiast tego ujrzała w oczach Tomka pewność.

– Chcę do ciebie wrócić.

Wstrzymała oddech na kilka uderzeń serca.

– Nie możesz ich zostawić.

Wziął do ręki metalowy taboret stojący przy umywalce i usiadł przy niej. Zdała sobie sprawę, jak tęskniła za jego zapachem.

– Mogę. Z Dawidem już jest lepiej. Dostaje leki, choroba nie postępuje. Zresztą to on mi kazał.

– Jak to ci kazał?

Tomek pokręcił głową z rozbawieniem.

– Powiedział, że jest już zdrowy i mogę znowu się spotykać z tą panią góralką, bo z mamą i tak ciągle się kłócę.

Baśka zaśmiała się i zaraz po tym syknęła z bólu. Uczucie ciągnięcia skóry było nie do zniesienia.

– A Sabina?

– Mówiłem ci, że między nami już dawno wszystko umarło.

Przymknęła powieki, przywracając w pamięci moment, w którym Tomek zostawił ją w holu szpitala. Najgorsze było to, że nie mogła się nawet na niego złościć. Nie miał przecież wyjścia. A jednak się złościła, choć bardziej na niesprawiedliwy los, który kolejny raz wydzierał jej z ramion miłość.

– A jeśli tam jest źle? – Wskazała na opatrunek na twarzy. – Nie wiem, jak będzie wyglądała moja twarz. – Głos jej się załamał i zduszony gdzieś w głębi stres zaczął wychodzić z ciała, które drżało mimo upału.

– Baśka, spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Nie myśl o tym teraz. Jestem tu i nie odejdę.

Znów odlatywała do ciemnych snów, w których łapała Alojza za wielkie dłonie, tak bardzo wierzące, że niosą dobro i spokój.

### ***Mysłowice, 9 kwietnia 2021 roku***

**W**szyscy mówili tylko o imprezie w klubie Bikini Party z okazji ostatków. Ubrały się niemal identycznie. Justyna nie czuła się dobrze z gołym pępkiem, ale Marzena naciskała. Powiedziała, że to „ten dzień”, że dziś tracą cnotę. Właściwie to nie chciała, ale z Marzeną już tak było. Nie potrafiła słuchać, była skupiona tylko na realizacji własnych celów. Nie przyjmowała do wiadomości odmowy. Czasem Justyna się zastanawiała, dlaczego się z nią kumpluje. Może dlatego że przy Marzenie kręci się zawsze mnóstwo chłopców? Przyciągała ich jak magnes. Tak zresztą poznała Dawida. Bez Marzeny nigdy nie zwróciłby na nią uwagi. Wiedziała, że to nie jest chłopak dla niej. Nie mogła go przedstawić rodzicom. Dilował w klubach i na ulicach. Wiedziała, że to głupie, ale miała tylko szesnaście lat. Marzena powtarzała jej każdego dnia swoją życiową dewizę: *Girls wanna have fun*.

Czekał na nie pod klubem. Czuła się jak zdrajczyni. Marzena przecież nie wiedziała...

– Są moje księżniczki – rzucił Dawid, po czym zwrócił się do Justyny: – Ale kozak stylówka.

Stał pod neonem, w którym nie świeciła litera „t”. Robił wrażenie z kręconymi włosami i w najmodniejszej kurtce.

Marzena wzięła go pod rękę.

– A ty wiesz, jaka dziś jest noc? – zapytała, robiąc seksowną pozę.

– No chyba ostatki – stwierdził, przeczesując dłonią burzę loków i uwalniając się od Marzeny.

Ona ścisnęła dłoń koleżanki, dając jej znaki. Gdy Justyna się zorientowała, co tamta zamierza, było już za późno. Nie mogła nic zrobić. Karminowe usta Marzeny poruszały się jak w zwolnionym tempie.

– Ostatnia noc cnotek.

Rozbawiony Dawid nie zauważył, co się dzieje z twarzą Justyny. Objął ją, opuszczając dłoń na jej pośladki.

– Chyba twoja. Justi i ja już ze sobą byliśmy. – Pocałował ją, przechylając do tyłu.

Spojrzała na Marzenę, której twarz przypominała teraz oblicze bogini zła. Czarne włosy, czarne oczy i biała skóra. Przestraszyła się jej. Wiedziała tylko, że ich przyjaźni już nie ma i chyba nigdy nie było.

Dawid nie wszedł z nimi do środka; musiał obsłużyć klientów. Za to wewnątrz klubu zastały Dominika. Justyna unikała go od dłuższego czasu, gdy niespodziewanie wyznał jej miłość. Traktowała go bardziej jak rodzinę. Od zawsze był w paczce z nią i swoją kuzynką Marzeną. Ale jakieś dwa lata temu Marzena odsunęła go na bok. Tłumaczyła, że przez niego nie wyrwą żadnego gościa. Cały ten czas Dominik pisał do Justyny wiadomości. Witał ją rano słowami „cześć, piękna”, a na dobranoc pisał „słodkich snów”. Nie traktowała go poważnie. Był jak bezpański pies, który żebrze o miłość. Czasem mu odpisywała, często robiła to dla beki. Później zaśmiewały się z Marzeną, czytając jego ckliwe odpowiedzi. Teraz stanął przed nimi cały spięty. Był dziwnie ubrany, jakby próbował nieudolnie skopiować styl Dawida.

– Co pijecie? – zapytał, patrząc właściwie tylko na Justynę.

Ona jednak spoglądała ciągle w stronę wejścia, czekając na swojego chłopaka.

– Ja dziękuję, idę do toalety – rzuciła i odeszła szybko.

Gdyby nie siedziała tam tak długo, może dostrzegłaby moment, w którym Marzena wciska Dominikowi pod język kartonik z nadrukiem smoka. Mogłaby też usłyszeć, jak niedawna przyjaciółka szepcze mu do ucha:

– Po kwasie będziesz odważniejszy. Justyna na ciebie leci, ale zachowujesz się jak cipa.

Chłopak wybałuszył oczy.

– Naprawdę myślisz, że mnie chce?

– Jasne, że chce. Chyba mówimy sobie o wszystkim, nie?

Skinął głową zdezorientowany. Narkotyk powoli dostawał się do jego krwiobiegu. To, czego kiedyś się bał, stało się jak bułka z masłem. Zdawało mu się, że może teraz wszystko.

– Musisz ją wziąć siłą, tak jak robi to Dawid. Ona myśli, że masz małego, że nie jesteś dobry w te klocki.

Słowa Marzeny wirowały gdzieś ponad jego głową. Patrzył tylko w kierunku toalety, czekając na Justynę.

– Mówi, że mam małego? To się dzisiaj przekona.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Spojrzał w stronę parkietu. Wszyscy się śmiali z jego żartu. Machali do niego, a dziewczyny patrzyły na niego z pożądaniem.

Marzena obserwowała z rozbawieniem, jak LSD zamienia grzecznego Dominika w jego gorszą wersję. Pomoże jej zemścić się na tej francy. Nie będzie miała litości za to, że zwinęła jej sprzed nosa Dawida.

– Ja ją przyprowadzę na Promenadę. Czekaj tam o północy – wyszeptała Dominikowi do ucha.

Justyna wyszła z toalety i zatrzymała się niepewnie. Nie chciała podchodzić do Marzeny, przestraszyła się jej nie na żarty. Znała ją dobrze – ona jej tego nie daruje. Dlaczego Justyna nie powiedziała nic wcześniej? Mogła ją jakoś przygotować. Nie wiedziała teraz, co ma ze sobą zrobić. Dołączyła w końcu do tańczących na parkiecie. Kiwała się niepewnie, aż w końcu zobaczyła Marzenę zmierzającą w jej stronę z dwoma kieliszkami.

– No już, nie chowaj się przede mną, wariatko. Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Szturchnęła ją żartobliwie i podała szota.

Skonsternowana Justyna zawahała się przez chwilę, lecz uśmiech Marzeny sprawił, że się rozluźniła. Uniosła drinka do góry, to samo zrobiła jej koleżanka.

– Jazda! – zawołała.

Wypiły do dna, a następnie ruszyły na parkiet. Marzena lubiła brylować. Unosiła ręce i kołysała się, zawłaszczając dla siebie całą przestrzeń. Wszyscy chłopcy na nią patrzyli, tylko nie ten, którego chciała. Po jedenastej Justyna poczuła się źle, musiała wyjść na zewnątrz. Marzena ją wyprowadziła.

– Coś mi jest. Muszę wracać do domu – powiedziała do Dawida, wciąż zajętego interesami.

Pomyślała przez chwilę, że nie tak to sobie wyobrażała. Wcale się nie przejął. Ruszył z nimi w stronę parkingu.

– Zaraz zorganizuję ci kierowcę, o, Buła z tobą pojedzie. – Wskazał na rozkrzyczanego chłopaka z tatuażem na szyi.

Pocałował ją w usta i odszedł bez słowa.

Justyna stała przez chwilę wściekła.

– Ja z tym ciulem nigdzie nie jadę. Idę na nogach.

– Chodź, odprowadzę cię – zaproponowała Marzena.

Justyna była zaskoczona, że Marzena bez awantury opuści z nią wcześniej imprezę. Szły w stronę parku Promenada. Gdy były już blisko domu na Powstańców, Marzena opadła na jedną z nowych ławek.

– Słabo mi. Muszę na chwilę usiąść. Zaczekaj – symulowała.

Justyna usiadła obok i przymknęła oczy. Ktoś musiał jej coś dosypać. Matka ją zabije, gdy zobaczy ją w takim stanie. Ciemność parku rozjaśniały lampy. W pewnym momencie zdało się jej, że widzi jakąś postać zbliżającą się do nich alejką.

– Heja! – usłyszała głos Dominika.

Obróciła się w stronę Marzeny, ale ławka, na której przed chwilą siedziała, była pusta. Zniknęła nie wiadomo gdzie i kiedy. Dominik stanął blisko w dziwnej pozycji. Był pobudzony. Jego dłonie poruszały się niespokojnie, a oczy świdrowały ją na wskroś. Spróbowała wstać, ale opadła znów na ławkę.

– Co jest? – zapytała w końcu, nie mogąc znieść jego idiotycznej miny.

Chłopak jakby się dopiero obudził.

– Podobno na mnie lecisz.

Milczała przez kilka sekund, po czym wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się opanować.

Mocne pociągnięcie za włosy było jak uderzenie pioruna w letnie popołudnie. Zupełnie niespodziewane i rozdzierające. Syknęła z bólu, a on złapał ją za ramiona.

– Lubisz ostro, to będziesz miała ostro. Nie śmieć się, kurwa! Nie będziesz robić ze mnie idioty! – Miał zmieniony głos. Zupełnie jak nie on.

Chciał rzucić ją na trawnik, ale podniosła się i zaczęła uciekać. Potykając się co chwila, przebiegła przez martwy o tej porze ogród różany, ominęła ozdobne pergole i gdy chciała się obrócić, by sprawdzić, czy ją goni, złapał ją w pasie. Krzyknęła głośno. Wpadła do sadzawki, a on



skoczył za nią. Złapał ją za głowę i zanurzył w wodzie. Czarne włosy pływały, tworząc błyszczącą aureolę. Tłukła nogami i rękoma.

– Nie śmieję się ze mnie, nie śmieję się, nie jestem idiotą. Zamknij się, kurwa! – wołał do dziewczyny.

Trwało to dużo dłużej, niż potrzeba, aby zabić człowieka. Dominikowi wciąż się wydawało, że Justyna się z niego śmieje. Zaciskał i otwierał oczy, a narkotyk, który zażył, podsuwał jego umysłowi fałszywe obrazy. Wydawało mu się, że długie cienie drzew w świetle latarni są drzewcami z jego ulubionego *Władcy Pierścieni*. Drzewne potwory zbliżały się, żeby go zabić.

– Justyna, wstawaj, potwory idą. – Zaczął szarpać ciałem martwej dziewczyny.

Podniósł jej dłoń, która opadła jak u szmacianej lalki. Wynurzył jej głowę. Gdy spojrział jeszcze raz w stronę głównej alei, potworów już tam nie było. Przed nim za to leżała w wodzie martwa Justyna Wieczorek, którą kochał od wielu lat. Nabrał haust powietrza, bo dusił się z przerażenia. Odskoczył od niej na kilka kroków i rozejrzał się. Wciąż nie myślał trzeźwo. Boże, zabił ją! Miotał się tak przez chwilę. Nie pójdzie do poprawczaka. Jest za słaby. Zniszczą go tam.

Wyszedł z wody i spojrział jeszcze raz na czarną toń, na której dryfowało ciało Justyny. Pamiętał, że zakochał się w niej, gdy grała w szkolnym przedstawieniu tytułową Świteziankę. Teraz wyglądała jeszcze piękniej.

# ROZDZIAŁ 15

*Mysłowice, 5 sierpnia 2021 roku*

**S**amochód Tomka stał przy wejściu do budynku Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śląskich. Baśce podobało się to, w jaki sposób był on wkomponowany w lokalną architekturę. Bała się tego wyjścia. Właściwie wolała być teraz sama. Jeżeli jego zainteresowanie okaże się zwykłą litością, nie zniesie tego.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał z rezygnacją w głosie. Wiedział, że jak góralica się uprze, musi postawić na swoim. – Po co rozdrapywać rany? – spróbował ostatniego argumentu.

– Po prostu chcę tam jeszcze raz pojechać. Muszę. Nie będę uciekać całe życie.

Zamknął za nią drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. Opuściła klapkę z lusterkiem.

– Nie no, Baśka, nie możesz co pięć minut patrzeć w lusterko.

Poczuła się głupio. Znowu miał rację. Pobyt na oparzeniówce był kolejną lekcją pokory. Miała oparzenia tylko pierwszego i drugiego stopnia. Blizn nie było wiele i choć jej zdawały się koszarne, były niczym w porównaniu z tymi, które widziała u innych pacjentów. Ona miała szansę

na pozbycie się ich. Była umówiona na konsultację z chirurgiem plastycznym.

– Po prostu jedź – poleciała, a Tomek ruszył bez dalszych dyskusji.

Milczeli przez dłuższą chwilę, zachwyceni architekturą.

– Dzwoniłaś do tej Kariny? – zapytał, nie odwracając wzroku od jezdni.

– Boję się.

– To napisz SMS-a.

Wyciągnęła telefon i napisała wiadomość. Zapytała w niej o Dominika. Dodała, że właśnie wyszła ze szpitala i jedzie na Powstańców. Nie chciała stąd odjeżdżać, pozostawiając tyle niedomówień. Do Mysłowic wjechali od strony kopalni. Widok wieży szybowej sprawił, że zrobiło jej się słabo.

– Wszystko w porządku?

Zapatrzyła się znów na ceglane budynki z mieszanką podziwu i strachu. Okazało się, że ulica Bytomska jest zamknięta. Rozpoczęto długo oczekiwany remont, więc musieli pojechać naokoło. Gdy minęli budynek poczty, zamknęła oczy. Nie chciała widzieć Mostu Westchnień, bo wiedziała, że przed jej oczami ukaże się stojąca na nim Marzena.

– Jesteśmy – odezwał się Tomek, gasząc silnik.

Otworzyła oczy. Stali tuż przed przewiązką. Spojrzała w prawo. Pod kamienicą stał sąsiad czyszczący myjką ciśnieniową okopcone ściany. Na widok Zajdy wyłączył urządzenie. Wyszła powoli z samochodu. Nie mogła oderwać oczu od okna mieszkania, w którym o mało nie umarła. Sąsiad podszedł kilka kroków.

– Nic niy widać. Myśleli my, iże bydziesz fest ôszpecono – powiedział bez ogródek.

Baśka dotknęła odruchowo blizny na twarzy w okolicy ust.

– Zakłódołech sie, iże ôpucujã<sup>142</sup> ściany, tōż pucujã. Ino szkoda, iże tak sie to skōńczyło – ciągnął.

W pożarze ucierpiały drewniane krokwie podtrzymujące dach. Ściany były czarne od dymu.

– Ale niy ma co sie trōpić. Tam w pōmiyszkaniu robota wre – powiedział, wskazując na jej okno.

Nie rozumiała, o co mu chodzi. Popatrzyła na Tomka, ale tylko uśmiechnął się tajemniczo. Ruszyła po schodach na górę. Słyszała jakieś głosy i trzaski. Drzwi do mieszkania były uchylone, więc popchnęła je delikatnie. Już w przedpokoju zastała dwóch obcych mężczyzn malujących ściany. Minęła ich w osłupieniu i weszła do dużego pokoju połączonego z kuchnią. Alicja, Maciek i Marcin stali, czekając na jej reakcję. Byli w roboczej odzieży, wydawało się, że remont jest na zaawansowanym etapie. Kręciła się w kółko, oglądając wyczyszczone ze spalenizny ściany i sufity, na które nałożono gładź gipsową.

– Popatrz, Basiu, ta tapeta jest prawie identyczna z tą, którą wybrałaś. – Alicja rozciągnęła przed nią wałek z pięknym wzorem.

– Ale jak to? Kiedy? – zapytała Zajda, nie mogąc sklecić zdania.

– Bez twojego Tomka nie dalibyśmy rady. To on wykonał większość roboty. Zrobiliśmy też zrzutkę. Tylko tak możemy ci się odwdzięczyć.

Do oczu Baśki napłynęły łzy. Zrobiło się naprawdę nieznośnie ckliwie. Tomek stanął za nią i objął w pól.

Obróciła się do niego.

– Wiedziałeś! – Dała mu kuksańca w bok. – Dlaczego nie chciałeś mnie tu przywieźć?

– Bo jeszcze nieskończone. – Uśmiechnął się w sposób, który uwielbiała. – Widzisz, Baśka, wszyscy cię kochają.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo do mieszkania wpadła Karina. Miała potargane włosy i czerwoną twarz. Parła do przodu jak rozpędzona lokomotywa. Marcin oderwał się od parapetu, by ją zatrzymać, lecz ona odepchnęła go brutalnie.

– Co zrobiłaś mojemu synowi? Bez ciebie pōdzie do herestu. Fajno mi ujno<sup>143</sup>! – krzyczała na całe gardło. – Musiałaś go zakapować? Pies policyjny zōwzdy bydzie psym.

Baśka stała przed nią oszołomiona. Wiedziała, że tak się to skończy, od kiedy Dominik wyznał jej całą prawdę. Zacisnęła usta.

– Możecie nas na chwilę zostawić? – powiedziała do zdezorientowanej Alicji, Maćka i Tomka, którzy bez sprzeciwu wyszli z mieszkania.

Mężczyźni pracujący w przedpokoju także się ulotnili, widząc rozwścieczoną Karinę. Stały teraz naprzeciwko siebie, Karina dyszała z wściekłości. Marcin czekał w cieniu żony, tuż za nią.

– O wszystkim wiedziałaś – powiedziała Zajda, wyciągając w jej stronę oskarżycielski palec. – Zamiast mu pomóc, kazałaś milczeć i się nie przyznawać. Pomyślałaś, co się dzieje w jego głowie? Przecież on chciał się zabić!

– A co miałach zrobić, jak ôn prziszło do mie po tym wszyjskim? Chciałach go chrōnić. A terōzki pōdzie bez ciebie do pierdła, donosicielko.

Zamachnęła się na Baškę, lecz Marcin złapał ją za dłoń. Mierzyli się wzrokiem jak psy, które za chwilę skoczą sobie do gardeł.

– Uspokój się, Karina. On sam się zgłosił. Tak trzeba było zrobić. Dość już narządziłaś.

Karina otworzyła usta, by znów zalać ich morzem pretensji.

– Dość, powiedziałem! Chciałaś czekać, aż się sam zabije? – Pierwszy raz Marcin górował nad Kariną, która traciła moc. – Teraz ma szansę

odpokutować. Zacznie od nowa. Będę o niego walczyć. Mam nadzieję, że razem będziemy walczyć o naszego syna.

Karina zwiesiła bezradnie ręce w geście poddania. Marcin przytulił ją mocno, a ona wcisnęła mokrą od łez twarz w jego bluzę. Baśce było cholernie przykro. Jak do tego doszło? Do tyłu tragedii?

– Nad tom familijōm wisi jakeś fatum. Nōjprzōd ta Marylka, niyskorzij<sup>144</sup> Teresa i Marika – mówiła Karina przez łzy.

Gdy się uspokoiła, opowiedziała Baśce historię Alojza.

### ***Mysłowice, 20 lutego 1980 – 16 lipca 2021 roku***

**A**lojz siedział długo w ciszy, nasłuchując odgłosów. Gdy w końcu z korytarza zaczęła dobiegać poranna krzątanina, postanowił obudzić siostrę.

– Bernatka, stōwey. Już ôdeszli.

Pogłaskał ją po głowie, ale zdała mu się zimna. Wyciągnął ją z szafy. W świetle poranka zobaczył siność jej ust.

– Mamo! – zawołał, lecz nikt nie odpowiadał.

Zaczął dmuchać siostrze w twarz, tłuc rękami po jej klatce piersiowej. Ale Bernatka nie odpowiadała. Chwycił ją za dłoń i przyłożył do twarzy. Wbiegł do dużego pokoju. Ciało matki leżało na kanapie. Szklane oczy patrzyły w sufit, a na szyi widniała fioletowa pręga. Mundek leżał twarzą do ziemi. W pomieszczeniu śmierdziało odchodami i moczem. Alojz otworzył drzwi na klatkę schodową i stojąc w progu, płakał jak mały kot. Wnet zbiegli się mieszkańcy bloku.

Opowiadając na milicji, co się wydarzyło, wciąż pytał o ojca. Funkcjonariusze słuchali tej historii ze strachem w oczach, choć widzieli

już niejedno.

– I jŏ Bernatki tedy uspoł – powiedział, chlapiąc nieprzerwanie.

– Jak to uśpiłeś? Ty ją udusiłeś, zwyrodnialcu mały.

Słowa milicjanta były jak ostrze wbite znienacka w serce.

– Ôna terŏz je bezpiecznŏ. Juŏz niy płakŏ i niy ma głodnŏ – dorzucił Alojz, lecz w oczach milicjantŏw nie dojrzał zrozumienia.

Trafił do domu dziecka. Ojciec przyjechał tylko raz. Alojz czekał na niego spakowany, wierząc, że tata zabierze go do siebie. Tak się jednak nie stało.

– Lojzyku, czymu ty udowiłeś swojŏ szwestra? – zapytał go dziwnym głosem. – Mundek ci kŏzoł?

Dlaczego nikt go nie rozumiał? Gdzie byli wszyscy, gdy dusili jego matkę? Gdzie byli?! Ojciec odwrócił się i odszedł bez słowa. Alojz tylko raz zawołał „tato!”. Odszedł, zostawił go tam, w tym więzieniu dla dzieci, które musiały walczyć o swoje każdego dnia. Było ciężko, chciał wymazać z pamięci spędzony tam czas. Dopiero gdy skończył osiemnastkę i zatrudnił się w kopalni, znów poczuł się człowiekiem. Na Barbŏrce poznał Zosię. Wzięli ślub, urodziła się Marzenka. Ta historia mogła się skończyć dobrze. Bóg mu świadkiem, że starał się każdego dnia. Gdy Zosia zmarła na raka, został znów sam.

Nigdy sobie nie wybaczył, że ją zdradzał. To zdarzyło się tylko kilka razy. Pomagał sąsiadce, kiedy Zosia robiła dwie zmiany z rzędu jako pielęgniarka. Wieczorkowa go skusiła. Skończyło się szybciej, niż się zaczęło, ale po dziewięciu miesiącach Wieczorkom urodziła się Justynka. Wieczorek nosił ją jak dumny tata, bo do tej pory nie doczekali się dziecka. Później Alojz zrozumiał, że tylko do tego był potrzebny sąsiadce. Wiedziała, że mąż jej dzieciaka nie robi. Obserwował Justynkę, zawsze

był blisko. Cieszył się, gdy zaprzyjaźniła się z Marzeną. Gdyby wiedział, jak to się skończy!

Teraz zbliżał się do niego ogień, a on się modlił, żeby jego ofiara położyła kres nieszczęściu tej rodziny. W ostatniej chwili pomyślał o swojej ciotce, która ponoć zamieszkała gdzieś pod Babią Górą, a później ślad po niej zaginął. Miał nadzieję, że ona lepiej ułożyła sobie życie niż jego matka.

Ogień przyszedł po niego, by zabrać ciało i duszę w ostatni taniec.

### ***Kraków, 26 sierpnia 2021 roku***

**K**iedy wybrzmiały ostatnie dźwięki hejnału na wieży mariackiej, hejnalista tradycyjnie pomachał z góry do turystów. Stado gołębi zatoczyło kółko nad pomnikiem Mickiewicza. Znowu siedziała na krakowskim Rynku, lecz tym razem nie sama. Popijała latte przy kawiarnianym stoliku, spoglądając na Tomka karmiącego z synem gołębie. Gdy skończyło się im ziarno, wrócili do niej.

– Basia, a ty umiesz śpiewać po góralsku? – zapytał Dawidek, przekręcając zabawnie głowę.

– Nie bardzo. Ale może kiedyś odwiedzisz mnie w Zawoi, to ci zaśpiewam.

Chłopiec patrzył przez chwilę na jej bliznę. W końcu wyciągnął palec i wskazał na nią.

– Boli? – zapytał prostodusznie.

– Już nie – odpowiedziała, czerwieniąc się.

– Dawid, nieładnie tak... – zainterweniował Tomek, ale Zajda powstrzymała go gestem dłoni.

Pochyliła się do chłopaka.



– A jak ty się czujesz?

– Teraz to już spoko. I wiesz co? Wcale nie jesteś taka głupia, jak mówi mama! – zakrzyknął chłopak i znów pobiegł w stronę gołębi.

Baśka i Tomek się zaśmiali. Miał tyle blasku w oczach. Bała się go zgasić.

– Muszę wracać pod Babią – powiedziała w końcu to, co ciążyło jej na duszy od dłuższego czasu.

Złapał ją za dłonie.

– Jak to?

– Nie chcę się rozstać, ale muszę побыć trochę z mamą, z dziadkiem Uciechą. Kończy mi się chorobowe. Trzeba podjąć jakieś decyzje.

– Podejmujemy je wspólnie. Chyba jesteśmy razem?

Spojrzała w stronę Siennej. Tyle cieni kładło się na jej przeszłości.

– Jesteśmy. Co ci mam powiedzieć, Tomek? Babia mnie wzywa. Ty tego nie zrozumiesz. Tylko tam mogę wrócić do równowagi.

– Nie ma mowy. Od kiedy się dowiedziałem o tym ostrzeżeniu, które dostałaś, nigdzie cię samej nie puszczę. Te skurwysyny, które wysłały szczura, pewnie już wiedzą, gdzie mieszkasz.

– To będziesz musiał jechać ze mną – odpowiedziała zaczepnie.

– Nie ma sprawy. Złożę wniosek o urlop. Wiesz, że na Babiej Górze byłem tylko raz, i to w liceum?

– Pójdziemy więc razem. Poszukamy skarbów, które są tam ponoć zakopane.

– A twoja mama? Nie będzie zła, że przyjmujesz faceta pod swój dach?

Baśka klepnęła Tomka w plecy.

– Tym akurat się nie przejmuj. Widać, że nie znasz Celiney. Sama nas do łóżka ułoży.

Tomek zagwizdał radośnie.

– W takim razie Babia wzywa!

---

142 umyją (śl.).

143 ciocia (śl.).

144 później (śl.).

# OD AUTORKI

Moi drodzy! Tym razem zabrałam Was do Mysłowic, gdzie spędziłam dzieciństwo.

W fikcyjnej opowieści o Marylce z Zawoi umieściłam prawdziwą historię sprzed ponad stu lat. Afera dotycząca handlu ludźmi na Stacji Emigracyjnej Weichmanna była głośna w całej Europie. Osoby w nią zamieszane, między innymi książkowy Samuel Majerczyk, a w rzeczywistości Samuel Lubelski, w wyniku procesu otrzymały żenująco niskie wyroki. Natomiast komisarz Halemba, który ujawnił cały proceder, został odsunięty od służby.

Prawdziwa jest także historia wybuchu pierwszego powstania śląskiego, które rozpoczęło się po masakrze górników czekających 15 sierpnia 1919 roku na wypłatę pod myśłowicką kopalnią. Nie było wśród tamtejszych ofiar fikcyjnej Hildy Musioł, ale zginęło wówczas siedmiu mężczyzn, dwie kobiety i trzynastoletni chłopiec, a wielu zostało rannych. Większość dat zawartych w powieści pokrywa się z faktycznymi wydarzeniami historycznymi, ale niektóre z nich zdecydowałam się przesunąć w czasie dla spójności intrygi. Zainteresowanych historią Mysłowic odsyłam na stronę Stowarzyszenia Mysłowicki Detektyw Historyczny, która jest skarbnicą wiedzy na temat miasta.

Pragnę pozdrowić mieszkańców Mysłowic i przeprosić, jeżeli ktokolwiek z nich poczuł się urażony, że umieściłam tak straszliwe wydarzenia w tym mieście. Zbieżność osób, miejsc i nazwisk jest całkowicie przypadkowa. Wybaczcie. Zapewniam, że mam do Mysłowic wielki sentyment.

Ta książka by nie powstała, gdyby nie wiele wspinających osób, służących mi radą na każdym kroku. Dziękuję mojemu tacie, który kopalnie zna od podszewki. Wielkie podziękowania należą się też panu Jankowi za udostępnienie ciekawych materiałów dotyczących Mysłowic. Specjalne ukłony dla pana Józefa Wisiorka, znawcy śląskich tradycji, a także dla Aleksandry oraz pani Jadwigi Sebesty, konsultantki języka śląskiego.

Wyrazy wielkiego uznania przekazuję zespołowi Wydawnictwa MOVA. To przyjemność obserwować, jak jego nakładem ukazują się kolejne ciekawe tytuły. Podziękowania ślę także dla wydawczynie Moniki Rossiter, redaktora Adriana Kycia, redaktorki prowadzącej Marty Budnik, korektorki Beaty Wójcik oraz wszystkich, którzy sprawią, że ta książka trafi w Wasze ręce.

Dziękuję mojej rodzinie, która daje mi radość i energię każdego dnia.

Największe podziękowania kieruję jednak do Was, czytelnicy. To dla mnie wciąż niewiarygodne, że czytacie moje powieści.

Tak kończy się trzeci tom przygód Barbary Zajdy.

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Monika Rossiter  
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania  
Korekta: Beata Wójcik  
Konsultacja z języka śląskiego: Jadwiga Sebesta  
Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Zdjęcie na okładce: © Agnieszka Asenkowicz

Copyright © 2023 by Irena Małysa

Copyright © 2023, Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE Agnieszka  
Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki  
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania  
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne  
Białystok 2023  
ISBN 978-83-8321-396-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)